

nr 12 (63)

WIOSNA 2014

cena 15 zł
(w tym 5% VAT)

NOWY
OBYWATEL

PISMO NA RZECZ SPRAWIEDLIWOŚCI SPOŁECZNEJ

BILANS DEKADY



Europa 5,5 EUR
USA 7 USD
ISSN 2082-7644
INDEX 361569



PONADTO W NUMERZE M.IN.:

Ryszard Bugaj – obszerny wywiad o PRL i III RP

Gaz łupkowy zamiast demokracji

Niemcy – aksamitna kolonizacja

2 × więcej
płacisz,
6 × więcej
masz

Klubowicz
bierze
wszystko

KLUB OBYWA TELA

Nowy
Obywatel

Nowy
Obywatel bez
wychodzenia
z domu

Pełny dostęp
do archiwum
tekstów na
nowyobywatel.pl

Wersja na urzą-
dzenia mobilne
(formaty MOBI
i EPUB)

Gadżety
i niespo-
dzianki

Duma
z wsparcia
pisma



CZYTELNIK
(60 zł/rok)



PRENUMERATOR
(50/25 zł)

KLUBOWICZ
(120 zł)



nowyobywatel.pl/klub

Unia nas nie wyzwoli(ła)



REMIGIUSZ OKRASKA

Męczeństwo nie zastępuje pracy - stwierdził przed ponad stu laty Stanisław Brzozowski. Wystarczy zamienić „męczeństwo” na „Unię Europejską” i będzie to podsumowanie minionej dekady.

Rodzime postawy wobec integracji europejskiej były rozpięte między skrajnościami. Pierwsza, dominująca i promowana przez cały establishment, prezentowała akces do wspólnoty jako niemal cud i zarazem panaceum na wszelkie bolączki. Druga polegała na straszeniu Unią w sposób nierzadko wręcz groteskowy.

Dziesięć lat temu uważałem - i nadal uważam - że akcesja do UE to szansa, lecz zarazem wyzwanie. Że Unia nie jest bezinteresownym prezentem wielkiego świata dla zacofanych tubylców, lecz polem gry, w której polskie społeczeństwo może sporo zyskać, ale tylko pod warunkiem, iż nie wejdziemy „do Europy” na kolanach. Jeśli będziemy tolerowali rodzime patologie, to Unia ich wbrew nam nie uleczy, a być może wzmocni. Jeśli nie stworzymy dobrych strategii, to z Brukseli nie podadzą nam ich na tacy. Jeśli nie zdobędziemy się na wysiłek, to nikt za nas nie wykona koniecznej pracy. Jeśli nie będziemy podmiotem, to staniemy się przedmiotem w rękach innych podmiotów.

Postawa taka była wówczas rzadka na tle bądź to hurraoptymizmu, bądź „straszenia Unią”. W środowiskach prospołecznych dominowała wiara w „Europę socjalną”, która zapewni wszystko wszystkim. Dziś, po tym jak w Unii potraktowano Grecję i inne kraje południa kontynentu, można się tylko popukać w czoło, wspominając tamtą naiwność.

Mimo to nie potrafię odpowiedzialnie stwierdzić, że był to czas stracony. Zwolennicy integracji mówią: zobaczcie, tyle zbudowaliśmy, zrobiliśmy, sfinansowaliśmy - „za unijne”. Sceptycy odpowiadają: za mało, zbyt marnotrawnie, a przede wszystkim to za nasze, wpłacone do wspólnego budżetu. Tym drugim można odpowiedzieć: owszem, w znacznej części za nasze, ale przed akcesją te same pieniądze zwykle znikwały bez śladu w czarnych dziurach sitw i układów, w niejasnych mechanizmach i widzimisię. Tym pierwszym należy jednak również powiedzieć kilka gorzkich słów: jeśli Unia jest konieczna, żeby

w Polsce budować drogi czy oczyszczalnie ścieków lub dofinansować przedszkola albo zajęcia dla seniorów, to jesteście albo ofermami, albo łajdakami.

Unijna biurokracja? Owszem, istnieje, ale wizyta w którymś z krajów „starej Unii” pokazuje, że jej polska odmiana bywa o wiele bardziej dotkliwa i skostniała. Unijne normy? W wielu dziedzinach, np. w rolnictwie i przetwórstwie żywności, stosujemy je o wiele surowiej, niż sama Unia nakazuje i praktykuje. Ze smutkiem mówimy o 2 milionach emigrantów, którzy wyruszyli za chlebem do Anglii, Niemiec czy Szwecji. Ale oni wyjechali z kraju, gdzie pracy nie było - i to nie dlatego, że Unia „zaorała” zakłady wbrew nam, lecz z powodu polityki (anty)przemysłowej krajowych władz, niespotykanej na taką skalę choćby w sąsiednich Czechach.

Czy w Polsce najwięcej protestów i uwag krytycznych - oraz inicjatyw na rzecz zmiany tego stanu rzeczy - wywołuje to, co w Unii złe, chybione, nieprzemyślane lub wspierające najbogatsze kraje wspólnoty? Skądże, najbardziej zajadli są ci, którym przeszkadza fakt, że „brukselscy biurokraci” udzielają nam pocuń w kwestii poszanowania praw pracowniczych, konsumenckich i obywatelskich lub w dziedzinie ochrony przyrody, albo gdy „komisarze” nie zgadzają się, żeby z dotacyjnej puli jeszcze więcej środków przeznaczyć na autostrady dla zagranicznych TIR-ów zamiast na kolej dla rodzimych podróźnych. Najchętniej akceptujemy w Unii to, co tam jest najgorsze, a najmniej ochoczo naśladujemy to, co stanowi o rzeczywistych zaletach modelu europejskiego.

Niniejszy numer „Nowego Obywatela” to - oprócz innych materiałów - próba podsumowania dekady obecności w Unii Europejskiej. Bilans ten tworzą osoby z różnych środowisk, lecz łączące perspektywę rzetelnej analizy zalet i słabości procesu integracji. A przede wszystkim takie, które wyrażają bliskie nam przekonanie, że niezależnie od stosunku wobec integracji i jej różnych detali, kluczowe jest to, co i jak zrobimy my sami - polskie społeczeństwo, jego instytucje, organizacje, elity, wyborcy i obywatele. Jeśli Bruksela będzie tylko straszakiem lub wymówką dla bierności, to nic nie zmieni się na lepsze. Czy to w ramach Unii, czy poza nią. ✖

7 Bilans dekady - ankieta „Nowego Obywatela”

Z okazji mijającej 10. rocznicy referendum, w którym Polacy zdecydowali o akcesie do Unii Europejskiej, pokusiliśmy się o ocenę tej dekady. Jak wykorzystaliśmy ten okres i związane z nim - zapowiadane wówczas i wyłaniające się w międzyczasie - szanse? Czy sprawdziły się przestrogi formułowane wtedy i zapowiadane przez krytyków integracji? Ile zyskaliśmy i co straciliśmy? Co dalej?



8 Socjalna alternatywa

ANDRZEJ ADAMCZYK

Sprawa ta ujawniła się wyraźnie w niedawnym badaniu przed wyborami europejskimi, gdzie ankietowani wskazywali m.in., w jakich dziedzinach mają największe oczekiwania wobec instytucji unijnych, w tym Parlamentu. Okazało się, że w tych, w których Unia Europejska ma najmniejsze kompetencje, na przykład w dziedzinie polityki społecznej czy zatrudnienia.

11 Dekada świętego Mikołaja

PROF. DR HAB. WŁODZIMIERZ ANIOŁ

Duża część polskiej opinii publicznej, a najwyraźniej także większość klasy politycznej, jest skłonna postrzegać walory naszego członkostwa w Unii przede wszystkim - jeśli nie wyłącznie - przez pryzmat bezpośrednich korzyści materialnych, czyli mówiąc kolokwialnie: „kasy”.

15 Unia euro-miejska?

PROF. DR HAB. IZABELLA BUKRABA-RYLSKA

Po 2004 r. prawie 1 mln gospodarstw przestało sprzedawać mleko, ponad 830 tys. zaniechało hodowli trzody chlewnej, produkcja wołowiny spadła o połowę, owiec mamy 20 razy mniej, z 384 tys. plantatorów buraka cukrowego zostało 40 tys., a liczba producentów tytoniu skurczyła się z 250 tys. do 14,5 tys.! Dane te trzeba czytać następująco: tylu właśnie producentów wyeliminowano z rynku wskutek rozstrzygnięć Ministerstwa Rolnictwa, wiernie stosującego się do wytycznych Unii; tyle rodzin straciło możliwość utrzymania się, i to bynajmniej nie z powodu „wyuczonej bezradności”, lecz wskutek określonych decyzji administracyjnych.

18 Jaka Polska w jakiej Unii?

DR MARCIN DOMAGAŁA

Okres bezpośrednio po akcesji to swego rodzaju szok, po którym powinno nastąpić coś, co w psychologii nosi nazwę „reakcji dostosowawczej”. Skoro Polska weszła do europejskiego związku na fatalnych warunkach, to powinna za wszelką cenę starać się wykorzystać unijne mechanizmy do odbudowy własnej pozycji gospodarczej. Potencjał ten został spożytkowany w dość ograniczony sposób.

21 Blaski i cienie

DR HAB. TOMASZ GROSSE

Walorem członkostwa w UE jest dostęp do wspólnego rynku; do ogromnego rynku zbytu i współpracy z partnerami zagranicznymi, w tym również otwarcia możliwości dla zewnętrznych inwestorów. Problem polega jednak na tym, że gospodarka jest silnie zależna od podmiotów zewnętrznych i koniunktury u naszych największych partnerów, głównie w Niemczech.

24 30 srebrników

JOANNA DUDA-GWIAZDA

Pogróżka jest wyraźna: Negatywny wynik referendum mógłby prowadzić do gwałtownego wycofania lokat podmiotów zagranicznych, zwłaszcza w polskie papiery wartościowe, i do kryzysu finansowego wywołanego dużym spadkiem wartości złotego. Strzyżona owca musi stać spokojnie.

28 Czy byliśmy naiwni?

DR STÉPHANE PORTET

Wiadomo było, że polscy pracownicy nie są traktowani w taki sam sposób jak francuscy czy niemieccy, jednak niewiele osób zdawało sobie sprawę, jak duży jest to rozdźwięk: plany restrukturyzacji, które nie przewidują zwolnień, poszukiwanie alternatywnych rozwiązań, istotne zaangażowanie władz i administracji publicznej, a przede wszystkim czas, którym dysponują partnerzy społeczni, by poszukiwać innych rozwiązań, nie wspominając o znacznym finansowym zaangażowaniu przedsiębiorstwa.

31 Polski hydraulik, rumuński żebrak

STEFAN SĘKOWSKI

„Będzie praca u Bauera, więc do Reichu jedźmy teraz” - pisali ponad 10 lat temu polscy narodowcy na ulotkach, które miały zniechęcić nas do głosowania za akcesją Polski do Unii Europejskiej. Dziwne to hasło: było i jest więcej zagrożeń płynących z naszego członkostwa w UE niż swoboda przemieszczania się i otwarcie rynków pracy na Zachodzie.

34 Na wspólnym

DR HAB. PAWEŁ SOROKA

Niewątpliwie największym pozytywnym integracji Polski z Unią Europejską jest włączenie do wielkiego, wspólnego europejskiego rynku. To szansa dla znacznej części polskich przedsiębiorstw – i coraz więcej z nich tę szansę wykorzystuje. Wystarczy wspomnieć o naszym przemyśle rolno-spożywczym, zwłaszcza mleczarskim i wędliniarskim. Szkoda tylko, że ciągle zbyt mało oferujemy na tym rynku wyrobów wysoce przetworzonych, opartych na wiedzy i nowoczesnych technologiach.

37 Stany Zjednoczone Europy?

PROF. DR HAB. JACEK TITTENBRUN

Budowla, jakiej na imię Unia Europejska, wykazuje skazy bynajmniej nie tylko w swych fundamentach ekonomicznych. Jej struktury i mechanizmy polityczne pozostawiają także wiele do życzenia. Pojawiło się już nawet nowe określenie dla rodzaju ustroju politycznego właściwego dla UE – „komisjokracja”.

41 Wyznania rabiego Szymona

DR JAROSŁAW TOMASIEWICZ

Państwa takie jak Wielka Brytania, Francja czy Niemcy mają charakter imperialistyczny – jak wobec tego z sumy tych imperializmów, jaką jest Unia Europejska, może powstać coś nieimperialistycznego? To nie jest kwestia subiektywnych odczuć czy nawet ideologii głoszonej przez europejskie rządy, lecz obiektywnej pozycji w międzynarodowym podziale pracy. Europa zajmuje miejsce uprzywilejowane w stosunku do krajów peryferyjnych.

46 Kosztowne korzyści

DR HAB. ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

W Polsce ostatnich dziesięciu lat procesy dostosowawcze nie mają, by tak rzec, ofensywnego charakteru, z myślą o wyzwaniach, ale raczej żebraczy: z tego, co „dają”, jak najwięcej wyrwać... Mechanizm unijny nie sprzyja ewolucji w stronę dzielności – raczej w kierunku klientelistycznej przymilności.



50 Wszystkie ręce były na liberalnym pokładzie

WYWIAD

ROZMOWA Z DR. HAB. RYSZARDEM BUGAJEM



To pogardliwe czy podejrzliwe nastawienie części świata inteligenckiego do robotników było z czasem przewyciężane, a po narodzinach „Solidarności” wydawało się już ostatecznie odrzucone. Można jednak odnieść wrażenie, że i ono się po 1989 r. odrodziło – chociażby w odniesieniu do tzw. moherów.

66 Ćwiczenie z demokracji? Lokalne konflikty na tle gazu łupkowego

DR PIOTR STANKIEWICZ, JOANNA SUCHOMSKA

Kwestia, która dotyczy strategicznych problemów rozwoju Polski zostaje sprowadzona do biorących się z niewiedzy i niezrozumienia sporów o wpływ na środowisko. Dialog publiczny wokół gazu łupkowego zamiast koncentrować się wokół pytań o wpływ tej technologii na przyszłość Polski, jej regionów i lokalnych społeczności – zostaje zastąpiony przez PR i nierzadko zwykłą propagandę.

76 Aksamitna kolonizacja

ŁUKASZ MAŚLANKA

Doszło pod względem przekształceń własnościowych do najbardziej szokowej wersji terapii. Nie zakończyła się ona hekatombą społeczną wyłącznie ze względu na bardzo duże środki osłonowe oraz nieskrępowaną możliwość podjęcia zatrudnienia przez obywateli b. NRD w zachodniej części kraju. W latach 1990-1995 aż 80% ludności b. NRD utraciło – tymczasowo lub na dłużej – pracę.

84 Kraj zmian

MARCIN RZEPA

Porażka państwa w zakresie rozwiązywania problemów społeczno-gospodarczych oraz niezdolność modelu neoliberalnego do poprawienia sytuacji gospodarczej spowodowały załamanie się klasycznych partii politycznych, wzrost nastrojów antypartyjnych oraz rozwój gospodarki nieformalnej. Obywatele mieli niski udział w rządzeniu, a władzę sprawowały elity, przy dużym wpływie korporacji północnoamerykańskich. Rozwój sytuacji doprowadził do powstania próżni, którą wypełnili nowi liderzy polityczni i masowe ruchy społeczne.

REDAKCJA

Remigiusz Ochraska (redaktor naczelny), Michał Sobczyk

WSPARCIE REDAKCJI W NR. 63

Jan Rostocki, Aleksandra Sech, Piotr Świderek, Magdalena Warszawa, Michał Wójtowski, Magdalena Wrzesień, Aleksandra Zarzecznańska

STALI WSPÓŁPRACOWNICY

Rafał Bakalarczyk, Mateusz Batelt, Joanna Duda-Gwiazda, Bartłomiej Grubich, Jarosław Górski, dr hab. Rafał Łętocha, dr hab. Sebastian Maćkowski, Konrad Malec, Krzysztof Mroczkowski, Bartosz Oszczepalski, Janina Petelczyc, Marcell Sommer, Szymon Surmacz, dr Joanna Szalacha-Jarmużek, dr Jarosław Tomasiewicz, Karol Trammer

RADA HONOROWA

dr hab. Ryszard Bugaj, Jadwiga Chmielowska, prof. Mieczysław Choraży, Piotr Ciompa, [prof. Leszek Gilejko], Andrzej Gwiazda, dr Zbigniew Hałat, Grzegorz Ilka, Bogusław Kaczmarek, Jan Kozia, Marek Kryda, Bernard Margueritte, Mariusz Muskat, dr hab. Włodzimierz Pańków, dr Adam Piechowski, Zofia Romaszewska, [dr Zbigniew Romaszewski], dr Adam Sandauer, dr hab. Paweł Soroka, prof. Jacek Tittenbrun, Krzysztof Wyszowski, Marian Zagórny, Jerzy Zalewski, dr Andrzej Zybała, dr hab. Andrzej Zybortowicz

NOWY OBYWATEL

ul. Piotrkowska 5, 90-406 Łódź, tel./fax 42 630 22 18
proponujecie tekstów: redakcja@nowyobywatel.pl
reklama, kolportaż: biuro@nowyobywatel.pl
nowyobywatel.pl

ISSN 2082-7644

NAKŁAD 1400 szt.

WYDAWCA

Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom”
ul. Piotrkowska 5, 90-406 Łódź

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania, zmian stylistycznych i opatrywania nowymi tytułami materiałów nadesłanych do druku. Materiałów niezamówionych nie zwracamy. Nie wszystkie publikowane teksty odzwierciedlają poglądy redakcji i stałych współpracowników. Przedruk materiałów z „Nowego Obywatela” dozwolony wyłącznie po uzyskaniu pisemnej zgody redakcji, a także pod warunkiem umieszczenia pod danym artykułem informacji, że jest on przedrukiem z kwartalnika „Nowy Obywatel” (z podaniem konkretnego numeru pisma), zamieszczenia adresu naszej strony internetowej (nowyobywatel.pl) oraz przesłania na adres redakcji 2 egz. gazety z przedrukowanym tekstem.

SPRZEDAŻ

„Nowy Obywatel” jest dostępny w prenumeracie zwykłej i elektronicznej (nowyobywatel.pl/prenumerata), można go również kupić w sieciach salonów prasowych Empik i RUCH oraz w sprzedaży wysyłkowej.

SKŁAD, OPRACOWANIE GRAFICZNE

kooperatywa.org

PROJEKT OKŁADKI

Piotr Świderek, Kooperatywa.org

DRUK I OPRAWA

Drukarnia READ ME w Łodzi
92-403 Łódź, Olechowska 83

94 Praca, kłamstwa i gry wideo

IAN WILLIAMS

„Pasja” to gotowość poświęcenia się marzeniu do tego stopnia, że rozsądne godziny pracy i adekwatne wynagrodzenie stają się nieistotne. Ciągłe rozgrywanie pasji pracowników z branży staje się środkiem, za pomocą którego kierownictwo pośrednio uzasadnia ich skrajny wysysk.

GOSPODARKA SPOŁECZNA

102 Bajki o wynagrodzeniu minimalnym

ŁUKASZ KOMUDA

Można jednak zadać sobie pytanie, jaki los czekać może przedsiębiorstwo, które zabije kilkuprocentową podwyżką płac osób z wynagrodzeniem 1200 zł na rękę? Jaka jest jego szansa przetrwania na konkurencyjnym rynku, jeśli skok płacy minimalnej o 5% (jak w 2014 r.) może być tak morderczy?

110 Razem przeciwko kryzysowi

DR TOMASZ MERING

Sektor spółdzielczy radził sobie relatywnie dobrze w okresie światowego kryzysu i spowolnienia gospodarczego. We Francji odnotowano w ostatnich latach znaczny wzrost liczby członków spółdzielni mieszkaniowych, a 100 największych francuskich spółdzielni zwiększyło zatrudnienie o 11,2% przy jednoczesnym wzroście płac o 4%. Z kolei w latach 2008-2012 w mocno dotkniętej kryzysem Hiszpanii zatrudnienie w branży spółdzielczej zmniejszyło się o 9,6 proc., podczas gdy w całej gospodarce ubytek etatów był ponad dwukrotnie większy. W tym samym czasie sektor spółdzielczy zwiększył tam liczbę członków o jedną piątą.



115 Kiedy praca popłaca?

BARTŁOMIEJ GRUBICH

Wiele państw jako substytut wzrostu płac potraktowało kredyty, które zwłaszcza przed kryzysem były łatwo dostępne. Stało się tak przede wszystkim w USA, ale także w Wielkiej Brytanii, Australii, Grecji, Hiszpanii oraz Portugalii. Taki sposób zwiększania krajowej konsumpcji ma swoje granice, jest krótkotrwały i pozbawiony stabilnych podstaw – każdy kredyt trzeba kiedyś spłacić, wraz z odsetkami.

121 Biznes (bez) zaufania

DR JOANNA SZALACHA-JARMUŻEK

Akcje ratowania spółek krytycznych dla danej gospodarki narodowej znajdują we Francji szybkie porozumienie na linii biznes-polityka. Zarządzający firmami brytyjskimi twierdzą, że zbyt mała (w porównaniu z Francją) solidarność Brytyjczyków spowodowała upadek i utratę niektórych kluczowych firm i sektorów.

GOSPODARKA SPOŁECZNA

Z POLSKI RODEM

128 Judym, czyli pożytki z resentymentu

JAROSŁAW GÓRSKI

Nawet kiedy jakiemuś przedstawicielowi motłochu uda się zdobyć wykształcenie i ogładę, jego środowisko nie ma z tego żadnych korzyści, ponieważ natychmiast wsysa go niemająca z tym środowiskiem żadnego kontaktu klasa wyższa. Awans zdolnych jednostek jest więc dla motłochu przekleństwem, a nie szansą, gdyż całkowicie go wyjaławia.

136 Kochaj bliźniego jak siebie samego. Solidaryzm Franciszka Stefczyka

DR HAB. RAFAŁ ŁĘTOCHA

Postrzegął on spółdzielczość jako remedium na główne problemy, z którymi borykała się ludność wiejska, dźwignię rozwoju nie tylko gospodarczego, ale i moralnego czy obywatelskiego. Miała ona wprowadzić nowe wzorce, odnoszące się nie tylko do relacji gospodarczych, ale także międzyludzkich, oprzeć je na zasadach uczciwości, solidarności i pomocy wzajemnej.

Nic śmiesznego
© Piotr Świderek
rysunki.me





Bilans dekady

ankieta „Nowego Obywatela”

Z okazji mijającej dziesiątej rocznicy referendum, w którym Polacy decydowali o akcesie do Unii Europejskiej, postanowiliśmy pokusić się o ocenę tej dekady. Jak wykorzystaliśmy ten okres i związane z nim – zapowiadane wówczas i wyłaniające się w międzyczasie – szanse? Czy sprawdziły się przestrogi formułowane wtedy i zapowiadane przez krytyków integracji? Co wynikło z podjętej w referendum decyzji o dość jednoznacznej orientacji proeuropejskiej? Ile zyskaliśmy i co straciliśmy? Co dalej? Takie pytania nasuwają się w naturalny sposób, gdy stajemy w obliczu okrągłej rocznicy.

Celem ankiety było „konstruktywnie krytyczne” podsumowanie dziesięciolecia obecności Polski w Unii Europejskiej. Zależało nam na uzyskaniu możliwie szerokiego obrazu korzyści oraz strat płynących z integracji, w tym takich, na które kładziono niewielki nacisk w mediach głównego nurtu.

Naszemu autorom zadaliśmy kilka pytań pomocniczych, orientacyjnych. Wśród najważniejszych z nich były takie: Jakie problemy udało się w pełni lub częściowo rozwiązać dzięki akcesji? Na jakie sposoby uczestnictwo Polski w strukturach europejskich zwiększyło nasz potencjał rozwoju społecznego i ekonomicznego? Jakie są „niewymierne” korzyści z naszego członkostwa i jego bezpośrednich konsekwencji? Które nadzieje wyrażane w obliczu zbliżającego się „wejścia do Unii” nie ziściły się? Jakie okazały się społeczne, ekonomiczne i polityczne koszty integracji europejskiej? Jakie cechy i zasady Unii Europejskiej nasiliły problemy, z którymi boryka się nasz kraj? W jakim kierunku będzie prawdopodobnie ewoluował model europejski w najbliższych latach – i jak należy oceniać owe zmiany? Jak w ich następstwie zmieni się międzynarodowa pozycja naszego kraju oraz jak odczują je duże grupy społeczne? Jaki jest pożądany kierunek ewentualnych zmian? Czy można sobie wyobrazić korzystną dla naszego kraju i społeczeństwa alternatywę dla członkostwa w UE – dziesięć lat temu oraz obecnie?

Uczestnikom ankiety pozostawiliśmy dowolność w kwestii formy oraz rozłożenia akcentów. Warunkiem udziału w ankiecie nie była „uniwersalność” odpowiedzi, tj. odniesienie się do wszystkich spraw i obszarów, o które pytaliśmy. Kto chciał, mógł skoncentrować się jedynie na tych aspektach, które są związane z jego specjalizacją zawodową lub naukową, bądź którym poświęcił więcej zainteresowania i refleksji. Uzyskane opinie prezentujemy na kolejnych stronach w kolejności alfabetycznej.

Redakcja „Nowego Obywatela”

Socjalna alternatywa

ANDRZEJ ADAMCZYK

Dziesięciolecie polskiego członkostwa w Unii Europejskiej stanowi naturalną okazję do podsumowań, ocen, bilansów, opisów zmian w różnych dziedzinach życia, gospodarki, konsekwencji społecznych mniej lub bardziej powiązanych z efektami integracji europejskiej, czasem zaś zupełnie odrębnych, ale jako że zachodzących po dacie akcesji, to z nią kojarzonych. I znów, podobnie jak w dyskusji przedakcesyjnej, debata przebiega w konwencji zestawiania dwóch kolumn: „zyski” i „straty”.

Nie kwestionując naturalnej pokusy dokonania takiego bilansu, nie sposób nie zauważyć, że jest on obarczony dwiema wadami. Po pierwsze: dyskusyjne pozostaje, które pozycje nadają się do zaksięgowania w kolumnie „straty”, a które w kolumnie „zyski”. Na przykład czy przekazanie na poziom unijny kompetencji krajowych w danej dziedzinie (lub jak chcą to nazywać niektórzy: „utrata suwerenności”) jest zyskiem czy stratą? To pytanie o tyle istotne, że mamy tendencję (a już szczególnie politycy mają) do zazdrosnego zastrzegania prawa do konkretnych decyzji na poziomie narodowym przy jednoczesnym kierowaniu pretensji za ich skutki do Brukseli. Sprawa ta ujawniła się wyraźnie w niedawnym badaniu przed wyborami europejskimi, gdzie ankietowani wskazywali m.in., w jakich dziedzinach mają największe oczekiwania wobec instytucji unijnych, w tym Parlamentu. Okazało się, że w tych, w których Unia Europejska ma najmniejsze kompetencje, na przykład w dziedzinie polityki społecznej czy zatrudnienia. Po drugie: bilanse tego rodzaju opierają się na czystych spekulacjach, co by było, gdyby Polska przez ostatnie 10 lat nie była członkiem Unii Europejskiej. Zestawiamy zatem rzeczywistość z fikcją historyczną, polityczną, społeczną, gospodarczą, jednym słowem z tym wszystkim, co się nie zdarzyło, i nie wiemy, czy zdarzyć się mogło.

Powyższe naturalnie nie zwalnia nas od podsumowania doświadczeń naszego kraju w ciągu ostatnich 10 lat, a także porównania tego z wcześniejszymi prognozami. Niewątpliwie jest przede wszystkim to, co widać gołym okiem, i co w niekwestionowany sposób jest z członkostwem w UE powiązane, mianowicie ogromny skok cywilizacyjny. Wynika on z wykorzystania funduszy strukturalnych, przede wszystkim w kwestii rozwoju infrastruktury, ale i stałego wzrostu PKB czy płac realnych. No i fakt, że jako członek UE Polska postrzegana jest jako kraj solidny, stabilny i zabezpieczony przed wstrząsami. To przyciąga inwestycje czy, szerzej, sprawia, że Polska stała się partnerem w interesach, z którym należy się liczyć zarówno wewnątrz UE, jak i w stosunkach zewnętrznych. Aby docenić znaczenie tego skoku cywilizacyjnego, należy go zestawić z kasandrycznymi przepowiedniami pewnych sił, które chciały nas pozbawić szansy rozwojowej wynikającej z akcesji i zapowiadały nieuniknioną katastrofę. Katastrofę będącą następstwem nie tylko dysfunkcyjności mechanizmu UE, lecz przede wszystkim spisku zawiązanego przez mroczne siły, dla których akcesja miała stać się wygodnym instrumentem i środkiem do celu, jakim było zniszczenie naszej państwowości i narodu. Miała zatem Polska stać się narodem niewolników, jej ludność zmniejszona o połowę,



a majątek narodowy, zwłaszcza ziemia, miał paść łupem obcych grabieżców. Integralność terytorialna stanęłaby pod znakiem zapytania, a dobra materialne, które ocalałyby, trafiłyby w obce ręce. Przypominam te nonsensy, bo 10 lat temu były one traktowane w przestrzeni publicznej jako równoprawna opinia, warta uwagi w debacie przedakcesyjnej.

Bez wątpienia Unia Europejska przeżywa ostatnio kryzys zaufania, na który składają się klęska referendalna projektu Konstytucji Europejskiej, kryzys gospodarczy oraz wzrost nastrojów eurosceptycznych, nacjonalistycznych i ksenofobicznych. Warto zwrócić uwagę, że najgłębszy od lat 30. ubiegłego wieku kryzys gospodarczy powstał w Ameryce, a nie na terytorium UE, i nie był spowodowany polityką UE, lecz frywolnym posługiwaniem się instrumentami bankowymi na drugiej półkuli. Natomiast

gdy kryzys rozlał się na Europę, Unia uruchomiła instrumenty amortyzujące, pozwalające przetrwać krajom najbardziej dotkniętym. Wypada zauważyć, że Irlandia, Portugalia, Hiszpania odnotowują już wzrost gospodarczy i spadek bezrobocia. Kraje bałtyckie z kolei, gdzie załamanie było najbardziej dramatyczne, przeszły w fazę błyskawicznego wzrostu i wprowadzają jeden po drugim walutę euro - Estonia rok temu, w tym roku Łotwa, a w przyszłym Litwa. Grecji zaś, gdzie sytuacja jest ciągle poważna, nie przeszkadza to przewodzić obecnie Unii Europejskiej.

Wspominam o tym, gdyż często zapomina się, w jakim celu została powołana Unia Europejska. Początkowo zasadniczą, jeśli nie jedyną intencją wspólnoty było zachowanie pokoju. W związku z tym zaprojektowano mechanizmy uzgodnieniowe i regulacyjne, które miały na celu uniknięcie

morderczej konkurencji, prowadzącej w przeszłości do wojen. Mechanizmy te, które przy kolejnych reformach traktatów wprowadzały coraz więcej elementów solidarnościowych, przerodziły się stopniowo we wspólny rynek, wspólnotę gospodarczą i wreszcie obecną skomplikowaną konstrukcję uregulowaną Traktatem z Lizbony. Cel główny pozostaje jednak ten sam – zapobieganie wojnie w Europie. I wypada stwierdzić, że Unia jako projekt pokojowy odniosła ogromny sukces. Polska, która tyle przecież cierpiała z powodu przeróżnych wojen przetaczających się przez jej terytorium, jest również beneficjentem tego projektu. Nasz kraj jest uczestnikiem wszelkich negocjacji w sprawach różnorodnych polityk unijnych, budżetu, funduszy strukturalnych, wspólnej polityki rolnej itd. Wyniki tych negocjacji są często niezwykle istotne, mają doniosłe konsekwencje finansowe dla Polski i Starego Kontynentu. Jednak jeden dzień wojny w Europie kosztowałby więcej niż roczny budżet UE i dlatego wyniki tych negocjacji mają mniejszą doniosłość pod względem finansowym niż sam fakt zachowania pokoju.

Muszę wreszcie wspomnieć o znaczeniu członkostwa dla systemu demokratycznego, rządów prawa, społecznej gospodarki rynkowej czy ochrony socjalnej. Oczywiście, Polska przed akcesją cieszyła się demokratycznym ustrojem, a społeczna gospodarka rynkowa jest wpisana do Konstytucji i nic nie wskazuje, aby normy te miały nie być przestrzegane, gdybyśmy nie wstąpili do UE. Jednak respektowanie tych zasad w naszym kraju, jak i całego dorobku prawnego UE, było wielokrotnie przedmiotem interwencji instytucji unijnych, które doprowadzały do wyeliminowania braków, niedociągnięć czy zaniedbań.

Ostatnio Komisja Europejska pozytywnie rozpatrzyła skargę NSZZ „Solidarność” na polskie przepisy dotyczące umów o pracę na czas określony. Zgodnie z pismem KE *wszczęła oficjalne postępowanie w sprawie uchybienia zobowiązaniom państwa członkowskiego i przesłała władzom polskim oficjalne wezwanie do usunięcia uchybienia*. Efektem jest zasadnicza zmiana języka polskiego rządu w sprawie tzw. umów śmieciowych i, miejmy nadzieję, zmiana prawa w wyniku interwencji KE. „Solidarność” złożyła też w styczniu br. nową skargę na sprzeczność polskiego prawa z dyrektywą unijną o czasie pracy, oczekując podobnego efektu i nowej interwencji Komisji Europejskiej. Ta sprawa jest szczególnie istotna, gdyż stanowi tło obecnego kryzysu dialogu społecznego w Polsce i wycofania z Trójkątnej Komisji przedstawicieli wszystkich reprezentatywnych central związkowych.

Dla organizacji związkowych i pracowników niezwykle ważny jest europejski model społeczny.



Nazwą tą obejmuje się zespół przepisów wynikających z traktatów oraz Europejskiej Karty Praw Podstawowych, gwarantujący pracownikom m.in. prawo do informacji i konsultacji, do swobodnego organizowania się w związki zawodowe, negocjacji układów zbiorowych, a także autonomii dialogu społecznego. Sprawa Karty jest niekiedy w Polsce źródłem nieporozumień ze względu na specjalny protokół dołączony do Traktatu z Lizbony, ograniczający użyteczność Karty w Polsce i Wielkiej Brytanii. Polska przystąpiła do tego protokołu w czasie rządów PiS pod absurdalnym pretekstem, że przepisy Karty niosą zagrożenie dla integralności terytorialnej Polski, oraz że istnieje niebezpieczeństwo narzucenia Polsce niepożądanych przepisów prawa rodzinnego dotyczących związków jednej płci. Rząd PO utrzymał obowiązywanie tego protokołu z zamiarem zablokowania niektórych uprawnień socjalnych. Szczęśliwie, bez względu na intencje rządu, protokół stanowi jedynie, że nie ma możliwości składania sądowych skarg na łamanie przepisów rozdziału Karty „Solidarność”, jeśli przepisy te nie wynikają również z polskiego prawa krajowego. Nie oznacza to jednak, że Karta nie obowiązuje w Polsce w całości. Co więcej, również orzecznictwo Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości sporządzane na podstawie przepisów Karty, w tym rozdziału „Solidarność”, obowiązuje w Polsce bez żadnego ograniczenia, jako że decyzje Trybunału stosują się do wszystkich krajów członkowskich bez wyjątku. Tak więc próby ograniczenia funkcjonowania europejskiego modelu społecznego w naszym kraju nie powiodły się. ✖

Dekada świętego Mikołaja

PROF. DR HAB. WŁODZIMIERZ ANIOŁ

Zaproszenie do sporządzenia minibilansu dziesięcioletniej obecności Polski w Unii Europejskiej onieśmiela złożonością i wielowątkowością materii, jakiej należałoby się w tym celu przyjrzeć, a następnie ją ocenić – nawet jeśli mielibyśmy ograniczyć się tutaj wyłącznie do społeczno-ekonomicznych skutków akcesji.

W pięciolecie naszego członkostwa w Unii w obszerniejszym tekście wyróżniłem i omówiłem trzy główne poziomy jego wpływu na społeczną modernizację Polski¹. Wszystkie one także dzisiaj, dekadę po akcesji, zachowują swą aktualność. Po pierwsze – poziom doraźnych i bezpośrednich następstw polskiego akcesu do unijnej przestrzeni gospodarczej, społecznej i edukacyjnej. Chodzi w szczególności o korzyści polegające na generalnym **wzroście zamożności społeczeństwa i podniesieniu poziomu cywilizacyjnego kraju** – dzięki radykalnie poszerzonemu dostępowi do zachodnioeuropejskich rynków (zwłaszcza niemieckiego), finansowemu zasilaniu różnych projektów modernizacyjnych w ramach polityki spójności UE czy też wspomagającym budżety domowe transferom pieniężnym, jakie płyną od Polaków podejmujących pracę w państwach Unii.

Drugi wymiar oddziaływań to znacznie głębsze i długofalowe – często pośrednie – a sprzyjające społecznej modernizacji konsekwencje akcesji, jakie objawiają się głównie w sferze świadomości, postaw i zachowań społecznych. Można by je zbiorczo określić mianem **kształtowania się społeczeństwa otwartego** – tj. nowoczesnego, liberalnego, mobilnego, proeuropejskiego, mniej zaściankowego itp. Jest wreszcie trzecia płaszczyzna unijnych oddziaływań na rozwój Polski, a mianowicie **systemowy wpływ i znaczenie wzorotwórczego potencjału Unii** zarówno dla ogólniejszego modelu rozwoju kraju, jak

i bardziej konkretnych rozwiązań w zakresie różnych polityk publicznych. Chodzi o rolę rozmaitych zewnętrznych inspiracji, impulsów, najlepszych praktyk (*best practices*), inaczej mówiąc – o „efekt demonstracji”, jaki wywiera na Polskę cała gama idei, procedur, regulacji i mechanizmów, które są stosowane w innych państwach członkowskich i bardzo często bywają promowane przez samą Unię Europejską w intencji skuteczniejszego rozwiązywania wielu istotnych – stojących na agendzie niemal wszędzie w podobnym kształcie – problemów społecznych czy gospodarczych.

Otóż stwierdzić można (nawiasem mówiąc, nie jest to teza bardzo odkrywcza), że na wszystkich trzech poziomach w mijającym właśnie dziesięcioleciu zaznaczył się generalny postęp i pozytywny wpływ polskiej obecności w UE na unowocześnianie kraju. Fakt, że ogólny bilans wypada pod tym względem korzystnie, nie znosi naturalnie różnych kontrowersji i pytań o detale, efektywność, wykorzystanie wszystkich powstałych możliwości itp. Jest też odrębną kwestią dyskusyjną swoisty kłopot metodologiczny, który polega na tym, iż wcale nie jest łatwo spośród ogółu licznych uwarunkowań i czynników, jakie decydowały w ostatniej dekadzie o rozwoju Polski, przejrzysto wyodrębnić „efekt członkostwa” Polski w Unii, by następnie poddać go osobnej, nie zakłóconej innymi determinantami, rzetelnej ocenie.

Wyciskanie Brukselki, ale w jakim celu?

Z braku miejsca skoncentruję się teraz tylko na jednym wybranym aspekcie omawianego bilansu, o którym notabene jest stosunkowo najgłośniejszy w obecnym krajowym dyskursie publicznym, a mianowicie na zasilających Polskę unijnych transferach finansowych.

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, iż **duża część polskiej opinii publicznej, a najwyraźniej także większość klasy politycznej, jest skłonna postrzegać walory naszego członkostwa w Unii przede wszystkim – jeśli nie wyłącznie – przez pryzmat bezpośrednich korzyści materialnych, czyli mówiąc kolokwialnie „kasy”**. Wicepremier Waldemar Pawlak, jak pamiętamy, lubił perorować o „wyciskaniu Brukselki”. W klipach przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi liderzy PO (włącznie z formalnie niezależnym unijnym komisarzem J. Lewandowskim) obiecywali załatwienie w UE dużej kwoty dla Polaków. Premier Donald Tusk na konferencji prasowej w Brukseli w lutym 2013 r., gdy zdecydowano już o przyznaniu Polsce 106 mld euro w ramach nowej perspektywy finansowej na lata 2014-2020, krojąc tort w kształcie paczek z banknotami, wołał z satysfakcją: *Uwaga, łapać pieniądze!* Także dzisiaj szefa rządu, gdy wypowiada się publicznie o perspektywach rozwojowych kraju, można nierzadko zobaczyć na tle marketingowej „ścianki” z powiększonymi do gigantycznych rozmiarów banknotami euro.

Przy całym zrozumieniu dla wymogów współczesnej reklamy i potrzeb rządowego piaru, przy okazji podobnych obrazków nie mogę jakoś oddalić od siebie skojarzenia z karykaturą lub wręcz – *excusez le mot* – pornografią. Ta ostatnia, jak wiadomo, polega na tym, że rzecz wielowymiarową, subtelną, wyrafinowaną, piękną etc. upraszcza się i sprowadza „do parteru” przyziemnych instynktów, niewyszukanych podniet i czystej fizjologii. W podobnie uproszczony sposób – niczym seks w pornografii – traktowany jest w owej skomercjalizowanej narracji złożony fenomen członkostwa w Unii, ze wszystkimi swoimi różnymi wymiarami i implikacjami. Widzi się w nim, mówiąc wprost, nade wszystko narzędzie i sposób pozyskiwania dla Polski dużej gotówki.

To epatowanie forszą, redukcja zalet obecności w Unii tylko do materialnych profitów utrwalają w społecznym odbiorze wizerunek tej instytucji jako worka z pieniędzmi, swoistego św. Mikołaja, który rozdaje grzecznym dzieciom atrakcyjne zabawki i słodycze. Albo skłania do upatrywania w niej wręcz miłosiernego Pana Boga, który sypie mianą z nieba bezgrzesznym i grzesznym, już bez różnicy. Owe szeleszczące wokół unijne pieniądze – choć przecież ich wynegocjowanie było fundamentalnie ważne – często przysyłają jednak co najmniej

równie istotne, dziś zgoła strategiczne pytanie: **NA CO głównie i W JAKI SPOSÓB warto czy należałoby je wydawać?**

Chciałbym zamarkować w tym kontekście tylko dwie ogólniejsze, a kontrowersyjne kwestie, które przewijają się od czasu do czasu w krajowym dyskursie publicznym i naukowym, nie zawsze wystarczająco wyraziście. Obie one mają też kluczowe znaczenie z punktu widzenia najbliższej przyszłości, tj. kierunków i metod wydatkowania w Polsce środków unijnych w rozpoczynającej się właśnie perspektywie finansowej 2014-2020.

Projekty twarde czy miękkie?

Pierwsza sprawa to podział pieniędzy na programy i projekty – mówiąc skrótowo i umownie – „twarde” oraz „miękkie”. Te pierwsze są związane z inwestycjami w tzw. twardą infrastrukturę, czyli z budową dróg, autostrad, trakcji kolejowych, lotnisk, sieci energetycznych, wodociągów czy oczyszczalni ścieków. Te drugie to nakłady na przedsięwzięcia społeczne, w myśl popularnego hasła „Człowiek – najlepszą inwestycją”, a więc na podnoszenie kwalifikacji i kompetencji ludzi (zawodowych, cyfrowych, kulturowych i innych), na edukację, naukę i badania aplikacyjne, na podnoszenie sprawności różnych służb i instytucji publicznych itp. Moim zdaniem wydatki na tę drugą dziedzinę były dotychczas i są wciąż w Polsce raczej lekceważone, zaniedbywane, dość wyraźnie upośledzone w redystrybucyjnych rozstrzygnięciach decydentów w porównaniu do bardziej „mierzalnych” i spektakularnych inwestycji twardych (jak stoi droga czy stadion, to od razu widać!).

Przypomnę, że z przyznanym Polsce na nowy okres do 2020 r. funduszy w ramach polityki spójności ponownie duża ich część (ponad 24 z łącznie 73 mld euro, czyli aż jedna trzecia) przypadnie na jeden z 22 sektorowych i regionalnych programów operacyjnych, a mianowicie na PO „Infrastruktura i Środowisko”. Zaś następcą PO „Kapitał Ludzki”, czyli PO „Wiedza - Edukacja - Rozwój”, otrzyma nieco ponad 3 mld euro, a więc znacznie mniej niż jego poprzednik (na POKL wydano prawie 10 mld euro).

Niedoceniając w Polsce inwestycji społecznych znajduje też jednak wyraz choćby w często krytycznym, ignoranckim czy pobłażliwym traktowaniu Europejskiego Funduszu Społecznego. To prawda, że przesłanką takiego nastawienia bywa czasem nieprzemyślane, wadliwe czy marnotrawne finansowanie z tego źródła konkretnych projektów. Złą reputację i prasę mają zdarzające się szkolenia dla bezrobotnych, organizowane w luksusowych hotelach czy ośrodkach spa. Wydanie np. 50 tys. zł na warsztaty nazwane dźwiękowym masażem dla 20 osób – jak miało to miejsce w jednym z projektów na



© Patrick, flickr.com/photos/gepat/3516125893

Dolnym Śląsku – podczas których bezrobotni, medytując i relaksując się przy gongu i dzwoneczkach, mieli uwalniać się od stresów, lęków i blokad utrudniających im podjęcie nowej pracy, z pewnością nie było najlepszym zainwestowaniem unijnych pieniędzy.

Ale złe projekty i patologie dotyczą przecież także inwestycji twardych. Nie można wszak do udanych projektów zaliczyć np. szerokiej obwodnicy z lśniącymi ekranami akustycznymi wokół Frampola na Lubelszczyźnie, którą wybudowano za niemal 50 mln zł, i którą sznury wyładowanych tirów starannie dziś omijają, bo przemieszczają się z północy na południe, a nie ze wschodu na zachód, a ponadto w połowie tej drogi ustawiono znak zakazujący ruchu pojazdów powyżej 4 ton (*sic!*). Jeszcze więcej środków, bo ponad 100 mln zł, niefortunnie wydano na słynne „zimne termy” w Lidzbarku Warmińskim, w których wodę, jak się teraz okazało, trzeba dodatkowo i kosztownie podgrzewać, bo po wypłynięciu na powierzchnię ma temperaturę zaledwie 21 stopni C.

W obu więc dziedzinach zdarzają się nietrafione inwestycje, kity, ale i – z drugiej strony – hity, pudła i perełki, strzały w dziesiątkę, ale i w płot. Dlatego nie powinno się fetyszyzować projektów twardych, czysto materialnych, a zarazem postponować wydatków miękkich, co notabene lubi czynić wielu krajowych ekonomistów. Wybór między nimi to fałszywy dylemat, racjonalne jest finansowanie po prostu DOBRYCH POMYSŁÓW, a właściwie NAJLEPSZYCH, niezależnie od sektora. Odnosząc się zaś do przyszłości, nie warto tylko łać beton na drogi i pasy startowe dla samolotów (czy np. planowane nowe lotnisko w Radomiu, ledwie 80 km od Okęcia, ma duży sens?), ale trzeba więcej inwestować w kapitał ludzki i społeczny, w wiedzę i innowacyjność, bo od tych właśnie atutów będzie w rosnącym stopniu zależał rozwój Polski.

Dwie reguły: św. Franciszka i św. Mateusza

Druga kontrowersyjna sprawa to regionalna redystrybucja pieniędzy przyznanych Polsce przez UE. Znow nieco upraszczając, mamy tu możliwość zastosowania dwóch skrajnie różnych zasad podziału środków w układzie terytorialnym. Pierwsza z nich uprzywilejowuje regiony biedniejsze, prowincję, wieś i zdegradowane ośrodki miejskie, Polskę B. Druga zaś – regiony zamożniejsze, lepiej rozwinięte, dynamiczne i szybko modernizujące się, wielkie metropolie, Polskę A. Patronem reguły pierwszej mógłby być św. Franciszek, opiekun ubogich. Druga reguła odpowiada zasadzie św. Mateusza, który powiedział, że „bogaty będzie jeszcze dodane”.

Otóż w ostatnich latach w myśleniu o rozdziale środków unijnych nadmierną, moim zdaniem, przewagą wydawało sobie zdobywać stanowisko

faworyzujące obszary bogatsze, przede wszystkim wielkie miasta i aglomeracje, mające pełnić rolę „lokomotywu rozwoju”. W myśl tego stanowiska trzeba wspierać finansowo w pierwszej kolejności – a może wręcz wyłącznie – regiony i ośrodki obiecujące, dobrze rokujące, mające realny potencjał rozwojowy, który umiejętnie uruchomiony, może przełożyć się także na szybki awans otaczających te centra obszarów peryferyjnych. Już silni, kiedy staną się jeszcze silniejsi, pociągną za sobą słabszych – takie jest założenie tej koncepcji. Można się długo spierać, czy zawsze uzasadnione.

Wyraźnie w każdym razie pobrzmiewają w tej koncepcji echa modnych ostatnio na Zachodzie teorii rozwoju metropolii, globalnych powiązań sieciowych między nimi, „klasy kreatywnej” zasiedlającej głównie wielkie miasta itp. Znany twórca tego ostatniego pojęcia, Amerykanin Richard Florida, pisał niedawno o świecie „iglicowym” (*spiky*)². Te „iglice” to właśnie wielkie metropolie – intensywnie zagospodarowane skupiska nowoczesnych technologii, masowych innowacji, usług finansowych, instytucji otoczenia biznesu, mediów i elitarnej kultury.

Fetyszizowanie podobnych teorii skłania do preferowania reguły św. Mateusza, a zarazem lekceważenia potrzeb obszarów mniej zamożnych, zdegradowanych, próbujących jakoś doganiać czołówkę. Jeszcze nie tak dawno w Ministerstwie Rozwoju Regionalnego poważnie zastanawiano się nad celowością odnowienia w kolejnej perspektywie finansowej programu operacyjnego specjalnie zorientowanego na wspieranie pięciu najsłabiej rozwiniętych województw tzw. ściany wschodniej, by w końcu zdecydować o jego przedłużeniu (PO „Polska Wschodnia”). Przygotowany pod kierunkiem M. Boniego, słynny raport rządowy „Polska 2030. Wyzwania rozwojowe” z 2009 r. kreślił, jako pożądany dla kraju, trochę salomonowy model rozwoju polaryzacyjno-dyfuzyjnego, według mnie niepotrzebnie eksponujący w treści i nazwie postulat polaryzacji. Narastanie międzyregionalnych dysproporcji rozwojowych jest rzeczywiście znaczącą tendencją, zresztą nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie i na świecie. Zadaniem władz publicznych powinno być jednak zabieganie o niwelację tych różnicowań poprzez mądre, pro-rozwojowe inwestowanie zasobów (w tym unijnych) także w rejonach pozostających w tyle, mówiąc obrazowo – w formie oferowania nie ryb bynajmniej, lecz wędek. Dlatego wołałbym raczej mówić o innej, alternatywnej wizji rozwoju dla Polski – o modelu inwestycyjno-kohezyjnym.

Trzy wyzwania wciąż aktualne

Co czeka nas dalej? U samego progu akcesji Polski do Unii zdefiniowałem i scharakteryzowałem trzy

podstawowe, łączące się z nią wyzwania dla szeroko pojmowanej polskiej polityki społecznej. Po pierwsze – wyzwanie migracyjne, po drugie – podniesienie, a co najmniej utrzymanie naszej społeczno-ekonomicznej konkurencyjności wobec innych partnerów europejskich, po trzecie wreszcie – zadanie skutecznej absorpcji wewnętrznej rozmaitych zasobów (materiałnych, legislacyjnych, ekspertyzowych i innych), jakie oferuje nam Unia Europejska³. Można stwierdzić, że po z górą 10 latach wszystkie te trzy wyzwania pozostają nadal aktualne, a może nawet nabrały dodatkowej ostrości. Dotyczy to choćby bardzo niejednoznacznego bilansu zysków i strat, jakie niesie za sobą stosunkowo liczna polska emigracja zarobkowa do Europy Zachodniej. Chodzi też tutaj o kwestię zwaną „pułapką średniego dochodu”, w którą wpadają kraje goniące europejskich liderów, lecz niezdolne do płynnego przejścia od prostych przewag konkurencyjnych (jak niskie koszty pracy) do atutów bardziej wymyślnych i zaawansowanych, jak wyższa wydajność, rozwinięty kapitał społeczny, większa innowacyjność produktów i usług, bogatsza kreatywność w gospodarce i życiu społecznym.

To, jak się potoczą dalsze losy Polski w UE, będzie też w dużym stopniu zależało od dalszej ewolucji samej Unii. Dziś jest w niej najlepszej kondycji, a właściwie przeżywa wielowymiarowy kryzys i znajduje się w istocie na rozdrożu. W największym skrócie i uproszczeniu, dają się tu zarysować trzy możliwe scenariusze. Albo utrzymywało się będzie na kontynencie *status quo*, naznaczone strukturalną asymetrią między dość zaawansowaną integracją ekonomiczną i nienadążającą za nią integracją społeczną i polityczną (określam tę opcję formułą **Europy Wolnorynkowej**). Albo Unia cofnie się do stanu przedwspólnotowego, wręcz rozpadnie pod naporem tendencji renacjonalizacyjnych (scenariusz **Europy Narodowej**). Albo też, modernizując się i „uciekając do przodu”, podąży w stronę idei **Europy Rozwoju i Solidarności**⁴. Rozważenie prawdopodobieństwa tych ścieżek rozwojowych oraz ich rozmaitych uwarunkowań to już jednak całkiem inna historia. ✖

Przypisy

1. W. Anioł, *Integracja europejska jako czynnik społecznej modernizacji Polski*, w: K.A. Wojtaszczyk, A. Mirska (red.), *Demokratyczna Polska w globalizującym się świecie*, Warszawa 2009.
2. R. Florida, *Who's Your City? How the Creative Economy is Making Where to Live the Most Important Decision of Your Life*, New York 2008.
3. W. Anioł, *Europejska polityka społeczna. Implikacje dla Polski*, Warszawa 2003, ss. 167–194.
4. W. Anioł, *Trzy wizje Europy*, w: J. Orczyk (red.), *Polityka społeczna. Kontynuacja i zmiana. Z okazji Jubileuszu 90-lecia urodzin Profesora Antoniego Rajkiewicza*, Warszawa 2012.



Unia euro-miejska?

PROF. DR HAB. IZABELLA BUKRABA-RYLSKA

Swoje uwagi na temat 10 lat obecności Polski w Unii Europejskiej ograniczę do odpowiedzi na podstawowe pytanie związane z obszarem, którym się zajmuję. Z punktu widzenia socjologii wsi pytanie to brzmi następująco: czy udaje się osiągnąć cele związane z członkostwem w Unii: zwiększenie potencjału polskiego rolnictwa, podniesienie poziomu produkcji, wyrównywanie różnic między wsią a miastem. Byłabym tu sceptyczna.

W ostatnich latach powoli, ale systematycznie spada liczba gospodarstw rolnych i postępuje proces koncentracji ziemi (*vide* raporty *Polska wieś* pod red. J. Wilkina i I. Nurzyńskiej), co – nie wiedzieć dlaczego – większość ekonomistów wciąż uważa za zjawisko zdecydowanie pozytywne, bo gwarantujące wzrost wydajności. Tymczasem konkretne przykłady świadczą o czymś zupełnie innym. W Polsce międzywojennej wszelkie analizy wykazywały, iż *na jednostkę obszaru przypada dochodu społecznego tym więcej, im mniejszy obszar gospodarstwa* (J. Curzytek, *Badania nad rentownością gospodarstw włościańskich*, 1928), w ZSRR działki przyzagrodowe o łącznej powierzchni 1,4% ziemi dawały 26,3% produkcji, w PRL-u z 1 ha chłopskiej ziemi uzyskiwano tyle, co

z 10 ha ziemi w PGR-ach. W dzisiejszej Rosji działki przyzagrodowe z 4,8% ogółu ziem uprawnych dają 50% produkcji, podczas gdy gospodarstwa wielkoobszarowe zajmujące 80% gruntów produkują zaledwie 43% żywności (*vide*: artykuł W. Dzuna we „Wsi i Rolnictwie” 4/2009). Raporty Banku Światowego dla Ameryki Łacińskiej wykazują, iż małe farmy są tam od 3 do 14 razy bardziej wydajne niż te duże (W. Bello, *Wojny żywnościowe*), wreszcie w dzisiejszej Polsce małe gospodarstwa rodzinne *nadal mają przewagę pod względem efektywności ekonomicznej i społecznej* (referat J. Zegara w CBR, listopad 2010).

W dodatku, jeśli przyjąć socjologiczną definicję wsi zaproponowaną przez Władysława Grabskiego (*wieś to miejsce pracy i życia dla rodzin wiejskich*),

okazuje się, że również ze społecznego punktu widzenia ważna jest nie wielkość, ale wielość rolniczych warsztatów pracy dających zatrudnienie i utrzymanie rodzinom na wsi. Te rodziny bowiem wychowują i kształcą dzieci (w ostatnich latach wieś szybko nadrabia dystanse edukacyjne), dostarczają miastom wykwalifikowanej siły roboczej („słoi”), a także tworzą zdrowe środowiska społeczno-kulturowe – znana teza Goldsmitha mówi, że we wsiach o przewadze gospodarstw rodzinnych, a więc co najwyżej o średniej powierzchni i nie produkujących na skalę przemysłową, wszelkie wskaźniki społeczne są korzystniejsze. A wreszcie stanowią wciąż niedoceniany w Polsce fundament „demokracji właścicielskiej”, tej optymalnej z punktu widzenia „teorii sprawiedliwości” J. Rawlsa formy ustroju, opartej o drobną własność rozproszoną między wielu posiadaczy, przeciwstawianej „cywilizacji nierówności”, czyli skupieniu środków produkcji – a zatem i władzy – w rękach niewielu. Tymczasem, jak pisze L. Staszyński, po 2004 r. prawie 1 mln gospodarstw przestało sprzedawać mleko, ponad 830 tys. zaniechało hodowli trzody chlewnej, produkcja wołowiny spadła o połowę, owiec mamy 20 razy mniej, z 384 tys. plantatorów buraka cukrowego zostało 40 tys., a liczba producentów tytoniu skurczyła się z 250 tys. do 14,5 tys.! (*Wies na wstecznym biegu*, 2010). Dane te trzeba czytać następująco: tylu właśnie producentów wyeliminowano z rynku wskutek rozstrzygnięć Ministerstwa Rolnictwa, wiernie stosującego się do wytycznych Unii. Między innymi już od lat 90. realizowano program zamykania małych przetwórnictw. Samych zakładów mięsnych ubyło o ⅓, a te przecież obsługiwały rynki lokalne, kupując produkty od drobnych producentów, tak więc tyle rodzin straciło możliwość utrzymania się, i to bynajmniej nie z powodu „wyuczonej bezradności”, lecz wskutek określonych decyzji administracyjnych.

Specjaliści twierdzą, że objęcie polskiego rolnictwa Wspólną Polityką Rolną przynosi pozytywne skutki w sferze produkcji. Trudno się z tym jednak zgodzić, pamiętając o rozmaitych limitach produkcyjnych i „kwotach” wyznaczanych polskim producentom w imię konieczności dostosowywania się do wspólnego rynku. Skutek tych wszystkich zabiegów jest raczej odwrotny i dlatego produkcja rolna w Polsce realnie spada. W 1990 r. w przeliczeniu na miliony ton zbóż wynosiła 79 mln, a po niespełna dwu dekadach zmalała do 54,5 mln (W. Michna – „*Realia*” 6/2008). Najnowsze dane także pokazują, iż wciąż zmniejsza się produkcja zbóż, ziemniaków i warzyw oraz hodowla trzody chlewnej i brojlerów, choć równocześnie postępuje proces koncentracji upraw i chowu. Wszystko to świadczy o wypieraniu z rynku małych gospodarstw rodzinnych i przestawianiu

rolnictwa na skalę uprzemysłowioną. Odbywa się to z ewidentną szkodą dla jego istotnej społecznie funkcji samozaopatrzeniowej, która umożliwia rodzinom wiejskim pozyskanie najtańszych produktów żywnościowych, a więc zmniejsza koszty utrzymania. Co jeszcze bardziej niepokojące, równocześnie maleje potencjał produkcyjny polskiego rolnictwa. Ubywa zasobów ziemi w posiadaniu gospodarstw rolnych – o ponad 5%, w tym gruntów ornych o ponad 8%, spada także wartość majątku trwałego netto – z 34,3 mld zł w roku 2000 do 27,4 mld zł w 2010 r. (W. Poczta, w *Polska wieś* 2012).

Podobnie, a więc wcale nie optymistycznie, przedstawia się sprawa dochodów mieszkańców wsi. Wprawdzie od momentu akcesji odnotowano ponad dwukrotny wzrost dochodów realnych w sferze rolnictwa, ale przyczyn tego należy upatrywać przede wszystkim w unijnych dotacjach. Ich udział w całości dochodów rolników przed rokiem 2004 wynosił zaledwie 9%, a obecnie przekracza 60%. Ta poprawa nie zmienia jednak faktu, że nadal przeciętne dochody mieszkańca wsi są wyraźnie niższe niż średnia krajowa, bo w przeliczeniu na osobę wynoszą 886 zł w porównaniu z 1152 zł dla mieszkańców miast (M. Halamska, *Wiejska Polska na początku XXI wieku*, 2013). Dlatego w dalszym ciągu zachowują aktualność diagnozy mówiącej o „dwuwektorowym rozwoju kraju” (H. Domański, A. Rychard, P. Śpiwak, *Polska – jedna czy wiele*, 2005). Wszystkie dane, jakie przywołuje się dla zilustrowania tej tendencji, można zresztą potraktować jako efekt trwającego od wielu dziesięcioleci systematycznego „drenażu” wsi i rolnictwa, zwanego elegancko przez ekonomistów „przepływami międzygałęziowymi”. W PRL-u sięgał on 30% wartości wytworzonej w rolnictwie, w okresie transformacji dochodził do 33% tej wartości (polecam śledzić kolejne prace A. Wosia), a obecnie należałoby jeszcze uwzględnić koszty „przechowywania” w indywidualnych gospodarstwach rolnych zbędnej siły roboczej. Jak wyliczają badacze (*vide* artykuł na ten temat we „*Wsi i Rolnictwie*” 4/2009), średnio każdego roku wieś „dopłaca” co najmniej 1 mld zł, wyręczając tym samym państwo z obowiązku utrzymania tysięcy bezrobotnych.

Spróbujmy podsumować zasygnalizowane zjawiska. Od momentu wstąpienia Polski do UE ubywa drobnych gospodarstw rolnych, które nie dość że lepiej niż duże absorbują siłę roboczą (znajdując dla niej jakiegokolwiek, ale jednak zastosowanie, a zatem i utrzymanie), to jeszcze – wbrew temu, co twierdzą najczęściej ekonomiści – zawsze i wszędzie pozostają najbardziej wydajną formą gospodarowania w rolnictwie! Poza ubywaniem rodzinnych gospodarstw rolnych, zapewniających ludności wiejskiej (przynajmniej w jakimś stopniu) samodzielność



©©majamonster, flickr.com/photos/majusa/3899697351/

i niezależność, należy jeszcze wymienić systematycznie malejący poziom produkcji rolnej i zarazem kurczenie się potencjału produkcyjnego rolnictwa, co kiepsko rokuje na przyszłość. Zresztą od samego początku nie ukrywano konieczności ograniczania krajowych możliwości produkcyjnych, ale przedstawiano to jako dobrodziejstwa integracji. Kuriozalnym wręcz przykładem unijnej propagandy może być fragment opracowania *Polska w UE. Doświadczenia pierwszego roku członkostwa*. Czytamy tam: *Pierwszy rok członkostwa przyniósł także wymierne korzyści sektorowi rybołówstwa. Nie spełniły się obawy, iż rybacy nie staną się beneficjentami procesu integracji. W roku 2004 rozpoczął się proces restrukturyzacji floty rybackiej połowiącej na Bałtyku, którego zasadniczym celem jest zredukowanie nadmiernego potencjału połowowego przez wycofanie części floty. Realizowane są m.in. działania, które mają zapobiec wzrostowi bezrobocia wśród rybaków. Należy do nich udzielanie pomocy finansowej rybakom, którzy utracą miejsca pracy* (red. R. Hykawa, UKiE Warszawa 2005, s. 34). Jak pamiętamy, od początku transformacji bardzo popularny był slogan, iż aby rozbudzić przedsiębiorczość, należy ludziom dawać nie ryby, ale wędki. Po akcesji sytuacja się odwróciła, bo Unia zaczęła dostarczać Polakom ryby, przezornie konfiskując wędki.

Skoro zatem w Polsce – przy aplauzie badaczy wieszczących rychły „koniec chłopca” – likwiduje

się rodzinne gospodarstwa, maleje potencjał produkcyjny rolnictwa, ograniczana jest skala produkcji, a poziom rolniczych dochodów zależy coraz bardziej od „unijnej kroplówki”, to może realizujemy jakiś zupełnie inny od deklarowanego model rozwoju? Jeszcze przed akcesją J. Staniszkis przewidywała: *istnieje u nas niedokończony kapitalizm i niedokończona rewolucja kapitalistyczna. Będziemy w UE „wewnętrznymi peryferiami”, które mają być kompatybilne, tanie i niekompletne* („Res Publica Nowa” 5/2002). Ta prognoza doskonale wpisuje się w pewien ogólniejszy zamysł, zakładany we wszystkich podejmowanych dotąd projektach gospodarki wielkiego obszaru, a wszak do takiego modelu zaliczyć trzeba również UE. Żeby poprzestać tylko na doświadczeniach dwudziestowiecznych, badacze wymieniają tu projekt „Mitteleuropy” Friedricha Naumanna, zwanego przez Hayeka prekursorem narodowego socjalizmu (*Zgubna pycha rozumu*, 2004), a następnie nazistowską doktrynę „Grossraumwirtschaft” (J. Chodorowski, *Niemiecka doktryna gospodarki wielkiego obszaru*, 1972). **Wszystkie te programy zakładały gruntowną modernizację obszaru Europy Środkowej po to, aby zacofane kraje rolnicze mogły pełnić rolę „gospodarek uzupełniających” wobec hegemonicznej pozycji Niemiec.** Co najciekawsze, główną przeszkodę w realizacji tych interesów upatrywano w tradycyjnych chłopskich gospodarstwach, które produkowały żywność i dawały względną niezależność ich posiadaczom. Dlatego, jak pisze H. Kahrs, *podstawę do budowy niemiecko-europejskiej gospodarki wielkoprzestrzennej stanowiło zniszczenie chłopskiej produkcji, przeznaczonej jedynie na własny użytek* (w: H. Orłowski red., *Nazizm, Trzecia Rzesza a procesy modernizacji*, 2000). Likwidacja drobnej własności i wprowadzenie rolnictwa wielkoobszarowego, produkującego na skalę przemysłową i obsługiwanego przez siłę najemną, miały wygenerować siedemnastomilionową rzeszę „robotników wędrownych” – „wolnych najmitów” zatrudnianych w miarę potrzeb przez gospodarkę niemiecką – i tym samym takąż rzeszę konsumentów, uzależnionych w swych apetytach wyłącznie od środków, jakie udałoby się im pozyskać za swoją pracę.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie wygrana aliantów, mielibyśmy dziś to, o co tak stanowczo od początku transformacji upominają się polscy ekonomiści i socjologowie, czyli w pełni zmodernizowane rolnictwo o nowoczesnej strukturze agrarnej, wysokiej produkcji towarowej kierowanej na rynek – i... pozbawione chłopów. Ale nic straconego. Może te cele uda się osiągnąć w ramach UE i pod sztandarami pięknych haseł o prymacie dobra wspólnego, sprawiedliwości społecznej i demokracji. Wiele wskazuje na to, że jesteśmy na dobrej drodze. ✖

Jaka Polska w jakiej Unii?

DR MARCIN DOMAGAŁA

Gdy 10 lat temu Polska wstępowała do Unii Europejskiej, wydawało się wówczas, że nie ma alternatywy. Rzeczywiście tak było, ale właśnie dekadę temu, ponieważ finalny proces akcesji był zwieńczeniem długiego okresu dostosowawczego, zapoczątkowanego umową stowarzyszeniową z grudnia 1991 r. między Polską a ówczesnymi Wspólnotami Europejskimi. To właśnie na początku lat 90. panował dobry czas, aby myśleć o innych możliwych kierunkach integracji politycznej, mając na uwadze zwłaszcza fakt dość ciężkich warunków stowarzyszeniowych (szczególnie asymetrii stawek celnych) postawionych przez wspólnotowych negocjatorów, a które w efekcie jeszcze bardziej pogłębiały kryzys ówczesnej polskiej gospodarki. W tamtym okresie elity polityczne niestety nie były w stanie myśleć w szerokich kategoriach kontynentalnych. Ówczesna moda na jednostronny kierunek prozachodni bardzo negatywnie odbiła się na procesie transformacji ekonomicznej i społecznej w Polsce. Stąd pytanie „czy iść do Europy?”, czy podążać gdzieś indziej, w perspektywie okresu sprzed ponad dekadę jest źle postawione. To pytanie należało zadać ponad 20 lat temu, tuż po powołaniu rządu z Tadeuszem Mazowieckim na czele.

W powyższym kontekście trudno dziś doszukiwać się alternatyw. Polska na początku przemian ustrojowych znalazła się bowiem między dwoma imperiami – trzyszczącą w szwach już po narodzinach Federacją Rosyjską oraz stabilnymi i zasobnymi w kapitał Wspólnotami Europejskimi. Inna droga byłaby możliwa, gdyby ówczesne elity potrafiły myśleć w sposób dużo bardziej suwerenny i niestandardowy, a nie wyłącznie w wąskich w kategoriach linii wschód-zachód, z twardą opcją na ten ostatni kierunek geograficzny. Istotne błędy „neoliberalnego szturmu” w gospodarce, przeprowadzanego przez

Leszka Balcerowicza, wskazywali wtedy chociażby Grzegorz Kołodko czy Tadeusz Kowalik. Opcją wartą rozważenia był bowiem skandynawski wariant rozwoju gospodarczego. To oczywiście tylko jedna z możliwości.

Kolejną był wariant środkowoeuropejski. Gdyby nasze elity nie myślały wyłącznie w wąskich kategoriach zoologicznej nienawiści do Rosji, mogłyby spróbować wykorzystać czas słabości federalnej do budowy alternatywy wobec UE i twardego kapitalizmu, w postaci nie tyle socjalizmu, ile systemu znacznie łagodniejszego, łączącego w sobie cechy konkurencji i kooperacji społecznej w wymiarze międzynarodowym. To właśnie promowanie takiego rozwiązania pośród państw zarówno poradzieckich, ale również, a może przede wszystkim Rosji, mogłoby stać się załącznikiem dla innego kształtu tej części Europy. Niestety polskie władze wybrały opcję konfrontacyjną, w miejsce wykorzystania niezłej jeszcze wtedy opinii i kontaktów z naszym krajem wśród ówczesnych elit radzieckich/rosyjskich. Trudno oczywiście w tym momencie budować tego rodzaju „mniemanologiczne” konstrukcje, jednak to właśnie brak umiejętności perspektywicznego myślenia okazał się katastrofalny ekonomicznie dla dalszego rozwoju naszego kraju.

Negocjacje akcesyjne Polski, które rozpoczęły się w lipcu 1997 r., sztykujące warunki pełnego członkostwa w Unii Europejskiej, stanowiły okres, który można byłoby określić jako komiczny, gdyby jego następstwa nie okazały się w efekcie drastyczne dla polskiej gospodarki i demografii. Koszty akcesji okazały się ogromne, a skutki wręcz rabunkowe. Były one wówczas szacowane całościowo na setki miliardów nowych złotych za cały okres stowarzyszeniowy i pokazały przy okazji, że bez większych problemów



oint

BusinessWeek

POLAND
AND THE EU

Will the dynamic Poles energize

można byłoby je samodzielnie spożytkować w sposób bardziej skuteczny. Należy także podkreślić, że wielu polskich negocjatorów po prostu nie było przygotowanych do konfrontacji ze „starymi unijnymi wygami”, czego skutkiem okazał się dalszy demontaż polskiej gospodarki, tym razem przez puszczone samopas zagraniczne koncerny. Pretensje za ten stan możemy mieć jednak wyłącznie do siebie.

Wskutek tych zaniedbań, już kilka lat przed oficjalnym wstąpieniem do UE, jeszcze za rządów partii, której polityka okazała się narodową klęską (mowa o Akcji Wyborczej Solidarność), jasnym było, że potencjalna wolta oznaczałaby katastrofę państwa. Polska bowiem nieodwracalnie uzależniła się od wielkiego unijnego „partnera” w sposób, który uniemożliwiał jakikolwiek rozwód. Jednocześnie fatalne relacje z Federacją Rosyjską, a przede wszystkim wyrzucenie z tego rynku polskich przedsiębiorstw przez skuteczniejsze i bogatsze korporacje zachodnie i rosyjskich oligarchów, jak również brak elementarnego wsparcia ze strony naszego MSZ, spowodowały w rezultacie ugruntowanie kierunku zachodniego.

Okres bezpośrednio po akcesji to swego rodzaju szok, po którym powinno nastąpić coś, co w psychologii nosi nazwę „reakcji dostosowawczej”. Skoro Polska weszła do europejskiego związku na fatalnych warunkach, to powinna za wszelką cenę starać się wykorzystać unijne mechanizmy do odbudowy własnej pozycji gospodarczej. Potencjał ten został spożytkowany w dość ograniczony sposób, skutkując biernością w podejmowanych decyzjach. Przeważała opcja wyłącznie administracyjna. Polska skupiła aktywność głównie na tym, aby nie zostać płatnikiem netto, nie zaś na pełnym wykorzystaniu obecności w unijnym ciele przez użycie własnego potencjału

dla odbudowy gospodarki i pozycji zarówno z okresu upadku PRL, jak i przedakcesyjnego.

Obecnie Polska jest przedstawiana jako jeden z większych i bardziej znaczących krajów w Unii Europejskiej. Jest to jednak ocena wewnętrzna i propagandowa, mająca na celu wyłącznie podbudowanie własnego ego. Partnerzy unijni doskonale zdają sobie sprawę ze słabości i kiepskiego przygotowania polskich decydentów politycznych, a poza tym ze ślepej wiary i zapatrzenia Warszawy w Waszyngton. Doszło nawet do tego, że z ambasadą amerykańską ustalano część obsady ministerialnej, do czego przyznał się kiedyś Ludwik Dorn, a nasza prokuratura nie raczyła nawet palcem u nogi kiwnąć wobec tego stwierdzenia. Brak umiejętności samodzielnego myślenia znów zaczął rodzić zatrute owoce bierności.

Minęło kolejnych kilka lat. Można by spodziewać się, że nauczeni doświadczeniem nasi politycy nabiorą nie tylko stosownego dystansu, ale też zorientują się w rzeczywistości unijnej *realpolitik*. Niestety - od momentu akcesji Polsce praktycznie nie udało się zbudować jednolitego frontu dla sukcesywnej realizacji własnych interesów. Żałosne próby napinania mięśni i konfrontacyjny kurs wobec głównych państw europejskich, przedsięwzięty przez Prawo i Sprawiedliwość w latach 2005-2007, okazały się drogą donikąd. W miejsce subtelności, planu, konkretnie oznaczonego celu i konsekwencji politycznej, stosowano metodę ideologicznej pałki o zakończeniu rewanżystowskim. Nic dziwnego, że na dyplomatycznych salonach Berlina, Paryża, Rzymu czy Londynu takie podejście bardziej budziło zażenowanie i obojętność aniżeli poklask. Polscy politycy forsowali nierealne idee, zamiast naginać unijne trendy do własnych potrzeb, wzorem np. Hiszpanii czy później Węgier. Przypomnijmy, że Hiszpanie

zamiast mówić, iż są niesprawiedliwie traktowani, wykorzystywali każdą nadarżającą się okazję do walki o własny partykularny interes gospodarczy. Symptomatycznym przykładem była kwestia akceptacji przez Madryt umowy stowarzyszeniowej z Polską w 1991 r. Madryt w ostatniej chwili zawetował porozumienie, żądając podniesienia limitów produkcyjnych. Postawiona pod ścianą, Bruksela zmuszona była ulec dyktatowi Hiszpanów. W podobny sposób postępował rząd węgierski pod przywództwem Victora Orbána, który najpierw wdrażał określone rozwiązania bez pytania Brukseli o zgodę, a potem, w reakcji na połajanki, fałszywie posypywał głowę popiołem. Tak było m.in. w kwestii zmian w ustawie o węgierskim banku centralnym.

Obecnie z ust rządowych decydentów wciąż padają puste słowa o konieczności zachowania jedności europejskiej. Stanowią one marną zastłonę dla braku jakiegokolwiek wizji rozwojowej Polski w ramach struktur unijnych. Nasza rola ograniczyła się do administracyjnego pojmowania członkostwa i uważnego słuchania, co inni mają do powiedzenia. Przykładem tego stanu był okres polskiej prezydentury w drugiej połowie 2011 r., który charakteryzował się brakiem jakiegokolwiek wizji rozwojowej nie tylko naszego kraju, lecz także całej UE. Polska co prawda skutecznie administrowała Unią, ale była to tylko administracja oparta na mentalności „prowincjonalnego proboszcza”. Budowane natomiast z entuzjazmem tzw. społeczeństwo obywatelskie okazało się skuteczną symulakrą unijnej jedności oraz „żelazną kurtyną” zasłaniającą wewnątrzunijną grę, umiejętnie prowadzoną egoistycznie przez największe państwa europejskie, niemalże jawnie posługujące się na polu strasbursko-brukselskim własną racją stanu. Tymczasem Polska do tej pory nie próbowała nawet zdefiniować własnych słabości oraz dostrzec uwarunkowań geopolitycznych w warstwie globalnej. Włączenie się do gry mogłoby przynieść zmianę pozycji naszego kraju. Do tego potrzebna jest jednak odwaga.

Warto podkreślić, że większość polskich koncepcji, doktryn czy pomysłów była wygłaszana tylko w ramach konserwacji dotychczas obranego kierunku. Jeden z luminarzy polskiej polityki zagranicznej prof. Adam Daniel Rotfeld, prócz wielu błędnych i kontrowersyjnych stwierdzeń i czynów, powiedział kiedyś jedną niezwykle istotną rzecz: *Aby tak mały kraj jak Polska mógł zaistnieć na scenie międzynarodowej, musi w pierwszej kolejności powiedzieć coś ciekawego...* Niestety ciekawej wizji nie udało się dotychczas skutecznie wypracować żadnemu ministrowi spraw zagranicznych, zwłaszcza obecnemu byłemu funkcjonariuszowi American Enterprise Institute Radosławowi Sikorskiemu, będącemu, według rzadka krytycznych

ocen, wprost „amerykańskim implantem w polskim rządzie”. Jednak nowe idee istnieją, zaś objęcie przez Polskę steru dyskusji nad przynajmniej jedną z nich pozwoliłoby zająć dominujące miejsce w UE.

Taką ideą jest promocja scenariusza budowy superpaństwa europejskiego, wygłoszona ostatnio ustami komisarz ds. sprawiedliwości, praw podstawowych i obywatelstwa Viviane Reding. W polskich kręgach politycznych wezwanie to zostało właściwie pominięte milczeniem, względnie „obsmarowane” przez konserwatywnych publicystów. Mało kto pomyślał o znaczeniu geopolitycznym tego kroku, a zwłaszcza o próbie zdefiniowania procesu budowy takiego państwa w kontekście tworzenia się bloków imperialnych na całym globie. Ten proces mogliby właśnie opracować nie tyle polscy politycy, pośród których raczej trudno doszukiwać się osób potrafiących myśleć w kategoriach innych niż pojedyncza kadencja parlamentarna, ale przede wszystkim polskie think tanki - zarówno rządowe, jak i społeczne. Dopiero po tym ster promocji idei mogliby przejąć polscy politycy.

Przejęcie przez polską stronę roli moderatora takiej debaty pozwoliłoby nie tylko na wpierw intelektualne, a następnie procesowe kierowanie tą ideą, ale przede wszystkim wypracowanie takiego projektu ze szczególnym uwzględnieniem polskich uwarunkowań społecznych i gospodarczych. Dopiero trwałe ugruntowanie takiego trendu pozwoli na realną odpowiedź na pytanie, gdzie Polska znajdzie się nawet nie za lat 10, ale za 50.

Wyzwań w tym zakresie jest wiele. Budowa superpaństwa, lakonicznie mówiąc, polega na integracji społecznej, językowej, edukacyjnej, mentalnościowej, a wreszcie cywilizacyjnej 28 krajów członkowskich, złączonych na ósmym co do wielkości terytorium na świecie, zamieszkiwanym przez półmiliardową populację, wypracowującą największe na świecie PKB. Pytanie o europejskie superpaństwo, w sensie praktycznym, brzmi więc: co zrobić, aby mieszkaniec południowoportugalskiego Faro identyfikował się z mieszkańcem wschodniopolskiego Zamościa, względnie mieszkaniem północnoszwedzkiej Kiruny żył troskami maltańskiego Rabatu. Kluczem do osiągnięcia tego celu jest nie tylko uzyskanie dla nich w miarę jednolitego stopnia dochodowości, ale przede wszystkim jednolitego języka debaty, stabilności ekonomicznej i poczucia wspólnoty na szczeblu paneuropejskim...

Dlaczego to Polska nie miałaby zacząć promować w ten sposób wartości europejskich, biorąc za historyczną podstawę tolerancyjne tradycje I Rzeczypospolitej? Zdaje się, że zbyt rzadko zadajemy sobie to pytanie, kosztem wąskich wyzwań o charakterze bieżącym. ✖

Blaski i cienie

DR HAB. TOMASZ GRZEGORZ GROSSE

Bilans członkostwa w Unii Europejskiej może być rozpatrywany na wielu płaszczyznach. Poniżej przedstawiam syntetyczne refleksje w pięciu wybranych obszarach.

Pierwszoplanowe znaczenie ma geopolityka. Wiąże się ona z zasadniczą transformacją relacji geopolitycznych w Europie Środkowej: z przynależności do bloku państw powiązanych z Rosją (wcześniej ZSRR) na bliskie relacje z państwami zachodnimi (europejskimi i USA). Pomińmy to, że do sojuszu z ZSRR zostaliśmy zmuszeni, a wejście do Unii było naszym własnym wyborem. Ważniejsze jest bowiem, że status międzynarodowy Polski, jej podmiotowość i bezpieczeństwo zostały podwyższone w wyniku tej zmiany. Podstawowe znaczenie dla poprawy bezpieczeństwa miało wprowadzenie przyjęcie Polski do NATO, ale członkostwo w UE można traktować jako ważne uzupełnienie. Dla geopolityki kluczowe było zwiększenie niezależności i bezpieczeństwa Polski wobec Rosji. Ponadto dużą wagę miała poprawa geopolitycznej pozycji względem Niemiec, które stały się dla nas nie tylko państwem sojusznikiem, ale

również „związanym” w ramach szerszej wspólnoty euroatlantyckiej i w UE. Tym samym Polska wzmocniła autonomię w stosunkach międzynarodowych, a poprzez udział w mechanizmach polityki zagranicznej UE zyskała także możliwości oddziaływania w relacjach zewnętrznych. Przykładem są choćby próby wykorzystania instrumentów europejskich do wpływania na nasze wschodnie pogranicze.

W związku z powyższym zmiany w wymiarze geopolitycznym można ocenić jako pozytywne. Choć należy postawić pytanie, czy aktywność kolejnych rządów jest wystarczająca, jeśli chodzi o pełne wykorzystanie członkostwa w UE. Nie rozwijając tego tematu, przyjmuję, że w zbyt słabym stopniu starano się oddziaływać na współpracę w ramach regionu Europy Środkowej i w celu wypracowania wspólnej polityki w Europie oraz na potrzeby polityki zagranicznej UE. Innym mankamentem jest

kwestia słabnącej polityki wschodniej UE. Wynika to z wielu złożonych przyczyn, ale jedną z nich jest zapewne zbyt duża pasywność polskich władz, a także brak wystarczającego namysłu strategicznego nad ściślejszym powiązaniem wschodniego pogranicza z UE, Europą Środkową i z Polską. Członkostwo w UE zdaje się nadmiernie usypiać czujność polskich elit, jak również wiąże się z tendencją do przerzucania odpowiedzialności geostrategicznej na instytucje europejskie lub na największe państwa UE (i głównych graczy na europejskiej scenie).

Drugim aspektem odgrywającym wiodącą rolę w polskiej integracji z UE były środki pomocowe polityki spójności i polityki rolnej. Z punktu widzenia wielkości transferów finansowych należy je ocenić jednoznacznie pozytywnie. Wątpliwości ekspertów pojawiają się przy ocenie sposobu wykorzystania tych funduszy. Uważa się na przykład, że inwestycje polityki spójności dość powierzchownie modernizowały polską gospodarkę. Przeważały bowiem inwestycje infrastrukturalne lub takie, które poprawiały jedynie warunki życia mieszkańców (np. chodniki i ścieżki rowerowe), ale w zbyt małym stopniu wzmacniały konkurencyjność i innowacyjność polskiej gospodarki. Niekiedy uznaje się, że przynosi to dość nietrwały efekt poprawy koniunktury w okresie wydatkowania środków spójnościowych, ale przy stosunkowo niewielkiej korzyści z punktu widzenia długofalowych procesów rozwoju.

Innym zarzutem jest to, że polskie władze skupione były na absorpcji środków europejskim i tylko w niewielkim stopniu na strategicznym planowaniu ich wykorzystania z punktu widzenia miejscowych potrzeb rozwojowych. Zasadnicze decyzje programowe były mianowicie podejmowane w Brukseli, a Polska była tylko jednym z wielu państw, które mogły wpływać na dyskusję programową. Skutkowało to skupieniem wysiłku na implementowaniu polityki rozwoju realizowanej w Polsce (a więc na programowaniu operacyjnym), a nie na jej aktywnym programowaniu strategicznym. Z kolei polityka spójności, ze względu na wysiłek organizacyjny i potrzebę dofinansowania ze środków krajowych, w praktyce zablokowała możliwości pojawienia się krajowej polityki rozwoju (niezależnej od polityki UE).

Kolejnym walorem członkostwa w UE jest dostęp do wspólnego rynku. Niesie to z jednej strony korzyści w postaci dostępu do ogromnego rynku zbytu i współpracy z partnerami zagranicznymi, w tym również otwarcia możliwości dla zewnętrznych inwestorów. Z drugiej strony stanowiło ogromny wzrost konkurencji rynkowej dla polskiego przemysłu ze strony silniejszych korporacji międzynarodowych. Zobowiązało do przestrzegania wielu reguł UE dotyczących wspólnego rynku, które np. nie

pozwalają na wsparcie ze strony polskiego państwa w celu wyrównania poziomu konkurencyjności dla rodzimych przedsiębiorstw. Inne regulacje (np. dotyczące polityki klimatycznej) są asymetrycznie korzystne dla firm działających w różnych częściach UE. W Polsce wymagają niestety większych kosztów niż w państwach, które są mniej zależne od węgla jako źródła energetycznego.

Wejście na wspólny rynek otworzyło niszę dla modelu rozwoju opartego na tanich kosztach produkcji i intensywnej współpracy z wiodącymi firmami UE nastawionymi na eksport, przede wszystkim niemieckimi. Polska rozwijała się więc dzięki napływowi inwestorów zagranicznych, wykorzystujących tanie koszty produkcji i względnie wykształconą siłę roboczą w Polsce, ale również korzystających z szeregu preferencji (np. podatkowych) ze strony władz publicznych. Można wręcz powiedzieć, że polityka polskich władz była nastawiona na tworzenie jak najbardziej korzystnych warunków dla zagranicznych inwestorów, co było dodatkowo wzmacniane przez politykę spójności skupioną na inwestycjach infrastrukturalnych, a więc tworzących dogodne warunki komunikacyjne dla tych inwestorów.

Problem opisywanego modelu powstałego w wyniku integracji europejskiej polega na tym, że gospodarka jest silnie egzogeniczna, a więc zależna od podmiotów zewnętrznych i koniunktury u naszych największych partnerów, głównie w Niemczech. Jej podstawą są tanie koszty produkcji, które w kilkuletniej perspektywie mogą się na tyle zwiększyć, że cały model przestanie być atrakcyjny dla podmiotów zagranicznych. Jest to również przyczyna, dla której polskie władze (zwłaszcza te o nastawieniu liberalnym) będą starały się zablokować szybki wzrost zarobków polskich pracowników. Ewentualny wzrost płac musi być bowiem powiązany ze zmianą modelu gospodarczego. Tymczasem ani inwestorzy (co zrozumiałe), ani polski rząd nie prowadzą działań w kierunku zmiany profilu rozwoju i poprawienia konkurencyjności poprzez wzrost innowacji. Tworzy to rosnące ryzyko pułapki rozwojowej lub tzw. pułapki średniego dochodu. Wyjście z tej niszy może być trudne, gdyż nie widać ani sił gospodarczych, ani politycznych, które poważnie byłyby zainteresowane omawianym problemem.

Kolejnym aspektem integracji europejskiej było stworzenie ram dla rozwoju demokracji w Polsce. Ustrój demokratyczny został wprowadzicie wprowadzony na skutek transformacji z 1989 r., ale członkostwo w Unii było obwarowane m.in. respektowaniem podstawowych kryteriów ładu demokratycznego (tzw. kryteria kopenhaskie). Można więc uznać, że ramy europejskie nie pozwalają na wprowadzenie jakiegokolwiek form rządów autorytarnych, złamania

wolności prasy i stowarzyszeń oraz nieprzestrzegania podstawowych praw człowieka. Scenariusz „poza Unią” pokazują nie tylko wydarzenia na Ukrainie (z lat 2013-2014), ale uprawdopodobnia go także lawinowy wzrost kontroli państwa nad obywatelami w ostatnich latach (w tym wykorzystujący specjalne środki inwigilacji). Niemniej krytycy uznają, że **demokratyzacja polskiego systemu politycznego jest dość powierzchowna. Integracja powoduje, że wiele decyzji publicznych zostało przeniesionych na poziom europejski, a więc zmniejszyły się realne możliwości wpływania na nie przez narodowych wyborców i instytucje demokratyczne, np. krajowy parlament. Nie jest więc przypadkiem, że polskie elity polityczne w coraz mniejszym stopniu debatują o kwestiach merytorycznych, a coraz bardziej skupiają się na rywalizacji o sprawy symboliczne lub wizerunkowe.**

Nie wykorzystano też w pełni udziału w jednoczącej się Europie do takiego przebudowania instytucji publicznych, aby wzmocnić koordynację w łonie elit politycznych dotyczącą polityki na arenie unijnej. Nawet między rządem i prezydentem nie ma dobrych instytucji uzgadniających, nie mówiąc o współpracy z opozycją. Przyczynia się to do tego, że Polska pozostaje stosunkowo biernym aktorem na arenie europejskiej, poza wyjątkami dotyczącymi niektórych sektorów, np. polityki klimatycznej. Biorąc pod uwagę jej peryferyjne położenie geograficzne i stosunkowo niewielki potencjał geopolityczny - **może to prowadzić do sytuacji, w której będzie coraz bardziej przedmiotem, a nie podmiotem procesów integracji europejskiej.** W wyniku europeizacji pojawił się też ważny podział w łonie krajowych elit politycznych na zwolenników integracji oraz eurosceptyków. Przed uzyskaniem członkostwa w UE (w 2004 r.) w zasadzie nie występował, natomiast teraz zyskuje na znaczeniu, w części uzupełniając, a w części zastępując inne podziały na scenie politycznej.

Ostatnim aspektem naszego członkostwa w UE jest kwestia modernizacji polskiej administracji. Komisja Europejska kładła wielki nacisk na tę sprawę w trakcie przygotowań akcesyjnych. Dotyczyło to jednak przede wszystkim zdolności administracji (i sądownictwa) do implementacji polityk i prawa europejskiego. Wiele głosów - głównie pochodzących z samych struktur urzędniczych - uznaje wymiar administracji za jednoznaczną korzyść wynikającą z integracji. Tym bardziej że w aspekcie historycznym Polska niemal nigdy nie miała nowoczesnego państwa, zwłaszcza „przyjaznego obywatelom”. Specjaliści są jednak bardziej sceptyczni. Wskazują m.in. na powierzchowność tej modernizacji, a także pewne koszty z tym związane. Przykładowo przytacza się argument wyspecjalizowania urzędników

w implementacji środków europejskich, przy pasywności na polu strategicznym. Nie chodzi przy tym o pisanie dokumentów strategicznych, bo tych akurat powstaje bardzo wiele, lecz raczej o deficyt umiejętności ich praktycznego realizowania. W rezultacie polska administracja dość dobrze wdraża polityki i regulacje europejskie, ale w niewystarczającym stopniu włącza się w ich kształtowanie zgodne z polskimi interesami. Natomiast wspomnianym kosztem jest choćby nadmierna rozbudowa aparatu administracyjnego, nieporównywalna nawet z czasami PRL.

W dalszym ciągu widać kontynuację tradycji biurokratycznej okresu PRL. Polega ona na silnej tendencji centralizacyjnej i sektorowej, która obecna jest też w politykach unijnych. Dzieje się tak pomimo kolejnych reform decentralizacyjnych (m.in. przygotowujących Polskę do członkostwa w UE) oraz przy braku odpowiednich zmian w zakresie poprawy koordynacji działań rządu między ministerstwami. Uważa się wręcz, że polityki unijne dostarczyły tylko środków, które wzmocniły stare tendencje. Tak jest w przypadku wzmocnienia sektorowości w polityce rolnej i obszarów wiejskich. Podobnie jest z kontynuacją specyficznej racjonalności biurokratycznej - dbającej o własne interesy, a mniej o służebność publiczną. Programy europejskie są w rezultacie przeładowane rozmaitymi obciążeniami urzędowymi, które koncentrują władzę w gestii urzędników i mają ułatwić im wypełnianie obowiązków lub zapewnić ochronę przed ewentualnym ryzykiem. W mniejszym stopniu są natomiast nastawione na obsługę obywateli lub realizację celów danej polityki publicznej.

Podsumowując, można uznać, że 10 lat w UE było ogromną szansą, ale także wyraźnym ukierunkowaniem naszej relacji geopolitycznej i polityki rozwoju. Czy w pełni wykorzystujemy naszą historyczną szansę? Można mieć pewien niedosyt aktywności polskich elit. W ciągu tych 10 lat widać było deficyt twórczego dostosowania krajowych celów strategicznych i ram instytucjonalnych do warunków członkostwa. Można też zastanowić się, na ile „ukierunkowanie” europejskie lub swego rodzaju „koleina europeizacji” staje się dla nas ciężarem lub ograniczeniem dla rozwoju. Wymagałoby to studium szerszego niż odpowiedź na krótką ankietę. Należy pamiętać, że **samo członkostwo w Unii nie zmienia naszego położenia i roli peryferyjnej w Europie i na świecie. Paradoksalnie może nas w tym nawet utwierdzić. Wiele zależy bowiem od nas samych i tego, jak wykorzystamy kolejne lata integracji.** ✂

30 srebrników

JOANNA DUDA-GWIAZDA

Bilans członkostwa w Unii Europejskiej może być rozpatrywany na wielu płaszczyznach. Poniżej przedstawiam syntetyczne refleksje w pięciu wybranych obszarach.

10 lat to wystarczająco długi okres, aby stwierdzić, że Unia nie rozwiązała żadnego z problemów, z którymi boryka się niepodległa Polska. Państwo, które nie potrafiło lub nie chciało uporać się ze spuścizną PRL, podporządkowano sztywnym unijnym normom. Przypomina się ostrzeżenie informatyków – komputeryzacja chaotycznego systemu tylko przyspiesza krążenie bałaganu.

Po 1989 r. rządzący doprowadzili kraj do chaosu, gospodarkę, która mocno ucierpiała pod rządami junty wojskowej, do zapaści, miliony ludzi do nędzy, bezrobocia i bezdomności. Wmawiano opinii publicznej, że kapitał to gotówka w kasie, nie przedsiębiorstwa dobrze wyposażone i produkujące dobre wyroby. Jedynym ratunkiem miały być dotacje i inwestycje zagraniczne, które napłyną, jeśli przystąpimy do Unii. Państwo wymagało naprawy, ale Unia nie była właściwym narzędziem do zlikwidowania korupcji, wybrania patriotycznego rządu i przywrócenia sensu demokracji, która obecnie sprowadza się do przegłosowywania opozycji.

W podobnej pułapce znaleźli się teraz Ukraińcy. Unia nie pomoże im w odsunięciu od władzy rządu Janukowycza i prorosyjskiego lobby. Nie pomoże też w uniezależnieniu się od Rosji. Muszą poradzić sobie sami. Przekonali się o tym Polacy, którym rosyjsko-niemiecki rurociąg na dnie Bałtyku odciął dostęp dużych statków do portu w Świnoujściu. Kiedy Putin dyscyplinował Polskę wstrzymaniem importu polskich produktów rolnych, Unia uznała, że to lokalny bilateralny problem.

Nieudana transformacja systemu PRL w III RP jest pierwotną przyczyną małej skuteczności Unii w rozwiązywaniu polskich problemów. Przeprowadzona została tak, aby zaspokoić żądania międzynarodowych organizacji finansowych i nie osłabić pozycji klasy politycznej PRL. Przykładem może być pozostawienie na stanowiskach sędziów dyspozycyjnych w stanie wojennym i przyznanie im statusu niezawisłych. Teraz żadne reformy wymiaru sprawiedliwości nie przynoszą poprawy.

Wolny rynek (przepływu kapitału) otworzył Polskę na napływ kapitału spekulacyjnego, a sztucznie utrzymywany kurs złotego umożliwił wyprowadzenie z polski miliardów dolarów w pierwszych latach planu Balcerowicza. Przystąpienie do OECD w 1996 r. oznaczało dalszą liberalizację. W niekorzystnych warunkach makroekonomicznych polskie przedsiębiorstwa produkowały za drogo, mimo głodowych płac, i masowo bankrutowały. Dogmaty o prywatyzacji i żądanie „restrukturyzacji” przemysłu, czyli zwalniania pracowników i ograniczania działalności, osłabiły polską gospodarkę tak, że z chwilą formalnego przystąpienia do UE Polska nie mogła już konkurować na rynku europejskim w żadnej dziedzinie. Miliony bezrobotnych i brak perspektyw dla młodzieży zapewniły pozytywny dla integracji wynik referendum.

Mało znanym faktem jest, że wejście Polski do UE nie było projektem władz niepodległej RP, lecz było planowane już w PRL, podobnie jak w innych krajach bloku sowieckiego, np. w Rumunii. We wrześniu



1988 r. Polska nawiązała stosunki dyplomatyczne z EWG, 19 września 1989 r. podpisała umowę o współpracy handlowej i gospodarczej.

Wniosek o członkostwo Polska złożyła w 1994 r., negocjacje akcesyjne rozpoczęła w marcu 1998 r., a w grudniu 2001 r. przyjęto dokument, który wprowadzał nowe instrumenty nadzoru nad polską gospodarką, np. przedakcesyjną procedurę nadzoru fiskalnego. Negocjacje zakończyły się w grudniu 2002 r. Traktat Akcesyjny został podpisany w kwietniu 2003 r., wszedł w życie 1 maja 2004 r. A zatem 10 lat członkostwa w Unii zostało poprzedzone 10-letnim okresem ubiegania się o przyjęcie, kiedy gospodarka polska poddana została nadzorowi Unii, a władze w Warszawie spełniały kolejne żądania. Przedstawiam tę chronologię, aby uświadomić czytelnikom, że bilans zysków i strat ekonomicznych powinien obejmować okres co najmniej 20 lat.

Polskiej opinii publicznej nie informowano o ograniczaniu suwerenności Polski, przedstawiano tylko dobrodziejstwa programu PHARE i funduszy SAPARD i ISPA. Zasadą w przyznawaniu dotacji z Unii jest posiadanie własnego wkładu. Konieczne jest prowadzenie drobiazgowej księgowości, spełnienie restrykcyjnych wymogów formalnych, znajomość procedur. Są to uzasadnione wymagania przy uznaniowym przyznawaniu pomocy, ale w postkomunistycznej rzeczywistości RP przyczyniły się do utrwalenia hierarchii społecznej odziedziczonej po PRL. Pojawiło się zjawisko klientyzmu, uzależnienia od władzy politycznej i urzędników. Kto był bogaty, miał szanse stać się jeszcze bogatszym. To samo dotyczy miast i regionów.

„Polska w Unii Europejskiej, Nasze warunki członkostwa” z marca 2003 r. jest dokumentem Kancelarii Premiera. Wyciąganie wniosków dotyczących natury Unii, jej struktury, celów i intencji jest zatem

uprawnione. **Entuzjastyczny, propagandowy ton** oparty jest na prostych założeniach – Unia jest ostatnim etapem rozwoju Europy, Unia najlepiej wie, co jest dobre dla Polski, neoliberalizm jest najwyższym stadium rozwoju ludzkości. A przede wszystkim nie mamy innego wyjścia. *Pogróżka jest wyraźna: Negatywny wynik referendum [...] mógłby prowadzić do gwałtownego wycofywania lokat podmiotów zagranicznych, zwłaszcza w polskie papiery wartościowe, i do kryzysu finansowego wywołanego dużym spadkiem wartości złotego. Strzyżona owca musi stać spokojnie.*

Nawet gdy nie można ukryć, że wejście do Unii przyniesie straty, wyjdzie nam to na dobre, ponieważ będziemy musieli lepiej się starać. Klasyczny cytat: *Deficyt handlowy może ulec pogłębieniu [...] po kilku latach jednak, w wyniku poprawy konkurencyjności polskich towarów, efekty proeksportowe powinny zacząć przeważać nad proimportowymi.* Albo: *Przewiduje się, iż do 2006 r. nastąpi redukcja mocy produkcyjnych w hutnictwie o 1,231 tys. ton. Działania te mają doprowadzić do osiągnięcia przez polskie huty rentowności i wydajności pracy na poziomie hut zachodnioeuropejskich.*

W zakresie gospodarki polityka Unii jest skrajnie neoliberalna, chociaż opakowana w liberalne hasła wolnego rynku, wolnej konkurencji i uwolnienia gospodarki od ingerencji państwa. Neoliberalizm, najkrócej mówiąc, jest to marksizm na opak, czyli zabrać biednym, dać bogatym, ale cel jest ten sam – centralne zarządzanie światową gospodarką. Nie udało się pod hasłem dyktatury proletariatu zawojować świata, to może uda się go podporządkować za pomocą dyktatu banków i mechanizmów finansowych.

Zalecenia monetarystów ze szkoły chicagowskiej wprowadził Balcerowicz. Z takim zapałem zwalczał inflację, którą sam wywołał, że doprowadził

do bankructwa wiele tysięcy polskich przedsiębiorstw. Wejście do Unii gwarantuje zarządzającym światowymi finansami, że Polska z pętli długów się nie wywikła. Jak czytamy, celem akcesji jest *pełne włączenie kraju w europejski, a także światowy obieg kapitału*. Bronić się przed spekulantami nie możemy. Polska zadeklarowała *zniesienie ograniczeń w zakresie operacji rynku pieniężnego i innych operacji krótkoterminowych*. W połowie 2012 r. udział kapitału zagranicznego w funduszach własnych sektora bankowego sięgał 81%.

W Unii wolny rynek ograniczony jest limitami produkcji, które wyznaczają Komisja Europejska i WTO. Wolna konkurencja obowiązuje, dopóki polskie wyroby i usługi nie zagrażą zmniejszeniem zysków państw „starej Unii” lub wielkich korporacji. Jest wiele sposobów wyeliminowania z rynku polskich przedsiębiorców, np. polityka kredytowa, nachalna propaganda i reklama, a nawet powoływanie organizacji pozarządowych, które występując jako „głos ludu”, działają w interesie jakiegoś biznesowego lobby. Kiedy zawiodą miękkie sposoby, stosuje się bezpośrednio środki administracyjne, np. ostatnio zakaz wędzenia wędlin. Analogie do sterowania gospodarką w PRL nasuwają się same.

Zakaz ingerencji w spółki prawa handlowego ogranicza kompetencje państwa. Kiedy czeski koncern farmaceutyczny wypuścił groźną dla życia serię leku, rząd, który odpowiada za bezpieczeństwo obywateli, nie miał prawa wkroczyć do spółki w celu kontroli. Państwo nie ma prawa prowadzić polityki gospodarczej. Na samo hasło liberałowie ruszają do wściekłego ataku na „socjalistów, którym marzy się wprowadzenie w Polsce łagrów”. Politykę może prowadzić tylko megapaństwo, czyli Unia.

Nieprzychylny stosunek Unii do Polski najlepiej widoczny był w negocjacjach na temat rolnictwa. Cytuję: *Szereg kwot produkcyjnych wynegocjowano pomimo wcześniejszej odmowy UE przyznania ich w jakiegokolwiek wysokości. Dotyczy to lnu i konopi na włókno, suszu paszowego, cukru, pomidorów do przetwórstwa, premii dla hodowli krów mamek i owiec macierek*.

Próba ręcznego sterowania wszystkimi przejawami życia gospodarczego na ogromnym terytorium wielu państw zakrawa na szaleństwo, ale urzędnicy nie ustają w wysiłkach centralizacji. W Unii działało około 250 grup roboczych i komitetów, teraz pewnie więcej. W 2003 r. planowano zatrudnienie 3,5 do 4 tys. obywateli polskich. Odpowiednio wzrasta w Polsce zatrudnienie w administracji obsługującej Unię.

Monstrualnie rozbudowana struktura Unii oraz skomplikowane i nieustannie zmieniane zasady przyznawania dotacji utrudniają przeprowadzenie



© greensefa, flickr.com/photos/greensefa/8634544680/



bilansu zysków i strat. Na przykład rzekome zwiększenie dotacji na jakiś cel okazuje się tylko zgodą na przesunięcie środków z jednej dziedziny do drugiej. Funkcjonariusze Unii nie odpowiadają na pytania obywateli. Liczbom i statystykom nie można wierzyć, a chodzi o duże pieniądze. Ministerstwo Finansów podaje, że Polska przekazała składkę za rok 2011 w wysokości 3733869437 euro, natomiast Komisja Europejska potwierdza przyjęcie 3580400000 euro. Gdyby w przelewach między bankami zawieruszyło się 153469437 euro, nawet w Polsce byłaby afera.

Podam za ww. dokumentem z 2003 r. kilka przykładów kosztów, o których obywatele nie są informowani i trudno je wyśledzić. W 5. Programie Ramowym (badania i rozwój techniczny) składka z polskiego budżetu wynosiła około 95,5 mln euro.

Oprócz składki do ogólnego budżetu Unii Polska wnosi roczne opłaty do:

- ▶ Europejskiego Banku Centralnego - 13,2-14,3 mln euro
- ▶ Europejskiego Banku Inwestycyjnego - 637 mln euro
- ▶ Europejskiego Funduszu Rozwoju oraz Układu o Partnerstwie między UE i krajami Afryki, Karaibów i Pacyfiku - ok. 34 mln euro
- ▶ Funduszu Badawczego Węgla i Stali - wysokość stawki w marcu 2003 r. była w trakcie ustalania.

Polska straciła podmiotowość w polityce ekonomicznej, cedując na Unię kompetencje państwa. Dotyczy to organizacji ponadnarodowych, np. WTO, EOG (Europejski Obszar Gospodarczy), NAFTA, OECD oraz stosunków bilateralnych. Około 190 umów handlowych i gospodarczych, w tym z USA i Japonią, wymagało wypowiedzenia lub renegotjacji. Również w polityce zagranicznej (sojusze, zbrojenia) suwerenność Polski została ograniczona.

Zargon opakowany w slogany, które mogą być zapowiedzią niebezpiecznych dla Polski działań, chroni Unię przed wścibstwem obywateli. Przykładem celowego pomieszania materii i braku precyzji jest wstawienie między „prawo pracy” i „dialog społeczny” takich określeń: „równość szans kobiet i mężczyzn i walka z rasizmem i ksenofobią”. Co to jest „szansa” albo „ksenofobia” nie wyjaśniono w dokumencie, który ma moc prawną.

Amator nie oswojony z Unią popada w osłupienie i zaczyna wątpić w istnienie języka polskiego, spotykając co rusz dziwolągi w rodzaju: kwota mleczna, premia wołowa, rabat brytyjski albo Europejski Fundusz Orientacji i Gwarancji Rolnej, Sekcja Orientacji. Prawdopodobnie nie chodzi o orientację seksualną, chociaż w Unii nie jest to pewne.

Iluzoryczna obietnica poprawy sytuacji materialnej przekonała Polaków do rezygnacji z niepodległości i suwerenności. Co najgorsze, Unia oduczyła i władze, i obywatele samodzielnego decydowania o swoim losie. Strofowani przez starszego brata popadliśmy w kompleksy. Doganianie Unii po wyznaczonej przez nią trajektorii nigdy się nie skończy i nie jest nam do niczego potrzebne.

Jestem pełna podziwu dla moich rodaków, którzy w tak nieprzychylnych warunkach nadzwyczajnie dobrze sobie radzą. ✕

Czy byliśmy naiwni?

DR STÉPHANE PORTET

W okresie poprzedzającym przystąpienie Polski do UE tematem licznych dyskusji był potencjalny wpływ akcesji na sytuację w rolnictwie. Dało się wówczas usłyszeć wyraźne głosy niepokoju, wśród których był także głos autora niniejszej wypowiedzi. Obawy dotyczyły tego, czy słabość Wspólnej Polityki Rolnej prowadzonej „po zaniżonych cenach” (tj. przy niższych dotacjach dla polskich rolników) nie zniszczy sektora przeżywającego wówczas poważne trudności. Słusznie podkreślano, iż chodziło w tym przypadku o nieuczciwą konkurencję. Niespełna 10 lat później możemy przyznać, że się myliliśmy.

Polskie rolnictwo przetrwało, a nawet skorzystało na integracji z UE. Fundusze europejskie w znaczący sposób wsparły bardzo skromną (w porównaniu z innymi krajami) pomoc udzielaną producentom tego sektora. W krótkim czasie nastąpił wzrost produktywności rolniczej w Polsce, a w ślad za tym zwiększyły się przychody rolników. Wzrost tych ostatnich, o 80% w okresie 2005-2011, odbył się kosztem sporego zadłużenia związanego z obowiązkiem współfinansowania działań realizowanych dzięki funduszom europejskim.

Jednak nie wszyscy rolnicy skorzystali na akcesji w równym stopniu – niektórzy zostali z systemu korzyści wykluczeni lub nie zdołali zapewnić wymaganego poziomu inwestycji. Każdy szok niesie ze sobą element destrukcji, a – nawet jeśli nie podoba się to naiwnym miłośnikom Schumpetera – destrukcja nie zawsze pociąga za sobą twórcze procesy.

Są też takie obszary, w których impuls i twórcza inspiracja wynikające z integracji europejskiej przyniosły efekty niezwykle skromne, mimo że na papierze wyglądały bardzo obiecująco. Dotyczy to dialogu społecznego i demokracji w przedsiębiorstwach. A przecież oferta była atrakcyjna. Prawo

wspólnotowe zawierało dwie dyrektywy pozwalające na głębokie zmiany w dialogu społecznym na poziomie przedsiębiorstwa: dotyczące europejskich rad zakładowych oraz procesu informowania pracowników i przeprowadzania z nimi konsultacji. Należy do tego dodać dyrektywę o spółkach europejskich. Po niemal dziesięciu latach od integracji Polski z UE warto sporządzić wstępny bilans, a ten nie pozostawia wątpliwości: skok jakościowy nie nastąpił.

W związku z tak gorzkim stwierdzeniem niezbędnym jest rozróżnienie europejskiego dialogu społecznego (dialog branżowy oraz europejskie rady zakładowe) i dialogu społecznego prowadzonego na poziomie krajowym (głównie w przedsiębiorstwach). Od 2004 r. wielu przedstawicieli polskich pracowników weszło w skład struktur europejskich rad zakładowych (ERZ). Mieli tym samym okazję doświadczyć innego rodzaju dialogu społecznego w odmiennych tradycjach narodowych. Polscy przedstawiciele wchodzą obecnie w skład około 200 ERZ. W wielu przypadkach, niestety nie we wszystkich, reprezentanci polskich pracowników zetknęli się z innymi metodami działania, z pewnym szacunkiem dla zasad informowania pracowników i przeprowadzania



© [Duncan], flickr.com/photos/duncanh1/8109904654/

z nimi konsultacji, z szerszą rolą ekspertów. Jako przedstawiciele mianowani do ERZ takich firm jak ArcelorMittal, International Paper, SABMiller czy Valeo, mogli zaobserwować istnienie podwójnych standardów w zarządzaniu procesami restrukturyzacji. Wszystkim wiadomo było, że polscy pracownicy nie są traktowani w taki sam sposób jak francuscy czy niemieccy, jednak niewiele osób zdawało sobie sprawę, jak duży jest to rozdzźwięk: plany restrukturyzacji, które nie przewidują zwolnień, poszukiwanie alternatywnych rozwiązań, istotne zaangażowanie władz i administracji publicznej, a przede wszystkim czas, którym dysponują partnerzy społeczni, by poszukiwać innych rozwiązań, nie wspominając o znacznym finansowym zaangażowaniu przedsiębiorstwa, a w sytuacji fuzji i przejęć także możliwość przeanalizowania propozycji oferenta czy spółki celowej, oceny ryzyka, ewentualnych synergii.

Nierzadko było tak, że w ramach jednej grupy restrukturyzacja odbywała się jednocześnie w Polsce i w innych krajach UE. Restrukturyzacje w Polsce oznaczały przede wszystkim zwolnienia lub, w najlepszym wypadku, plany odejść dobrowolnych. Z upływem czasu pracownicy zaczęli domagać się

bardziej sprawiedliwego traktowania, co jest bez wątpienia efektem integracji Polski z UE. Rośnie poczucie zawodu w związku z nierównym traktowaniem, pojawia się rozczarowanie, a nawet frustracja w wyniku poważnej inercji charakteryzującej ten model. Działa to demotywująco. Zamiast entuzjazmu towarzyszącego pierwszym zebraniom, mamy często do czynienia z instrumentalnym obchodzeniem się z europejskimi radami zakładowymi. Jak trafnie podkreślono w raporcie z badań nt. rokowań zbiorowych w firmach ponadnarodowych, barierą dla większego udziału w ERZ przedstawicieli z nowych krajów członkowskich, w tym z Polski, są m.in. trudności w skoordynowaniu współpracy z przedstawicielami krajów zachodnich wobec krytyk dotyczących konkurencji i dumpingu społecznego.

Nowa dyrektywa z 2009 r. o Europejskich Radach Zakładowych mogłaby stanowić impuls do pozytywnej zmiany. Wprowadza ona wymóg formalnego artykułowania poziomów informacji i konsultacji, tj. poziomu krajowego z poziomem europejskim. Otwiera zatem drogę do bardziej strategicznego podejścia do ERZ, sprzyja korzystaniu z informacji uzyskiwanych na poziomie europejskim w ramach

konsultowania decyzji w sprawie warunków pracy i zatrudnienia pracowników w Polsce. Przyznając centralne znaczenie zasadzie, zgodnie z którą informacja i konsultacja na poziomie europejskim są kontynuacją procesu prowadzonego na poziomie krajowym, nowa dyrektywa dot. ERZ narzuca zasadę zharmonizowania praktyk dialogu społecznego. Harmonizacja ta może się oczywiście odbywać, zaczynając od góry, lub odwrotnie, przy czym w tym punkcie polski model zawiera element sporego ryzyka w stosunku do krajów, które oparły swój model dialogu społecznego na zasadzie większego szacunku dla opinii wyrażanych przez pracowników.

Otóż poza kilkoma przypadkami istnienia związkowych bastionów, często i chętnie opisywanych w polskiej prasie, Polskę charakteryzuje obecnie brak dialogu społecznego na poziomie krajowym (komisja trójstronna) i na poziomie przedsiębiorstw. Świadczy o tym niewielka liczba zawiązujących się rad pracowników (około 500 zarejestrowanych). Dyrektywa 2002/14 dotycząca informowania pracowników i przeprowadzania z nimi konsultacji jest w Polsce przepisem prawie martwym. Paradoks polega na tym, że informacje, do których mają dostęp przedstawiciele pracowników, głównie członkowie związków zawodowych w największych przedsiębiorstwach w Polsce (gdzie związki są nadal silne), są nieporównanie uboższe od tych, którymi dysponuje przedstawiciel rady pracowników niewielkiego zakładu we Francji. Paradoksalne jest również to, że w ramach konsultacji szansa tego właśnie przedstawiciela francuskich pracowników na zmianę decyzji podjętej przez pracodawcę będzie bez porównania większa niż w przypadku bastionów związkowych w Polsce. Nie wspominając oczywiście o sytuacjach, w których członkowie rad pracowników we Francji, w Niemczech czy Hiszpanii mogą dodatkowo wspierać się silnymi związkami zawodowymi. Aby to stwierdzić, wystarczy przyrzeć się odmiennemu zarządzaniu procesami restrukturyzacji sektora metalurgicznego w Polsce, Francji, Belgii i w Niemczech w czasie kryzysu. Jedynie w Polsce mieliśmy do czynienia z przeprowadzanymi w sposób bezwzględny zwolnieniami tysięcy pracowników. Transpozycja dyrektywy 2002/14 w Polsce okazała się zmarnowaną szansą, której związki zawodowe powinny żałować.

Przykład ustawy o informowaniu pracowników i przeprowadzaniu z nimi konsultacji pokazuje ograniczenia procesu integracji europejskiej zarówno na poziomie metody, jak i celów. Trudno określić mianem negocjacji proces przygotowujący kraje do akcesji. Jest to raczej okazja do przyjęcia sposobu regulacji stopniowo konstruowanego w Europie Zachodniej, a tym samym do zaproponowania modelu wolnorynkowego – a nie tylko wolnego rynku – oraz

pewnego modelu organizacji politycznej i administracyjnej, będącego wyrazem kompromisu odnośnie do idealnego typu demokracji europejskiej. Proces rozszerzania się Europy przedłuża model integracji europejskiej zapoczątkowany przez Traktat Rzymski i jest wzmacniany kolejnymi fazami budowy wspólnej polityki (wspólny rynek, europejska unia walutowa itd.). W modelu tym szczególne znaczenie odgrywa wymiar ekonomiczny, co widać we wszystkich dokumentach dotyczących akcesji Polski do UE. Najważniejsze problemy wówczas dyskutowane dotyczyły sektora rolniczego, harmonizacji podatkowej, otwarcia na konkurencję. Cele o charakterze społecznym odkładano zawsze na bok. Było jasne, że należało dzielić się rynkiem, ale na pytanie o model społeczny, w tym o podstawę tego modelu, jaką jest dialog społeczny, nikt nie potrafił odpowiedzieć.

Choć Polska była gotowa na przyjęcie dorobku prawnego UE, nie oznacza to, że miała aspiracje społeczne. Typ stosunków łączących Polskę i UE sprzyjał temu, iż akceptacja tego stanu rzeczy była wówczas zwykłą formalnością, wręcz obowiązkiem. Nie mieliśmy w tym przypadku do czynienia z wielopoziomym systemem politycznym, w którym państwa narodowe uczestniczyłyby w negocjacjach o charakterze międzynarodowym. Ta zasada negocjacji jest silnym wektorem harmonizacji pozycji państw narodowych. Jeżeli porozumienie o charakterze ponadnarodowym zrywa w oczywisty sposób z krajowymi ramami odniesienia, istnieje duże ryzyko, że zostanie ono odrzucone przez społeczeństwo.

Polska posiada ramy prawne pozwalające działać zgodnie z ramami europejskimi, tyle że sposób ich stosowania pozostaje w zupełnej sprzeczności z samymi założeniami dyrektyw europejskich. Integracja europejska mogła posłużyć za dźwignię do przebudowy demokracji społecznej – demokracji, która nie kończyłaby się u drzwi prowadzących do zakładu pracy. Tak się jednak nie stało. Trzeba było być naiwnym, żeby tego nie przewidzieć, i dziś do tej naiwności muszę się przyznać. Jednak jeśli naiwnością jest sądzić, że kiedyś się to zmieni, wolę po tysiąc kroć pozostać naiwnym, niż zadowolić się modelem, który nie uwzględnia kluczowej roli dialogu społecznego w rozwoju ekonomicznym i cywilizacyjnym. Społeczny model europejski, przy wszystkich swoich wadach, ograniczeniach i braku spójności, pozostaje tym, który w założeniach oraz skonstruowanych ramach prawnych jest najbardziej zaawansowanym modelem w dziedzinie praw pracowniczych na świecie. I zapewne dlatego właśnie związki zawodowe są proeuropejskie. Bez integracji z UE sytuacja dialogu społecznego w Polsce z całą pewnością nie byłaby lepsza. Byłaby po prostu gorsza. ✖

Polski hydraulik, rumuński żebrak

STEFAN SĘKOWSKI

Dziesięć lat, które minęły od akcesji Polski do UE, pokazało, że na otwarcie europejskiego rynku pracy nie byliśmy gotowi. Polska – gospodarczo, stare państwa UE – mentalnie.

W czasie gdy powstawała moja odpowiedź na tę ankietę, wyjechaliśmy z fotoreporterem „Gościa Niedzielnego” służbowo do Anglii. Drugiego dnia przy śniadaniu w domu gościnnym okazało się, że Pani, która je przygotowała, jest Polką. Ma ok. 60 lat, pochodzi z Podkarpacia, w Anglii mieszka już 10 lat. Pojechała tam po tym, jak straciła pracę w marketingu. Na początku nie mówiła ani słowa po angielsku, ale dzięki pomocy i tolerancji szefa dla osoby, która na samym początku nie potrafiłaby odpowiedzieć na najprostsze pytanie, nauczyła się go w stopniu komunikatywnym. Od początku pracowała w kilku miejscach, na samym starcie po 14 godzin dziennie przez 7 dni w tygodniu. Teraz pozwala sobie na jeden wolny dzień w tygodniu, nie pracuje już tak dużo. W domu, do którego stara się przyjeżdżać jak najczęściej (głównie w okolicach świąt), została rodzina. Gdy o tym mówi, smutnieje. Myśli o tym, by „zjechać do kraju” – niestety z tego, co mówi, wynika, że nie zdarzy się to zbyt szybko.

Nasze zaskoczenie było jeszcze większe, gdy kilkanaście godzin później, debatując z udawanym znanstwem w pubie nad tym, jakie piwo wybrać, za plecami usłyszeliśmy słowa: *Spróbuj tego*.



Trudny bilans

W Wielkiej Brytanii bardzo łatwo spotkać Polaka. Oczywiście, to przypadek specyficzny. Jako jedno z pierwszych państw, obok Irlandii i Szwecji, od razu po wielkim rozszerzeniu Unii Europejskiej w 2004 r., Wielka Brytania otworzyła rynek pracy dla obywateli nowych państw Wspólnoty. Bardzo szybko Polacy zaczęli wyjeżdżać na Wyspy za chlebem. Między 2004 a 2005 r. liczba mieszkających tam Polaków wzrosła ponad dwukrotnie – ze 150 tys. do 340 tys. (dane GUS), zaś we wszystkich państwach UE prócz Polski – z 750 tys. do 1,17 mln. Wielka Brytania cieszyła się największym zainteresowaniem ze względu na stosunkowo najniższą barierę językową i chłonny rynek pracy, choć np. w Irlandii liczba Polaków w tym samym okresie wzrosła aż pięciokrotnie. Obecnie, gdy już wszystkie państwa „starej” Unii otworzyły się na pracowników z „nowych państw” UE, przebywa w nich ponad 1,5 mln Polaków (łącznie polskich migrantów czasowych jest na świecie ok. 2,2 mln).

Po dziesięciu latach członkostwa Polski w UE warto pokusić się o bilans otwartego rynku pracy we wspólnocie. Jesteśmy jego beneficjentami czy na nim tracimy? „Będzie praca u Bauera, więc do Reichu jedźmy teraz” – pisali ponad 10 lat temu polscy narodowcy na ulotkach, które miały zniechęcić nas do głosowania za akcesją Polski do Unii Europejskiej. Dziwne to hasło: było i jest więcej zagrożeń płynących z naszego członkostwa w UE niż swoboda przemieszczania się i otwarcie rynków pracy na Zachodzie. Strasząc porównaniami do robót przymusowych z okresu II wojny światowej, przeciwnicy integracji europejskiej srogo minęli się z rzeczywistością. Otwarcie rynku pracy za granicą nie skończyło się zniewoleniem osób, które wyjechały za chlebem. Co prawda zdarzały i zdarzają się przypadki wykorzystywania ludzi (słynne „obozy pracy” we Włoszech, zmuszanie do prostytucji itd.), jednak wiążą się one głównie z podjęciem decyzji o nielegalnym zatrudnieniu, niewystarczającą znajomością realiów zagranicznego rynku pracy i zbyt dużym zaufaniem wobec szemranych agencji pośrednictwa. Otwarcie zagranicznych rynków pracy nie było warunkiem *sine qua non* trudnego losu, jaki spotkał oszukanych, a jedynie dodatkową okolicznością zachęcającą ich do wyjazdu.

Przez ten okres Polacy pracujący za granicą zarobili miliardy złotych. Od kilku lat co roku emigranci przesyłają do kraju 4-6 mld euro rocznie. Jako główne przyczyny emigracji zarobkowej ludzie wymieniają najczęściej brak perspektyw na dobrą pracę z dobrymi zarobkami, brak dostępu do zasobów mieszkaniowych oraz lepszą politykę rodzinną za granicą. Głównym argumentem za wyjazdem jest więc niestety poczucie braku perspektyw w kraju. Jakkolwiek negatywnie oceniamy sytuację, w której

brak perspektyw w ojczyźnie zachęca ludzi do wyjazdu za chlebem za granicę, sytuacja materialna ich oraz ich rodzin w wielu przypadkach poprawiała się.

Masowa emigracja zarobkowa pociąga za sobą także negatywne skutki. Z opracowanego w 2013 r. raportu Komitetu Badań nad Migracjami PAN wynika, że w związku z masową emigracją zarobkową dochodzi w Polsce wręcz do katastrofy demograficznej. Przykładowo z województwa opolskiego wyjechało prawie 11 proc. mieszkańców – widok opuszczonych domów w opolskich wsiach robi przytłaczające wrażenie. To wszystko powoduje starzenie się społeczeństwa i, co szczególnie bolesne, bardzo negatywnie odbija się na rodzinach samych zainteresowanych. **Najwięcej rozwodów jest w tych województwach, z których wyjechało najwięcej osób, często w pojedynkę, zostawiając bliskich w ojczyźnie.** Występuje także drenaż mózgów. Zagraniczni naukowcy, związani np. z oksfordzkim „Migration Observatory”, zauważają, że liczni emigranci z nowych państw członkowskich UE to ludzie dobrze wykształceni, wykonujący zawody poniżej ich kompetencji.

Nie chcą nas?

Sytuacja, w której w ciągu krótkiego czasu dochodzi do masowej emigracji zarobkowej, nie jest normalna. Jako taka odbierana jest także w kraju przyjmującym. Choć w praktyce inwazja polskich pracowników na Wyspy Brytyjskie nie spowodowała radykalnych zmian na tamtejszym rynku pracy, widoczne są jednak pewne tendencje. Dr Martin Ruhs i dr Carlos Vargas-Silva z Uniwersytetu w Oksfordzie podają w analizie „Wpływ imigracji na rynek pracy” („The Labour Market Effects of Immigration”), iż **wzrost o 1 proc. liczby imigrantów w ogólnej liczbie osób w wieku produkcyjnym mieszkających w Wielkiej Brytanii powoduje spadek płac wśród 5 proc. najmniej zarabiających o 0,6 proc.** Zdaniem ekonomistów imigracja nie miała w ubiegłych latach wpływu na bezrobocie na Wyspach Brytyjskich.

Mimo to w dobie przedłużającego się kryzysu istnieje zagrożenie, iż obcokrajowcy pracujący w Wielkiej Brytanii staną się kozłem ofiarnym. Pod koniec 2013 r. brytyjski premier David Cameron stwierdził, że natychmiastowe otwarcie rynku pracy dla obywateli wówczas nowych państw UE nie było najlepszym pomysłem. Tego samego zdania jest lider opozycyjnej Partii Pracy Ed Miliband, który już półtora roku temu mówił, że Wielka Brytania po rozszerzeniu UE powinna była wprowadzić okresy przejściowe. Jedynie Liberalni Demokraci bronią otwarcia rynku pracy i już rozpoczęli kampanię do europarlamentu wśród emigrantów zarobkowych z Europy Środkowo-Wschodniej. Jednak to wypowiedzi polityków dwóch głównych ugrupowań pokrywają się



©© Duncan Holmes, flickr.com/photos/duncanholmes/4974496279/

z poglądami większości Brytyjczyków - w sondażach regularnie ponad 70 proc. ankieterów stwierdza, że w kraju pracuje zbyt wielu obcokrajowców. Większość popiera także propozycję ograniczenia dostępu do świadczeń socjalnych dla obywateli UE mieszkających na Wyspach.

Wielka Brytania nie jest w tym zakresie odosobniona. Temat walki z „imigracją zasiłkową” pojawił się także w Niemczech za sprawą bawarskiej Unii Chrześcijańsko-Społecznej, zwłaszcza w kontekście otwarcia europejskiego rynku pracy dla obywateli Rumunii i Bułgarii. Problem ten jednak nie występuje ani na Wyspach, ani w Niemczech - ani prawdopodobnie nigdzie. Do mało kogo przemawiają zapewnienia przedstawicieli niemieckich samorządów, że otwarcie granic nie spowodowało świadczeniowego naciągactwa, które można byłoby traktować jako często występujące zjawisko. Nie przekonują ich też statystyki, które czarno na białym pokazują, że imigranci z nowych państw UE to w dużej mierze pracownicy wykwalifikowani (np. najwięcej zagranicznych lekarzy pracujących w RFN pochodzi właśnie z Rumunii), chcący raczej zarabiać i płacić podatki, niż dorabiać się na „socjalu” wyższym niż w kraju pochodzenia.

Brak wspólnoty

Stereotypy jednak robią swoje i nie wygląda na to, by 10 lat naszego członkostwa w UE zmieniło w znaczącym stopniu podejście obcokrajowców do imigrantów. Z pewnością zmieniło się do nas nastawienie pracodawców - przykładowo na Wyspach Brytyjskich istnieją firmy, które chcą zatrudniać wyłącznie Polaków, Litwinów i innych obywateli „nowych” państw UE, ze względu na to, iż uchodzimy za bardziej kompetentnych. Na początku stycznia tego roku potentaci na rynku mieszkań na wynajem, Judith i Fergus Wilsonowie, wysłali listy do najemców pobierających pomoc społeczną z prośbą o... wyprowadzkę. Obawiają się bowiem, że w przyszłości mogą się stać dla nich ciężarem finansowym. Wilsonowie wolą wynajmować mieszkania imigrantom, którzy nie boją się ciężkiej pracy i nie będą mieli opóźnień w płatnościach. Tego typu gesty mogą niestety pogłębić poczucie wielu Anglików, jakoby Polacy i przedstawiciele innych narodowości „zabierali im pracę”.

Zarówno „stare”, jak i „nowe” państwa UE nie były gotowe na otwarcie rynku pracy. Nikt nie przewidział, że otwarcie granic spowoduje masową emigrację Polaków za granicę. Z drugiej strony eurokraci, tworzący czysto polityczny i nieuwzględniający różnic gospodarczych i kulturowych projekt Unii Europejskiej, prowadzą nierówną walkę z rzeczywistością o stworzenie europejskiego demosu - który jednak jakoś nie powstaje. Różnice narodowościowe miały szybko zaniknąć, tymczasem nie ma między nami wspólnoty, przeciętny Europejczyk obywateli innych państw UE nadal traktuje jako obcych i potencjalnych konkurentów o miejsce pracy. Dopóki sytuacja gospodarcza na zachodzie Europy jest trudna, ale nie beznadziejna, dopóty nie dochodzi do konfliktów na tle narodowościowym - choć niejeden Polak pracujący za granicą może opowiedzieć o niemiłych sytuacjach, w jakich się znalazł ze względu na swoje pochodzenie. Z perspektywy czasu widać, iż zabrakło współpracy między starymi państwami UE, jeśli chodzi o otwieranie rynków pracy. Co bardziej entuzjastycznie nastawieni przyjęli nas od razu, bardziej sceptyczni zostawili sobie furtkę w postaci okresów przejściowych. Z kolei polscy politycy już po kilku latach obudzili się z ręką w nocniku, z założonymi rękoma obserwując, jak ich rodacy masowo opuszczają kraj w poszukiwaniu lepszej przyszłości.

Zdając sobie sprawę z ogólności odpowiedzi na pytanie, co zrobić, by w przyszłości sytuacja wyglądała lepiej, dodam, iż aby nie doskwierały nam problemy związane z masowymi migracjami, warunki w Polsce muszą zmienić się na tyle, by ludzie traktowali wyjazd jako opcję, a nie jako konieczność. ✖

Na wspólnym

DR HAB. PAWEŁ SOROKA

Niewątpliwie największym pozytywem integracji Polski z Unią Europejską jest włączenie do wielkiego, wspólnego europejskiego rynku. To szansa dla znacznej części polskich przedsiębiorstw - i coraz więcej z nich tę szansę wykorzystuje. Wystarczy wspomnieć o naszym przemyśle rolnospożywczym, zwłaszcza mleczarskim i wędliniarskim. Szkoda tylko, że ciągle zbyt mało oferujemy na tym rynku wyrobów wysoce przetworzonych, opartych na wiedzy i nowoczesnych technologiach. Jednocześnie penetracja importowa, czyli zaspokajanie potrzeb na artykuły przemysłowe w Polsce produkcją z importu, wynosi ponad 50%!¹

Ze wspólnym rynkiem związana jest swoboda poruszania się i podejmowania pracy lub działalności gospodarczej przez obywateli państw członkowskich na całym terytorium UE - wystarczy do tego posiadanie jedynie dowodu osobistego. To bez wątpienia największa korzyść, jaką z przynależności do Unii wynosi zwykły obywatel, każdy z nas. Ale i to ma ujemną stronę. Mianowicie coraz więcej najzdolniejszych i najlepiej wykształconych w naszym kraju Polaków na stałe zostaje na Zachodzie.

Do innych zalet integracji Polski z UE należy zaliczyć „europeizację” administracji publicznej, która - partycypując w realizacji różnych programów unijnych - w znacznym stopniu musiała dostosować się do wymogów i standardów unijnych oraz udoskonalić swoje funkcjonowanie. Administracja publiczna w państwach „starej Unii” posiada bowiem ogromne doświadczenie i przewyższa sprawnością i efektywnością naszą administrację, która odziedziczyła złe nawyki upolitycznienia z okresu realnego socjalizmu. Inna sprawa, że temu postępowi towarzyszył w Polsce nadmierny rozrost administracji, co było głównie spowodowane błędnymi, moim zdaniem, rozwiązaniami w ostatniej reformie tego sektora w 1998 r. (stworzenie powiatów zamiast związków gmin, swoista dwuwładza w województwach - urząd wojewody i urząd marszałkowski).

Pozytywem było również przyjęcie przez Polskę w Układzie Akcesyjnym (choć obowiązuje tu okresy przejściowe) podwyższonych standardów i wymogów w zakresie ochrony środowiska, jak również otrzymane na te cele środki w ramach Funduszu Spójności. Jak wiadomo, w ekstensywnej gospodarce socjalistycznej, nastawionej na wyniki ilościowe, ochrona środowiska była sferą niedocenianą i zaniedbaną. Skutkiem tego była m.in. fatalna sytuacja ekologiczna na Górnym Śląsku, i nie tylko tam. W wyniku integracji Polski z UE w tej dziedzinie wiele zmieniło się na lepsze.

Z kolei negatywnym aspektem akcesji Polski do Unii w tym zakresie są narzucone przez nią wygórowane limity dotyczące ograniczenia emisji dwutlenku węgla w ramach tzw. polityki dekarbonizacji. Uderza to w polską energetykę, która oparta jest głównie na naszych zasobach węgla kamiennego i brunatnego, co zapewnia nam bezpieczeństwo energetyczne. Przyjęty przez Unię Europejską pakiet klimatyczno-energetyczny zakłada, że w 2020 r. nastąpi redukcja emisji dwutlenku węgla w Unii Europejskiej o 20 proc. w stosunku do 1990 r. Cel ten ma być osiągnięty m.in. poprzez system kupowania na aukcjach w Europie uprawnień do emisji dwutlenku węgla przez elektrownie i elektrociepłownie oraz ciepłownie, które wydzielają ten gaz do atmosfery.



©©© Jonathan, flickr.com/photos/jonathanv190/7357484816/

Unia Europejska przyznała Polsce limit emisji dwutlenku węgla w wysokości 208,5 mln ton rocznie. W 2013 r. bezpłatna emisja ograniczona została do 30%, w 2014 r. skurczy się o 40%, a w roku 2020 do zera². Przewiduje się, że w najbliższych latach ceny uprawnień będą wzrastały, to zaś spowoduje wzrost cen energii wytwarzanej z węgla. Co więcej, w latach 2015–2019, wskutek wdrażania unijnej dyrektywy 2010/75/UE w sprawie emisji przemysłowych, w Polsce wyłączonych zostanie wiele najbardziej przestarzałych bloków energetycznych i kotłów w elektrowniach, elektrociepłowniach i ciepłowniach, co znacznie obniży ich moce wytwórcze.

Innym przejawem polityki UE w zakresie dekarbonizacji są zamiary uzależnienia opodatkowania paliw od ich emisyjności i wartości energetycznej³. Wszystko to uderzy zwłaszcza w branżę energochłonną, zużywającą duże ilości prądu, takie jak hutnictwo żelaza i metali nieżelaznych czy przemysł szklarski i ceramiczny, które w związku z tym poniosą dodatkowe znaczne koszty wraz ze wzrostem cen energii elektrycznej. Unijne wymagania dotyczące ograniczenia emisji dwutlenku węgla uderzą też w nasz przemysł rafineryjny. Jego funkcjonowanie i modernizacja wymaga bowiem zwiększonych nakładów, m.in. w celu spełnienia rygorystycznych wymagań w zakresie ochrony środowiska.

Wchodząc do Unii Europejskiej, Polska umocniła swoje bezpieczeństwo. Nasz kraj aktywnie działa na rzecz rozwoju Wspólnej Polityki Bezpieczeństwa i Obrony. Wyzwaniem dla polskiego przemysłu obronnego stały się podjęte przez Unię działania, mające na celu otwarcie europejskiego rynku uzbrojenia. Polska przystąpiła w dniu 1 lipca 2006 r. do „Międzyrządowego Reżimu Stymulującego Konkurencyjność Europejskiego Rynku Obronnego”, ustanowionego Kodeksem Postępowania w Zakresie Zamówień Obronnych. Kolejnym etapem rozwoju tego rynku jest przyjęcie przez władze Unii Europejskiej Dyrektywy nr 2009/81/WE, którą nasze władze (na czele z MON) i przedsiębiorstwa zbrojeniowe muszą implementować. Oznacza to m.in. dopuszczenie silnych zagranicznych podmiotów do organizowanych w Polsce przetargów na uzbrojenie Sił Zbrojnych RP. Przedtem obowiązywał art. 296 Traktatu ustanawiającego Unię Europejską (TUE), zgodnie z którym *każde państwo członkowskie może podejmować środki, jakie uważa za konieczne, w celu ochrony podstawowych interesów jego bezpieczeństwa, a które odnoszą się do produkcji lub handlu bronią, amunicją lub materiałami wojennymi; środki takie nie mogą negatywnie wpływać na warunki konkurencji na wspólnym rynku w odniesieniu do produktów, które nie są przeznaczone wyłącznie do celów wojskowych*. Oznaczało to, że rynki uzbrojenia w krajach

Unii Europejskiej miały charakter narodowy. Państwa członkowskie zamawiały uzbrojenie dla swoich Sił Zbrojnych w krajowych przemysłach zbrojeniowych i nie były zobowiązane na takich samych zasadach dopuścić do tych zamówień firm zagranicznych. Przyjęcie Kodeksu Postępowania i implementacja w ubiegłym roku Dyrektywy nr 2009/81/WE zmieniło ten stan rzeczy. Polskie przedsiębiorstwa obronne muszą teraz konkurować o zamówienia krajowe z silnymi europejskimi koncernami, produkującymi uzbrojenie i sprzęt wojskowy w długich seriach, firmami o stabilnej i silnej pozycji na rodzimych rynkach, wspieranymi przez swoje rządy w zakresie eksportu⁴.

Nowa dyrektywa nr 81 wprowadza również specjalne procedury wyboru podwykonawców. Dysponent uzbrojenia może nakazać zwycięzcy przetargu wybranie poddostawców w drodze kolejnego, wolnego przetargu. Firma, która otrzyma główne zlecenie, będzie ich wybierała w sposób w pełni konkurencyjny. Nasze krajowe spółki muszą zatem rywalizować z zagranicznymi na ogólnorynkowych zasadach. Stanowi to poważne wyzwanie dla polskich przedsiębiorstw obronnych i ich zaplecza badawczo-rozwojowego. Do tych zagrożeń odniosło się Polskie Lobby Przemysłowe, zdaniem którego ze strony rządu w tej nowej sytuacji możliwe i pożądane są następujące działania i przedsięwzięcia:

- ▶ Należy podpisywać wieloletnie umowy na dostawy i kompleksową obsługę logistyczną uzbrojenia i sprzętu wojskowego (UiSW), produkowanych przez polskie spółki obronne. Umowy powinny zostać zawarte na cały okres objęty Programem Modernizacji Technicznej Wojska Polskiego.
- ▶ Potrzebne jest uruchomienie przez MON i Narodowe Centrum Badań i Rozwoju wieloletnich programów B+R+W (badania, rozwój, wdrożenia) w spółkach przemysłowego potencjału obronnego, obejmujących po ich zakończeniu obowiązki zawarcia umów wieloletnich o pełnym cyklu życia produktów.
- ▶ Pożądane jest stworzenie prawnych możliwości zawierania umów i realizacji dostaw Uzbrojenia i Sprzętu Wojskowego przy rozliczeniach płatności, także sprzętem używanym, wycofywanym z etatu sił zbrojnych, a także płatności rozłożonych w czasie (leasing). Stworzy to przesłanki zawierania transakcji mniej korzystnych z punktu widzenia zagranicznych dostawców, którzy zawsze oczekują wyższych marż zysku.
- ▶ Należy zapewnić wsparcie finansowe przedsięwzięć B+R+W i restrukturyzacyjnych, korzystając z wyłączeń ograniczeń dla pomocy publicznej wynikających z art. 346 TFUE lub trybu na zasadach „testu prywatnego inwestora”.
- ▶ Wskazane jest powołanie agencji rządowej wyspecjalizowanej w promocji i wspieraniu eksportu -

wzorem innych państw takich jak Rosja, Francja, Włochy czy Izrael, które osiągają największe sukcesy eksportowe. Agencja taka mogłaby zatrudniać od kilku do kilkunastu wysoko umocowanych osób, a w jej finansowaniu uczestniczyłyby także podmioty polskiego przemysłu obronnego.

- ▶ Zapewnić trzeba silne wsparcie eksportu przez osoby z najwyższego kierownictwa państwa (Prezydent RP, Premier RP, ministrowie: spraw zagranicznych, obrony narodowej oraz gospodarki), w tym akceptowanie i zawieranie umów międzynarodowych z krajami partnerów gospodarczych przemysłowego potencjału obronnego⁵.

Niezależnie od działań, które - miejmy nadzieję - podejmą agendy rządowe w celu sprostania wyzwaniom zrodzonym przez Dyrektywę 2009/81/WE, wiele muszą uczynić same polskie przedsiębiorstwa obronne i ich zaplecze badawczo-rozwojowe. W celu stworzenia nowych produktów, konkurencyjnych na otwartym europejskim rynku uzbrojenia, powinny one zwiększyć nakłady na B+R+W i przyspieszyć prace badawczo-rozwojowe. Innym pożądanym rozwiązaniem jest podejmowanie przez polskie firmy współpracy z zagranicznymi przedsiębiorstwami zbrojeniowymi z terenu Unii Europejskiej. Możliwość realizacji dużych programów zbrojeniowych w kooperacji z partnerami zagranicznymi dla rządów państw zaangażowanych w liberalizację europejskiego rynku uzbrojenia jest bowiem sposobem wzmocnienia krajowego przemysłu przed całkowitym otwarciem na konkurencję. ✕

Przypisy:

1. Raport pt. *Straty w potencjale polskiego przemysłu i jego ułomna transformacja po 1989 roku. Wizja nowoczesnej reindustrializacji Polski*, opublikowany w „Roczniku Polskiego Lobby Przemysłowego, Materiały programowe i informacyjne, opinie i stanowiska z 2011 i 2012 roku”, red. J. Horodecki, H. Potrzebowski i P. Soroka, Warszawa, marzec 2012, s. 246.
2. Wtedy trzeba będzie płacić rocznie 4,8-7,3 mld euro, dlatego przedstawiciel Polski nie parałował w Brukseli porozumienia wykonawczego w sprawie pakietu energetyczno-klimatycznego - por. P. Bożyk, *Dylematy energetyczne Polski*, „Biuletyn Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego”, nr 5/2012 grudzień.
3. Chodzi o propozycje znowelizowania dyrektywy 2003/96/UE dotyczącej opodatkowania wyrobów energetycznych i energii elektrycznej - zob. P. Bąk, *Unia podwyższa podatek akcyzowy na energię*, „Gazeta Prawna”, 29.06.2012 r.
4. Opinia Polskiego Lobby Przemysłowego z dnia 7 marca 2011 r. dotycząca implementacji Dyrektywy nr 2009/81/WE, w: *Polskie Lobby Przemysłowe. Materiały programowe i informacyjne, opinie i stanowiska z 2010 i początku 2011 roku. Publikacja nr 21*, Warszawa 2011, s. 127.
5. Opinia Polskiego Lobby Przemysłowego z dnia 7 marca 2011 r. dotycząca implementacji Dyrektywy nr 2009/81/WE, op. cit., s. 129.

Stany Zjednoczone Europy?

PROF. DR HAB. JACEK TITTENBRUN



Tekst poniższy będzie z pewnością odebrany przez część czytelników jako prowokacyjny. Cóż, jeśli będzie to prowokacja do myślenia, tym lepiej. Natomiast źle by oczywiście było (choć akurat wśród czytelników „NO” to niebezpieczeństwo jest zapewne mniejsze niż przeciętnie), gdyby przemyslenia autora stały się okazją do niewybrednych ideologicznych przepychanek, oskarżeń o wynarodowienie, kosmopolityzm, „brak patriotyzmu” itp. Polemiści

mieliby tu zaś tym dogodniejsze pole do ataku, że w dyscyplinie autora, tj. socjologii, istotnie ostatnimi laty sporą popularność zdobyły koncepcje socjologii kosmopolitycznej, sygnowane nazwiskami Ulricha Becka i innych. Od tego jednak do przyjęcia, że sam autor musi być zwolennikiem owych teorii, jest naturalnie daleka droga, nie mówiąc już o tym, że nie należy mylić kosmopolityzmu jako światopoglądu i podobnie określanego nurtu w naukach

społecznych, gdyż czyniący tę omyłkę popełniałby tym samym nazwany tak przez Whiteheada błąd złe umiejscowionej konkretności.

A zatem do rzeczy. Dla każdego znającego się na gospodarce jest raczej jasne, że tzw. kryzys euro nie został bynajmniej przezwyciężony, ponieważ nie zanikły jego podstawowe przesłanki. Wbrew powszechnej opinii euro w ogóle nie zasługuje na miano wspólnej waluty europejskiej. Porównajmy ten pieniądź z dolarem, jakiemu istotnie przysługuje taki status - w obrębie państwa federalnego. Jeśli, powiedzmy, mieszkaniec stanu Alabama ustawi depozyt w banku, to - przy innych warunkach jednakowych - ten wkład będzie przynosił taki sam procent jak oszczędności poczynione przez mieszkańca New Jersey albo Luizjany. Takie samo rozumowanie można by przeprowadzić odnośnie do innych podstawowych operacji i procesów ekonomicznych poświadczających ujednolicenie warunków obrotu gospodarczego pod jurysdykcją dolara. Tymczasem w Europie, nawet jeżeli ograniczymy się do strefy euro, nic podobnego nie ma miejsca. Wystarczy pomyśleć o drastycznych różnicach w poszczególnych parametrach ekonomicznych między Grecją a Niemcami. Otóż na dalszą metę nie ma innego rozwiązania tego problemu jak tzw. unia fiskalna, czyli po prostu wspólny budżet, co oznacza zaś - jak mówią Anglicy - *for all intents and purposes* wspólne państwo. Podstawą do obowiązywania dolara na obszarze nie mniej jednak niż państwa Unii zróżnicowanych gospodarczo stanów USA - jest zdolność fiskalna skarbu państwa i **nieodłącznie z tym związana możliwość transferu funduszy pomiędzy regionami**. Taki transfer dokonuje się w Stanach na skalę zaskakująco wysoką dla tych, w oczach których Ameryka to wciąż wzorcowy kraj wolnorynkowego kapitalizmu. Biedacy ci nie znają za dobrze historii, a nazwa „New Deal” kojarzy im się pewnie z jakąś nową superfuzją potentatów na rynku smartfonów czy innych gadżetów.

Te półśrodki, jakie stosują władze UE, a przede wszystkim jej Bank Centralny, działają jak przylepiec na rany - mogą pomóc czasowo, ale nic ponad to. Problem niezaleczony pozostanie problemem.

Czy nadzór nad bankami suwerennych państw i w razie potrzeby niezbędna pomoc finansowa będą mogły być w pełni urzeczywistnione bez wykształcenia prawdziwego unijnego państwa? To w najwyższym stopniu wątpliwe. Jak pokazuje najnowsza historia, a także zdrowy rozsądek, każdy rząd ma swoje cele, forsuje narodowe i specyficzne klasowe interesy, co prowadzi do zaostrzenia nieusuwalnych sprzeczności systemu kapitalistycznego, jakie Unia miała przecież łagodzić. I dodajmy, były na to rzeczywiste szanse, bo Europa Zachodnia reprezentuje system - z pominięciem rzecz jasna, jak to określa



niezycziwa prasa satyryczna, „amerykańskiego pudła”, tj. Wielkiej Brytanii - odrębny od anglofon-skiego.

Trudno sobie wyobrazić, jak ukształtowany przez lata i notabene stanowiący fundament sukcesów niemieckiej gospodarki unikalny model współpracy sieci lokalnych banków z drobnymi i średnimi przedsiębiorstwami, tworzącymi kościec nadreńskiej struktury gospodarczej, miały być ulepszone w wyniku odgórnej interwencji i kontroli brukselskich urzędników. Nie wspominając już o tym - co nawiązuje do wcześniejszej myśli - że choć formalnie wszystkie państwa są na równi suwerenne, to niektóre są suwerenne zdecydowanie bardziej. W ramach Unii należy do takich przede wszystkim Niemiecka Republika Federalna, którą stać będzie na odrzucenie wszelkiej niewygodnej dla Berlina inicjatywy płynącej z Brukseli. W ostatnim okresie Niemcy prowadziły właśnie taką politykę korzystną dla siebie, tj. nastawioną na eksport. W takiej gospodarce mniej się liczy konsument wewnętrzny, więc rząd niemiecki dopiero na szarym końcu państw rozwiniętych, w przymusowej sytuacji, na zasadzie ustępstwa wobec koalicyjnego partnera wprowadził instrument od dawna stosowany gdzie indziej - płacę minimalną. To rząd Merkel stał także za nieustępliwą polityką antyinflacyjną Europejskiego Banku Centralnego i następnie polityką oszczędnościową, jaka dotkliwie dała się we znaki uboższym klasom społecznym kontynentu.



©© European Parliament, flickr.com/photos/european_parliament/3485852434

Coraz bardziej widoczne sprzeczności interesów pomiędzy Paryżem a Berlinem, niegdyś przecież traktowanymi jako strategiczna oś Unii, byłyby na pewno ciut łatwiejsze do pokonania, gdyby mogły być regulowane w ramach jednej struktury państwowej. Tymczasem mamy twory o nader wątpliwym statusie ontologicznym – zarówno UE, jak i jej niezbyt udane dziecko, strefę walutową (która de facto strefą walutową w pełnym tego słowa znaczeniu, jak podkreślano, nie jest).

No ale zaraz... gdzie w tym wszystkim miejsce dla Polski? Oderwane od rzeczywistości teoretyzowanie to jedna sprawa, a nasze konkretne interesy narodowe to zupełnie inna kwestia.

Po kolei. Co do abstrakcyjności i idealizowania Unii autor niezupełnie mógłby się zgodzić. **Budowla**, jakiej na imię Unia Europejska, wykazuje skazy bynajmniej nie tylko w swych fundamentach ekonomicznych. Jej struktury i mechanizmy polityczne pozostawiają także wiele do życzenia. Pojawiło się już nawet nowe określenie dla rodzaju ustroju politycznego właściwego dla UE – „komisjokracja”, oczywiście od nazwy ulubionego ciała władczego sprawującego rządy w Brukseli i Strasburgu. Parlament ma, po pierwsze, o wiele mniejsze znaczenie od poprzednich ciał, ale i sam cierpi na wyraźny niedostatek demokracji. Jest wiele wskaźników tego smutnego stanu rzeczy: niska frekwencja w wyborach europosłów czy znikoma znajomość tych ostatnich wśród ich nominalnego elektoratu i wynikający stąd

brak łączności obu stron. Być może jednak kluczowe znaczenie ma tu inny czynnik – nasz sejm także nie cieszy się estymą w narodzie, niemniej każdy może przypomnieć sobie momenty z bardzo niedawnej historii, gdy ważne potrzeby i interesy zasadniczych klas społecznych wypychały je na ulice, właśnie na Wiejską, uznawaną za stosowne miejsce dla tego rodzaju manifestacji. A teraz proszę porównać to ze statystykami demonstracji przed siedzibą Parlamentu Europejskiego. Porównanie jest wymowne.

Nie jest to wszelako stan, jaki z założenia wykluczałby różnego rodzaju środki zaradcze. Znowu jest to obszerny temat, mogący stanowić przedmiot osobnego artykułu, powiemy więc w tym miejscu, że także inny strach naszych czasów, tj. globalizacja, jest niestraszny mechanizmowi demokracji cyfrowej, które wykorzystują dobrodziejstwa globalizacji w postaci kanałów i urządzeń komunikacji. Zaczątki takich działań rozwijają się od dłuższego czasu i nie widać żadnych przeciwwskazań, by mechanizmów petycji, listów do rządów i organizacji międzynarodowych, znaczna część których osiągnęła zamierzony efekt, nie rozszerzyć do propozycji ustawowych, głosowań nad budżetem itp., co mogłoby radykalnie przekształcić oblicze brukselskiego Lewiatana.

Wróćmy do kwestii polskich interesów. Zapewne trudno byłoby znaleźć kogoś, kto uważałby, że per saldo nasze wejście do Unii było niekorzystne z ekonomicznego punktu widzenia. Inna rzecz, czy olbrzymi strumień pieniędzy płynący z unijnych skarbów

został optymalnie wykorzystany. Mam wątpliwości, czy szefowie UE albo nasza komisarz Hübner mają prawo powiedzieć, patrząc na stan rodzimych dróg i innych infrastrukturalnych projektów - że „zastali Polskę drewnianą, zostawili murowaną”.

W dziedzinie politycznej wpływ UE uwidocznił się przede wszystkim w zakresie zbioru różnych mechanizmów prawnych, jakie Polska musiała przyjąć, wstępując do Unii. Nie jest to miejsce na księgowy bilans owych norm, jednak ogólnie stwierdzić można ich pozytywny, cywilizujący wpływ na nasze życie publiczne. Z drugiej jednak strony był to wpływ dość formalny, jeśli nie naskórkowy, co często można zarzucać prawu, które ostatecznie do formalnych mechanizmów wszak się sprowadza. **Jeśli zatem zapytamy, czy w następstwie tych dostosowań zmieniła się, i jeśli tak, to w jakim stopniu, rodzima tzw. kultura polityczna, czy podniosła się intensywność życia obywatelskiego, to odpowiedź będzie musiała być o wiele bardziej mieszana, a pod pewnymi względami jednoznacznie negatywna.** Czy w związku z tym owe braki mogłyby zostać łatwiej zrekomensowane w ramach czegoś, co zostało wymienione w nagłówku artykułu, bez pytań? Wydaje się, że tak jak z oczywistych względów w ramach jednolitego organizmu państwowego mechanizm transferów środków może działać znacznie sprawniej niż w ramach mozaiki państw narodowych, tak i wzmożona komunikacja wielu stron i ich interaktywne relacje - w odróżnieniu od wcale nie obowiązkowej centralizacji - jakim sprzyjałoby utworzenie nie tylko unii monetarnej, ale i wspólnego państwa, nie mogłyby nie przynieść pozytywnych następstw i dla tej dziedziny życia.

Obserwatorów polskiego życia publicznego od lat podziwem napawają, jak się wydaje, nieskończone wysiłki naszych reformatorów rozmaitych sfer życia społecznego, czy to oświaty, czy służby zdrowia, czy czegoś tam jeszcze. Pomysłodawcy owych, *excusez le mot*, reform działają zgodnie ze wszystkimi regułami koterii, dając się przy tym nieźle pożywić rzeszy konsultantów, kooperantów, podwykonawców i jak tam oni się jeszcze zwą. A przecież jakkolwiek ma słuszność wieszcz, smagając naród za to, iż „pawiem [innych] narodów był i papuga”, to wszystko sprowadza się do sposobu i obiektu takiej adaptacji. Może irytować tępotą kulturową przeszczepianie na siłę z gruntu nam obcej tradycji Halloween (konia z rzędem temu, kto potrafi udowodnić, że choć 10 proc. uczestników tej zabawy rozumie jej sens i genezę) na głębię obyczajowości narodu, który akurat wokół kalendarzowego Dnia Zmarłych posiadał swoją własną tradycję Zaduszek. **Natomiast dziwne (pozwolę sobie, oczywiście - patrz wyżej), że nikt jakoś w kraju nie był zainteresowany przenoszeniem na rodzimy**

grunt dobrych wzorców zagranicznych, np. fińskiej oświaty, społeczeństwa obywatelskiego kwitnącego w wielu krajach Europy, nie wspominając już o generalnym modelu państwa opiekuńczego wypracowanego w Skandynawii. Model ten - jak wykazała rzeczywistość - udowodnił, że potrafi połączyć coś, co wydawało się dotąd nie do pogodzenia: wysoki stopień ochrony socjalnej, horrendalny z punktu widzenia burżuazji poziom podatków z wysoką konkurencyjnością i wzrostem gospodarczym, kończąc na takich „detalach” jak czołowe miejsca w rankingach spójności społecznej czy najmniej skorumpowanych państw i społeczeństw (w tym ostatnim na prowadzenie wysunęła się Dania).

Powie ktoś, że nikt nie wzbrania nam pożyczać sobie tej lub innej z owych sprawdzonych struktur już obecnie, że przynależność do jednego państwa nie jest tego warunkiem niezbędnym. Niby racja, ale tylko na pozór. Bowiem w praktyce taka dyfuzja między państwami wygląda jednak zupełnie inaczej niż przekazywanie optymalnych rozwiązań czy dobrych praktyk pomiędzy regionami jednego organizmu.

Omawianie korzyści, jakie mogłyby przynieść tak pojęta integracja, można by kontynuować długo, a wiele z nich ma coś wspólnego z aktualną, jak się okazuje, diagnozą Gombrowicza, jaką postawił ongiś polskiemu zaściankowi.

Ale naprawdę mijałoby się to z celem. Albowiem po tym hymnie w beethovenowskiej tonacji nadszedł czas na kubeł zimnej wody. Powyższe rozważania można traktować jako rodzaj nieszkodliwego eksperymentu myślowego - w obecnym klimacie politycznym i ideologicznym projekt taki nie ma szans. **Nie tylko na szczęblu Unii nie widać wizjonerów, mężów stanu, którzy mieliby odwagę wyjść poza wąskie technokratyczne rozwiązania, w kręgu których obraca się od dłuższego czasu UE, ale - co jeszcze istotniejsze - inicjatywa taka nie mogłaby w obecnej koniunkturze liczyć na oddolne poparcie ani rządów, ani społeczeństw.** Do stanu świadomości tych ostatnich w tej mierze przyczyniają się naturalnie nie tylko luki w edukacji dotyczącej wad i zalet różnych form organizacji unijnego systemu, lecz również autentyczne braki systemu obecnego, mogące zniechęcać - miast zachęcać - do jego naprawy.

Tak więc wydaje się, że... wszystko zostanie po staremu - anemiczny wzrost gospodarek, którym coraz trudniej będzie nastarczyć środków dla starzejącej się ludności, oraz to podnoszące się, to nieco opadające fale nacjonalizmu, który pozostanie trwałą bolączką Europy, tym groźniejszą, że - jak pokazuje choćby aktualny przykład wyspiarzy - dającą się łatwo wygrywać przeciwko imigracji, która - ekonomicznie rzecz biorąc - jawi się jako racjonalne rozwiązanie demograficznych kłopotów Europy. ✖

Wyznania rabbiego Szymona

DR JAROSŁAW TOMASIEWICZ

Wczoraj

Zacząć powinienem od wyznania, że byłem euro-sceptykiem. Należałem do wątlej 23-procentowej mniejszości, która w referendum 2004 r. wypowiedziała się przeciw akcesji¹.

W polskim społeczeństwie, którego wskaźnik euroentuzjazmu grubo przewyższa średnią europejską, takie stwierdzenie wymaga tłumaczenia się. Otóż mój euro-sceptycyzm wynika przede wszystkim z faktu, że jestem sceptykiem w ogóle. Niezmiernie trudno ulegam entuzjazmowi, automatyczny opór wywołują u mnie wszelkie dominujące trendy i obiegowe opinie². Nie rozumiem więc, dlaczego akurat integracja europejska miała być tym jednym jedynym niekwestionowanym dogmatem polskiego dyskursu politycznego od PiS-u (a nawet Ruchu Narodowego, jak świadczą o tym pewne wypowiedzi Artura Zawiszy) po Twój Ruch i jego pozaparlamentarne przyległości. Zwróćcie na to uwagę: o ile istnienie polskiej państwowości jest kwestionowane przez znaczącą siłę polityczną (palikotowców), to nie ma liczącego się ugrupowania negującego Unię Europejską!

Ale to nie tylko patologiczny nonkonformizm leży u podłoża mego stanowiska. W eurosceptycyzmie ogniskują się różne motywacje. Najstarsza ma rodowód marksistowski. Zawsze zdumiewali mnie ci pryncypialni skądinąd lewicowcy, którzy obdarzali kredytem zaufania czy zgoła życzliwością

kapitalistyczną instytucję skupiającą najbogatsze mocarstwa świata. Róża Luksemburg wszak pisała: *Za każdym razem, gdy politycy burżuazyjni podnosili ideę europejskości, związku państw europejskich, miało to jawnie lub skrycie ostrze skierowane przeciw „żółtemu niebezpieczeństwu”, przeciwko „czarnej części świata”, przeciwko „mniej wartościowym rasom”, krótko: Stany Zjednoczone Europy były zawsze poronionym pomysłem imperializmu. [...] Nie solidarność europejska, lecz solidarność międzynarodowa, wszystkich części świata, ras i narodów jest filarem marksistowskiego socjalizmu. Każda solidarność częściowa nie jest krokiem do urzeczywistnienia prawdziwego internacjonalizmu, lecz jego przeciwnym i jego wrogiem.*

Marksieści pozostawali zgodni, że państwa takie jak

Wielka Brytania, Francja czy Niemcy mają charakter imperialistyczny – jak wobec tego z sumy (czy nawet iloczynu) tych imperializmów, jaką jest Unia Europejska, może powstać coś nieimperialistycznego? To nie jest kwestia subiektywnych odczuć czy nawet ideologii głoszonej przez europejskie rządy, lecz obiektywnej pozycji w międzynarodowym podziale pracy. Europa zajmuje miejsce uprzywilejowane w stosunku do krajów peryferyjnych. Oczywiście z tego faktu można wyciągnąć wniosek (i większość Polaków takowy wyciąga), że lepiej być po stronie wyzyskiwaczy niż wyzyskiwanych. Rzecz jednak w tym, że również sama Unia jest systemem, w którym dominujące centrum wyzyskuje wewnętrzne

Nie ma demokracji
(suwerenności ludu)
bez samostanowienia
(suwerenności narodu) –
albo decyduje
społeczeństwo, albo
czynniki zewnętrzne.



peryferie. Integracja krajów o różnym poziomie rozwoju rodzi zagrożenia wynikające z braku równowagi.

Drugi rodzaj motywacji ma charakter narodowy – wartościami dla mnie istotnymi są tożsamość i suwerenność narodowa. Wprawdzie dla tożsamości główne zagrożenie stanowi globalna popkultura, ekspandująca niezależnie od integracji europejskiej, pozostaje jednak kwestia samostanowienia, samorządności, autonomicznego określania celów i wartości przez społeczeństwo.

W ten sposób docieramy do najważniejszej z przyczyn mego oporu: pryncypium suwerenności ludu. Akcesja Polski do Unii oznaczała przekazanie części prerogatyw instytucjom unijnym, a co za tym idzie – oddalenie się ośrodków decyzyjnych od obywateli. Po części wynika to z niedemokratycznej struktury UE: realna władza należy do instytucji niepodlegających obywatelskiej kontroli. Ale nawet w przypadku radykalnej demokratyzacji tych instytucji trzeba pamiętać o matematycznie ścisłej zasadzie, że im większa grupa, tym mniejszy wpływ jednostki na całość. I jeszcze jedno: istotą republiki jest idea wspólnoty obywateli – ludzi, którzy czują więź ze sobą i uznają istnienie wspólnego dobra. W Europie

taką wspólnotą jest naród – w politycznym, nie etnicznym rozumieniu tego słowa. Mimo dziesięcioleci paneuropejskiej propagandy naród pozostaje wciąż jedynym bytem realnie legitymizującym władzę, rzec można – naturalnym środowiskiem demokracji. Mechaniczne połączenie różnych wspólnot oznaczałoby po prostu marginalizację mniejszych – już dziś nietrudno ukazywać tego przykłady. Często można spotkać się w Polsce ze stanowiskiem akceptującym tę sytuację – wielu ludzi (także na lewicy) spodziewa się, że pozytywne zmiany zostaną raczej wymuszone naciskiem z zewnątrz niżli wolą polskiego społeczeństwa. Nietrudno jednak dostrzec, że takie podejście jest z gruntu antydemokratyczne, a także niebezpieczne w długofalowej perspektywie. Pozwólcie sobie przypomnieć, towarzysze, że odgórnie narzucone zmiany są na ogół nietrwałe – o czym świadczy dobitnie doświadczenie PRL.

Uzbrojony w takie argumenty występowałem w latach 90. przeciw akcesji. Czy widziałem jakąś alternatywę? Tak. Nigdy nie byłem zwolennikiem Lecha Wałęsy (także wtedy, gdy do jego najbliższych współpracowników zaliczali się bracia Kaczyńscy), ale uważam, że jego koncepcja „EWG bis”, skupiającej państwa Europy Środkowo-Wschodniej o podobnym



©©© kaclduman, flickr.com/photos/kaclduman/7903249812/

potencjale, poziomie rozwoju i bagażu historycznym, była interesująca. Gdyby udało się „EWG bis” zharmonizować ze skandynawsko-alpejską EFTA, powstałaby dużo bardziej zrównoważona konstrukcja integracji europejskiej. Tak zresztą widziała to na początku lat 90. Polska Partia Socjalistyczna Piotra Ikonowicza, głosząca w swym programie „Lewica pracownicza”: *Zapewnić sobie właściwe miejsce w Europie poprzez odtworzenie więzi gospodarczych w Europie Środkowo-Wschodniej oraz budowę regionalnego systemu zbiorowego bezpieczeństwa*³.

Dziś

Czy po dziesięciu latach od akcesji zmieniłem zdanie? I tak, i nie. Problem w tym, że nie da się rozdzielić zysków od strat – to dwie strony jednego zjawiska. Stąd ambiwalentna ocena procesów integracyjnych. Z jednej strony unijne fundusze stanowią liczący się zastrzyk finansowy dla polskiej infrastruktury, z drugiej – ingerencja Brukseli w nasze życie przekroczyła największe obawy⁴. O ile anachroniczne lęki przed „niemiecką kolonizacją” w stylu „Placówki” Prusa się nie sprawdziły, to wykupywanie polskich arealów przez zachodnie firmy okazało się rzeczywistością, o czym świadczą protesty rolników

w Zachodniopomorskiem. Upadek jednych branż (np. rybołówstwo, hutnictwo) został zrekompensowany rozwojem innych.

Generalnie musiałem zrewidować poglądy, gdyż nie spełnił się szereg moich pesymistycznych przewidywań. Nie mogę pozostawać ślepy na to, że w ciągu tej dekady poziom życia w Polsce wyraźnie wzrósł. Pomyliłem się w ocenie ekonomicznych skutków akcesji. Błędnie zakładałem, że Polska pozostanie rynkiem zbytu dla gospodarki „starej Unii” – tak jak w latach 90., gdy na mocy układu stowarzyszeniowego importowaliśmy z Zachodu bezrobocie⁵. Tak się nie stało. Zamiast tego nastąpił modelowy przykład „rozwoju zależnego”, w którym rozwój peryferii jest pochodną rozwoju „rdzenia” (centrum).

Mimo to pozostaję sceptykiem. Gospodarka oparta na *call-centers* – zaplecze usługowe centrum – nie ma perspektyw rozwoju, zdana jest na zmienne trendy generowane w „rdzeniu”. Ekonomisci Zachodu podnoszą już dziś konieczność reindustrializacji. **Pierwszorzędne znaczenia ma pozycja w międzynarodowym systemie gospodarczym: w którym kraju będą ośrodki dyspozycyjne i jednostki badawcze, a w którym montownie. Uzależnienie – sprowadzenie do roli podwykonawcy oczekującego**

na zlecenie - skutkuje osłabieniem innowacyjności. W rezultacie, choć podobno zaczynamy doganiać czy nawet wyprzedzać pogrążone w recesji kraje Południa, to dystans dzielący nas od poziomu Niemiec pozostaje ten sam⁶.

Wewnętrzne peryferie UE - nie tylko Polska, ale również Litwa, Rumunia, Bułgaria - pełnią też rolę rezerwuaru taniej, a dobrze wykwalifikowanej i łatwo adaptującej się siły roboczej. Nie jest to pozycja chwalebna, podobną odgrywały bantustany w RPA i Autonomia Palestyńska w Izraelu. Nie przestaje mnie więc zdumiewać, że polskiemu społeczeństwu taka rola wcale nie przeszkadza, ba - jest powodem do dumy⁷. Żebyśmy dobrze się rozumieli - nie dziwię się ludziom, którzy wyemigrowali, a tym bardziej ich nie potępiam. Emigracja w wymiarze jednostkowym może być oceniana pozytywnie (podniesienie poziomu życia, umożliwienie samorealizacji, poszerzenie horyzontów). W wymiarze społecznym jest zjawiskiem negatywnym: pod względem ekonomicznym prowadzi do „wykrwawienia” społeczeństwa z najbardziej dynamicznego elementu, pod względem socjologicznym rozbija rodziny i więzi społeczne⁸.

Inna kwestia jest jeszcze trudniejsza do wyważenia. Trudno zaprzeczyć, że UE wymusza pozytywne (z mojego punktu widzenia) zmiany w dziedzinie np. ekologii, prawa pracy, opieki nad niepełnosprawnymi. Ale i tu nachodzą mnie wątpliwości. Weźmy taki przykład: „Solidarność” wysłała do Komisji Europejskiej skargę w sprawie nadużywania w Polsce umów „śmięciowych” i KE zdecydowała o wszczęciu postępowania w tej sprawie. Wspaniale! Niewątpliwy sukces związkowców, którzy pozyskali potężnego sojusznika dla swych postulatów. Ale ten doraźny sukces na dłuższą metę może skutkować osłabieniem ruchu społecznego. Antyszambrowanie w gabinetach i kuluarach, uwikłanie w biurokratyczne procedury, supliki do rządzących - to wszystko demobilizuje, demoralizuje, a nawet korumpuje ruchy społeczne.

To tylko wycinek szerszego problemu. Wielu lewicowców widzi zbieżność między swymi wartościami a ideologią unijną w kwestiach takich jak wielokulturowość, tolerancja, prawa człowieka, swobody obywatelowe - dlatego entuzjastycznie wspiera w tym zakresie ingerencję UE w sprawy krajowe. Warto jednak zastanowić się nad ewentualnością zmiany orientacji ideologicznej przez europejski establishment, np. w kierunku neokonserwatywnym (sytuacja taka jest hipotetyczna, ale przecież realna). Czy budowa „Festung Europa” też będzie entuzjastycznie przyjmowana przez lewicę?

Nie podejmuję się natomiast ustalenia, czy Polska w Unii jest bezpieczniejsza. Aby odpowiedzieć na to pytanie, należałoby najpierw określić, co nam

(a ściślej - jakim preferowanym przez nas wartościom) zagraża. Stwierdzę tylko, że pusty śmiech mnie ogarnia, gdy patrzę na „mocarstwowe” zadęcie niektórych „silnych sojuszników” polskich polityków. Jest taka anegdota o słoniu i mrówce idących przez most. Mrówka do słonia: „Aleśmy tupali!”.

Jutro

Unia Europejska to projekt ideologiczny, wykreowany przez chadeków (Adenauer, Schuman, De Gasperi), później przepoczwarzający się w kompromis pomiędzy neoliberalizmem a blairowsko-schroedrowską socjaldemokracją, a więc konsensus rynkowo-biurokratyczny połączony z progresywizmem kulturowym. Dalsza ewolucja UE pozostaje wielką niewiadomą.

Dziś Unia znajduje się w kryzysie bodaj największym od chwili powstania. Elity chcą wyjść z tego kryzysu, dokonując „ucieczki do przodu” w kierunku europejskiego państwa federalnego. W wymiarze międzynarodowym oznaczać będzie to wzmocnienie państw „rdzenia”, w wymiarze instytucjonalnym - wzmocnienie unijnej technobiurokracji, a w wymiarze społecznym (co jest skutkiem poprzedniego) - wzmocnienie wielkich grup kapitałowych, jako że małe grupy nacisku nie mają siły przebicia na tym poziomie.

Na lewicy popularne są projekty „demokratyzacji eurofederalizmu”, sprowadzające się do rozszerzenia uprawnień Parlamentu Europejskiego. Obawiam się jednak, że nie zda się to na wiele. Parlament Europejski faktycznie reprezentuje nie obywateli, lecz europejską klasę polityczną - zawodowych polityków delegowanych (poprzez listy partyjne) przez partie. Wystarczy przyjrzeć się mechanizmom selekcji: ordynacja proporcjonalna zawsze grozi alienacją posłów, w przypadku europartii (nie będących realnymi bytami, a owocem zakulisowych porozumień) jest to jeszcze wyraźniejsze.

W takim razie - że zacytuję Lenina - co robić? Zaczniemy od konstatacji, że Unia jest rzeczywistością, a bunt przeciw rzeczywistości jest mało produktywny. Alternatywą dla superpaństwa byłoby, moim zdaniem, wzmocnienie roli parlamentów narodowych, których legitymizacja jest nieporównanie silniejsza niż Parlamentu Europejskiego. Przypomnę, że w swym pierwotnym kształcie Zgromadzenie Parlamentarne Wspólnot Europejskich tworzone było przez reprezentacje parlamentów narodowych. Wzmocnienie parlamentów narodowych mogłoby się dokonać też dzięki obligatoryjnemu ratyfikowaniu aktów prawa unijnego przez te parlamenty. Idąc jeszcze dalej, można by wprowadzić wymóg zatwierdzania zmian w traktatach unijnych przez referenda

we wszystkich krajach, tak jak wymaga tego konstytucja Irlandii.

To tylko jeden aspekt problemu. Unia nie składa się jednak z członków o jednakowym potencjale i znaczeniu – krzyżują się w niej podziały między Zachodem („stara Unia”) a Wschodem („nowa Unia”), Północą a Południem. Kryzys ujawnił faktyczne oblicze UE – bezwzględny dyktat państw „rdzenia”, a zwłaszcza Niemiec. Jeśli Unia ma być wspólnotą równoprawnych narodów, potęga centrum musi zostać zrównoważona. Za znakomity pomysł uważam ideę pierwiastkowego systemu głosowania, wymyśloną, ale niestety też zarzuconą przez polskich polityków⁹. Na polskim podwórku możemy się do tego przyczynić także, budując sojusz krajów Środkowo-Wschodniej Europy – wraca tu w nowej formule stara idea Międzymorza. Nie ludźmy się, nie będzie to łatwe. Widzę dwa zagrożenia. Subiektywnym jest snobizm łączący polskie elity ze społeczeństwem w pragnieniu, by za każdą cenę znaleźć się w „elitarnym klubie” państw centrum. Obiektywnym – partykularne sprzeczności interesów między krajami „nowej Unii” w żebrackiej konkurencji o unijne fundusze.

To tylko garść luźnych pomysłów – nie jestem politykiem, nie czuję się więc zobligowany do formułowania programów politycznych. Niemniej jedno jest pewne – przed polską lewicą stoi odkładane cały czas zadanie przemyslenia integracji europejskiej. Na razie cechujący (jakoby) lewicę krytycyzm automatycznie wyłącza się, gdy chodzi o Unię Europejską. Sam fakt jej ponadnarodowości – by nie wspomnieć o domniemanej „postępowości”, mającej być puklerzem chroniącym przed rodzimym ciemnogrodem – rozbraja lewicowców. Ci sami ludzie, którzy z pasją demaskują burżuazyjny charakter państwa narodowego, zadowolają się sentymentalną iluzją Unii jako organizacji bez mała charytatywnej, a już na pewno instytucji ponadklasowej. Lewica stała się niejako zakładnikiem integracji europejskiej, wiążąc z nią swój los na dobre – i na złe. „Wczoraj Moskwa, dziś Bruksela”, rzekłbym, gdybym był złośliwy.

Lewicowa analiza integracji europejskiej powinna zająć się dwoma – co najmniej – aspektami: po pierwsze, rolą różnych klas i grup społecznych w unijnym systemie politycznym¹⁰; po drugie, miejscem poszczególnych krajów i regionów w międzynarodowym podziale pracy, zarówno w skali świata, jak i wewnątrz UE. Lewica powinna zdekonstruować mit „Europy”, patrząc na nią przez pryzmat nie idei, lecz interesów. Może przydatną będzie następująca przypowieść z Talmudu: *Otóż siedzieli sobie kiedyś razem rabbi Juda bar Ilai, rabbi Jose ben Halafta i rabbi Szymon bar Jochaj, a obok nich siedział Juda, syn prozelitów. Rabbi Juda zaczął od spostrzeżenia:*

„O, jak piękne są dzieła Rzymian! Wybudowali drogi, zbudowali mosty, wzniesli łaźnie”. Rabbi Jose nic nie powiedział, natomiast rabbi Szymon rzekł: „Wszystko co zrobili, zrobili dla siebie. Zbudowali place, żeby wystawały na nich nierządnicze. Zbudowali łaźnie, żeby się w nich odmładzać, a mosty po to, żeby zdzierać na nich myto” (Talmud Bawli, Szabat 33b)¹¹.

Polska lewica, niepewna własnej wartości, trzyma się Unii jak pijany płotu. Może jednak warto wytrzeźwieć i ruszyć w drogę na własnych nogach. ✂

Przypisy:

1. Choć przyznaję, że w swoim czasie interesowała mnie idea Imperium Europejskiego, lansowana przez zachodnioeuropejską Nową Prawicę.
2. Pozwolę sobie tu odwołać się do współczesnej popkultury: w filmie „World War Z” przywołano izraelską „regulę dziesiątego”, w myśl której jeśli dziewięciu zgadza się w jakiejś sprawie, to obowiązkiem dziesiątego jest zakwestionowanie konsensusu i zaprezentowanie alternatywy.
3. „Socjalista” (Pismo OKR PPS w Katowicach) nr 4/1994.
4. Nie przypominam sobie, żeby nawet w najgłębszej PRL to Moskwa decydowała o takich sprawach jak budowa obwodnicy w powiatowym mieście czy parametry klatek dla drobiu.
5. Każde rondo zbudowane przy udziale unijnych funduszy opatrzone jest stosowną tablicą. Ale przed wieloma zamkniętymi zakładami powinny znaleźć się podobne tablice, że nastąpiło to wskutek unijnej konkurencji.
6. Niestety nie mam dostępu do nowszych danych, ale Charles Gati w artykule „Stabnące uczucie. W krajach Europy Środkowej kończy się miłość do Ameryki” („Sprawy Międzynarodowe” nr 4/2008) napisał: *Bogatsze społeczeństwa Unii Europejskiej rozwijają się szybciej od społeczeństw wschodniej i środkowej Europy. Dystans pomiędzy nimi nadal się powiększa.*
7. Pracę na Zachodzie dowartościowują nie tylko wymierne korzyści ekonomiczne, ale też wcześniej przeze mnie nieuwzględniany czynnik psychologiczny – snobizm. Snobizm, który sprawia, że nawet strona internetowa jednej z trockistowskich grupek zachwala przynależność Polski do „elitarnego [sic!] klubu” UE!
8. O politycznych skutkach emigracji dla polskiej lewicy pisałem w tekście „Eksport nadziei. Rewolucjoniści wyjechali do Irlandii”, „Trybuna Robotnicza” nr 7/2006. Kwestii dumpingu socjalnego w wykonaniu migrantów nie będę rozwijał. Akurat w tym przypadku lewica, dotąd ignorująca to zjawisko, po rozszerzeniu 2004 r. nagle zaczęła dostrzegać problem „polskiego hydraulika” zaniżającego zachodnie standardy socjalne.
9. Na wszelki wypadek przypomnę, że system ten opierał się na kryterium wagi, odpowiadającej liczbie ludności danego kraju podzielonej przez jej pierwiastek kwadratowy, co wzmacniało pozycję małych (a w drugiej kolejności także średnich) krajów.
10. Drobny przykład: analiza skutków przyjęcia waluty euro przez pryzmat interesów różnych grup społecznych. Skłonny jestem domniemywać, że korzyści przypadną klasie wyższej i średniej, natomiast koszty spadną przede wszystkim na klasy niższe.
11. Muszę przyznać ze wstydem, że nie jestem znawcą Talmudu. Powyższy cytat znalazłem na wielce erudycyjnym blogu Ebenezera Rojta „Kompromitacje” <http://kompromitacje.blogspot.com/>.

Kosztowne korzyści

DR HAB. ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

PRL, czyli ład ustrojowy, który panował w naszym kraju do 1989 r., wytworzył wśród Polaków wiele negatywnych postaw. W wolnym kraju powinny one zostać przezwyciężone. Jednak gdy przyjrzymy się owocom naszej obecności w Unii, dostrzeżemy, iż niektóre z postaw właściwych dla społeczeństwa rządzonego przez namiestników komunistycznego mocarstwa nie tylko nie zostały osłabione, ale wręcz się umocniły.

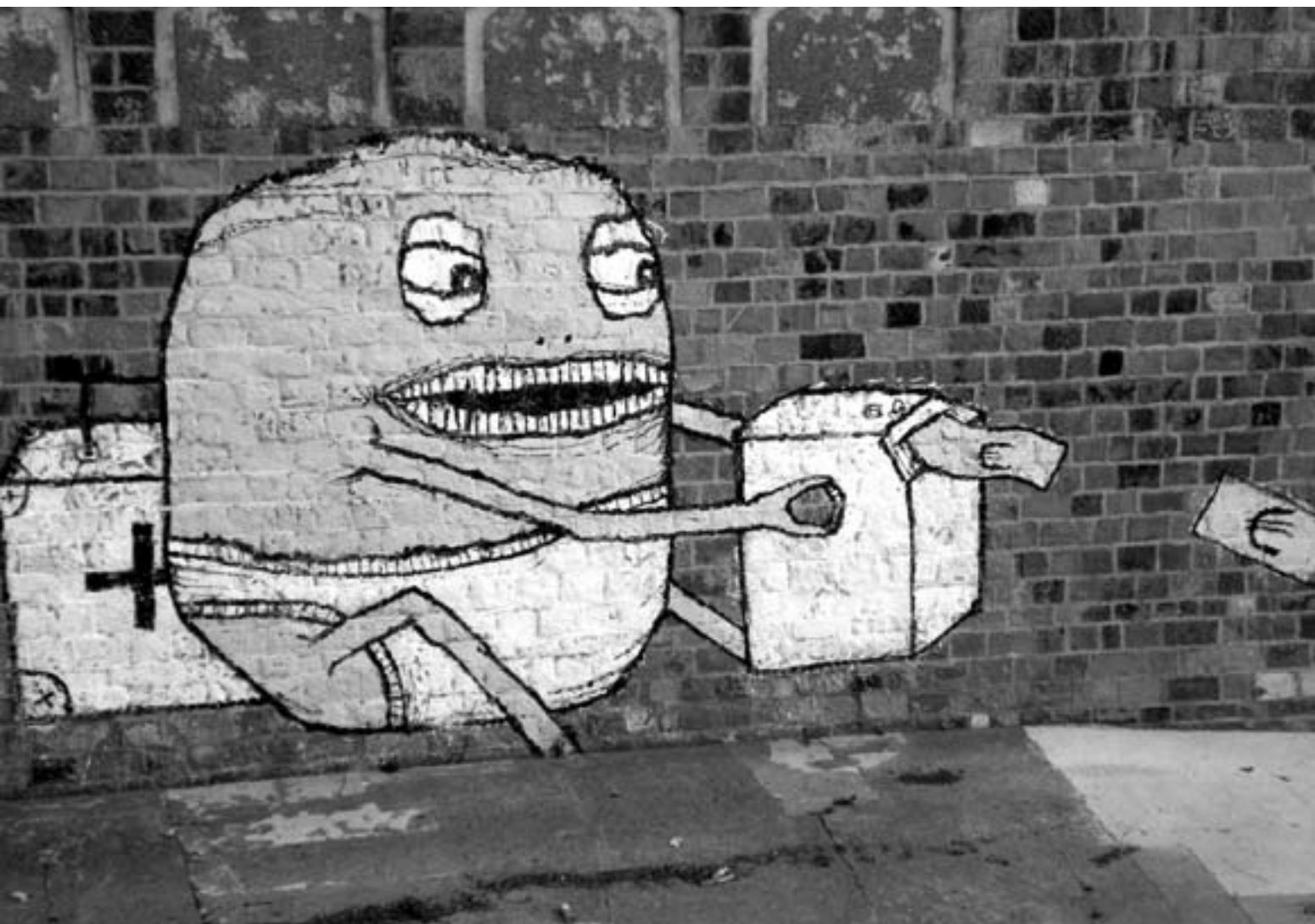
Ważnym elementem spadku po komunizmie jest mentalność postkolonialna. Obejmuje ona oczekiwanie, że jakiś zewnętrzny, duży, silny podmiot będzie za nas rozwiązywał problemy. Że reguły gry społecznej (w tym międzynarodowej) określa ktoś inny, a my (My, Polska!) co najwyżej możemy starać się reguły te rozpoznać i mniej lub bardziej sprytnie się dostosować. Mentalność postkolonialna podpowiada, iż jeśli wobec silniejszego podmiotu - instytucji, państwa, organizacji międzynarodowej - przyjmimy postawę uległości, jeśli dostatecznie sprytnie dopasujemy się do zewnętrznych oczekiwań, to jakoś wyjdziemy na swoje. Upraszczając nieco: kiedyś w roli takiego silniejszego podmiotu obsadzona była Moskwa - dziś Bruksela.

Inną częścią dziedzictwa minionego ustroju jest niska racjonalność gospodarowania zasobami publicznymi, w tym postawa „co państwowe, to nie moje”. Już wstępny ogląd rzeczy pokazuje, że na wielu polach aktywności społecznej strumienie środków unijnych wzmocniły właśnie taki sposób myślenia. Unijne to też „nie moje” - zatem oszczędność, dobre gospodarowanie, długofalowe planowanie itp. nie są tu wcale niezbędne. Przyczynia się do tego

mechanizm, wedle którego przyznane pieniądze trzeba wydać, niezależnie od tego, czy jest to do czegokolwiek potrzebne, czy nie. Bo jeśli się nie wyda, będzie to oznaką nieskuteczności.

W latach 80. uczestniczyłem w pewnym tzw. centralnym, resortowym projekcie badawczym na uniwersytecie. Gdy przyszła pora napisania raportu końcowego, starszy doświadczony profesor udzielił mi rady: „Proszę pamiętać o powiedzeniu: »W socjalizmie między planowaniem a sprawozdawczością ogniwa pośrednie nie są niezbędne«”. Nie zawsze trzeba wykonać wytyczone zadania - wystarczy sprawozdać ich wykonanie. Przykłady tego mechanizmu widać także dziś, i to na wszystkich poziomach funkcjonowania państwa, nawet tych niezwiązanych z funduszami UE. W książce „III RP. Kulisy systemu” pisałem o tym w kontekście zjawiska instytucjonalizacji nieodpowiedzialności.

Profesor Krzysztof Rybiński stwierdza: *Trzeba postawić pytanie: jak to możliwe, że w ciągu minionych sześciu lat wydaliśmy na program Innowacyjna Gospodarka 40 mld złotych na wspieranie innowacyjności przedsiębiorstw, a i tak to wszystko tak dramatycznie spada. A także: Polska w rankingu, gdzie patrzymy, ile*



© Peter Mooney, flickr.com/photos/peterm7/5942191043/

wkładamy do procesu innowacyjności, jest na 35 miejscu, a co z tego wychodzi? W podrankingu efektywności jesteśmy na dalekim 110. miejscu. Polska w strasznym tempie dramatycznie marnuje pieniądze przeznaczone na wzrost innowacyjności i ta efektywność przekuwania pieniędzy na to, co z tego wychodzi, jest w Polsce jedną z najgorszych na świecie.

Sposób „pompowania” tych pieniędzy - nie tylko przecież unijnych - w nasz obieg gospodarczy sprzyjał raczej kreatywności biurokratycznej: znaleźć sposób zdobycia grantu i maksymalnie bezbolesnego jego rozliczenia. Ludzie dopasowują swoje wzorce do warunków otoczenia - formalnych i nieformalnych - żeby zmaksymalizować własne korzyści. **W Polsce ostatnich dziesięciu lat te procesy dostosowawcze nie mają, by tak rzec, ofensywnego charakteru wyzwań, ale raczej żebraczy: z tego, co „dają”, jak najwięcej wyrwać...**

Podobne trendy ewolucji kulturowej można zauważyć w Unii Europejskiej jako całości. Generując takie postawy na różnych szczeblach życia społecznego,

Europa nie jest w stanie konkurować z innymi strefami kulturowymi, np. z dynamicznie rozwijającym się Dalekim Wschodem.

Mnie jako Polaka najbardziej interesuje jednak degradacyjny wpływ tych mechanizmów na nasze życie społeczne: wytwarzanie przyzwolenia na byle-jakość, na marnotrawstwo, na ideologię i sztukę, która jest często kiczem, ekscytacją, wreszcie nierzadko propagandą nihilizmu. **Mechanizm unijny nie sprzyja ewolucji w stronę dzielności - raczej w kierunku klientelistycznej przymilności.**

Patologie związane z funduszami unijnymi bywały już sygnalizowane w polskich mediach, ale nigdy chyba nie zostały systematycznie przebadane. Ongiś Jerzy Baczynski w „Polityce” pisał o tym, że minister Elżbieta Bieńkowska rozdziela środki na promocję działalności swego resortu, co wikła część mediów w konflikt interesów. Oczywiście, nie wyciągnięto z tego żadnych wniosków. Z kolei portal niezależna.pl donosił o wynikach „Konkursu dotacji na promocję funduszy europejskich” z marca 2013 r. Na liście

wygranych znalazły się programy telewizyjne, stacje radiowe i prasa, a łączna kwota dotacji wynosiła 9,9 mln zł. W ten sposób tworzy się, jak powiedział jeden z posłów opozycji, *medialny kordon bezpieczeństwa wokół rządu*. **Fundusze europejskie wykorzystywane są po to, żeby tworzyć osłonę propagandową co do sposobów wydawania funduszy.** Jeśli dla kogoś sytuacja z poprzedniego zdania nie jawi się jako coś chorego, to znaczy, że choroba jest bardziej zaawansowana, niż się to może wydawać.

W Polsce (i zapewne nie tylko w niej) środki unijne spełniają podwójną funkcję. Z jednej strony zapewniają społeczeństwu chleb (miejsca pracy) i igrzyska (poczucie bycia w grze z otoczeniem międzynarodowym), a z drugiej dają dominującym klientelistycznym grupom interesu możliwość dalszej konsolidacji swojej władzy, wpływów i zysków w sposób niewidoczny dla sporej części naszego społeczeństwa. W efekcie istotnie zmniejsza się też niebezpieczeństwo buntu, który mógłby wybić system społeczny z równowagi niedorozwoju.

Sieci klientelistyczne, które określam mianem Antyrozwojowych Grup Interesu (ARGI), deformują mechanizmy konkurencji – tak rynkowej, jak i politycznej. Dzieje się to już na etapie wyznaczania kryteriów, które trzeba spełniać, by móc ubiegać się o określone środki unijne. Niekiedy doprowadza się do patologicznej skrajności tzw. efektu Mateusza („kto ma, temu będzie dodane”). Kto w pierwszej fazie załapał się na dotacje i może pokazać, że określoną ilość projektów o określonej wartości już zrealizował, ten zyskuje ogromną przewagę w kolejnych konkursach. W przypadku niektórych projektów wymóg wcześniejszych realizacji na określonym pułapie finansowym uniemożliwia w ogóle udział w konkursie. Dla firm „aspirujących” oznacza to ograniczenie możliwości rozwoju, a dla pozbawionych konkurencji „stałych klientów” urzędów marszałkowskich – zniewelowanie podstawowego impulsu do innowacji. Tu i tam powstały swoiste zamknięte ekosystemy, gdzie konkurencja jest fikcją.

Powoduje to marnotrawną alokację zasobów i wpływa negatywnie na rynek pracy, przyczyniając się do blokowania awansu zawodowego młodych. Nazbyt często odczuwają oni, że to nie postawy innowacyjne, ale „załapanie się” do okrzepłych już nieformalnych układów jest ścieżką rozwoju zawodowego.

Nie brak przykładów ograniczania naturalnej dla demokracji konkurencji politycznej. Jest tak, gdy finansowane ze środków unijnych billboardy, tablice informacyjne i spoty telewizyjne są wykorzystywane przez establishment polityczny do reklamy przedwyborczej. Tego typu działanie wytknięto niedawno byłemu już marszałkowi województwa dolnośląskiego

Rafałowi Jurkowiakowi. Pamiętamy też, jak z funduszy unijnych promował się przed Euro 2012 ówczesny minister rolnictwa Marek Sawicki.

Patrzac szerzej, widzimy sytuacje co najmniej quasi-korupcyjne. Zdobywając swoiste haracze od przedsiębiorców, którym uznaniowo przydzielane są środki, dysponenti funduszy unijnych mogą część zasobów zużywać na przekupienie dziennikarza, policjanta i prokuratora, by zyskać bezkarność. W tym przypadku mechanizm neutralizacji instytucji kontrolnych można uruchomić poprzez działania, które same w sobie nie mają stricte kryminalnego charakteru.

Bardzo negatywnie oceniam wpływ Unii Europejskiej na rozwój nauki polskiej. Spora część badaczy znalazła się za sprawą funduszy unijnych w pułapce, w jakiej już wcześniej znaleźli się np. zachodni badacze będący ekspertami firm farmaceutycznych. Sheldon Krinsky (w Polsce ukazała się jego książka „Nauka skorumpowana”) pokazał, że w pewnym momencie w renomowanych czasopismach przedstawiających wyniki testów efektywności leków trudno było znaleźć autorów, którzy nie pobieraliby wynagrodzeń od któregoś z koncernów farmaceutycznych. Typowy konflikt interesów. Podobna sytuacja może mieć miejsce w przypadku tworzenia narzędzi ewaluacji unijnych grantów przez naukowców. Ci, którzy wytworzyliby narzędzia nie pasujące do interesów dysponentów grantów, byłiby zagrożeni wypadnięciem z obiegu.

Mam wrażenie, że **gdyby grantów unijnych nie było, młodzi badacze, którzy w dzisiejszych realiach niejednokrotnie uzależnili się od ich pozyskiwania i „przerobu”, częściej sięgali by po tematy związane z realnymi problemami naszego społeczeństwa.** A tak – sięgają przede wszystkim po tematy, które są „grantodajne”. Najmłodsze pokolenie badaczy przyswoiło już sobie, że aby się zawodowo „ustawić”, najlepiej zakotwiczyć się u kogoś, kto ma stały dostęp do grantów. Co wcale nie musi być skorelowane z jakością pracy badawczej.

Pogoń za funduszami w nauce generuje też mnóstwo „pustych obrotów”. Pewne projekty rozlicza się tylko po to, żeby dostać kolejny projekt. Konferencję naukową robi się po to, żeby móc robić kolejne konferencje itd. Mam wrażenie, iż jeśli ktoś kiedyś oszacuje ewolucję „polskiego intelektu” w ostatnich latach, to ustali, że środki unijne przyczyniły się do degradacji naszych nauk społecznych, a może i świata akademickiego w ogóle.

Obawiam się, że nieświadomość tej sytuacji będzie trwała dopóty, dopóki te środki będą, a później na różnych polach odsłoni się zapaść cywilizacyjna. Pomijając to, że środki unijne nie wsparły procesu poprawy jakości funkcjonowania państwa, ten spory



© Mark O'Cuilar, flickr.com/photos/tison/6361426761/

zastrzyk pieniądza przyczynił się do powstania niezliczonych firm i firemek, które tylko dzięki temu funkcjonują, iż nie działają w naturalnych warunkach walki o rynek, lecz w warunkach podczepienia się pod zasilanie pochodne wobec decyzji biurokratycznych. W momencie gdy strumień unijnych zasobów się skończy, zobaczymy, że jakaś część polskiego biznesu była quasi-biznesem, który po odcięciu od kroplówki nie ma zdolności utrzymania się na rynku. Wyewoluowały i rozpowszechniły się umiejętności nieprzydatne dla tworzenia podstaw długofalowego rozwoju Polski. Można wręcz powiedzieć, że to

umiejętności antyrozwojowe, pasożytnicze są szlifowane, a nie kompetencje, które odpowiadają za wysoką kreatywność czy elastyczność reagowania na wyzwania.

Aby uniknąć tych zagrożeń, potrzebujemy systematycznego monitorowania oddziaływania środków unijnych na biznes, na administrację, na naukę i demokratyczną konkurencję polityczną. Pogorszenie jakości funkcjonowania państwa jest związane m.in. z przyrostem pracowników administracji, uzasadnianym tym, że muszą rozdzielać środki unijne. Niedawno mówiono o tym, jaką część pozyskanych środków zużywa na własne cele Caritas, a jaką Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy (mówiono, ale chyba definitywnie nie ustalono). Podobnie warto by porównać urzędy marszałkowskie i inne instytucje pod kątem tego, jaka część środków unijnych jest zużywana na samo przetwarzanie środków unijnych.

Mamy niestety w Polsce problem z krytyką patologii funkcjonowania instytucji i mechanizmów związanych z UE. Pojawia się ona niemal wyłącznie w mediach spoza głównego nurtu, a to mocno ogranicza jej oddziaływanie na świadomość społeczeństwa. Często krytyka rzeczowa, racjonalna w ogóle nie jest w stanie się przebić. Unia Europejska w tym kontekście jawi się jako quasi-cywilizacja, która część zasobów przeznaczająca na tworzenie pewnej strukturalnej mistyfikacji.

Mamy dziś w Polsce dramatycznie niską dietę i dopiero w momencie, gdy zjawiska negatywne zaszły już bardzo daleko, zaczyna się o tym dobitnie mówić. Mamy również zatrważająco wysoką skłonność młodzieży do emigracji. Badania prof. Krystyny Iglickiej-Okólskiej z końca 2012 r. wykazały, że aż 64% młodych ludzi nie widzi dla siebie przyszłości, życia i pracy w Polsce. Po prostu nie widzą dla siebie tutaj szans. To także jeden z owoców naszej obecności w Unii.

Jednocześnie okazuje się - co potwierdza w swoich wypowiedziach np. prof. Jerzy Hausner - że w naszym państwie nie ma centrum suwerennej myśli strategicznej. Zasoby z Unii mogłyby być wykorzystywane rozwojowo, ale w praktyce często są wykorzystywane pasożytniczo. Odwrócenie tego procesu jest możliwe tylko przez skoncentrowaną wolę polityczną, a tej w obecnym układzie elit biznesu, mediów i polityki wyłonić nie sposób.

Dopóki nie ukonstytuuje się wola polityczna istotnie różna od tej, która rządzi Polską od roku 2007, to wskazane wyżej negatywne tendencje nie będą miały żadnej szansy na odwrócenie. To, że gdy weszliśmy do Unii w 2004 r., byliśmy krajem kategorii B, jest normalne. Ale fakt, że establishment polityczny Polski nie ma woli zmiany tej pozycji, świadczy o tym establishmentie jak najgorzej. ✖

Wszystkie ręce były na liberalnym pokładzie

z dr. hab. Ryszardem Bugajem
rozmawia Marcelli Sommer

- W ostatnich miesiącach byliśmy świadkami ostrej dyskusji na temat „resortowych dzieci” - nie tylko książki pod takim tytułem, ale i szerszego problemu znaczenia wzorców rodzinnych czy środowiskowych w polskiej historii najnowszej. Antycypując tę dyskusję, Jan Olszewski w ubiegłorocznym wywiadzie dla „Nowego Obywatela” stwierdził, że najbardziej zasadniczym podziałem w łonie PRL-owskiej opozycji był ten między opozycją niepodległościową a „wewnątrzsystemową”, czyli ludźmi wywodzącymi się ze środowisk komunistycznych. Czy taki obraz zgadza się z Pańską pamięcią tamtych lat? Czy odnajduje się Pan w takim schemacie, a jeśli tak, to po której stronie?
- **Ryszard Bugaj:** Tak ostre postawienie sprawy mnie nie przekonuje, jednak w ostatnich latach trochę się zbliżyłem do tego stanowiska. W młodości, choć byłem spoza Warszawy, z małego miasteczka, mieszkając w domu bez książek, w ogóle tego podziału nie dostrzegałem. Swoje widzenie świata kształtowałem w zasadzie bez rodzinnych uwarunkowań. W sytuacji braku alternatywnych źródeł szczególną rolę odgrywały przekazy oficjalne: prasa i szkoła. Na początku moja wizja Polski była taka: socjalizm to jest dobry projekt, ale oni to źle robią. W Warszawie, do której przyjechałem uczyć się w szkole średniej, a potem studiować na uniwersytecie, wpadłem w środowisko zdominowane przez młodzież z domów komunistycznych. Byłem jednym z bardzo nielicznych ludzi „z zewnątrz”, którzy zaczęli funkcjonować w tym środowisku. Nie dlatego, że było ono zamknięte w sposób intencjonalny - wręcz przeciwnie, nierzadko miały miejsce inicjatywy



włączenia np. studentów z akademika do wspólnych działań. Tego rodzaju próby okazywały się jednak w większości nieskuteczne. Górę brały bariery środowiskowe związane z kręgiem znajomych, stylem życia. To były bardzo silne uwarunkowania. W praktyce nasze środowisko było raczej zamknięte. Dopiero później, w latach 70., ten krąg poszerzył się choćby o Klub Inteligencji Katolickiej - był to efekt zbliżenia „postępowych katolików” do (post)rewizjonistów, którego symbolem był słynny esej Michnika „Kościół, lewica, dialog”.

- Olszewski określa to środowisko, odwołując się jeszcze w latach 60. do literalnego rozumienia Polski Ludowej jako państwa robotniczego, jako wręcz „całkowicie wyalienowane ze społeczeństwa”.

- Ta alienacja była faktem, chociaż wtedy tego tak nie widziałem. Prawie wszystkich ludzi, z którymi łączyły mnie wówczas bliskie kontakty, z którymi „spiskowałem” - zarówno tych już opozycyjnie zaangażowanych, jak i „komunistów po przejściach” - łączyły pewne wyznaczniki statusu materialnego. Przede wszystkim świetnie wyposażone mieszkania, bardzo dobrze zlokalizowane. To w czasach PRL było bardzo znaczącym wyróżnikiem. Wszyscy byli z Warszawy, ustosunkowani, mieli w domu książki - nieraz także bezdebitowe. W domu mojej pierwszej żony miałem dostęp do „Biuletynu specjalnego” czy do „Białych kartek”. Jej matka była przedwojenną komunistką, a we „wczesnym” PRL wpływową dziennikarką, redaktorką naczelną największej gazety, jaka kiedykolwiek się w Polsce ukazywała. Myślę, że w większości tego typu

domów było podobnie. Koledzy z akademika, jeśli chcieli dotrzeć do alternatywnych źródeł informacji, byli zdani na Wolną Europę - ze wszystkimi tego konsekwencjami, niższym i mniej zróżnicowanym poziomem przekazu. Dopiero po latach dostrzegłem te formacyjno-środowiskowe uwarunkowania. Dlaczego nie widziałem ich wcześniej? W dużej mierze chyba dlatego, że politykowanie było wówczas bardzo silnie uwikłane w życie towarzyskie i kulturalne. Przyjaźń zacierała różnice statusowe. Jednocześnie ten stop polityczno-towarzyski przesądzał o tym, że grupa najaktywniej zaangażowana była zarazem młodzieżową elitą w sensie kulturowym.

- Kiedy zaczął się Pan od tego środowiska dystansować?

- Późno i „selektywnie”. Zresztą uważam, że to środowisko ma duże zasługi. W okresie pierwszej „Solidarności” byłem blisko związany z tym „wewnątrzsystemowym” nurtem. Trzeba jednak pamiętać, że to środowisko było wtedy podzielone w sposób dość paradoksalny. Należałem wówczas do kręgu, któremu przewodzili Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek. Wtedy nie był to krąg bliski Michnikowi i Kuroniowi - radykałom, jak wówczas ich postrzegaliśmy. Tak czy inaczej jednak, do pewnego stopnia mój dostęp do wpływowych pozycji i gremiów decyzyjnych „Solidarności” zawdzięczałem bliskim relacjom z ludźmi „mojego kręgu”. Wątpliwości zacząłem mieć w 1989 r. Pierwszy wstrząs był natury estetycznej i wiązał się z moim jednorazowym udziałem w spotkaniu „grupy magdalenkowej”. Owszem, wcześniej były kontakty między elitą

opozycji a elitą władzy, ale one - a przynajmniej te z nich, o których wiedziałem - miały zupełnie inny charakter: dyskusje toczyły się właściwie publicznie, np. na Uniwersytecie Warszawskim. Wtedy, w 1989 r., poczułem się trochę naiwnym człowieczkiem i po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że zawiązuje się coś na kształt porozumienia elit ponad głowami społeczeństwa. Kolejny szok nastąpił po wyborach czerwcowych, gdy klęskę poniosła komunistyczna „lista krajowa” i zobaczyłem, jak Bronisław Geremek z Januszem Onyszkiewiczem ogłaszają, że będzie druga tura wyborów, ponieważ „my zobowiązań dotrzemy”. Byłem dość blisko negocjacji okrągłostołowych i wedle mojej najlepszej wiedzy nigdy podobnych zobowiązań nie było. Zacząłem dostrzegać, że coraz więcej istotnych spraw rozstrzyganych jest w bardzo wąskich gronach. Po latach przeczytałem protokoły - wówczas tajne - z obrad sekretariatu KC PZPR i dowiedziałem się, że już drugiego dnia po wyborach Michnik zjawił się u Kiszcza i złożył mu

propozycję: „wasz prezydent, nasz premier”. Przy czym jest też jasne, kto miał być premierem. Został kto inny. To pokazuje, że zakulisowe politykowanie - na szczęście - nie musi być skuteczne.

- Później były wybory prezydenckie i „wojna na górze”.

- Na tyle, na ile mogłem, sprzeciwiałem się kandydaturze Lecha Wałęsy. Ale coraz mniej podobali mi się także moi „alianci”, którzy ewidentnie walczyli o „monopol na »Solidarność«” i - w konsekwencji - na władzę w państwie. Przy czym oni chcieli te cele zrealizować, kontrolując Komitet Obywatelski, wcale nie myśleli wtedy o partiach politycznych. Lech Wałęsa to zburzył - w najgorszym możliwym stylu, ale można zarazem powiedzieć, że otwierał drogę do pluralizmu, że działał w interesie aktorów społecznych i politycznych spoza elit.

Mimo tej przegranej środowisko - już zorganizowane w Unii Demokratycznej - pozostało silnym graczem w kształtującym się układzie władzy.



Obserwowałem to z bliska, dzięki czemu widziałem też różne drobne ruchy, na ogół niewidoczne dla szerszej publiczności. Na przykład gdy ktoś dziś czyta „Gazetę Wyborczą” (która była z UD ściśle związana), to mógłby przypuszczać, że całe to środowisko było przeciwne konkordatowi. A tak naprawdę konkordat w Polsce zrobili Geremek z Kwaśniewskim, choć „na piśmie” nie ma na to żadnych dowodów [śmiech]. To był przejaw stopniowo kształtującego się aliansu części dawnej opozycji (która plasowała się na liberalnych pozycjach) ze środowiskiem postkomunistycznym. Potem, po porażce Unii Wolności, sojusz liberałów z postkomunistami nabrał jawnego charakteru, powstał LiD, ale ta operacja się już zupełnie nie powiodła.

W pewnym sensie kwestia politycznych rodowodów w ostatnich latach znowu nabrała znaczenia. Wśród moich znajomych – zwłaszcza tych bardziej oddalonych od polityki partyjnej, zewnętrznych obserwatorów, intelektualistów, którzy mieli w swoich biografiach komunistyczne epizody, ale później zaangażowali się w opozycję, obserwuję tendencję do „powrotów”. Powrotów nie do idei komunistycznych, ale do pewnego rodzaju wspólnoty życiorysów, pewnej empatii w stosunku do „tamtej strony”. Niedawno wyszła wspomnieniowa książka Karola Modzelewskiego. Karol jest człowiekiem nie tylko olbrzymich zasług, ale i niezmienniej rzetelności, człowiekiem, który nie chce być daltonistą w ocenie tego, co się dzieje w Polsce. Bardzo wyraźnie widać jednak, że inaczej traktuje, inne ma wymagania i etyczno-polityczne oczekiwania wobec Sojuszu Lewicy Demokratycznej czy do Kwaśniewskiego, a inne do „Kaczorów”.

- Skoro jednak w latach 80. spiskował Pan z Geremkiem i Mazowieckim przeciwko Kuroniowi, a w roku 1989 Michnik nie był zadowolony, że na premiera desygnowany został Mazowiecki, a nie Geremek, to wynikałoby z tego, że ta jedność środowisk opozycyjnych wywodzących się w ten czy inny sposób z PRL-owskiego establishmentu jest pozorna, mityczna.

- Z mojego punktu widzenia ta „jedność” pojawia się późno, ale to nie znaczy, że wcześniej różnice były fundamentalne. Dotyczyły one raczej spraw czysto taktycznych: przede wszystkim stopnia radykalizmu metod i „doraźnych” postulatów. W okresie pierwszej „Solidarności” grupa, do której należałem, skupiona wokół Geremka i Mazowieckiego, twierdziła, że Kuroń i kojarzeni z nim działacze związkowi dążą do nadmiernej radykalizacji, że prowadzą „Solidarność” do frontalnego zderzenia z władzą, która to konfrontacja nie może okazać się dla naszej strony zwycięska. Uważaliśmy – tak to rekonstruuje – że „Solidarność”



BUGAJ

Ryszard Bugaj (ur. 1944) – doktor habilitowany nauk ekonomicznych, polityk socjaldemokratyczny, publicysta. Jako student brał udział w działalności opozycyjnej wobec władz komunistycznych (m.in. w protestach Marca '68), co przypłacił relegowaniem z uczelni. Związany z KOR oraz „Solidarnością” od ich powstania, był m.in. przedstawicielem Krajowej Komisji Porozumiewawczej w rządowej Komisji ds. Reformy Gospodarczej. Po 13 grudnia 1981 r. zaangażowany w działalność podziemną. Od 1982 r. do dziś pracuje w Instytucie Nauk Ekonomicznych Polskiej Akademii Nauk. W latach 1988–1990 działał w Komitecie Obywatelskim przy Lechu Wałęsie; uczestnik obrad okrągłego stołu w zespole ds. gospodarki i polityki społecznej, współprzewodniczący grupy roboczej ds. samorządu i form własności; poseł na Sejm kontraktowy. W wolnej Polsce zaangażowany w budowę lewicy skoncentrowanej na interesach pracowników najemnych i odcinającej się od PRL. Był posłem na Sejm I kadencji (z listy Solidarności Pracy, której był współzałożycielem) i II kadencji (z listy Unii Pracy, którą współtworzył w 1992 r., i której przewodniczył w latach 1993–1997). W 1998 r. odszedł z Unii Pracy, w proteście przeciwko polityce nowych władz partii, które dążyły do współpracy z postkomunistami. Był doradcą społecznym Prezydenta Lecha Kaczyńskiego ds. ekonomicznych. Odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

nie ma z władzą szans, ale jednocześnie nie jest bez znaczenia, jak długo pozostajemy w grze. Nasze propozycje służyć miały przede wszystkim właśnie możliwie długiemu trwaniu.

- Frakcja pesymistów...

- Trudno z dzisiejszej perspektywy powiedzieć, czy mieliśmy rację, czy nie. Wydawało nam się, że proponując umiarkowane, koncyliacyjne wobec władzy kroki, wydłużamy byt „Solidarności”, nie płacąc przy tym zbyt wysokiej ceny, a Jacek ze swoimi radykalnymi pomysłami może przesądzić, iż zderzenie nastąpi szybciej. Niemniej ten spór nie miał charakteru pryncypialnego. Już pod koniec istnienia legalnej „Solidarności” doszło do zbliżenia stanowisk pomiędzy późniejszymi liderami Unii Demokratycznej, a różnice zatarły się niemal całkowicie w okresie, który nastąpił po stanie wojennym.

- **Potęga tej formacji chyba należy już jednak do przeszłości. Po wyborach 2001 r. ostatecznie schodzi ze sceny Unia Wolności, a afery Rywina burzy autorytet „Gazety Wyborczej”, pojawiają się nowe partie i nowe gazety, które skutecznie konkurują z byłymi „mandarynami”.**
- To prawda. Działa także upływ czasu - nie żyją Kuroń, Geremek i Mazowiecki. Mamy dziś do czynienia z bardziej wykrystalizowanym podziałem, w którym rola dawnych bohaterów opozycji w ogóle, a tych wywodzących się z rodzin i środowisk komunizujących w szczególności, nie jest już centralna. Jednak polityka, którą prowadzili w latach 90., wywarła istotny wpływ na logikę tych podziałów. Proszę spojrzeć: z jednej strony mamy obóz „ludowy” (identyfikowany jako „prawica”), z drugiej - obóz liberalny. W tym pierwszym wiodącą rolę odgrywa PiS - ze wszystkimi tego konsekwencjami, także słabością intelektualną, słabością elit, z emocjonalnością. Na obóz liberalny składają się spadkobiercy liberalnej opozycji demokratycznej wraz ze środowiskiem postkomunistycznym. Coraz częstsze są „transfer” personalne (Arłukowicz, Rosati, Hübner i inni). Tak więc ten strategiczny sojusz, zawarty po części z przyczyn biograficznych, pozostaje w mocy, choć utrzymują się podziały organizacyjne.
- **Pytanie o „resortowe dzieci”, o znaczenie powiązań środowiskowych i rodzinnych z elitą PRL dla karier, dla wyborów politycznych czy ideowych, wiąże się z pytaniem o klasy społeczne. Często podnosi się temat, czy zasadne jest analizowanie społeczeństw komunistycznych przy pomocy tej kategorii. Na ile istotny jest fakt, że rodowody komunistyczne wiązały się z pewnymi przywilejami materialnymi i kulturowymi?**
- Muszę wyraźnie stwierdzić, że - dywagując tu o genezie wpływowego środowiska opozycji - nie chciałbym w żadnej mierze wpisać się w narrację książki o „resortowych dzieciach”. Wracając do pytania: klasyczna perspektywa marksowska mi nie odpowiada. Miała pewne walory w odniesieniu do rzeczywistości dziewiętnastowiecznej, ale później dość szybko straciła na aktualności. Nie znaczy to jednak, że wszelkie analizy typu klasowego należałoby wyrzucić na śmietnik. Warto wrócić chociażby do kategorii „elity władzy”, wprowadzonej bodaj przez amerykańskiego socjologa Charlesa Wrighta Millsa. Akcentowała ona nie kryterium „stosunku do środków produkcji”, ale zdolność elit do wpływania na funkcjonowanie władzy politycznej, również na sferę gospodarczą czy medialną. Ta licząca sobie już ponad pół wieku koncepcja wciąż zachowuje swoją aktualność. Diagnozowane i opisywane przez Millsa procesy kooptacji, mechanizmy ograniczające dostęp do elit czy reguły



Pogardliwe czy podejrzliwe nastawienie części świata inteligentnego do robotników było z czasem przewyższane, a po narodzinach „Solidarności” wydawało się już ostatecznie odrzucone. Można jednak odnieść wrażenie, że i ono się po 1989 r. odrodziło – chociażby w odniesieniu do tzw. moherów.

wewnętrzne, którymi się rządzią, dotyczą w moim odczuciu także „trzymających władzę” w PRL i III Rzeczypospolitej.

- **Trudno nie zastanawiać się, jak to elitarnie usytuowanie części wpływowych, inteligentnych środowisk opozycji odcisnęło się na ich późniejszych stosunkach z robotnikami, do obrony czy wręcz reprezentacji których wszak aspirowały. W swojej książce wspomnieniowej „O sobie i innych” przywołuje Pan anegdotę, w której znany opozycyjny intelektualista określa protestujących na wybrzeżu w grudniu 1970 r. mianem motłochu. Konflikty, mające u swoich źródeł klasową dystynkcję i resentyment, odegrały chyba istotną rolę w późniejszej historii opozycji. Zwłaszcza w „Solidarności”.**
- W „Solidarności” rzeczywiście tak, i dopiero wtedy. Przedtem po prostu nie było robotników w opozycji, choć miał miejsce ważny epizod pomocy dla represjonowanych robotników Radomia. Istotną i trochę pomijaną kwestią jest natomiast to, że opozycja dość wcześnie się uzawodowiła. Dzisiaj postrzegamy udział w opozycji niemal wyłącznie przez pryzmat martyrologiczny, ale bycie kimś ważnym w opozycji, oprócz ryzyka, dawało także spory prestiż, a bywało że również korzyści materialne. W „Solidarności” oczywiście robotnicy odgrywali istotną rolę, ale poza nielicznymi wyjątkami nie stali się liderami ani nawet stałymi uczestnikami działań politycznych.
- **Może w tym kontekście warto poruszyć temat Marca '68. Czy to doświadczenie, formacyjne dla części tego pokolenia inteligencji, która odegrała później wiodącą rolę w opozycji, nie wiązało się z pewną nieufnością w stosunku do robotników? Ci sami, którzy wcześniej - w duchu marksistowskim - stawiali proletariat na piedestale, poczuli, że robotnicy mogą być też dla nich niebezpieczni, że mogą się stać „motłochem” zmanipulowanym przez władzę lub inne siły.**
- Takie myślenie w jakiejś mierze było chyba obecne. Ale uznanie roku 1968 za jednoznacznie zwycięski dla władzy w środowiskach plebejskich czy robotniczych to błąd. Pamiętam moje wyjazdy do rodzinnego miasteczka w tamtym czasie. Nasze protesty były tam odbierane ze zrozumieniem. Nie można powiedzieć, żeby represje partii wobec polskich Żydów wzbudzały tam wielkie oburzenie, ale też zdecydowanie nie budziły radości ani satysfakcji. Co więcej, wielki paradoks 1968 roku, którego moje doświadczenie jest pewnym świadectwem, polega na tym, że edukacja komunistyczna, jaką odebrała ówczesna młodzież studencka, była edukacją, która emocje nacjonalistyczne skutecznie przewyższyła. Środowisko, z którego sam pochodziłem, było w pewnej

mierze antysemickie. Ale to się na mnie nie odciskało. Odciskało się na mnie to, czego mnie uczono na lekcjach języka polskiego: Jankiel, wiersze Marii Konopnickiej... Były oczywiście stereotypy, na przykład dotyczące udziału Żydów w PRL-owskim aparacie władzy. Jednak te stereotypy trafiały przede wszystkim do moich krewniaków w małych miasteczkach - a do takich jak ja już nie. To, że wielu moich kolegów z tamtego czasu było Żydami w sensie etnicznym, stanowiło dla mnie tajemnicę. Nie wiedziałem o tym ani się tym nie interesowałem.

- Jeśli nie w Marcu '68, to gdzie szukałby Pan źródeł animozji pomiędzy inteligentką opozycją a buntującymi się robotnikami?

- Być może w 1968 r. też. Faktem jest, że wbrew różnym nadziejom środowiska robotnicze nie wykazały wtedy solidarności ze strajkującymi studentami. A nade wszystko rzeczywiście ukształtował się stereotyp, że kupiły antysemicką propagandę władzy. Sama wspomniana wypowiedź o „motłochu” - jak dobrze znam jej autora - mogła być zdeterminowana przez doświadczenie 1968 r. To pogardliwe czy podejrzliwe nastawienie części świata inteligenckiego do robotników było z czasem przewyciężane, a po narodzinach „Solidarności” wydawało się już ostatecznie odrzucone. Można jednak odnieść wrażenie, że i ono się po 1989 r. odrodziło - chociażby w odniesieniu do tzw. moherów. W okresie opozycyjnym było inaczej i można się zastanawiać, na ile źródłem tego był świadomy wybór strategiczny, przeświadczenie, że bez poparcia robotników obalenie czy choćby znacząca reforma systemu były niemożliwe. Co nie znaczy, że niektórym nie doskwierała świadomość, iż mamy do czynienia z ludźmi, którzy nie czytają książek i nie chodzą do teatru. Wydaje mi się zresztą, że ten rodzaj emocji i proces ich przewyciężania dotyczyły zarówno inteligencji wywodzącej się z domów komunistycznych, o lewicowych inspiracjach, jak i prawicy narodowej, która organizowała się wokół ROPCIO czy Ruchu Młodej Polski.

- Powiedzieć o zasługach KOR-u to właściwie banał. Jego powstanie było politycznym i etycznym przełomem na skalę całego bloku wschodniego. Czy i w jego konstrukcji nie było jednak „grzechów założycielskich”, które doprowadziły po latach do atrofii myśli i działania lewicowego w Polsce? Czymś takim mógł być na przykład pewien rodzaj inteligenckiego paternalizmu, raczej pochylania się nad robotnikiem-ofiarą niż współdziałania na równych prawach.

- Nie dam się naciągnąć na taką ocenę [śmiech]. Zapewne KOR był w jakimś sensie paternalistyczny. Pytanie, jaki byłby przełom 1976 r., gdyby KOR taki nie był. Moim zdaniem nie byłoby go wcale. Strajki

robotnicze były oczywiście ważne, ale jak to strajki - wybuchały w sposób spontaniczny, trwały dzięki determinacji ludzi i wraz z nią się kończyły. Czasem kres determinacji łączy się z osiągniętym sukcesem i ustępstwami władzy, czasem z klęską lub „zmęczeniem materiału” - natomiast bardzo rzadko kończy się instytucjonalizacją i projektowaniem zorganizowanego, długotrwałego wysiłku. Dlatego KOR, jako impuls do organizacji politycznej, był tak ważny. KOR mógł być wielokrotnie większy niż był. Ja formalnie nie byłem członkiem KOR-u - nie dlatego, że nie chciałem, ale ponieważ nikt mi tego nie zaproponował. Bycie w KOR-ze czy blisko KOR-u to była nobilitacja - dlatego też później obrósł on archipelagiem pomniejszych inicjatyw. Za KOR-em stało założenie, że trzeba powołać grupę ludzi, która nie tylko jest sprawdzona i zdeterminowana, ale też rozpoznawalna. To byli trochę tacy opozycyjni celebryci. Chodziło o to, żeby - powiedzmy - w Paryżu co najmniej połowa nazwisk robiła wrażenie. Wynikało to ze względów taktycznych i okazało się chyba słuszne. Znalazły się w KOR-ze postacie niezwykle szacowane - np. ks. Zieja, który pewnie niełatwo odnalazłby się w innej formule działalności opozycyjnej. Można oczywiście zapytać o źródła fatalnej reakcji na KOR na zjeździe „Solidarności” w 1981 r.

- No właśnie. Jak Pan ją tłumaczy?

- Moim zdaniem to były dwie rzeczy. Po pierwsze: gra władzy. Chociaż trudno powiedzieć precyzyjnie, jaka była skala spenetrowania grupy tzw. prawdziwych Polaków przez tajnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa, na ile była to grupa kierowana gdzieś z Rakowieckiej, a na ile były to autentyczne emocje. Wśród wszystkich delegatów na zjazd tajnych współpracowników było aż 8%, czyli prawie co dziesiąty. Ale był tam jeszcze inny czynnik. KOR zapłacił za rolę, jaką wypełniali tzw. eksperci „Solidarności”. Byłem jednym z tych ekspertów, bodaj najmłodszym, co miało tę zaletę, że wszyscy eksperci z działaczami byli per pan, a ja byłem ze wszystkimi na „ty”. A eksperci, no mój Boże, przecież my naprawdę manipulowaliśmy! W najlepszej wierze oczywiście, ale niewątpliwie manipulowaliśmy.

- W swoim szkicu autobiograficznym napisał Pan: „rolą ekspertów było ograniczanie radykalizmu związków zawodowych”.

- I tę rolę rzeczywiście wypełnialiśmy. Działacze o tym wiedzieli. Czy była to dobra i potrzebna rola? Trudno powiedzieć. Dziś, po odtajnieniu rozmaitych dokumentów, wiemy znacznie więcej niż wtedy - na przykład o „kryzysie bydgoskim”. Rzeczywiście można mieć wrażenie, że był to ostatni moment, kiedy „Solidarność” mogła iść na konfrontację z władzą



Okragły Stół, 6 lutego 1989 r., en.wikipedia.org/wiki/File:Okragly_Stol_1989.jpg

z pewną szansą na zwycięstwo. Ale wtedy tej wiedzy nie mieliśmy i mieć nie mogliśmy. Z kolei pamiętam, że od jesieni 1981 r., a już na pewno od zjazdu, nie miałem żadnego pomysłu. Byłem pewien, że musimy przegrać, widziałem, że ludzie nas opuszczają. I czas to potwierdził, rzeczywiście tak było. Wtedy pójście na konfrontację mogło się już wiązać z konsekwencjami gorszymi niż to, co nastąpiło w stanie wojennym.

- **Określenie „radykałowie” bywało jednak w wewnętrznym konflikcie politycznym w „Solidarności” stosowane w sposób dość arbitralny i często niesprawiedliwy. A przecież radykalizm może być uzasadniony albo nie, może odnosić się do idei i celów, do postulatów albo do metod działania.**

- Zdarzały się radykalne, niemądre idee - np. żeby zablokować eksport. Przede wszystkim jednak, z mojego punktu widzenia, groźny był radykalizm werbalny. Andrzej Rozpłochowski miał powiedzieć: *Musimy tak przyp...ć, żeby kremlowskie kuranty zagrały Mazurka Dąbrowskiego*. Przykładem radykalnej akcji może być zajęcie ronda w Warszawie. W końcu musieliśmy zjechać z tego ronda, bo ludziom było przez to cholernie niewygodnie. W ogromnej ilości tego rodzaju przypadków nasze działania jako ekspertów wydają mi się dość racjonalne, co nie znaczy - skuteczne. Natomiast ta grupa doradcza oczywiście bardzo się zużywała: ludzie nie widzieli pozytywnych konsekwencji wstrzymania się od radykalnych działań, bo faktycznie było coraz gorzej. Można było domniemywać, że gdybyśmy nie zjechali z ronda,

to w końcu by nas przepuścili i przynajmniej symbolicznie byśmy wygrali. Jednak generalnie, moim zdaniem, tonowanie było rozsądne. To działanie miało natomiast jedną podstawową barierę, co dobrze oddaje słynna rozmówka Seweryna Jaworskiego z Tadeuszem Mazowieckim w trakcie internowania. „I co, panie Tadeuszu, nie trzeba było ostrzeż?” - zapytał Jaworski. A Mazowiecki odpowiada: „Panie Sewerynie, a nie mówiłem? Nie trzeba było mądrzej?”. Otóż problem polega na tym - ja, jak wielu w „Solidarności”, pod sam koniec miałem jego świadomość, ale Tadeusz Mazowiecki chyba niekoniecznie - że ani ostrzeż, ani mądrzej. Nic by nie pomogło. Chyba że Jaruzelski zachowałby się wtedy jak Imre Nagy podczas rewolucji węgierskiej 1956 r. i przeszedł na drugą stronę. To byłby krok wysoce ryzykowny, ale nie szalony. Ale z dzisiejszej perspektywy, przy dzisiejszej wiedzy o biografii generała, wydaje się, że to po prostu nie miało prawa się wydarzyć.

- **Czy myśli Pan, że „tonująca” rola ekspertów mogła mieć także bardziej długofalowe konsekwencje? Na przykład przełożenie na kondycję ruchu związkowego po 1989 r. - jego słabość, brak gotowości do radykalizmu tak metod, jak i postulatów.**

- Moim zdaniem eksperci w 1981 r. nie mieli żadnej wizji długiego okresu. Była tylko taktyczna „chytrość”. Na przykład chytrość Bronisława Geremka, który był człowiekiem bardzo inteligentnym, wykształconym i doskonale wiedział, że taki byt jak „Samorządna Rzeczpospolita” nie może istnieć. Problem polegał na tym, żeby z jednej strony powiedzieć

zgromadzonym, że my tu robimy coś zupełnie nowego, a z drugiej strony nie nadebrać władzy zbyt mocno na odcisk. Stąd, w moim przekonaniu, wziął się program „Samorządnej Rzeczypospolitej”.

- Nie był to, jak czasem się mówi, program wyrastający z ówczesnych aspiracji mas związkowych, tylko rzecz narzucona, wynikająca z doraźnej kalkulacji politycznej?

- Aktyw związkowy też nerwowo rozglądał się za pomysłami, które dawałyby szansę przebicia się z nimi do społeczeństwa. I w tym rozumieniu można powiedzieć, że istniała gotowość do przyjęcia tego programu. Ale w żadnym razie nie była to jakaś idea konstytutywna związku. Natomiast potem fakt, iż „Samorządna Rzeczypospolita” była ideą doraźną, przesądził o tym, że można ją było tak łatwo porzucić, a sam związek zawodowy zmarginalizować. Niedawno czytałem książkę Dariusza Gawina „Wielki zwrot”, której autor dokładnie pokazuje, jak środowisko określone przez niego jako lewicowe, wyrastające m.in. z utopijnej wizji Karola Modzelewskiego i Jacka Kuronia, całkowicie porzuca postulaty socjalne. Jak od pewnego momentu zaczynają je traktować wyłącznie jako narzędzia manipulacji. Pamiętam moje spory z redaktorami podziemnego „Robotnika”. Oni w pewnym momencie rzucili takie hasło: likwidacja godzin nadliczbowych przy pozostawieniu płac za godziny nadliczbowe. Mówiłem: panowie, nawet jakby przyjąć, że gospodarka jest „ich”, to przecież to jest niemożliwe! I było dla mnie jasne, że to hasło jest dla nich wyłącznie instrumentem walki politycznej. To się potwierdziło, gdy tylko doszli oni władzy. Ta ewolucja jest dla mnie trochę zagadką. Do pewnego stopnia istotne było wieloletnie uprawianie zawodowej opozycyjności i zaplątanie się we własnej grze politycznej, ale myślę, że „komunistyczne” rodowody też miały tu coś do rzeczy. W środowiskach aktywnych w dawnej demokratycznej opozycji tylko bardzo nieliczni mieli za sobą doświadczenie szeroko pojętego niedostatku - braku mieszkania, pieniędzy na wyjazd na wakacje itd. Owszem, były takie przypadki, ale ogólnie biorąc mamy tu do czynienia z perspektywą człowieka wolnego od materialnych trosk, dla którego ważne są przede wszystkim: publikowanie bez cenzury, paszport w szufladzie, wolne wybory. Mniej istotna jest natomiast perspektywa, czy mu starcza do pierwszego. W tym sensie biografie opozycjonistów są istotne.

- Skoro program „Samorządnej Rzeczypospolitej” był taktyczny, to czy był jakiś wspólny mianownik, uchwyt dla wszystkich etos, który dałoby się nazwać? A może cała „Solidarność” to była seria takich doraźnych, taktycznych gestów?

- Myślę, że „Solidarność” była ufundowana na czterech wielkich ideach, z których trzy były mi zawsze bliskie. Po pierwsze: na demokracji pojmowanej na sposób „ludowładczy”, która wyznaczała elitom skromną rolę - i ta ogromna zmiana, jaka zaszła w Polsce, od Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie poczynając, była odwróceniem tego projektu o 180 stopni. Po drugie: to był ruch niepodległościowy, u podstaw którego leżało założenie, że suwerenne państwo jest wartością, że może być użytecznym instrumentem, że tylko państwo suwerenne może być demokratyczne. Trzeci rys „Solidarności”, z którym się utożsamiałem, to był duch egalitaryzmu. I był jeszcze czwarty element, który nie był mi bliski - religia. Jestem człowiekiem niewierzącym i nigdy tego nie ukrywałem. Nie chodziłem na msze podczas zjazdów związkowych - chociaż wielu innych niewierzących chodziło. Ten element jest w „Solidarności” do dzisiaj. Gdy odbywa się posiedzenie Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, to natychmiast zauważa się portrety Matki Boskiej, papieża itd. Może jest nieco większy dystans do Kościoła niż wcześniej, ale nie ma takiego odważnego, który by te święte obrazy wyprowadził albo zrezygnował z modlitwy na początku. Jednocześnie panuje tam otwartość - nie wszyscy się modlą i nie ma z tym żadnego problemu.

- A jakie były Pana osobiste motywacje, „prywatny etos”?

- W okresie pierwszej „Solidarności” próbowałem po prostu przyczynić się do jej sprawnego i odpowiedzialnego działania, tak żeby mogła możliwie długo wytrwać. Pod koniec, ale także w stanie wojennym, nawet jeszcze na początku 1988 r., kiedy nadal byłem przekonany, że do końca życia zostanę dysydentem, zaangażowanie w „Solidarność” miało dla mnie charakter zobowiązania etycznego. Miałem oczywiście nadzieję, że opór prędzej czy później coś przyniesie - ale spodziewałem się, że raczej później [śmiech]. Co to było, na co miałem nadzieję? Oczywiście na kruszenie systemu autorytarnego. Nie wierzyłem w jego wieczność czy niezmienność. W owym czasie bardzo modne były różnego rodzaju teorie konwergencji. Obserwowałem to z bliska i miałem wrażenie, że ta konwergencja nie nastąpi, że jest niemożliwa. Czego się spodziewałem? Muszę odpowiedzieć, że nie wiem. Żadnego konkretnego scenariusza. Miałem jedynie przekonanie, że układ sił będzie się zmieniał.

- Czy stan wojenny był dla relacji między opozycją i inteligencją a robotnikami momentem przełomowym?

- Wprowadzając stan wojenny, Jaruzelski w pewnym sensie oddał całej opozycji przysługę. Pod koniec 1981 r. byliśmy „na ostatnich nogach”, sporo ludzi



nas opuszczało, a raczej traciło nadzieję, że te działania do czegokolwiek doprowadzą. Stan wojenny przywrócił nam legitymizację „słusznosciową”. Oczywiście zaangażowanie nie było wtedy tak masowe jak w 1980 r., ale wykrystalizowała się grupa, powiedzmy, średniej wielkości, która na stan wojenny zareagowała etycznie i zdecydowanie. W związku z tym dawny spór z ekspertami raczej się załagodził. Powstała siłą rzeczy pewna wspólnota losu, bo bardzo wielu poszło siedzieć...

...ale do różnych ośrodków internowania, o różnym rygorze, różnie byli traktowani...

- To oczywiście prawda. Ale proszę sobie wyobrazić taki obrazek: Białołęka, przeprowadzają nas z jednego pawilonu do drugiego. Przede mną idzie profesor Kunicki-Goldfinger, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk, i niesie swoje więzienne oporządzenie, z manierką na wierzchu, w szpalerze dwumetrowych ZOMO-wców. Takie obrazki jak ten, w połączeniu z przekazem Kościoła, bardzo przytłumiły stare konflikty.

Natomiast „Solidarność” już nigdy nie odrodziła się w postaci ruchu tak masowego, jakim była pierwotnie. Pozostali ci, którzy byli zdeterminowani - nie tyle ze względu na swój status materialny, ile wskutek wyboru politycznego. Dopiero to, co się dzisiaj w „Solidarności” dzieje - mówię to także na podstawie swoich kontaktów z obecnymi związkowcami, z przewodniczącym Dudą - to odrodzenie konfliktu, ale o „klasowym” charakterze. Ten konflikt jest wciąż nieco przytłumiony przez to, że obecne elity „Solidarności” są elitami w pewnej mierze biurokratycznymi - dobrze uposażonymi, z wypasionymi gabinetami, przyzwoitymi samochodami służbowymi itd. Ale presja ze strony mas członkowskich rośnie. Na ostatnich wielkich manifestacjach związkowych w Warszawie zauważyłem, że tam się pojawili ludzie trochę podobni do tych, których pamiętam z lat 1980-81. „Solidarność” znów staje się związkiem pracowniczym - choć zarazem profesjonalnym - a jej działania w coraz większym stopniu wynikają ze statusu socjalnego szeregowych członków.

- Jeszcze przed Dniami Protestu z września 2013 r. odbyło się w „Solidarności” referendum w sprawie strajku generalnego i związkowcy opowiedzieli się za.

- Muszę przyznać, że ta decyzja nie bardzo mi się podobała. Wydaje mi się, że nie takimi instrumentami związek powinien się teraz posługiwać. Uważam, że priorytetem dla „Solidarności” powinno być odbudowanie swojej wiarygodności jako podmiotu życia publicznego. Nie takiego, który zrywa się raz do roku na jednej demonstracji. Zeszłoroczne manifestacje bardzo związkowcom pomogły, poprawiły ich

postrzeganie przez opinię publiczną – to jest fakt bezsporny. Chodzi jednak o to, że nie poszli za ciosem. Nie udało się stworzyć stabilnej przeciwwagi dla racji „kapitału”, czego dobrym miernikiem jest to, że gdy w Polsce pojawia się jakiś problem gospodarczy, to dziennikarze dzwonią do ekonomistów bankowych czy do ekspertów Lewiatana. Nawet gdyby chcieli zadzwonić do związków zawodowych, to nie wiedzą, na jaki numer.

- **Cofnijmy się jeszcze do 1989 r. Czy prowadząc negocjacje z władzą, reprezentanci Komitetów Obywatelskich kogoś jeszcze reprezentowali? Czy posiadali jakąkolwiek legitymację? Czy posiadała ją zrekonstruowana po okrągłym stole „Solidarność”?**

- Gremia odpowiedzialne za „reprezentowanie społeczeństwa” budowane były w 100% na zasadzie kooptacji. Selekcjonerem był Bronisław Geremek. Jego decyzje zatwierdzał Lech Wałęsa, ale Geremek świetnie wiedział, jak te decyzje kształtować, żeby Lech uznał je za swoje. Przy czym nie chcę tu powiedzieć, że Wałęsa był marionetką. Celem było stworzenie takiej drużyny, o której będzie można powiedzieć, że „reprezentuje opozycję”, ale trochę okroi się jej skrzydła. Pamiętam na przykład zabiegi wokół Moczulskiego – którego *notabene* szczerze nie lubię. Mówiło się mu na boku: „Wiesz, komuniści się nie zgodzą na twój udział, a musimy coś z nimi załatwić, więc zostaniesz za drzwiami”. On trochę się godził, trochę się nie godził, różnie bywało. Tak ta kooptacja wyglądała. Kilka osób się przeciwko temu zbuntowało: w czerwcowych wyborach nie uczestniczyli przecież ani Jan Olszewski, ani Tadeusz Mazowiecki, ani Wiesław Chrzanowski, wszyscy pod tym samym hasłem, że nie chcą być „mianowaniami”.

- **Przychodzi mi do głowy być może naiwne pytanie: dlaczego nie zdecydowano się na nawiązanie dialogu ze społeczeństwem, na ustalenie, czego ludzie tak naprawdę chcą, na zbudowanie więzi prawdziwej reprezentacji, kiedy po latach otworzyła się taka możliwość? Przecież taka droga mogła się politycznie opłacić.**

- To, co działo się przy okrągłym stole i w Magdalence, to było coś więcej niż nieestetyczny obrazek. To było rzeczywiście zacieśnianie związków między elitami ponad głowami ludzi. Była wśród tych elit – i utrzymuje się nadal – olbrzymia pycha: przekonanie, że „lud jest ciemny”, a my niesiemy kaganek oświaty, robimy to, co słuszne. To widać w różnych reakcjach na próby realizowania demokracji od dołu, ostatnio np. wobec inicjatywy referendum w sprawie podwyższenia wieku emerytalnego. Ten czynnik odgrywał już wtedy wielką rolę, a ci, którzy ten punkt widzenia wyznawali, stanowili ogromną większość

we wszelkich gremiach decyzyjnych. Kontrolowali grę i kontrolowali zasady tej gry. Być może zresztą nie wykazałem w tamtym czasie wystarczającego charakteru. Ale gdybym wykazał, to bym po prostu wyleciał dużo wcześniej, i tyle.

- **Taki tryb wyłaniania się nowej, legalnej opozycji wyjaśnia chyba w jakiejś mierze fakt, że z jej łona nie wyszła, u progu nowej Polski, niezależna formacja lewicowa. Opozycja demokratyczna, przez wiele lat oparta na ruchu robotniczym, wyzwoliła się z jakiegokolwiek zależności od niego.**

- Przypominam to, o czym mówiliśmy wcześniej, że dawna elita opozycyjnej „lewicy” odrzuciła postulaty socjalne, bo tak naprawdę nigdy nie były one dla niej ważne. Do tego dołożył się klimat intelektualny, jaki panował wtedy w całej Europie. Ale mechanizmy tworzenia nowych sił politycznych, gry prowadzone przez byłych opozycjonistów, też na pewno miały w tym swój udział. Pamiętam moje rozmowy z Bronisławem Geremkiem, poprzedzające głosowania w sprawie planu Balcerowicza. Byłem wtedy przewodniczącym Komisji Budżetowej Sejmu, do której teoretycznie cały pakiet powinien trafić. Geremek mnie poprosił i powiedział: „Słuchaj, wiesz, to trzeba szybko przepchnąć dalej, ja wiem, tobie się to nie będzie podobać, ale ja mam pomysł. Powołamy komisję nadzwyczajną”. Ale też to, co było w tej rozmowie dla mnie ważne i otwierające oczy, to stopień jego „zaczadzenia” dominującą na zachodzie ideologią neoliberalną. Proszę pamiętać, że to był czas Thatcher, a potem Blaira i Schrödera, czas, kiedy socjaldemokracji w tradycyjnym sensie właściwie nie ma. A Bronisław Geremek, który miał mnóstwo kontaktów przede wszystkim w tamtym środowisku, odbierał jednoznaczne przesłanie: to i to jest rozsądne, poprawne. Do tego dochodzą oczywiście okoliczności związane z presją Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Przyjechał senator Dole, republikanin, późniejszy kandydat na prezydenta, i obiecał różne rzeczy. Soros z Geremkiem sprowadzili do Warszawy Sachsa. Był wreszcie Wałęsa, któremu też interesy robotnicze i socjalne nigdy nie leżały specjalnie na sercu, który grał zawsze o własną pozycję. Za zwycięstwem linii Balcerowicza stała zatem olbrzymia przewaga instytucjonalna, personalna i intelektualna.

- **W swoich wspomnieniach odrzuca Pan tezę, że plan Balcerowicza został nam „wciśnięty” z zewnątrz.**

- Proszę mnie źle nie zrozumieć: plan Balcerowicza był klasycznym „programem dostosowawczym”, zbliżonym do tego, co w wielu krajach – z różnym skutkiem – stosował Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Nacisk z tamtej strony oczywiście był.



© Leszek Balcerowicz, źródło: wikipedia.org

Rozwiązania nie zostały Balcerowiczowi narzucone w tym tylko sensie, że nacisk nie był potrzebny. On po prostu chciał tego samego, co środowiska neo-liberalne. Karol Modzelewski przywołuje w swojej książce wspomnienia ówczesnego szefa Banku Światowego, Michaela Bruno, który dziwił się, że Balcerowicz wybrał najradykałniejszą wersję programu, jaką Bank Światowy mu zaproponował. Wybrał ją, bo po prostu był bardziej liberalny niż Bank Światowy (a wtedy jeszcze – potem się to zmieniło – BŚ miał bardzo liberalną linię).

- Jak Pan oceniał wówczas i jak ocenia dzisiaj tezy o bezalternatywności planu Balcerowicza?

- Alternatywa w rozumieniu intelektualnym z całą pewnością istniała. Nie było jednak łatwo z przełożeniem tej alternatywy na poziom polityczny, bo wszystkie ręce były na liberalnym pokładzie. Rok 1990 to apogeum potęgi ekonomii neoliberalnej. Mamy do czynienia z sytuacją, w której z każdego, kto nie jest zwolennikiem teorii Miltona Friedmana, robi się po prostu głupca, nie rozumiejącego, jak działa gospodarka. Ten mechanizm w Polsce był szczególnie silny. I na poziomie politycznym rzeczywiście nie było alternatywy. Okazało się, że w czasach rewolucji nie wybiera się drogi ewolucji. A byłem przekonany – i jestem nadal – że zarówno w sensie prakseologicznym, jak i ze względu na wierność solidarnościowym wartościom, ewolucja byłaby lepszym rozwiązaniem. Gdyby jednak jakimś cudem udało się zacząć od ewolucji – co przy innym splocie okoliczności mogło się wydarzyć, na przykład wydarzyło się na Węgrzech – drugi etap należałoby do liberalnych radykałów. Uwarunkowania były bowiem takie, że nawet na drodze ewolucyjnej koszty byłyby wysokie – mniejsze niż te, które ponieśliśmy realnie, ale zawsze można było

powiedzieć: „to dlatego, że nie idziecie ostro”. Był teoretycznie jeden czynnik, który miał szansę ten rozwój wydarzeń ukształtować nieco inaczej: gdyby strona komunistyczna rzeczywiście chciała innej polityki, nie tylko deklaratywnie. Niestety – oni mówili różne rzeczy z trybuny, ale kiedy przychodziło do kluczowych głosowań, to wszyscy karnie podnosili ręce „za”. Przecież oni mieli $\frac{2}{3}$ w tym pierwszym Sejmie. Gdyby naprawdę chcieli bronić niektórych „osiągnięć” PRL-u albo przynajmniej szukać bardziej umiarkowanej drogi do kapitalizmu, wtedy być może i po naszej stronie pojawiliby się partnerzy i powstałby realny antagonizm. Bo trzeba pamiętać o tym, że gabinet Mazowieckiego nie miał w parlamencie opozycji. Wszystkie ówczesne kluby i koła miały reprezentację w rządzie.

- To na czym mogłaby polegać transformacja „ewolucyjna”, terapia bez szoku, „plan Bugaja”?

- Różnice między tym, co proponował wtedy Leszek Balcerowicz, a tym, co ja bym uznał za racjonalne, nie były dramatyczne. Przede wszystkim nie znosiłbym tak gwałtownie i szybko dotacji państwowych. Rozłożyłbym ten proces na dłuższy czas. Postawiłbym na proces naprawy przedsiębiorstw państwowych. Z tego niestety zrezygnowano, uznając w pewnym momencie, że „jedyną dobre przedsiębiorstwo państwowe to martwe przedsiębiorstwo państwowe”, że wszystko musi być prywatne, choć na początku Balcerowicz był ostrożny. Zakładał, że pierwsza fala prywatyzacji powinna zrealizować się wśród małych przedsiębiorstw, przede wszystkim w ramach tzw. prywatyzacji założycielskiej. Rozmawiałem o tym z Balcerowiczem, ale nadal nie wiem, co skłoniło go do zmiany strategii. Podejrzewam, że początkowo powodem powściągliwości mogły być obawy przed oporem politycznym i pracowniczym w dużych przedsiębiorstwach. Gdy okazało się, że potencjał buntu nie jest wysoki, poszedł na całość.

Wbrew temu, co wielu twierdzi, bilans transformacji nie jest najlepszy. Ogromny majątek, który był własnością publiczną, własnością społeczeństwa, rozpląnął się – został bardzo tanio sprzedany. Stopa wzrostu gospodarczego, na tle innych państw bloku, była niezła, ale już na tle tempa wzrostu, jakie osiągnęły gospodarki zachodnioeuropejskie w latach 60. – nie mówiąc o Dalekim Wschodzie – kiepska. Do tego ogromne strukturalne bezrobocie, drastyczny wzrost nierówności i, przede wszystkim, marne perspektywy na przyszłość w długim okresie. Dlatego warto było próbować inaczej.

- Mimo niesprzyjających okoliczności podjął Pan w 1991 r. próbę stworzenia „lewicy solidarnościowej”. Do wyborów stanęła Solidarność Pracy, Pana

pierwsze ugrupowanie. Dlaczego nie było koalicji z innymi środowiskami niezależnej lewicy: PPS-em, Ruchem Demokratyczno-Społecznym?

- Nie było z kim robić takiej koalicji. RDS to było pięć osób na krzyż. Nie bez przyczyny to doświadczenie doprowadziło nas do przekonania, że jakaś forma współdziałania ze środowiskami postkomunistycznymi jest nieunikniona. PPS przeszedł zresztą pod tym względem podobną drogę co Unia Pracy, z tą różnicą, że dużo wcześniej i szybciej doszło do ich wasalizacji przez obóz postkomunistyczny. Największą barierą dla naszej współpracy z PPS-em było przekonanie – moje i moich kolegów z SP – że sięganie po sztandary, które spoczywają w muzeum od kilkudziesięciu lat, jest politycznym samobójstwem, że można się odwoływać do dziedzictwa i do ludzi, ale nie można przywrócić bytu instytucjom. Oni uważali, że na tym właśnie zbudują gmach. Nie zbudowali. To przywiązanie było silne i napędzane dodatkowo przez weteranów dawnej PPS, ludzi takich jak Lidia Ciołkoszowa, którzy w ten szyld wierzyli i którzy dawali poczucie ciągłości. Mnie się wydawało, że przede wszystkim trzeba wychodzić od realnie istniejących problemów i od realnej świadomości społecznej. Bardzo bliskie jest mi podejście, które reprezentuje np. Tony Judt: że z jednej strony idea socjaldemokratyczna jest nadal aktualna, lecz jednocześnie wymaga ona pewnych rewizji i zmian. Ale podstawowym problemem była niemal zupełna pustka personalna, jaka zapanowała na lewicy po tym, jak środowiska post-komandoskie odpłynęły do świata liberalnego. Pamiętam, jak zakładaliśmy wtedy Fundację Polska Praca. Zbierałem na nią pieniądze od pojedynczych ludzi. I była tylko jedna osoba, do której zwróciłem się o wsparcie, która mi odmówiła – był to Adam Michnik. „Gazeta Wyborcza” nas – Solidarność Pracy, potem Unię Pracy – bardzo mocno sekowała. Wszystkie siły zostały skoncentrowane na rzecz budowy aliansu liberalnego. I tak już zostało – aż do wybuchu kryzysu w 2007 r., kiedy liberałowie zaczęli trochę przewartościowywać swoje stanowisko.
- **Słabość jakichkolwiek tendencji lewicowych w 1989, 1990 r. nie ulega wątpliwości. Ale jednak jacyś potencjalni sojusznicy byli – oprócz wymienionych wcześniej ugrupowań przede wszystkim związki zawodowe, a z drugiej strony np. kontrkulturowe środowiska młodzieżowe uformowane w ostatnich latach opozycji.**
- Pytanie, czy ta ostatnia grupa była dla nas „do wzięcia”, jest ciekawe. Pomijając jednak wątpliwość, czy był tam jakikolwiek stopień wewnętrznej spójności ideowej, czy to nie były jedynie przypadkowe grupki, to słusznie Pan zauważył, że były one dość kontrkulturowe. Na przełomie lat 1992-1993, w początkach

Unii Pracy, bardzo silnie akcentowaliśmy stanowisko antyklerykalne. Godziłem się na taką strategię, choć bez entuzjazmu – *notabene* strasznie nas za ten antyklerykalizm krytykowała wtedy „Gazeta Wyborcza”. Dla mnie podstawowym doświadczeniem formacyjnym i źródłem największych życiowych satysfakcji była jednak „Solidarność”, w której z pewnością nie było miejsca na ruchy kontrkulturowe, postrzegane jako lewackie. W związku z tym uważałem, że wcześniej czy później, jeżeli w Polsce ma coś iść w tym kierunku, w którym miałem nadzieję, że będzie szło, to nie można ze związkiem wejść w konflikt. My jako Unia Pracy nigdy z nim w konflikt nie weszliśmy, chociaż z drugiej strony niewiele było niestety elementów współpracy. Jednym z nielicznych wyjątków były prace nad konstytucją.

- **Lata 90. to chyba jedyny moment w Pana życiorysie, kiedy wychodzi Pan z roli eksperta i próbuje swoich sił na arenie stricte politycznej. Wydaje się jednak, że pozostał Panu temperament eksperta, kogoś, kto waży racje. Czy szukanie równowagi powinno być zadaniem akurat dla polityka? Czy można zajmować się szukaniem równowagi i politykiem – a nie publicystą czy analitykiem – pozostać?**

- Mówią, że jestem ekonomistą dwuręcznym. To taki, który mówi: z jednej strony, z drugiej strony [śmiech]. To podejście utrudnia działanie w polityce. Ogromna większość ludzi ma skłonność, żeby patrzeć na procesy społeczno-gospodarcze ze znaczną dozą emocji. A jeżeli się patrzy na problem emocjonalnie, to łatwiej ustawić się po jednej lub drugiej stronie konfliktu. To, co obserwujemy teraz, w związku ze sporem Platforma – PiS, to niesamowita redukcja sceny politycznej. O ile w sprawach społeczno-gospodarczych żadna z tych partii mnie w żadnym stopniu nie zadowala, o tyle w wymiarze politycznym ewidentnie w wielu sprawach rozsądne stanowiska leżą pośrodku. Weźmy pierwszy postulat z brzegu: czy można zmniejszyć liczbę miejsc w parlamencie? Można. Czy można zmniejszyć o stu posłów? Nie można. Ale o 40 można. Jesteśmy skazani na poszukiwanie równowagi – i to nie raz na zawsze, bo w zmieniającym się świecie ten punkt równowagi jest w wiecznym ruchu.

Proszę spojrzeć na powojenną Europę Zachodnią. Zbudowano tam model państwa opiekuńczego, które nie kłóciło się z bardzo wysokim wzrostem gospodarczym. Ono było ukształtowane przez kooperację i twórczy spór między socjaldemokratami, liberałami i chadekami. Nie bez błędów, ale szli mniej więcej, patrząc w historycznej perspektywie, ścieżką środka. Potem się to pogorszyło. Na początku w Anglii zbyt daleko poszli, moim zdaniem, laburzyści i związki zawodowe. Potem druga strona odreagowała to w odwrotnym kierunku. Był taki czas, kiedy progresja

podatkowa sięgała tam 90%. Dzisiaj Hollande, który chciał wprowadzić 75%, wydaje się radykałem. Także w rewolucji neoliberalnej, zapoczątkowanej przez Ronalda Reagana i Margaret Thatcher, nie było miejsca na umiar. Nie było próby korekty państwa dobrobytu, tylko całkowite jego odrzucenie. Wieloletnia dominacja ideologii neoliberalnej pozostawiła za sobą spustoszenie intelektualne. Dlatego uważam, że w przyszłości nie powinniśmy rezygnować z bardziej kompromisowego stylu uprawiania polityki. Zawsze miałem świadomość, że w sprawach społecznych i gospodarczych ekspertyza w znacznej mierze wyrasta z aksjologii, opiera się o jakieś założenia, które nie podlegają weryfikacji intelektualnej. Ale to nie znaczy, że pomiędzy aksjologiami nie może być pola do dialogu.

Bardzo niepokoję się w tym kontekście o polską przyszłość. Martwi mnie, że obie dominujące partie przyznają absolutny priorytet posiadaniu władzy. Z tego wynika przymus dostosowywania się do bieżących, zmiennych nastrojów społecznych. Jednocześnie w tym systemie niesłuchanie ostro grają lobbyści. Wystarczy spojrzeć np. na sprawę zakupu Pendolino. Koszt poniesiony do tej pory to prawie 3 miliardy zł. Żeby mogło jechać 250 km na godzinę, to na modernizację trzeba będzie pewnie dodać jeszcze z 10 mld zł. I co osiągniemy za te 12 czy 15 mld? Że kilkanaście tysięcy ludzi będzie jechać z Warszawy do Gdańska 20 minut krócej. Mówimy o kraju, w którym nie ma zarazem żadnego publicznego programu budownictwa mieszkaniowego. Bo tzw. mieszkania dla młodych to jest w istocie program dla deweloperów, a zainwestowane w niego pieniądze, w skali kraju, są marginalne.

- Taka sytuacja i taka filozofia władzy rodzą określone emocje w społeczeństwie. Czy można w demokratycznej polityce abstrahować od tych emocji?

- Można w tym sensie, że istnieje szansa perswazji. Zresztą wierzę, że podstawowe przyczyny mojej politycznej porażki leżą gdzie indziej. Przede wszystkim w zamknięciu sceny politycznej. Byłem przy tym, gdy ona się zamykała, za sprawą zabiegów Unii Wolności, SLD i KPN-u. Ta egzotyczna koalicja wprowadziła liczenie głosów metodą d'Hondta i pięcioprocentowe progi wyborcze. 5% w Polsce to dużo – półtora miliona wyborców. Potem wprowadzono jeszcze finansowanie partii z budżetu. Jestem gorącym zwolennikiem tego rozwiązania, ale nie w aż tak wysokich kwotach! Droga dla „nowych” została skutecznie zamknięta. Są oczywiście rozłamy, ale politycy rozłamowi są traktowani przez wyborców jako niewiarygodni – i słusznie. Dlaczego ktoś miałby głosować na Solidarną Polskę, a nie na PiS? Dlaczego ktoś miałby wybrać Gowina zamiast Tuska? Ja nie

widzę dobrego powodu. W efekcie demokracja jest ograniczona – w koszyku mamy określonych ludzi i określone partie i tylko w ramach tego zestawu może dochodzić do przetasowań.

- W pierwszych kadencjach po przełomie istotne kryterium podziału sceny politycznej stanowił stosunek do rozliczeń z PRL-em. Erupcja tego konfliktu nastąpiła za rządu Olszewskiego. Jak wobec tego sporu odnajdywała się Pańska formacja polityczna i czy dzisiaj nadal odgrywa on istotną rolę?

- Zawsze wydawało mi się, że są racje moralne przemawiające za tym, aby przeszłość została odsłonięta, żeby zostały ujawnione także czyny niegodne, ale nie kryję, że długo wydawało mi się, iż nie jest to sprawa fundamentalna. Częściowo pogląd zmieniłem. Myślę, iż to, co pokazały różne publikacje, m.in. IPN-owskie, udowodniło, że lustracja była w Polsce bardzo potrzebna. Jeżeli na zjeździe „Solidarności” w 1981 r. było 8% tajnych współpracowników SB, to taka grupa, jeśli działa zgodnie, może być w wielu głosowaniach języczkiem u wagi. Nie mówiąc już o wpływie nieformalnym, o prowokacjach, dezintegrowaniu środowisk itp. Pytanie brzmi: czy dziś jeszcze można do lustracji wrócić w sposób sensowny? Chyba byłoby to coraz trudniejsze. Jestem zwolennikiem być może dość prymitywnego modelu lustracji, to znaczy po prostu otwarcia archiwów – może z zastrzeżeniem pewnych informacji wrażliwych, o charakterze osobistym. Przy czym przed właściwym ujawnieniem danej teczki byłaby ona ujawniana głównemu zainteresowanemu, który miałby prawo dołączyć do niej swoje wyjaśnienie. Teoretycznie byłoby to jeszcze do zrobienia, ale wydaje się, że prawdopodobieństwo zrealizowania tego scenariusza nie jest duże. Jeśli natomiast chodzi o postulat dekomunizacji i kwestię odpowiedzialności politycznej za okres PRL-u, to powiem tak: zwalczałem klasyczne ustawy dekomunizacyjne – te, które przewidywały, że od określonego szczebla w górę działaczom PZPR odbierałoby się prawo uczestnictwa w życiu publicznym. Kłóciły się one z moimi własnymi doświadczeniami z okresu PRL-u. Jesteśmy w tej chwili na terenie Instytutu Nauk Ekonomicznych PAN, który zakładał w roku 1982 Józef Pajestka, członek Komitetu Centralnego PZPR, porządny człowiek, który mnie i innych ludzi związanych z opozycją tu przygarnął. On uważał, że trzeba prowadzić grę w tych realiach, z którymi ma się do czynienia. Miał sporo zasług. Nie widzę powodu, żeby tacy jak on mieli być z mocy prawa na politycznym aucie.

Nieszczęściem dla post-autorytarnego państwa było natomiast narzucenie nam przez prawników zasady „prawo nie działa wstecz”. To ona prowadzi do tego, że sprawy przeciwko generałowi Jaruzelskiemu

muszą opierać się o naruszenia prawa PRL-u. Czyli na przykład za złamanie konstytucyjnej zasady równości roli partii - poprzez przejęcie władzy przez WRON w stanie wojennym [śmiech]. Czyli sądy niepodległej Rzeczypospolitej zaświadczać w jakimś sensie, że dyktatura partii komunistycznej jest dobra, a WRON-a jest zła. Kompletny nonsens. Dlatego skłaniałbym się raczej do rozwiązania tego problemu w duchu Norymbergi - oczywiście bez szubienic, a nawet przeciwnie, z abolicją. Ale z abolicją po osądzeniu, a nie zamiast osądzenia. Osądzenia na podstawie czego? Na podstawie stworzonych *post factum* norm: że pewne działania, naruszające elementarne prawa człowieka, muszą się wiązać z odpowiedzialnością sądową. Być może skazanym za takie naruszenia powinno się też odbierać prawo do uczestnictwa w życiu publicznym. Niestety w Polsce nikogo spośród najwyższej rangi decydentów (także mających krew na rękach) nie skazano.

Jestem przekonany - inaczej niż chociażby Karol Modzelewski, który twierdzi, że na transformacji wiele zyskaliśmy, ale też wiele straciliśmy - że na obaleniu komunizmu nie można było stracić, natomiast nie powstało z całą pewnością Królestwo Boże. Wielu ludzi jest jednak przekonanych, że na transformacji zrobiliśmy zły interes *per saldo*. Jedną z przyczyn jest brak świadomości, że niezależnie od tego, co komunizm dawał, a czego nie - a dawał straszliwie mało w każdej niemal dziedzinie - przede wszystkim ten ustrój nie miał po prostu zdolności rozwojowej i w związku z tym nie gwarantował nawet utrzymania istniejącego standardu. Gdyby trwał, trzeba byłoby bardzo mocno obniżyć poprzeczkę. Z nieświadomości tego bierze się chociażby popularność Edwarda Gierka - ludziom wydaje się, że komunizm mógł pozostać taki jak za jego rządów: względnie łagodny, z tanimi wczasami, z liberalizacją reżimu paszportowego.

- **Mimo opozycyjnej przeszłości i dystansu do ustroju PRL-u współzakładał Pan i został pierwszym przewodniczącym Unii Pracy, która wzięła kurs na przekroczenie historycznego podziału. Czy z perspektywy czasu uznaje Pan, że to był słuszny kurs?**
- Dziś mam wątpliwości, czy był słuszny, ale niewiele to zmienia - w tamtym czasie, bez takiego otwarcia, stworzenie silnej lewicowej formacji nie było możliwe. Panowała atmosfera oczekiwania na tego rodzaju przełom. Zaczynaliśmy pod hasłem: „Niejedna droga wiodła do wolnej Polski”. Gdybyśmy startowali pod szyldem dawnej opozycji, to prawdopodobieństwo, że byłby to start skuteczny, byłoby niewielkie. Paradoks tkwi w tym, że to, co było niezbędne dla sukcesu Unii Pracy, stanowiło jednocześnie załączek jej przyszłego upadku - choć wtedy

tego nie dostrzegałem. Okazało się, że ludzie związani z tamtym systemem bardzo silnie zdominowali partię. Nie doceniłem siły ciężenia starych układów i starych lojalności. Nie przyszło mi do głowy, że dla zachowania równowagi w partii konieczna byłaby twarda polityczna gra, kontrolowanie składu gremiów kierowniczych itp.

Kilka razy stanąłem przed pytaniem, czy chcę to ciągnąć dalej. Namawiany przez znaczną część kolegów odpowiadałem sobie, że tak, licząc, że przyjdzie moment, kiedy te proporcje ulegną zmianie i ukształtuje się inny układ sił. To nie nastąpiło, przeciwnie - Tomasz Nałęcz i Marek Pol (oba po aktywnych przejściach w PZPR) *de facto* podporządkowali Unię Pracy postkomunistom. Teraz partia praktycznie nie istnieje. Parę ważnych rzeczy udało się jednak wcześniej zrobić. Zapisy, które wprowadziliśmy do konstytucji - „społeczna gospodarka rynkowa”, rozbudowany rozdział o prawach socjalnych - są na razie „zamrożone”, ale jestem przekonany, że prędzej czy później okaże się, że są to realne aktywa. Współtworzyliśmy także pierwszą ustawę lustracyjną - daleką od ideału, ale przełamującą nieco opór przed „rozgrzebywaniem przeszłości”.

- **Jakkolwiek postkomuniści lubili się publicznie kreować na kontestatorów transformacji, to chyba należy uznać ich przede wszystkim za wpływowy podmiot i siłę sprawczą w tym procesie.**
- Schyłkowy okres PRL-u był czasem bez idei, układem opartym na władzy i korzyściach z władzy, niczym więcej. Dlatego też dawna nomenklatura z najwyższą łatwością przyjęła nowy kanon ideologii gospodarczej, nową ortodoksję. Modzelewski w swojej książce pisze, że to my - strona solidarnościowa - popchnęliśmy postkomunistów w tym kierunku. Tymczasem wszystko, co na ten temat wiem, wskazuje na to, że oni tam chcieli iść sami. Choć mieli jednocześnie świadomość, że w ich interesie jest publicznie ten program krytykować. Między wyborami 4 czerwca a powołaniem rządu Mazowieckiego opracowano w strukturach Ministerstwa Finansów program transformacji gospodarki, który był jeszcze bardziej liberalny, jeszcze bardziej radykalny niż projekt Balcerowicza - i stało się to bez udziału polityków postsolidarnościowych (doradzał im za to np. Stanisław Gomułka z Londynu). Jako jeden z niewielu jestem w posiadaniu tego dokumentu.
- **Czy Pana zdaniem SLD jest już skazane na rolę alian-ta, a w najlepszym wypadku satelity obozu liberalnego?**
- Myślę, że SLD jest po prostu integralną częścią obozu liberalnego. Oczywiście teraz są w opozycji,

a ponadto po kryzysie zmienił się klimat, neoliberalna doktryna jest raczej w defensywie. Wszystko to przesądza, że partia postkomunistyczna może głosić socjalne hasła. Nie sądzę jednak, żeby to był poważny zwrot. Jest wysoce prawdopodobne, że po wyborach powstanie koalicja PO-SLD. Już dochodzi zresztą między nimi do integracji. Miller - jak sądzę - będzie wykorzystywał „lewicowe postulaty”, by od partnera wynegocjować możliwie dużo stanowisk dla SLD.

- **Mówi się czasem, że w rezultacie niewykształcenia się w III RP lewicy społecznej z prawdziwego zdarzenia jedyni realnie zainteresowani problemami „przegranych polskiej transformacji” znaleźli się na prawicy. Po drugiej stronie medalu mamy jednak reformy Buzka czy dorobek Zyty Gilowskiej. Jak ocenia Pan wiarygodność socjalnej retoryki prawicy, biorąc pod uwagę własne doświadczenia współpracy z Lechem Kaczyńskim oraz Prawem i Sprawiedliwością?**

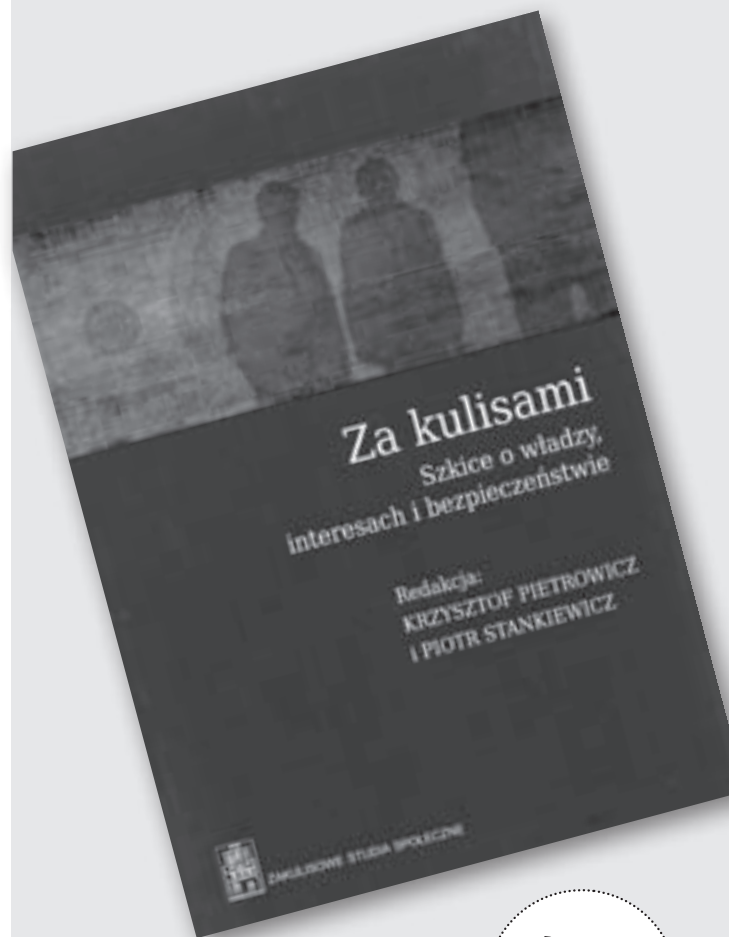
- Nie ze wszystkim zgadzałem się ze śp. Prezydentem, ale był to bez wątpienia człowiek z rozwiniętą wrażliwością społeczną. Był moim zdaniem rzecznikiem interesów „zwykłych ludzi”. W większym stopniu niż wielu innych z dawnej opozycji pozostał wierny solidarnościowej tożsamości. PiS i Jarosław Kaczyński mieli chyba bardziej taktyczny stosunek do kwestii społecznych. Zapowiedzieli Polskę Solidarną, ale egzekutorką tego hasła była Zyta Gilowska, która była przecież postacią symboliczną dla Polski Liberalnej. W praktyce polityka rządu była podporządkowana zasadzie: Panu Bogu świeczkę (np. ulgi rodzinne) i liberalnemu diabłu ogarek (zmiany w podatku PIT). Jak będzie w przyszłości - nie wiem.

- **Jakie widzi Pan w tym kontekście perspektywę dla rozwoju społeczno-gospodarczego Polski?**

- To bardzo szerokie pytanie. Nie mogę tu na nie odpowiedzieć dostatecznie konkretnie. Powiem tylko: korekta polityki społeczno-gospodarczej jest bezwzględnie potrzebna. Najważniejsze jest ograniczenie nierówności narosłych po 1989 r. Sprzyjałoby to zarówno pobudzeniu wzrostu w krótkim okresie, jak i rozwojowi w dłuższej perspektywie. Na przeszkodzie tej korekcie nadal stoją jednak polityczne bariery. Grupy, które uzyskały uprzywilejowane pozycje w toku dotychczasowej transformacji, są bardzo wpływowe i egoistyczne. Nie jestem optymistą. Obawiam się raczej daleko idącej destabilizacji społecznej.

- **Dziękuję za rozmowę. ✂**

Warszawa, styczeń 2014 r.



NOWY
OBYWATEL
POLECA

Praca zbiorowa pod red.
Piotra Stankiewicza
i Krzysztofa Pietrowicza

Za kulisami. Szkice o władzy, interesach i bezpieczeństwie

Działania intencjonalnie ukrywane stanowią integralną część świata społecznego. Bez uwzględnienia tego wymiaru nie da się wiele powiedzieć o władzy, interesach i bezpieczeństwie. Tymczasem obszary zakulisowe znajdują się na marginesie dominujących nurtów badawczych.

Wydawnictwo Zysk i S-ka

Książka jest dostępna w sklepie wydawcy:
<http://www.sklep.zysk.com.pl/>

Ćwiczenie z demokracji?

Lokalne konflikty na tle gazu łupkowego

DR PIOTR STANKIEWICZ, JOANNA SUCHOMSKA

Rozpoczęcie pod koniec ubiegłej dekady poszukiwań gazu łupkowego w Polsce przyczyniło się nie tylko do rozbudzenia nadziei na „łupkowe eldorado”, ale także stało się przedmiotem wielu kontrowersji. W okolicach planowanych odwiertów protestowali mieszkańcy, nierzadko zaskakiwani podejmowanymi badaniami sejsmicznymi i przygotowaniami do wierceń. Na poziomie ogólnopolskim i międzynarodowym organizacje ekologiczne zainicjowały kampanię dotyczącą szkodliwości szczelinowania hydraulicznego. Dość szybko (i dla wielu obserwatorów nieoczekiwanie) to, co miało być nadzieją polskiej energetyki, dołączyło do grona kontrowersji wywołujących opór społeczny i konflikty.

W tym miejscu pojawia się pytanie o dynamikę opisanego procesu: czy obawy o ewentualną szkodliwość nowych rozwiązań technologicznych muszą przeradzać się w zaciekle spory, z podziałem na „zwolenników” i „przeciwników”, szybko okupujących się po dwóch stronach barykady i zwalczających wszelkimi metodami, gotowymi raczej zginąć, niż przyznać rację drugiej stronie? Socjologiczna literatura na temat konfliktów opiera się m.in. na założeniu, że zjawiska te mogą pełnić pozytywną funkcję i prowadzić do zwiększania się dobra wspólnego w społeczeństwie. Celnie ujmując to metafora konfliktu jako zderzenia, podczas którego wytwarzana jest pewna energia. Może ona mieć destrukcyjny lub konstruktywny charakter, zależnie od tego, jak zostanie wykorzystana i ukierunkowana. Może służyć krystalizacji i artykulacji

interesów przez pewne grupy społeczne, których członkowie uświadamiają (lub po prostu przypominają) sobie, jaką wartość ma dla nich np. krajobraz, szczególnie w regionach atrakcyjnych turystycznie. Może pomagać w integrowaniu wspólnoty wokół pewnych wartości, pozwalając na „policzenie się” i odczucie, że nie jest się osamotnionym w swojej postawie. **Konflikty i ich pozytywna energia mogą służyć także aktywizacji i upodmiotowieniu obywateli. Ilekć lokalnych stowarzyszeń ma swoje źródła w spontanicznych akcjach sprzeciwu wobec kontrowersyjnych inwestycji na ich terenie? Podobnie konflikty są poligonem doświadczalnym społeczeństwa obywatelskiego, na którym uczy się działania publicznego, kształtuje aktywne postawy w sferze publicznej. Dlatego przebieg sporu o gaz łupkowy można traktować jako swoiste ćwiczenie, w którym**



©©© Vertigogen, flickr.com/photos/vertigogen/13204389665/

jak na dłoni widać słabości i braki naszej kultury demokratycznej.

Początek publicznego zainteresowania gazem łupkowym w Polsce datuje się na ok. 2010 r., gdy zostały już wydane licencje poszukiwawcze oraz rozpoczęły się badania sejsmiczne i pierwsze odwierty próbne. Proces wydawania licencji na poszukiwanie i rozpoznawanie złóż gazu łupkowego zaczął się w Polsce w 2007 r., a do 2010 r. ich liczba prawie się podwoiła – z 51 do 94. Licencje zostały przyznane ponad 20 firmom państwowym, częściowo państwowym (jak PGNiG, Orlen Upstream, LOTOS) i międzynarodowym (jak Chevron czy Lane Energy). Organem odpowiedzialnym za wydawanie licencji – na razie tylko poszukiwawczych – jest Ministerstwo Środowiska.

Przewiduje się, że Polska ma największe zasoby tego surowca w Europie. Amerykańska Agencja

Informacji Energetycznej podała w raporcie z kwietnia 2011 r., że złoża gazu łupkowego w Polsce szacuje się na 5,3 bln m³. Te optymistyczne przewidywania zweryfikował Polski Instytut Geologiczny, który oszacował, że mogą one stanowić od 346 do 768 mld m³. Z kolei niezależne instytucje badawcze, takie jak Rystad Energy, Wood Mackenzie czy Advance Research Institute, oszacowały złoża na około 1 do 3 bln m³. Obecnie, póki nie znamy wyników działań poszukiwawczych z próbnych odwiertów, trudno jednoznacznie określić ilości gazu, jakie będą mogły być wykorzystywane komercyjnie.

Złoża w Polsce położone są w północnej i południowo-wschodniej części kraju, stąd też najwięcej wydanych licencji poszukiwawczych znajduje się na Pomorzu (42 wydane licencje poszukiwawcze, w tym również na obszarach morskich,

oraz 27 wykonanych odwiertów próbnych) oraz na Lubelszczyźnie (23 wydane licencje w samym woj. lubelskim, w tym 23 wykonane odwierty próbne). Do sierpnia 2012 r. Ministerstwo Środowiska wydało 111 koncesji na poszukiwanie gazu łupkowego w Polsce. Najwięcej koncesji otrzymały: spółka Skarbu Państwa PGNiG (15), Petrolinvest (14), Marathon Oil Company (11), 3Leg Resources (9), Orlen Upstream Sp. z o.o. (7) i BNK Petroleum (6). Według stanu na 1 lutego 2014 r. w Polsce obowiązują 93 koncesje na poszukiwanie lub rozpoznawanie złóż węglowodorów, w tym gazu z łupków. Koncesje te zostały udzielone na rzecz 34 polskich i zagranicznych podmiotów (koncesjonariuszy). Do 1 lutego 2014 r. koncesjonariusze wykonali 56 otworów rozpoznawczych. Zmniejszenie liczby obowiązujących koncesji wynika z wycofania się części koncesjonariuszy z działań poszukiwawczych (na co w dużym stopniu wpływa ciągły brak jednoznacznych uregulowań w polskim prawie) oraz wygasania okresu obowiązywania poszczególnych koncesji.

Polskie społeczeństwo jest raczej pozytywnie nastawione do poszukiwań i wydobywania gazu łupkowego. Poparcie dla wydobywania wyraża 59% osób będących sąsiadami koncesji wydobywczych oraz 78% osób na terenie kraju. Na obszarach koncesji wydanych na północy Polski 76% mieszkańców Pomorza popiera wydobywanie gazu z łupków - takie dane wynikają z badań przeprowadzonych przez PBS na zlecenie PGNiG w styczniu 2013 r. Z kolei z badań TNS Polska, które objęły region Lubelszczyzny, wynika, że poparcie dla wydobywania deklaruje 88% mieszkańców tego regionu wydobywczego.

Pomimo tak wysokiego ogólnego poparcia społecznego dla wydobywania gazu łupkowego pojawiają się na tym tle lokalne akcje sprzeciwu, często wspomagane przez organizacje obywatelskie. Pierwsze protesty społeczności lokalnych i dyskusje dotyczące gazu łupkowego datują się na 2011 r., gdy koncesjonariusze rozpoczęli badania sejsmiczne na terenie niektórych koncesji. W reakcji na nie uaktywniły się miejscowe organizacje społeczne i ekologiczne, głównie na Pomorzu i Lubelszczyźnie. Niektóre z nich zostały powołane specjalnie w celu zainicjowania publicznej debaty o gazie łupkowym. Swoje działania zaczęły od organizowania spotkań mieszkańców, na które zapraszały przedstawicieli ogólnopolskich organizacji ekologicznych, wspierających protesty przeciw działaniom firm poszukujących, a także przedstawicieli międzynarodowych organizacji lobbingowych, działających przeciw gazowi łupkowemu. Nie zabrakło również partii politycznych, takich jak Zieloni 2004 czy Ruch Palikota, organizujących seminaria i spotkania szkoleniowe dla działaczy.



© Vertigogen, Justin Woolford, flickr.com/photos/justinwoolford/6254795629/

Organizacje i skupieni w nich liderzy społeczni są inicjatorami różnych działań, w których jasno komunikują swoje stanowisko w obronie wspólnotowych interesów społeczności lokalnych. Przykładem takich działań może być inicjatywa pomorskiego Portalu Dziennikarstwa Obywatelskiego Głos Gryfa, który na swojej stronie internetowej zamieścił mapę sprzeciwu wobec wydobywania gazu łupkowego metodą szczelinowania hydraulicznego. Redakcja portalu zaprasza inne miejscowości do zgłaszania sprzeciwu wobec wydobywania oraz do „powiększania zasobów” mapy, tworząc tym samym swoistą koalicję przeciwników gazu łupkowego w Polsce. Warto także zwrócić uwagę na częstą praktykę wysyłania przez organizacje społeczne listów otwartych kierowanych do instytucji decyzyjnych. Wystarczy przywołać chociażby stanowisko Gdańskiego Stowarzyszenia Agroturystyki, które wystąpiło w obronie regionów turystycznych Pomorza, Kaszub i Kociewia, a także obszarów Natura 2000: *Nie zgadzamy się na eksploatację naszego Regionu w ten sposób, przyłączamy się do każdego protestu, który może przyczynić się do zaprzestania prac przy gazie łupkowym*. W styczniu tego roku organizacje ekologiczne wystosowały list otwarty do instytucji UE ws.



© greensefa, flickr.com/photos/greensefa/7999700918

wydobycia gazu z łupków, argumentując swój sprzeciw zagrożeniami, które może powodować wydobycie tego surowca, a także ws. braku reakcji po stronie decydentów: *Instytucje Unii Europejskiej opublikowały już raporty z badań pokazujących te zagrożenia. Są one świadome istnienia licznych poddanych ocenie środowiska naukowych badań, wskazujących na wielorakie niepokojące skutki szczelinowania hydraulicznego. Decydenci polityczni zdają się jednak celowo pomijać wszystkie z tych istotnych faktów. Co więcej, nawet opinie bezpośrednio dotkniętych społeczności są brutalnie ignorowane. Obecne przepisy prawne UE nie gwarantują ustawowego obowiązku oceny oddziaływania na środowisko w przypadku poszukiwania i wydobywania paliw niekonwencjonalnych na obszarze całej Europy, co oznacza całkowite pogwałcenie zasad europejskiej polityki środowiskowej, celów planowania regionalnego i fundamentalnych europejskich wartości.*

Jednym z najżywiej dyskutowanych w mediach konfliktów między mieszkańcami a koncesjonariuszem jest koncesja firmy Chevron w Żurawlowie na Lubelszczyźnie. Lokalna społeczność od 3 czerwca 2013 r. protestuje przeciwko poszukiwaniom gazu łupkowego, angażując wielu mieszkańców,

organizując blokady. Protest rozpoczął się, gdy mieszkańcy, głównie miejscowi rolnicy, zablokowali drogę wjazdową do działki wydzierżawionej pod koncesję, od tego czasu tworząc obóz protestujących. W listopadzie Chevron wytoczył pozew przeciw 13 mieszkańcom ze wsi Żurawłów, Rogów i Szczelatyn, którzy blokowali prace koncernu na działce wydzierżawionej przez niego w Żurawlowie. Firma wystąpiła na drogę sądową przeciwko osobom dopuszczającym się naruszenia prawa do dostępu do nieruchomości, którą dzierżawi w Żurawlowie, i wykonania tam zaplanowanych prac. Proces sądowy trwa nadal. W grudniu 2013 r. Ministerstwo Środowiska przedłużyło koncesję poszukiwawczą dla firmy do 2015 r., uwzględniając część postulatów protestujących mieszkańców.

Równie aktywnie protestującą grupą jest Stowarzyszenie Niesiołowice-Węsiory Kamienne Kręgi, działające na terenie gmin Stężycza i Sulęcyno na Kaszubach, które współpracuje z amerykańską Fundacją Food & Water Europe, a także francuską No Fracking France. Działacze stowarzyszenia regularnie wysyłają pisma protestacyjne do Ministerstwa Środowiska oraz petycje do władz samorządowych województwa pomorskiego, organizują spotkania

z mieszkańcami i aktywnie włączają się w debatę publiczną na temat łupków. Prezeska Stowarzyszenia Mój Dom - Nasza Przestrzeń, Ilona Olsztyńska, tak mówi o roli, jaką pełnią organizacje ekologiczne na Pomorzu w debacie publicznej wokół gazu łupkowego: *Choć staliśmy się niewygodni, nie załamujemy rąk, cały czas pracujemy, aby mieszkańcy Pomorza stworzyli oczy.*

Zanim spróbujemy wyjaśnić źródła konfliktów, należy wyjaśnić, przeciw czemu pojawiają się protesty społeczności lokalnych. Główne kwestie podnoszone przez przeciwników poszukiwania i wydobywania gazu z łupków w Polsce dotyczą środowiskowych i zdrowotnych skutków szczelinowania hydraulicznego. Twierdzą oni, że stosowana technologia może doprowadzić do skażenia wód gruntowych i powierzchniowych, zagrażając zdrowiu ludzi i zwierząt. Podnoszone są także argumenty dotyczące utraty walorów turystycznych regionów w planowanych miejscach wydobywania. Pojawia się obawa o ryzyko skażenia powietrza siarkowodorem i dwutlenkiem siarki. Wątpliwości rodzi kurczenie się zasobów wód gruntowych poprzez pobieranie wody z lokalnych ujęć oraz same warunki prowadzenia prac wydobywczych, takie jak hałas i przejazd ciężkiego sprzętu, które obniżą jakość życia mieszkańców. Obawy społeczności lokalnych wzbudzają także kwestie proceduralne, regulujące poszukiwanie gazu łupkowego - na jakich zasadach i według jakich przepisów odbywają się poszukiwania, kto odpowiada za bezpieczeństwo inwestycji, jakie są kompetencje instytucji kontroli i nadzoru, jakie są możliwości oddziaływania społeczności lokalnych i samorządów gminnych (udział w konsultacjach). Pojawiają się też obawy przed wywłaszczeniami i wykupem gruntów, pytania o zakres odpowiedzialności inwestora i system rekompensat.

W pilotażowym projekcie programu „Razem o Łupkach”, który powstał z inicjatywy Marszałka Województwa Pomorskiego Mieczysława Struka, realizowanym w Mikołajkach Pomorskich przez Pracownię Zrównoważonego Rozwoju oraz badaczy z Instytutu Socjologii UMK i UW, przeprowadzono diagnozę społeczną, której wyniki dokładnie potwierdzają obawy mieszkańców wymienione wyżej. Największy niepokój wśród lokalnej społeczności Mikołajek Pomorskich budzą kwestie wpływu na środowisko. Sami mieszkańcy podkreślają: *Kto nam da gwarancję, że wszystko będzie ekologiczne, że natura nie ucierpi? Przeraza to, że będzie szło 3,5 km w dół, że później będą poziome odwierty, co się z nami tu będzie działo, czy będziemy mieli wodę, czy nam ta woda nie zginie, to jest pytanie zasadnicze [...]. Czy za te 10, 15 lat nasze dzieci nie będą chorowały, bo wiadomo, że to jest chemia.*

Zastrzeżenia mieszkańców wsi skupiły się także na braku kontroli prowadzonych inwestycji i zabezpieczenia powstających w jej wyniku szkód oraz na problemach z dostępem do informacji: *Mam pewne obawy, jeżeli chodzi o ochronę środowiska, żeby chęć zrobienia pieniędzy przez firmę nie spowodowała szkód [...]. Boję się tylko tego, że ktoś będzie tak zachłanny, że nie będzie chciał przeznaczyć części pieniędzy, żeby zabezpieczyć prawidłowo tego wydobywania. Muszą też być mechanizmy, które pozwolą na kontrolowanie tych procesów, żeby można było na bieżąco reagować. Tylko boję się, że gdzieś u góry zabraknie środków czy pomysłów, żeby to zrobić, a my nie będziemy mieli instrumentów, żeby to kontrolować. Może tak być, że mieszkańcy w miejscach, gdzie będzie odwiert, zostaną pozostawieni sami sobie [...]. Już teraz trochę tak jest, bo nikt ich o nic nie pytał.*

Przejdźmy teraz do źródeł pojawiających się protestów i konfliktów na tle gazu łupkowego. Przede wszystkim należy zwrócić uwagę na fakt, że źródła protestów tkwią zazwyczaj w błędach popełnionych już na samym początku procesu inwestycyjnego, w fazie jego przygotowań. W większości przypadków bezpośrednim powodem narastających sprzeciwów lokalnej społeczności jest niewłaściwy sposób przygotowania przez koncesjonariuszy badań sejsmicznych (poprzedzających wiercenia poszukiwawcze). Mowa o niedostatecznym poinformowaniu mieszkańców o charakterze i celu badań, braku współpracy z władzami samorządowymi, ograniczeniu się do kontaktów z właścicielami działek czy niewystarczającym dostępem do informacji. Tę obserwację potwierdzają wyniki badań przeprowadzonych przez Urząd Marszałkowski Województwa Pomorskiego, które wskazują, że tylko połowa samorządów i partnerów samorządu Województwa Pomorskiego jest zadowolona z komunikacji z koncesjonariuszami, z przepływu i dostępu do informacji.

Takie nastawienie pociąga za sobą pogłębiającą się sytuację napięcia, wzajemnej nieufności i niechęci między koncesjonariuszami a lokalną społecznością. Grzechem głównym jest zazwyczaj zbyt późne rozpoczynanie działań informacyjno-konsultacyjnych i organizowanie pierwszych spotkań z mieszkańcami już po rozpoczęciu aktywności na danym terenie, gdy poziom społecznego wzburzenia bywa dość wysoki. Sytuacja z Mikołajek Pomorskich, gdzie mieszkańcy dowiedzieli się o działaniach firmy wydobywczej Eni Polska w momencie, w którym rozpoczęła ona prace przygotowawcze do inwestycji, nie jest wyjątkiem. Okoliczności, które wspominają mieszkańcy (*Nikt nic nie mówił, nie pytał. Teraz dopiero widać, jak tę płytę położyli*), dotyczą przede wszystkim osób, które nie są bezpośrednio zaangażowane, o planowanej inwestycji wie zazwyczaj



tylko wójt i Rada Gminy oraz dzierżawca gruntu. Działania podejmowane w takich warunkach, kiedy mamy do czynienia z brakiem informacji, a rozmowy to jedynie domysły i plotki, często mają charakter reaktywny, pojawiają się jako próba uspokojenia sytuacji i wyciszenia uspionego jeszcze konfliktu. Dodatkowo są one często chaotyczne i nie wynikają z całościowej strategii współpracy ze społecznością lokalną. W efekcie podejmowane *ad hoc* kroki częstokroć prowadzą do zaostrzenia sytuacji zamiast jej złagodzenia, gdyż nie są w stanie spełnić oczekiwań i potrzeb mieszkańców.

Lokalna społeczność potrafi szybko zareagować na brak otwartego i uczciwego podejścia oraz poszanowania jej interesów. Przywołajmy chociażby przykład Stowarzyszenia Zdrowa Ziemia Powiatu Lęborskiego, które w imieniu mieszkańców Strzeszewa wymusiło spotkanie z przedstawicielami inwestora i zażądało 100 tys. zł depozytu, aby mieć gwarancję, kiedy pojawi się nadużycie ze strony koncesjonariusza. **Cieniem na relacjach z lokalnymi interesariuszami kładzie się także niewłaściwe podejście do charakteru komunikacji społecznej** - dominuje w nim nastawienie propagandowo-edukacyjne zamiast dialogowego. Próbuje się „wytłumaczyć” mieszkańcom, że nie powinni protestować, „przekonać” ich do gazu

łupkowego, „wyedukować” w zakresie technicznych aspektów poszukiwania i wydobywania węglowodorów. **Takie podejście w konsekwencji prowadzi do zaostrzenia sporu i silnej antagonizacji stron konfliktu.** Podkreślali to również mieszkańcy wspomnianych już Mikołajek Pomorskich: *To wszystko ładnie wygląda na obrazkach, gwarancje tego szefa [...], ale jak to będzie, naprawdę nikt nie wie.*

Powyższe okoliczności wybuchu lokalnych konfliktów wokół gazu łupkowego zwracają uwagę na istotny fakt. Bezpośrednią przyczyną protestów nie jest zazwyczaj sama eksploatacja gazu łupkowego, lecz błędna komunikacja społeczna towarzysząca inwestycji, a także brak transparentności działań koncesjonariuszy i przekazywania rzetelnych informacji w przystępny dla odbiorców (laików przecież) sposób. Należy również wziąć pod uwagę, że sprzeciw mieszkańców nie ogranicza się bynajmniej do wymiaru komunikacyjnego i żądań dotyczących lepszego dostępu do informacji, lecz rozciąga się na całą inwestycję i jej charakter. Analizując obserwowane protesty w tej sprawie, można dojść do wniosku, że w większości przypadków to nie sam gaz łupkowy jako źródło energii jest problemem dla społeczności lokalnych, lecz faktyczny sposób jego poszukiwania i wydobywania. Bardziej kontrowersyjny wydaje

się zatem sposób przeprowadzenia inwestycji niż jej charakter. Można więc powiedzieć, że mieszkańców w mniejszym stopniu niepokoją kwestie *stricte* środowiskowe i techniczne, lecz przede wszystkim chcą mieć gwarancję, iż poszukiwanie i wydobywanie gazu łupkowego będzie bezpieczne oraz realizowane pod kontrolą odpowiednich instytucji. Stąd też nastawienie koncesjonariuszy i niektórych lokalnych władarzy, starających się przekonać społeczność lokalną do gazu łupkowego, nie odpowiada na rzeczywiste potrzeby mieszkańców.

Obecnie w naszym kraju wyraźnie widoczne są konsekwencje braku dobrych praktyk, nawyków i struktur lokalnego dialogu. W wyniku dość nagle zaistniałej kontrowersji związanej z gazem łupkowym, angażującej przedstawicieli różnych środowisk z różnych poziomów życia społecznego, odczuwalny jest brak struktury komunikacji społecznej, który umożliwiłby przepływ informacji, konsultowanie i negocjowanie decyzji politycznych oraz inwestycyjnych między różnymi interesariuszami. W efekcie powstaje próżnia komunikacyjna, o której zagospodarowanie rywalizują przeciwnicy i zwolennicy gazu łupkowego, co nie sprzyja wspólnemu podejmowaniu decyzji uwzględniających interesy różnych grup i środowisk społecznych.

Komunikacja społeczna w przypadku gazu łupkowego często sprowadzona jest do poczynąń marketingowych i PR-owych (skrywanych pod maską „działań informacyjno-edukacyjnych”), przedsięwziętych przez samych koncesjonariuszy lub wynajęte firmy konsultingowe. Takie podejście firm, nawet jeżeli mają one dobre intencje, bywa źle postrzegane przez mieszkańców, którzy często, jak w Mikołajkach Pomorskich, mówią: *Firma zainwestowała, zrobiła plac zabaw, strażakom zakupiła trochę sprzętu, wyremontowała nam drogę [...]. Chcą nas przekonać żebyśmy byli za tą inwestycją*. Takie strategie komunikacyjne wypaczają znaczenie pojęć „dialog” i „komunikacja”, ograniczając ich cel do pozyskiwania akceptacji społecznej wśród mieszkańców. Nie umożliwiają zaś włączania interesariuszy we współdecydowanie o charakterze i sposobie realizacji inwestycji, która przez najbliższe kilkadziesiąt lat ma wpływać w znaczącym stopniu na rozwój gospodarczy i życie mieszkańców regionu.

Sytuację pogarsza częste pomijanie lokalnych władz w podejmowanych działaniach i nieinformowanie ich o szczegółach. Dodatkowo wójtowie znajdują się w sytuacji „między młotem a kowadłem”: często nie potrafią określić swojego stanowiska i włączyć się w proces komunikacji między koncesjonariuszami a społecznością lokalną. Z jednej strony są zachęcani obietnicami korzyści dla gmin w inwestycji, a z drugiej odczuwają presję ze strony sceptycznie

nastawionych mieszkańców. W rezultacie lokalne władze samorządowe często wycofują się na neutralne pozycje i czekają, co się wydarzy. To sprawia, że mamy do czynienia z brakiem koordynacji działań między władzami samorządowymi różnych szczebli a koncesjonariuszami oraz z tendencją do zrzucania obowiązku informowania społeczeństwa w całości na tych ostatnich.

Pomimo braku nawyków i struktur lokalnego dialogu w obszarze gazu łupkowego w Polsce (choć można by w ogóle mówić o poziomie publicznego dialogu w Polsce) zaczynają pojawiać się inicjatywy, które mają szansę przerodzić się w dobre praktyki komunikacyjne. Jednym z przykładów takich działań może być wspomniany program „Razem o Łupkach”, który jest niezależnym programem informacyjnym na temat dialogu społecznego związanego z poszukiwaniem i możliwą eksploatacją gazu z łupków. Jak możemy przeczytać na stronie internetowej programu: *Przyjęte zostało tutaj podejście partycypacyjne, umożliwiające aktywne włączanie interesariuszy w procesy podejmowania decyzji i negocjowanie warunków inwestycji [...]. Kluczowym narzędziem wykorzystywanym w proponowanym procesie edukacyjnym są Lokalne Komitety Dialogu, gdyż właśnie szeroko pojęty dialog ma być głównym sposobem wzajemnego uczenia się i nabywania potrzebnych kompetencji i wiedzy*. W ramach programu pracuje obecnie 7 Lokalnych Komitetów Dialogu w województwie pomorskim, kujawsko-pomorskim oraz warmińsko-mazurskim. Zainteresowani mieszkańcy wraz z przedstawicielami koncesjonariusza oraz lokalnych władz samorządowych zdobywają niezbędne informacje z zakresu procesu poszukiwania i wydobywania gazu z łupków (poruszane są zagadnienia prawne, środowiskowe, geologiczne i techniczne wydobywania), aby na tej podstawie skonstruować lokalną umowę społeczną realizacji inwestycji.

O ile o sukcesie całego programu nie możemy jeszcze przesądzać, o tyle z pewnością warto jeszcze raz przywołać przypadek Mikołajek Pomorskich, w których realizowany był pilotażowy projekt według założeń całości programu „Razem o Łupkach”. Gmina Mikołajki Pomorskie położona jest we wschodniej części województwa pomorskiego, w powiecie sztumskim. W 2010 r. firma Eni Polska została operatorem koncesji poszukiwawczej na terenie gminy. Z własnej inicjatywy zorganizowała dwa spotkania z mieszkańcami, informujące o planowanej inwestycji. W marcu 2013 r. firma, mieszkańcy oraz lokalne władze samorządowe zostali zaproszeni do procesu dialogowego wokół inwestycji poszukiwania gazu łupkowego w gminie. W pracach Lokalnego Komitetu Dialogu uczestniczyło 12 osób, w tym wójt gminy,



wyznaczona przez wójta pełnomocnik ds. dialogu, przewodniczący Rady Gminy oraz przedstawiciel koncesjonariusza. Na spotkania zapraszani byli również wskazani przez mieszkańców eksperci z dziedzin prawa, geologii czy środowiska. Interesariusze procesu dialogowego rozmawiali ze sobą łącznie przez 24 godziny. Poza charakterem informacyjnym uczestnicy wypracowali wspólnie model komunikacji w sprawie inwestycji oraz wynegocjowali korzyści dla gminy, mieszkańców i koncesjonariusza. Prace LKD w Mikołajkach Pomorskich zakończyły się podpisaniem umowy społecznej między mieszkańcami, władzami lokalnymi gminy oraz firmą Eni Polska, dotyczącej warunków poszukiwania i wydobywania gazu łupkowego w gminie.

Innym pozytywnym przykładem prowadzenia dialogu w zakresie inwestycji w gaz łupkowy było utworzenie w 2012 r. z inicjatywy PGNiG Gminnej Rady Konsultacyjnej w gminie Krokowa, w której koncern jest operatorem koncesji. W Radzie działa 9 osób, w tym reprezentanci mieszkańców, Rady Gminy, organizacji pozarządowych, mediów oraz wójt. Rada dba o zabezpieczenie interesów i potrzeb mieszkańców, pośredniczy w rozmowach z PGNiG w istotnych kwestiach związanych z inwestycją w gaz łupkowy w gminie oraz stanowi kanał przepływu informacji pomiędzy mieszkańcami a inwestorem. PGNiG prowadzi także punkt konsultacyjny,

w którym mieszkańcy mogą indywidualnie zadawać pytania i zgłaszać uwagi odnośnie do inwestycji.

Opisane wyżej inicjatywy dialogowe są nadal rzadkością w przestrzeni polskiej debaty publicznej. Niedostatek mechanizmów komunikacyjno-dialogowych jest sytuacją, w której wspomniany pozytywny potencjał konfliktów wokół gazu łupkowego zostaje zaprzepaszczone i zamiast przyczyniać się do tworzenia dobra wspólnego, oddziałuje destrukcyjnie na poziom lokalnego kapitału zaufania, więzi społeczne, relacje między społecznością a jej przedstawicielami. Do głównych przyczyn takiej sytuacji można zaliczyć:

1. Postrzeganie konfliktów jako powodowanych irracjonalnymi, z założenia błędnymi i nieuzasadnionymi lękami osób nieposiadających odpowiedniej wiedzy. Za takim podejściem kryje się dość rozpowszechnione przekonanie o tym, że „protesty biorą się z niewiedzy” czy „ludzie boją się wszystkiego, co nowe i nieznane”. Na spotkaniach konsultacyjnych często można usłyszeć, że sto lat temu ludzie bali się samochodów, a teraz nie wyobrażamy sobie życia bez nich. W tle takiego sposobu myślenia kryje się wyobrażenie o nieubłaganim postępie, który toczy się według własnej dynamiki, i który zawsze spotyka się z niezrozumieniem oraz protestami, ale w sumie wychodzi nam na dobre.

Założeniu o irracjonalności konfliktów towarzyszy także przekonanie o ich egoistycznym charakterze, odwołujące się do syndromu NIMBY (ang. „not in my backyard”, czyli „nie na moim podwórku”). Protestującym przypisuje się kierowanie się wyłącznie własnymi interesami i wytyka rzekome sprzeczności oparte na schemacie „gaz chcą mieć wszyscy, ale przeciw wydobyciu protestują”.

2. Przy prowadzeniu działań informacyjno-educacyjnych wyraźnie jest także ograniczenie treści do wymiaru środowiskowego i technologicznego. Choć faktycznie jedną z głównych obaw społecznych jest wpływ szczelinowania hydraulicznego na środowisko, to należy pamiętać, że takie ujęcie tematu - od strony jedynie ekologicznej - odsuwa na bok wiele aspektów społeczno-ekonomicznych, które są kluczowe z perspektywy lokalnych strategii rozwoju.
3. Przerzucenie zadania prowadzenia komunikacji społecznej na koncesjonariuszy. Często sami władarze i reprezentanci lokalnych samorządów oczekują, że to firma poszukująca gazu z łupków weźmie na siebie zadanie informowania i prowadzenia dialogu ze społecznością lokalną. Oparte jest to właśnie na powyższych założeniach, zgodnie z którymi cała kontrowersja sprowadza się do braku wiedzy i niezrozumienia skomplikowanych techniczno-środowiskowych aspektów przedsięwzięcia. Zatem to inwestor, któremu zależy na realizacji inwestycji, powinien zadbać o pozyskanie akceptacji społecznej.

Postulaty, by to „firma wzięła na siebie dialog ze społeczeństwem”, są często słyszalne w wypowiedziach wójtów i burmistrzów. Takie nastawienie lokalnych władz wydaje się zrozumiałe w kontekście wspomnianego wcześniej ich zagubienia w nowej sytuacji, jednak w połączeniu z powyższymi tendencjami prowadzi do niekorzystnych konsekwencji dla praktyki dialogu w Polsce.

W rezultacie mamy do czynienia z sytuacją, którą można określić mianem depolityzacji kontrowersji wokół gazu łupkowego. Kwestia, która dotyczy strategicznych problemów rozwoju Polski - na różnych poziomach, od międzynarodowego, przez krajowy, aż po regionalny i lokalny - zostaje sprowadzona do biorących się z niewiedzy i niezrozumienia sporów o wpływ na środowisko. Dialog publiczny wokół gazu łupkowego zamiast koncentrować się wokół pytań o wpływ tej technologii na przyszłość Polski, jej regionów i lokalnych społeczności - zostaje zastąpiony przez PR i nierzadko zwykłą propagandę. Władze samorządowe powinny być gospodarzami terenu, współdecydować wraz z mieszkańcami o kierunkach rozwoju i wypracowywać wspólne wizje

przyszłości. Tymczasem często zamiast domagać się rzetelnego dialogu, oddają pole koncernom, zadowalając się obietnicami przyszłych wpływów do budżetów gmin, a doraźnie ciesząc się z tego, że „firma zbudowała nam plac zabaw”.

W ten sposób pozytywny potencjał konfliktów jest marnowany, a ćwiczenie z lokalnej demokracji kończy się częstokroć pogłębieniem frustracji, nieufności i brakiem wiary w możliwość wpływania na bieg spraw publicznych.

Pozostaje pytanie, co można zrobić, by wykorzystać tę pozytywną energię wytworzoną podczas konfliktów wokół gazu łupkowego. Jak sprawić, by spory i kontrowersje przyczyniły się do podjęcia optymalnej decyzji odnośnie do przyszłego wydobywania surowca? Czy będzie nią zatrzymanie rozwoju tej technologii, czy raczej ustalenie takich warunków i regulacji określających zasady wydobywania, by zabezpieczyć interesy różnych grup społecznych? Wydaje się, że potrzebne są zinstytucjonalizowane narzędzia zarządzania konfliktami, instrumenty dialogu publicznego, oparte na sprawdzonych dobrych praktykach, wzorcach działania, modelach instytucji i praktyk społecznych, pozwalających na wyzwolenie i wykorzystanie pozytywnej energii konfliktów. Należy też podkreślić, że procesy dialogowe, tak jak wszelkie inicjatywy partycypacyjne, których celem jest określenie jakiegoś stanowiska czy decyzji, wymagają nie tylko struktur funkcjonowania, ale też możliwości choć częściowej realizacji wypracowanych postulatów i zagwarantowania udzielenia informacji zwrotnej. Właśnie ten czynnik w dużej mierze wpływa na chęć angażowania się społeczności lokalnych w życie publiczne w innej formie niż postawy powodujące wzniesienie konfliktów i protestów społecznych.

W obszarze zarządzania konfliktami na tle technologicznym wypracowano w ostatnich kilkunastu latach podejście określane mianem „oceny technologii” (*Technology Assessment*). W największym skrócie polega ono na tym, że instytucje (państwowe lub pozarządowe) zajmują się doradztwem politycznym w zakresie oceny nowych, wzbudzających kontrowersje innowacji technologicznych. Założenie kryjące się za tym jest dość proste: nowe rozwiązania technologiczne nie są po prostu dobre lub całkowicie złe, jak wydaje się to wynikać z silnie zantagonizowanych sporów publicznych. Zamiast tego wiele technologii ma w sobie pewien ładunek ryzyka, obszar niepewności, potencjalnych negatywnych skutków. Zanim podejmiemy decyzję o wdrożeniu danej technologii, dopuszczeniu innowacji na rynek, wsparciu państwowym i uczynieniu elementem strategii kraju, przeprowadzamy wszechstronną i kompleksową analizę. Ale, co

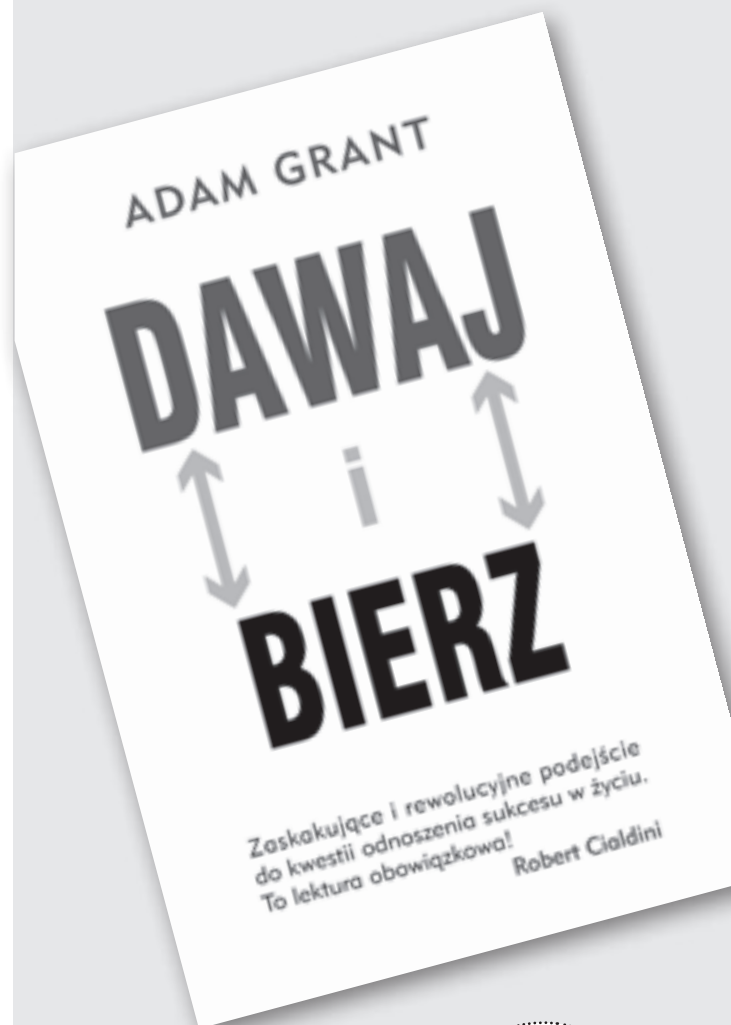
ważne, prowadzona jest ona z udziałem partnerów społecznych, przedstawicieli zainteresowanych grup i środowisk, a czasami całej opinii publicznej. W tym celu nurt oceny technologii opiera się na podejściu partycypacyjnym i pozwala na aktywny dialog interesariuszy, inwestorów, państwa, z udziałem odpowiednich ekspertów.

Pierwsze instytucje oceny technologii powstały w latach 70. w Stanach Zjednoczonych i Europie Zachodniej, by do lat 90. zakorzenić się dość mocno w praktyce parlamentarnej Unii Europejskiej. W Polsce członkiem stowarzyszonej Europejskiej Sieci Oceny Technologii (EPTA) jest Biuro Analiz Sejmowych. Niestety wciąż brakuje instytucji analitycznej z prawdziwego zdarzenia, której zadaniem byłoby monitorowanie rozwoju naukowo-technologicznego i prowadzenie partycypacyjnej oceny powstających innowacji technologicznych, co umożliwiłoby zinstytucjonalizowanie pozytywnej energii konfliktów.

Źródła informacji zawartych w tekście:

- M. Jackman, S. Sterczyńska, *Gaz z Łupków w Oczach Mieszkańców, Samorządów, Koncesjonariuszy i Instytucji Województwa Pomorskiego*, „Przegląd Geologiczny” nr 61(1), 2013, ss. 381-385.
- G. Krowicki, 7 zagrożeń związanych z wydobywaniem gazu łupkowego, <http://zielonewiadomosci.pl/tematy/energetyka/zagrozenia-zwiazane-z-wydobywaniem-gazu-lupkowego-w-polsce/>, dostęp 1.07.2013 r.
- Lena Kolarska-Bobińska (2013). Opinie mieszkańców Lubelszczyzny o zmianach klimatu i gazie łupkowym, zob. <http://www.lenalubelska.pl/polska-i-lubelszczyzna,12,355.lubelszczyzna-o-gazie-lupkowym.html>
- J. Olkusi, *Złoża gazu niekonwencjonalnego w Polsce - prognozy i postępy w poszukiwaniach*, w: K. Szpak & P. Musiałek (red.), *Polska Energetyka 2012*, Kraków 2013.
- Spółeczny stosunek do gazu łupkowego*, CBOS 2013, zob. http://www.cbos.pl/SPISKOM.POL/2013/K_076_13.PDF
- J. Suchomska, P. Stankiewicz, *Wsparcie samorządu gminnego w dialogu obywatelskim w kontekście planowanego wydobycia gazu z łupków. Raport z badania społecznego*, 2013 (dostępny: <http://www.razemolupkach.pl/sites/default/files/Raport%20z%20badania%20-%20pilota%20C5%BC%20Razem%20o%20C5%81upkach%20PZR.pdf>)
- <http://www.glosgryfa.pl/mapa-sprzeciwu>
- <http://gazlupkowy.pl/gdansk-stowarzyszenie-agroturizmu-gaz-lupkowy-mozedoprowadzic-do-upadku-turystyki/>
- <http://gazlupkowy.info.pl/tag/zurawlow/>
- <http://www.kurierlubelski.pl/artukul/1037153,chevron-pozwal-protestujacych-w-zurawlowie-zaczal-sie-proces,id,t.html>
- <http://www.razemolupkach.pl/node/365>
- Zestawienie koncesji dotyczących gazu z łupków (stan na dzień 01.01.2014 r.): <http://lupki.mos.gov.pl/pliki/201401/01-2014-koncesje-kampania.pdf>
- <http://www.razemolupkach.pl>
- <http://pwr.org.pl/umowa-spoleczna-podpisana/>
- <http://lupki.mos.gov.pl/gaz-z-lupkow/stan-prac-w-polsce>
- http://www.krokowa.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=615:w-gminie-krokowa-powstaa-pierwsza-w-polsce-gminna-rada-konsultacyjna&catid=3:informacje

REKLAMA



NOWY
OBYWATEL
POLECA

Adam Grant

Dawaj i bierz

Wydaje ci się, że tylko jeśli będziesz coraz więcej żądał, otrzymasz to, na co liczysz? A może myślisz, że ci, którzy chętnie się dzielą, są naiwniakami skazanymi na porażkę? Adam Grant, doradca takich gigantów biznesu jak Apple, Facebook czy Google, obala popularne stereotypy. Udowadnia, że hojność, otwartość na potrzeby innych i gotowość do służenia pomocą nie tylko nie są przeszkodami na drodze do sukcesu, ale wręcz stanowią jego podstawę.

Wydawnictwo Muza S.A.

Książka jest dostępna w sklepie wydawcy:
<http://muza.com.pl/>

Historia gospodarcza Niemieckiej Republiki Demokratycznej współgra z procesami „dochodzenia do socjalizmu” innych państw RWPG. Na ich tle kształtują się jednak pewne odmienności wynikające z geopolitycznego położenia NRD oraz z wyjściowego poziomu rozwoju społeczno-gospodarczego u schyłku II wojny światowej. Państwo to bezpośrednio graniczyło z wrogiem obozem kapitalistycznym, zaś jego obywatele stanowili jeden naród z obywatelami Republiki Federalnej. Prawie każdy mieszkaniec Niemiec Wschodnich miał krewnych lub przyjaciół na Zachodzie. Przez pierwsze 20 powojennych lat istniała swoboda przemieszczania się, a także podejmowania pracy, dzięki otwartemu przejściu do zachodnich stref okupacyjnych w Berlinie. Obydwa te czynniki sprzyjały napływowi dewiz do NRD w znacznie większym stopniu niż do innych państw demokracji ludowej. Państwo komunistyczne skupywało je od obywateli za pośrednictwem sieci sklepów tzw. eksportu wewnętrznego Intershop (odpowiednika polskich Peweksów). Obywatele RFN mieli też możliwość wysyłkowego zamawiania towarów dla swoich bliskich za pośrednictwem filii Intershopów



Terapia szokowa nie zakończyła się hekatombą społeczną wyłącznie ze względu na duże środki osłonowe oraz nieskrępowaną możliwość pracy w zachodniej części kraju.

w RFN. Płatność oczywiście dokonywała się w markach zachodnich. Pozwalało to na dość szeroki dostęp do zachodnich technologii oraz towarów konsumpcyjnych, co z kolei przekładało się na bardziej zaawansowany technicznie i cywilizacyjnie kształt państwa wschodnioniemieckiego w porównaniu np. do PRL.

Nie należy również zapominać o dziedzictwie infrastrukturalnym czasów przedwojennych. O ile spora część ocalonego od zniszczeń wojennych przemysłu ciężkiego została skonfiskowana przez ZSRR, o tyle zachowała się rozbudowana sieć autostrad, linii kolejowych, połączeń energetycznych, kanalizacyjnych, wodociagowych i telefonicznych, która znacznie górowała nad tym, czym dysponowały inne kraje Europy Środkowej i Wschodniej - za wyjątkiem Czechosłowacji. Ogólny poziom rozwoju tzw. Niemiec Środkowych (na których utworzona została NRD) w roku 1945 nie odbiegał znacząco od zachodniej części kraju. Istotna była za to dość duża dysproporcja w uprzemysłowieniu południowej i północnej części kraju na niekorzyść tej ostatniej. Zaplanowana i realizowana przez władze Niemiec Wschodnich polityka wyrównywania tej luki spowodowała znaczne niedoinwestowanie gospodarcze Saksonii i Turynгии¹.

Cud gospodarczy, jakiego doświadczyły w latach 60. Niemcy Zachodnie, a także utrzymująca się opresyjność eneradowskiego systemu politycznego (faktyczna destalinizacja nastąpiła tu dopiero na

początku lat 60.), spowodowały, że z kraju ciągle uciekali ludzie, w tym osoby najlepiej wykształcone i wykwalifikowane. Wynikły stąd „upływ krwi” był niezwykle dotkliwy i nie mogły go zrekompensować zwiększone przychody dewizowe. I właśnie fenomen ciągle zmniejszającej się liczby obywateli był głównym czynnikiem, który zadecydował o uszczelnieniu granicy między dwoma państwami niemieckimi. Budowa Muru (13 sierpnia 1961 r.) oraz zamknięcie granic zahamowało masowe ucieczki, lecz jednocześnie doprowadziło do kumulacji niezadowolenia społecznego. Rozwój gospodarczy NRD w latach 1949-1971 był bowiem - podobnie jak to miało miejsce w PRL tego okresu - zorientowany głównie na przemysł ciężki, co następowało kosztem potrzeb konsumpcyjnych ludności.

Przełom w tej dziedzinie nastąpił wraz z objęciem władzy przez, związanego wcześniej z komunistycznymi ruchami młodzieżowymi, Ericha Honckera. Był on - podobnie jak jego poprzednik Walter Ulbricht - dogmatycznym komunistą i nie przewidywał żadnego powiększenia swobód politycznych. Uważał jednak, że niezakłócone funkcjonowanie gospodarki musi być okupione zwiększeniem produkcji na cele konsumpcyjne. Gospodarka narodowa miała odtąd pracować na rzecz wzrostu komfortu życia obywateli, terminowego wywiązywania się ze zobowiązań, zwłaszcza wobec zagranicznych wierzycieli, oraz przynosić zyski pozwalające na zintensyfikowanie inwestycji. Spełnienie tych trzech postulatów

w ramach gospodarki realnego socjalizmu było bardzo trudne, lecz całkowicie uniemożliwił to kryzys naftowy połowy lat 70. Dotychczasowe plany przewidywały stopniową modernizację systemu energetycznego kraju w oparciu o siłownie olejowe i gazowe. Wzrost cen tych surowców spowodował gorączkowe zmiany - od tej pory NRD miała zaopatrywać się w energię elektryczną pochodzącą z węgla brunatnego (w latach 80. aż 30% światowego wydobycia tego surowca dokonywało się w Niemczech Wschodnich), co doprowadziło następnie do gigantycznych problemów ekologicznych. Tanio importowana ropa z ZSRR była przetwarzana w rafineriach i następnie odsprzedawana światu kapitalistycznemu w postaci zaawansowanych produktów naftowych. To swoiste dotowanie gospodarki NRD zakończyło się na początku lat 80., kiedy ZSRR sam zmuszony był stawić czoła problemom gospodarczym oraz zwiększonej konsumpcji ropy spowodowanej wojną w Afganistanie.

Podmioty gospodarcze zorganizowane były zgodnie z - typową dla krajów realnego socjalizmu - zasadą komasacji. Preferowano wielkie kombinaty przemysłowe lub rolnicze. Dojście do tego modelu przebiegało stopniowo, poprzez następujące po sobie fale nacjonalizacji i łączenia jednostkowych przedsiębiorstw. Ostatnia taka fala miała miejsce na początku lat 70. W chwili upadku Muru prywatna działalność gospodarcza obejmowała jedynie niewielkie zakłady rzemieślnicze i handlowe, zatrudniające mniej niż 10 pracowników. Podstawowym celem, jaki chciano osiągnąć poprzez łączenie zakładów, było utrzymanie maksymalnej kontroli nad realizacją planu gospodarczego. Charakterystyczną cechą gospodarki opartej o wielkie kombinaty (w 1989 r. było ich na terenie NRD 126, a zatrudniały łącznie blisko 80% populacji czynnej zawodowo²) był niezwykle niski poziom outsourcingu i kooperacji międzyzakładowej. Zabronione było utrzymywanie przez przedsiębiorstwa kontaktów handlowych nieprzewidzianych planem. Stosunki z podmiotami zagranicznymi prowadzone były za pośrednictwem ministerstwa handlu zagranicznego. Większość krajów zachodnich wprowadziła embargo na eksport i sprzedaż licencji do krajów socjalistycznych produktów mogących służyć rozwojowi przemysłu zbrojeniowego. Przyczyniło się to w niebagatelny sposób do zapóźnienia gospodarczego tych krajów. NRD nie była wyjątkiem, choć relatywna nowoczesność jej gospodarki na tle sojuszników wynikała także - oprócz wspomnianego już wcześniej większego napływu dewiz - z szeroko rozwiniętego szpiegostwa przemysłowego. **Niska konkurencyjność negatywnie wpływała na eksport - pod koniec lat 80. wartość eksportu NRD w przeliczeniu na mieszkańca osiągała tylko 40% tej wartości**

w RFN. Dogmatyczność socjalistycznej gospodarki planowej odbijała się też na skostnieniu jej struktury sektorowej - w chwili upadku Muru odpowiadała ona strukturze gospodarki Niemiec Zachodnich późnych lat 60.³

Władze NRD nie mogły sobie pozwolić na zaprzestanie obsługi zagranicznych zobowiązań. Również w zakresie zaspokajania potrzeb życiowych ludności pole manewru było bardzo niewielkie, gdyż obawiano się (zwłaszcza po wydarzeniach w Polsce) wybuchu niezadowolenia społecznego. W 1970 r. dotacja państwowa dla podstawowych usług publicznych wynosiła 11,4 mld marek, podczas gdy w 1988 r. już 61,6 mld marek⁴. Rynek konsumpcyjny opierał się w dużej mierze na imporcie. Łączny deficyt handlowy za lata 1971-1980 wyniósł 38 mld marek zachodnich⁵. **Najbardziej zaniedbanym elementem planu ekipy Honeckera był zatem proces inwestycyjny. Przeciętny wiek parku przemysłowego NRD zawsze był wyższy od tego, który występował w RFN, lecz w latach 80. ta różnica znacznie się pogłębiła. W 1989 r. w przemyśle NRD tylko 27% maszyn miało mniej niż 5 lat (40,2% w RFN), zaś aż 21,4% ponad 20 lat (5,4% w RFN)⁶. Najważniejszym skutkiem gospodarczym było zwiększenie kosztów produkcji. W roku 1980 wydobycie tony węgla brunatnego kosztowało 7,70 marek, zaś w 1988 r. już 13,20 marek (i to mimo poważnego zwiększenia eksploatacji)⁷. Nie należy również lekceważyć problemu produktywności, która średnio sytuowała się w NRD na znacznie niższym poziomie niż w RFN. O ile wyniki w przemyśle ciężkim obu krajów były jeszcze ze sobą w jakiś sposób porównywalne, o tyle próby rozwijania np. technologii elektronicznych zakończyły się całkowitą klęską. Koszt wytworzenia jednego chipa produkcji własnej opiewał na 534 marki, przy jednoczesnej zewnętrznej cenie rynkowej 4-5 marek zachodnich⁸.**

Prawdziwą chwilą prawdy dla wschodnioniemieckiej gospodarki okazało się otwarcie granic i rynków w 1990 r. Przez pierwsze miesiące swobodnego przepływu osób i towarów sytuację stabilizowało ciągłe istnienie marki wschodnioniemieckiej, której czarnorynkowy kurs wymiany znacznie ograniczał popyt na towary zachodnie wśród konsumentów z NRD⁹. Sytuacja uległa diametralnej zmianie wraz z zawarciem unii walutowej, w wyniku której jedynym legalnym środkiem płatniczym na terenie b. NRD stawała się, z dniem 1 lipca 1990 r., marka zachodnia. W wyniku niezwykle silnych nacisków społecznych ustalono, że kurs wymiany będzie wynosił: 1 marka wschodnia = 1 marka zachodnia, co oczywiście nie miało nic wspólnego z realiami gospodarczymi. Z jednej strony spowodowało to jednorazowy, skokowy wzrost siły nabywczej obywateli, których pensje, choć wciąż niższe, mogły być od tej



©© gynti_46, flickr.com/photos/gynti/4006829397

pory przynajmniej jakoś porównywane z zarobkami w RFN. Z drugiej jednak doprowadziło do równie skokowego wzrostu cen towarów produkowanych w b. NRD, co przy ich stosunkowo niższej jakości w stosunku do towarów zachodnich doprowadziło do bankructwa ogromną liczbę przedsiębiorstw. Produkcja przemysłowa w 1991 r. wynosiła tylko 35% produkcji z roku 1989¹⁰. Dodatkowa komplikacja związana była z brakiem następstwa prawnego RFN po NRD – przestały obowiązywać umowy handlowe z państwami b. RWPG, które do tej pory były głównymi kontrahentami przemysłu Niemiec Wschodnich. Inkorporacja NRD przez RFN niosła za sobą tymczasowe zamknięcie tamtych rynków przy jednoczesnym szokowym włączeniu b. NRD do systemu gospodarczego wysoko rozwiniętej RFN i pozostałych państw EWG. Jeżeli dodać do tego całkowite nieprzygotowanie psychologiczne, prawne, marketingowe i kulturowe kadry zarządzającej przemysłem b. NRD, to przestaje dziwić, że ogromna większość sił wytwórczych gospodarki tego kraju została u progu lat 90. skazana na likwidację lub głębokie przekształcenie pod patronatem wielkich firm zachodnich.

Z tak wysokim przeszacowaniem kursu marki wschodnioniemieckiej związany jest oczywiście pewien paradoks. Ludność b. NRD masowo domagała się parytetu 1:1, gdyż słusznie obawiała się, że większa luka w dochodach spowoduje, iż będzie ona musiała we własnym kraju czuć się obywatelami drugiej kategorii w niesłychanie większym stopniu, niż się to realnie stało. Kurs wymiany był również

oczywiście korzystny dla kapitału zachodnioniemieckiego, który wskutek rozłożenia gospodarki b. NRD „na łopatki” uzyskał całkowitą swobodę działania w nowych krajach związkowych. **W ten oto sposób poczucie ekonomicznej krzywdy społeczeństwa Niemiec Wschodnich i interesy wielkiego kapitału zjednoczyły się przeciwko racji stanu zjednoczonego państwa i perspektywom długofalowego rozwoju terytorium b. NRD.**

Ten przykład fałszywej świadomości przypomina trochę sytuację, która występowała w Polsce: zmęczona socrealistyczną gospodarką niedoboru klasa robotnicza miała – według relacji m.in. Ryszarda Bugaja – wręcz domagać się szybszej aplikacji planu Balcerowicza w celu jak najprędzszego osiągnięcia zachodniego poziomu życia. Ostateczna decyzja o warunkach unii walutowej zapadła na najwyższych szczeblach władzy, lecz wcześniej była kontestowana przez rozmaite ośrodki kreowania i wykonywania polityki gospodarczej, w tym przez Bundesbank. Sceptyczni eksperci uznawali, że unia walutowa powinna być ostatnim krokiem na długiej drodze zjednoczenia gospodarczego i że może do niej dojść po spełnieniu tzw. kryteriów konwergencji: utrzymywaniu przez dłuższy czas swobodnej wymiany handlowej i nieskrępowanego przepływu czynników produkcji oraz istnieniu wolnorynkowego kursu wymiany. Żaden z tych warunków nie został zachowany. Zwolennicy szybkiego włączenia b. NRD do strefy marki zachodniej twierdzili natomiast, że krok ten zwiększy motywację obywateli Niemiec Wschodnich

do pozostania w kraju, spowoduje napływ kapitału zachodniego (brak ryzyka kursowego) i przyspieszy tworzenie ram instytucjonalno-prawnych, niezbędnych do szybkiej odbudowy wschodnioniemieckiej gospodarki¹¹.

Pierwszym efektem unii walutowej był niebotyczny wzrost popytu na towary importowane z RFN przy jednoczesnym załamaniu produkcji wewnętrznej. Nastąpił skokowy wzrost cen podstawowych produktów żywnościowych (wcześniej dotowanych przez państwo), zarazem upowszechnił się dostęp do towarów na rynku dotychczas niedostępnych lub trudno dostępnych (np. kawa potaniała o 80%). Panaceum na drożyznę miała być przyspieszona likwidacja monopolistycznych struktur handlu wewnętrznego, której miejsce praktycznie natychmiast zajęły zachodnioniemieckie i zagraniczne sieci handlowe.

Zachodnioniemieccy planiści gospodarczy spodziewali się efektu tsunami, jaki dotknie gospodarkę NRD po wprowadzeniu marki zachodniej. Już 1 lipca 1990 r. powołano do życia Instytucję Powierniczą (THA), której zadaniem było sprywatyzowanie państwowej własności na terenie Niemiec Wschodnich w taki sposób, aby zysk mógł choć częściowo pokryć koszty Zjednoczenia, zaś sprzedane przedsiębiorstwa mogły kontynuować działalność produkcyjną i zapewniać miejsca pracy. Władze THA postanowiły w pierwszej kolejności dokonać decentralizacji struktury przemysłu poprzez podział kombinatów. Pojedynczym przedsiębiorstwom nadawano formę prawną spółek akcyjnych lub spółek z ograniczoną odpowiedzialnością. Zdecydowana większość tych zakładów nie była w stanie samodzielnie funkcjonować, gdyż sens ich istnienia zawierał się jedynie w produkcji ściśle określonych elementów dla potrzeb kombinatu. Ekonomisci niemieccy oceniają pracę THA jako porażkę. Świadczy o tym fakt, że działalność tego organizmu zakończyła się stratą całkowitą w wysokości 256 mln marek, co oznacza, że zbycie każdego poszczególnego przedsiębiorstwa nie tylko nie przyniosło skarbowi państwa żadnych dochodów, lecz statystycznie kosztowało go 17 mln marek¹². Bernd Martens tłumaczy to specyficznym i nieporównywalnym z innymi krajami socjalistycznymi otoczeniem przekształcającej się gospodarki NRD.

W istocie doszło tu – pod względem przekształceń własnościowych – do najbardziej szokowej wersji terapii. Nie zakończyła się ona hekatombą społeczną wyłącznie ze względu na bardzo duże środki osłonowe oraz nieskrępowaną możliwość podjęcia zatrudnienia przez obywateli b. NRD w zachodniej części kraju. W chwili wejścia w życie unii walutowej przedsiębiorstwa wschodnioniemieckie utraciły

partnerów eksportowych w krajach RWPG (skoro i tak zmuszeni zostali do kupowania za dewizy, woleli czynić to bezpośrednio u partnerów zachodnich). W latach 1990–1993 eksport niemiecki do Europy Wschodniej wzrósł o 40%, podczas gdy w tym samym czasie eksport przedsiębiorstw b. NRD spadł o 79%. Gdy dodać do tego lawinowy wzrost popytu na towary zachodnie w b. NRD, przestaje dziwić fakt, iż pierwsze lata po Zjednoczeniu – choć niezwykle kosztowne dla budżetu państwa niemieckiego – były jednocześnie okresem boomu przedsiębiorstw z zachodu kraju. W tym samym czasie nagromadzenie wspomnianych czynników (unia walutowa, zerwanie z tradycyjnymi odbiorcami, skutki Zjednoczenia, brak nawyków związanych z działaniem na wolnym rynku, brak konkurencyjności, zniesienie granic celnych, szeroko pojęte dziedzictwo gospodarki realnego socjalizmu) spowodowały bankructwo większości przedsiębiorstw na wschodzie kraju¹³. Podstawowym zadaniem THA nie było już zatem zbycie masy majątkowej po NRD w sposób przynoszący zysk skarbowi państwa, lecz podtrzymanie przynajmniej częściowej produktywności tych zakładów w celu ochrony miejsc pracy. Łączyło się to z kosztownymi inwestycjami lub sprzedażą majątku kontrahentom zachodnim za symboliczną cenę. Socjolog gospodarki Paul Windolf szacuje, że w latach 1990–1995 aż 80% ludności b. NRD utraciło – tymczasowo lub na dłużej – pracę¹⁴.

Pierwsze lata po Zjednoczeniu upłynęły więc pod znakiem dezindustrializacji b. NRD. Wielkie kombinaty przemysłowe ustąpiły miejsca małym przedsiębiorstwom usługowym, które aż do dnia dzisiejszego stanowią podstawowy korpus pracodawców nowych krajów związkowych¹⁵. Stało się tak wbrew optymistycznym przewidywaniom części ekonomistów, którzy uważali, że b. NRD przejdzie drogę Bawarii. Na przełomie lat 60. i 70. wystąpił tam dość poważny kryzys tradycyjnego przemysłu, wzrost znaczenia branży usługowej, a następnie ponowna industrializacja, już z uwzględnieniem najnowszych zdobyczy technologicznych. Przemysł Niemieckiej Republiki Demokratycznej – mimo podejmowanych w tym kierunku wysiłków – nie był w stanie dostosować się w latach 80. do warunków tej rewolucji technologicznej i w chwili upadku Muru reprezentował przestarzałą strukturę. Rozwijająca się branża usługowa nie była jednak w stanie zapewnić zatrudnienia na dawnym poziomie: cała gospodarka NRD zatrudniała w 1989 r. ok. 10 mln osób, zaś w 1992 r. we wschodnich Niemczech było tylko 6 mln pracujących. W roku 2006 ta liczba wynosiła 5,6 mln. Zmniejszenie stanu zatrudnienia w przemyśle pociągnęło oczywiście za sobą kryzys zaplecza naukowego, które wcześniej tę branżę obsługiwało. Obecnie



© Daniel Antal, <https://www.flickr.com/photos/antaldaniel/2912118873/>

proporcja zatrudnionych w zakładach badawczych wynosi 15,6:1 na korzyść zachodniej części kraju¹⁶. Na tle tego przygnębiającego stanu rzeczy pozytywnie wyróżniają się tylko pojedyncze fabryki, które przetrwały transformację dzięki wykupowi przez koncerny zachodnie: zakłady chemiczne w Leuna, Bitterfeld i Böhlen, samochodowe w Eisenach, Ludwigsfelde i Lipsku, czy inne ośrodki przemysłu lekkiego (produkcja żywności, kolektorów słonecznych, wiatraków itd.). Jedynym dużym przedsiębiorstwem, które ma swą siedzibę we wschodnich Niemczech, jest Jenoptik AG¹⁷.

W celu przeciwdziałania bezrobociu, nadmiernym migracjom do zachodniej części Niemiec i dla wzmocnienia konkurencyjności b. NRD władze federalne skierowały na wschód bardzo znaczący strumień inwestycyjny, który doprowadził do szybkiego zniwelowania nierówności infrastrukturalnych. Skorzystała na tym przede wszystkim branża budowlana. Wielkie przedsięwzięcia realizowane były w dużej mierze przez firmy zachodnie, lecz stosunkowo wysokie wynagrodzenia (wynikające z warunków unii walutowej) połączone z niskimi cenami gruntów i nieruchomości doprowadziły do bujnego rozwoju tego segmentu usług¹⁸. Przypomina to nieco fenomen, który znamy ze śródziemnomorskich krajów Unii Europejskiej (Hiszpania, Portugalia, Grecja, w pewnym stopniu Włochy), gdzie w okresie przedkryzysowym obrotu branży budowlanej stanowiły

swego rodzaju protezę niedostatecznie rozwiniętego przemysłu.

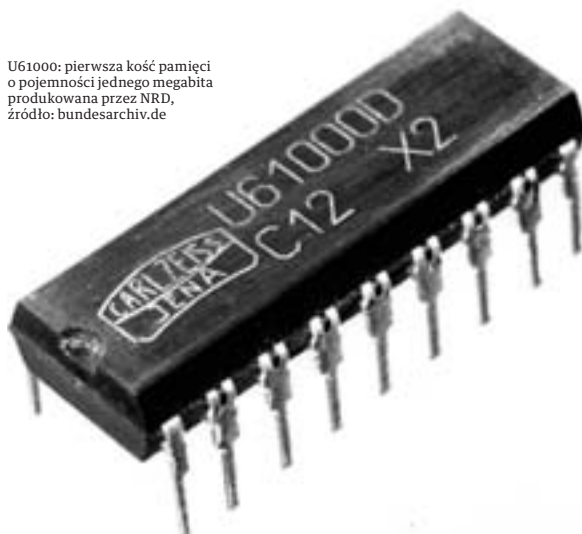
Wysokie bezrobocie i wzmożona emigracja nie były jedynymi skutkami społecznymi upadku przemysłu b. NRD. W gospodarce socjalistycznej zakład pracy nie pełnił bowiem tylko funkcji produkcyjnej, lecz zobowiązany był także do realizacji licznych zadań społecznych, jak polepszenie warunków pracy, wyżywienie pracowników, zapewnienie opieki nad dziećmi, troska o rozwój intelektualno-kulturalny, opieka zdrowotna, ułatwienia dla pracujących kobiet i matek, aktywizacja sportowa pracowników, utrzymywanie zdolności obronnej, kulturalna, sportowa i turystyczna formacja młodzieży, zapewnienie i utrzymanie infrastruktury wypoczynkowej oraz mieszkalnej, opieka nad weteranami, wypłacanie nagród okolicznościowych¹⁹. Oznaczało to, że przedsiębiorstwo było dysponentem i szafarzem większości udogodnień socjalnych, co nie było kompatybilne z systemem opieki społecznej RFN, którego świadczenia – owszem – zasadniczo przysługiwały wyłącznie osobom zatrudnionym (a nie obywatelom, jak w modelu skandynawskim), lecz dysponowane były za pośrednictwem wyspecjalizowanych agend samorządu terytorialnego. System panujący w NRD miał być twórczym rozwinięciem tradycyjnych tendencji socjalizmu niemieckiego, nastawionego na silną identyfikację pracownika z jego zakładem pracy. Stopień wywiązywania się zakładów pracy z ról

społecznych zależał od ich wielkości. Zakłady Carla Zeissa w Jenie posiadały własną bibliotekę, orkiestrę filharmoniczną, 108 warsztatów pracy twórczej i rozmaitych kół zainteresowań. Przemiany gospodarcze po 1990 r. zakładały „uwolnienie” zakładów pracy od obowiązków socjalnych i przeniesienie ich na jednostki samorządu. Obywatele b. NRD zostali rzeczywiście objęci dość hojną opieką społeczną, lecz ów transfer nie pozostał bez skutków społecznych. Przeprowadzone w połowie lat 90. badania wykazały, że pracownicy bardziej tęsknią za integrującymi funkcjami systemu opieki społecznej w zakładzie pracy niż za premią i „trzynastą pensją”²⁰. Z dzisiejszej perspektywy nie wytrzymuje krytyki pogląd, iż świadczenie tego typu usług przez zakłady pracy jest pozbawione sensu ekonomicznego, gdyż różnorodne pakiety socjalne zapewniają przecież jak najbardziej przejęte swoimi zyskami wielkie korporacje.

Zupełnie inaczej wygląda historia przekształceń wschodnioniemieckiego rolnictwa. Podobnie jak powojenna Polska, sowiecka strefa okupacyjna została już w 1946 r. objęta reformą rolną, na mocy której wywłaszczono wszystkich właścicieli ziemskich powyżej 100 ha ziemi. Grunty podzielono pomiędzy tzw. *Neubauern* (głównie dawnych pracowników rolnych i uchodźców). Władze Polski Ludowej zrezygnowały jednak ostatecznie z przeprowadzenia przymusowej kolektywizacji, zaś w NRD nastąpiła ona na początku lat 50. W jej wyniku dominującą formą gospodarowania stały się spółdzielcze Towarzystwa Produkcji Rolnej (LPG). Własność gruntu i nieruchomości nie została rolnikom indywidualnym odebrana, lecz zmuszono ich do wspólnego gospodarowania i realizacji państwowych planów ekonomicznych. Pod koniec lat 80. te towarzystwa rolne borykały się z problemami typowymi dla całej gospodarki NRD (niska produktywność, niedoinwestowanie, duże obciążenie dla środowiska). Mimo to większość gospodarstw spółdzielczych przetrwała transformację ustrojową i z powodzeniem dostosowało się do warunków rynkowych. Stało się to niejako wbrew początkowym zamierzeniom władz RFN, które dążyły do ponownego rozparcelowania wschodnioniemieckiego rolnictwa, promując tzw. gospodarstwa rodzinne. Spotkało się to z bardzo żywym oporem spółdzielców, którym ostatecznie udało się utrzymać dotychczasowy model.

Nie obyło się bez poważnych przekształceń. Znacznej redukcji uległo zatrudnienie w tym sektorze: w 1989 r. rolnictwo zatrudniało 10,8% pracującej populacji NRD²¹, a w kilka lat później już o 90% mniej. LPG przestały również pełnić rolę społeczno-kulturalne, które były zbliżone do tych zapewniających przez zakłady przemysłowe, lecz w warunkach wiejskich jeszcze istotniejsze. W sensie ekonomicznym

U61000: pierwsza kość pamięci o pojemności jednego megabita produkowana przez NRD, źródło: bundesarchiv.de



ich utrzymanie okazało się jednak sukcesem: przeciętny dochód dużych (pow. 100 ha) gospodarstw we wschodnich Niemczech jest obecnie dwukrotnie większy od analogicznych gospodarstw w zachodniej części kraju²². Sukces ten, co warto podkreślić, osiągnięto wbrew radom i naciskom zachodnioniemieckiej administracji. Wysokie zyski pozwoliły na poczynienie wysokich inwestycji i uruchomienie w wielu sferach produkcji ekologicznej. Niektórzy badacze tłumaczą sukces LPG ich kompatybilnością z preferowanym modelem gospodarowania na rynku europejskim, gdzie masowa i wielkopowierzchniowa produkcja rolna jest uprzywilejowana nie tylko przez polityki rolne Unii, lecz także przez pierwszeństwo transakcyjne w relacjach z wielkimi sieciami handlu detalicznego²³.

Czy teren wschodnich Niemiec stał się po Zjednoczeniu ofiarą kolonizacji ze strony kapitału z zachodniej części kraju? Struktura własnościowa przemysłu, jego praktyczny zanik na początku lat 90., masowa emigracja ludności b. NRD, natychmiastowe wprowadzenie unii walutowej i szokowych zmian własnościowych mogą dowodzić słuszności tego poglądu. Trzeba jednak pamiętać, że alternatywny scenariusz, przewidujący długotrwałe istnienie obok siebie dwóch gospodarek byłby – zwłaszcza na początku – trudny do zaakceptowania politycznie dla spragnionych zachodniego dostatku obywateli komunistycznego państwa. Transformacja gospodarcza – choć najbardziej gwałtowna ze wszystkich byłych „demoludów” – kojarzy się w Niemczech nie tylko ze wszystkimi dobrze znanymi nam cechami negatywnymi, lecz także z ogromną ilością transferów finansowych, które w krótkim czasie znacznie podniosły jakość życia ludności nowych krajów związkowych. Według danych Bundesbanku, tylko w latach 1991–1995, łączna suma środków publicznych przekazanych nowym krajom związkowym wyniosła 615 miliardów marek²⁴, zaś do 2008 roku

wzrosła do ok. 1,6 biliona euro²⁵. Przeprowadzane regularnie badania statystyczne udowadniają, że zalet wynikających ze Zjednoczenia wciąż jest więcej niż wad. Produkt wewnętrzny brutto wschodniej części kraju po dwudziestu latach transformacji wzrósł z 50 do 71 procent PWB starych krajów związkowych (wziąwszy pod uwagę kurs wymiany 1:1 w przypadku roku 1989). Styl życia, wyposażenie gospodarstw domowych, nawyki wypoczynkowe mieszkańców b. NRD są obecnie takie same jak na Zachodzie. Współczynnik samobójstw na Wschodzie zmniejszył się o połowę w ciągu dwóch dekad (w 2008 roku wynosił 12,6/1000 mieszkańców, podczas gdy w starych krajach związkowych 11,2/1000)²⁶. W tym samym czasie bardzo znacząco wzrosły oczekiwania obywateli, których niezaspokojenie ma wpływ na kultywowanie tzw. *Ostalgie* (nostalgii za NRD) i poczucia, że mieszkańcy zachodniej części kraju bardziej skorzystali na Zjednoczeniu. W rzeczywistości prawdziwymi beneficjentami tego procesu były wielkie przedsiębiorstwa zachodnie działające w kilku kluczowych branżach, lecz pozytywny efekt dla przeciętnego mieszkańca RFN jest bardzo dyskusyjny.

Nie zmienia to faktu, że te dziedziny, w których mieszkańcy b. NRD czują się wciąż nieusatisfakcjonowani, nie są jedynie efektem ich wygórowanych oczekiwań, lecz realnych patologii wyrosłych w trakcie transformacji. Może udałoby się ich uniknąć – np. nadal wysokiego bezrobocia, niskiego jak na Niemcy poziomu uprzemysłowienia, niezwykle wysokiego poziomu uzależnienia od zewnętrznej pomocy i kontroli – gdyby obrany model transformacji nie był jedynie wypadkową poglądów ekspertów i chwilowych wahań nastrojów, lecz efektem ciągłej i bezpośredniej konsultacji z zainteresowanymi grupami społecznymi. Sukces wschodnioniemieckiego rolnictwa spółdzielczego jest tego dobrym przykładem i jednocześnie wnioskiem na przyszłość. Trudno jednak przewidzieć, czy tradycyjnie zdominowana przez ośrodki kapitałowo-przemysłowe niemiecka władza polityczna będzie zdolna do rzeczywistej demokratyzacji gospodarki. ✕

Przypisy:

- K.F. Bohler, T. Franzheld, *Langlebige regionale Disparitäten w: Lange Wege der deutschen Einheit*, Bonn 2010, s. 4.
- Statistisches Jahrbuch der DDR 1988*.
- M. Fritsch, M. Wyrwich, *Vom Plan zum Markt*, w: *Lange Wege...*, s. 1-2.
- A. Steiner, *Zwischen Konsumversprechen und Innovationszwang. Zum wirtschaftlichen Niedergang der DDR*, w: K.H. Jarausch, M. Sabrow (red.), *Weg in den Untergang. Der innere Zerfall der DDR*, Getynga 1999, s. 163.
- B. Martens, *Die Wirtschaft in der DDR*, w: *Lange Wege...*, Bonn 2010, s. 11.
- Ibidem*, s. 7.
- G. Kusch (red.), *Schlußbilanz – DDR. Fazit einer verfehlten Wirtschafts- und Sozialpolitik*, Berlin 1991, s. 35.
- A. Steiner, op. cit., s. 170.
- „Akerlof i in., próbując oszacować kurs wymienny marki, przyjęli założenie, że dobrą aproksymantę stanowią wydatki ponoszone przez wschodnioniemieckie kombinaty na zdobycie jednostki waluty zagranicznej w warunkach wolnego handlu. Koszt »zdobycia« jednej marki zachodnioniemieckiej (»wirtualny kurs wymienny«) autorzy określili na 3,77 marki wschodnioniemieckiej i ta wielkość stanowiła – ich zdaniem – dobrą miarę konkurencyjności podmiotów z NRD na rynku międzynarodowym. Koncepcja ta pomija jednak fakt, iż w gospodarkach socjalistycznych eksport często był w różny sposób subsydiowany, a przedsiębiorstwa starały się osiągnąć narzucone im cele eksportowe. Ponadto rachunek kosztów nie był przecież do końca wiarygodny. Wymiana zagraniczna NRD odbywała się w ramach bilateralnych umów i rozliczeń, często w specjalnie tworzonej jednostkach. Odpowiedzi na pytanie o faktyczny kurs wymienny obu niemieckich walut nie można też udzielić na podstawie analizy cen czarnorynkowych. Wprawdzie cena kształtuje się na nim w relacji popytu i podaży, jednak uczestnicy takiej wymiany często nie mają dobrej informacji o rynku, zwłaszcza jeżeli handel walutą jest zakazany. Średnie ceny w kantorach w Berlinie Zachodnim kształtowały się na poziomie ok. 15 DM za 100 M, podczas gdy kurs oficjalny w NRD, po którym obywatele musieli wymienić walutę, wynosił 1:1”. M. Moszyński, *Transformacja systemowa byłej NRD – oczekiwania a rzeczywistość. Oceny procesu w literaturze niemieckiej* (Referat przygotowany na seminarium naukowe projektu „Koncepcje stanowione i spontaniczne ładu gospodarczego w procesie transformacji systemowej gospodarki Polski i byłej NRD” w dniu 16.03.2012 w siedzibie Wyższej Szkoły Zarządzania i Finansów w Białymstoku.), s. 13-14.
- M. Fritsch, M. Wyrwich, *Wirtschaft im Schock w: Lange Wege...*, s. 2.
- M. Moszyński, *Transformacja...*, s. 14.
- P. Windolf, *Die wirtschaftliche Transformation. Politische und ökonomische Systemrationalitäten*, w: W. Schluchter, P.E. Quint (red.), *Der Vereinigungsschock*, Gotha 1994, s. 399.
- B. Martens, *Wirtschaftlicher Zusammenbruch und Neuanfang nach 1990*, w: *Lange Wege...*, s. 3-4.
- P. Windolf, *Die wirtschaftliche...*, s. 411.
- „W ciągu dwóch lat wschodnie Niemcy utraciły prawie całą bazę przemysłową i jest rzeczą wątpliwą, aby – w warunkach globalnej konkurencji – mogła ona być kiedykolwiek odbudowana”, *Ibidem*, s. 398.
- Wirtschaftsatlas...*
- B. Martens, *Der entindustrialisierte Osten w: Lange Wege*, s. 3-4.
- M. Moszyński, *Transformacja...*, s. 16.
- Formular 826 für VEB, Bildung und Verwendung des Kultur- und Sozialfonds*, Carl Zeiss Archiv Jena, VA S227.
- W. Schmidt, *Metamorphosen des Betriebskollektivs*, w: *Soziale Welt* 46/1995, s. 307.
- Statistisches Jahrbuch der DDR 1990*, s. 125.
- Bundesministerium für Landwirtschaft und Verbraucherschutz, *landwirtschaftliche Haupterwerbsbetriebe im Wirtschaftsjahr 2007/08 nach Bundesländern*.
- B. Martens, *Landwirtschaft in Ostdeutschland: der späte Erfolg der DDR*, w: *Lange Wege...*, s. 2. S. Lessenich, *Die Kosten der Einheit*, w: *Neue Wege...*, s. 3.
- J. Ragnitz, B. Scharfe, *Bestandsaufnahme der wirtschaftlichen Fortschritte im Osten Deutschlands 1989-2008*, Drezno 2009.
- S. Lessenich, *Die Kosten...*, s. 3-5.

Kraj zmian

MARCIN RZEPA

Ameryka Łacińska to kontynent, na którym zachodzą ciekawe procesy polityczne, społeczne i ekonomiczne. W wielu państwach mieliśmy niedawno do czynienia ze swoistym „przebudzeniem obywatelskim”, spowodowanym z jednej strony pogorszeniem się warunków bytowych, z drugiej zaś nadziejami pokładanymi w demokracji, w tym partycypacyjnej. W ciągu niespełna 25 lat podwoiła się liczba osób żyjących poniżej poziomu biedy – ich liczba wynosi ponad 210 milionów. Ubóstwo, głód i wykluczenie stały się przyczyną wzrostu liczby i siły ruchów kontestacyjnych, należących zarówno do mainstreamu, jak i znajdujących się poza głównym nurtem politycznym. Szczególnie ciekawym krajem jest Ekwador, w którym od 2007 r. dokonuje się *revolución ciudadana* („rewolucja obywatelska”).

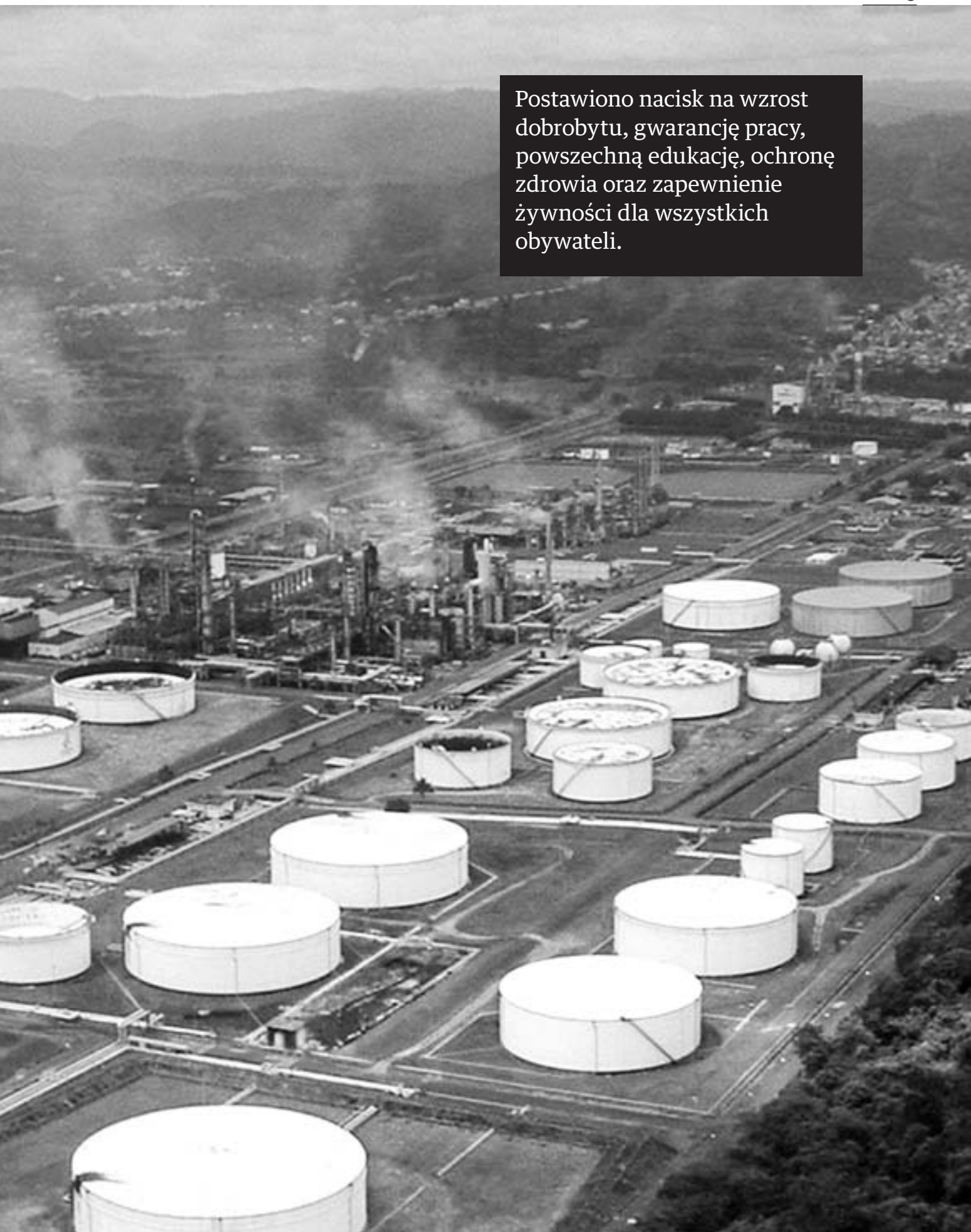
W całym regionie andyjskim (Ekwador, Kolumbia, Peru, Boliwia; w innej sytuacji jest Chile) zachodzi od pewnego czasu kilka charakterystycznych zjawisk. Porażka państwa w zakresie rozwiązywania problemów społeczno-gospodarczych oraz niezdolność modelu neoliberalnego do poprawienia sytuacji gospodarczej spowodowały załamanie się klasycznych partii politycznych, wzrost nastrojów antypartyjnych oraz rozwój gospodarki nieformalnej. Obywatele mieli niski udział w rządzeniu, a władzę sprawowały elity, przy dużym wpływie korporacji północnoamerykańskich. Rozwój sytuacji doprowadził do powstania próżni, którą wypełnili nowi liderzy polityczni i masowe ruchy społeczne.

Co(ś) się dzieje

W końcu lat 70. XX wieku do władzy w Ekwadorze powróciły rządy cywilne, a głównym problemem okazał się wkrótce brak stabilności: podziały polityczne, rządy mniejszościowe, tendencje odśrodkowe oraz konfrontacje między władzą a korporacjami. Na scenie politycznej istniało duże rozdrobnienie. Odrębności poszczególnych regionów skutkowały brakiem spójności kraju, szczególnie podziałem na Costę (wybrzeże) i Sierra (obszar górski) oraz konfliktem między dwoma największymi miastami, Quito i Guayaquil. Oddalenie partii od obywateli i ruchów społecznych sprawiło, że jedynie nieliczni mogli utożsamiać się z władzą polityczną. Rozwarstwienie społeczne nakładało się na podziały etniczne: w najgorszej sytuacji byli Afroekwadorczycy, biedny rolnik to najczęściej Indianin, lepsza była sytuacja ludności metyskiej, a biali zajmowali kluczowe stanowiska w polityce i gospodarce kraju.

Proces, który zachodził od początku lat 90. w Wenezueli, związany z *movimiento bolivariano* – „ruchem

Postawiono nacisk na wzrost dobrobytu, gwarancję pracy, powszechną edukację, ochronę zdrowia oraz zapewnienie żywności dla wszystkich obywateli.



boliwariańskim”, a także od 2006 r. w Boliwii (polityka prezydenta Evo Moralesa), wpłynął na sytuację w Ekwadorze. Bardzo często przedstawia się ją jako pochodną tego, co miało miejsce w ojczyźnie Hugo Cháveza, ale mowa również o naśladowaniu rewolucji kubańskiej (zwłaszcza widzianej przez pryzmat sprzeciwu wobec kapitalizmu i polityki USA) lub argentyńskiego peronizmu (jako kreacji iluzji partycypacji społecznej). Pojawiają się opinie sugerujące, że system ekwadorski to socjaldemokracja z elementami *caudillismo* – pojęcie to odnosi się do okresu, kiedy w krajach regionu decydujący głos mieli przywódcy wojskowi, zdolni skupić wokół siebie oddziały zbrojne i rządzić silną ręką. Jednak wszystkie te głosy pomijają to, co najbardziej istotne w procesach zachodzących w Ekwadorze.

Lata 90. w tym kraju były czasem kryzysów politycznych i gospodarczych. Czterech kolejnych prezydentów zostało odsuniętych od władzy przed zakończeniem kadencji. Brak stabilności politycznej ułatwił powstanie nowej partii. W 2006 r. utworzono przyszłą Alianza PAÍS – Sojusz PAÍS, od skrótu Patria Altiva i Soberana, „Ojczyzna Dumna i Suwerenna”. Jej kandydatem w wyborach prezydenckich został Rafael Correa Delgado. **Dzięki postulatom nacjonalistycznym, demokratycznym i sprawiedliwości społecznej ugrupowanie zdobyło bardzo dużą popularność.** Ważną rolę odegrał jej charyzmatyczny lider, wokół którego skupiły się kompetencje decyzyjne. Alianza PAÍS szybko stała się najważniejszym ugrupowaniem. Nigdy nie zyskała większości absolutnej, ale zepchnęła pozostałe partie na margines sceny politycznej. Za główną przyczynę jej sukcesu należy jednak uznać kryzys partii tradycyjnych na początku XXI w. Nie był to więc jedynie sukces lewicowego ugrupowania, ale dużo bardziej skomplikowany proces.

Znaczny wpływ na taki bieg wydarzeń miała zmiana nastrojów obywateli Ekwadoru. Sytuacja społeczna zaczęła zmieniać się już w połowie pierwszej dekady XXI w. W 2005 r. wybuchły protesty społeczne na masową skalę, tzw. *revolución de los forajidos* („rewolucja bandytów”). Był to swego rodzaju cywilny zamach stanu, który następnie przerodził się w pucz wojskowy. **Ogromną rolę odegrali w nim zwykli obywatele oraz organizacje społeczne. Tłumy mieszkańców na ulicach Quito stały się nieodłączną częścią ekwadorskiego życia społecznego. Towarzyszą one stale wszystkim przemianom, aż do chwili obecnej.**

Wybory w 2006 r. wygrał wspomniany Correa, a podczas inauguracji pierwszej kadencji nowego prezydenta w 2007 r. przedstawiony został projekt polityczny, rozwijany w kolejnych latach. Nie był on ściśle określony, ale badając różne dokumenty

Nowe ustawy w zasadzie ignorowały zalecenia ruchu protestującego przeciwko eksploatacji ropy i innych surowców. Dlatego też powstała koalicja różnych organizacji stawiających opór inicjatywom władz.





©©© Agencia Noticias Andes, flickr.com/photos/agenciaandes, ec/8482950915/

programowe - m.in. nową konstytucję z 2008 r. czy Narodowy Plan Dobrobytu - można wyróżnić najważniejsze elementy. W zakresie ideologicznym byłyby to: nadrzędność pracy ludzkiej nad kapitałem, sprawiedliwość społeczna, ochrona praw człowieka i środowiska naturalnego, integracja latynoamerykańska, stworzenie demokracji aktywnej, radykalnej i deliberatywnej, w której obywatele sprawują władzę, mają udział w podejmowaniu decyzji i kontrolują ich wykonanie. Ważnymi hasłami były równość, spójność, integracja społeczna, polepszanie jakości życia, wzmocnienie sfery publicznej i międzykulturowej. Ekwador określony został jako państwo wielonarodowe i tolerancyjne; uznano prawa wspólnot indiańskich, przyznano je homoseksualistom i imigrantom. Zakładano przeprowadzenie reformy instytucjonalnej, która miała na celu decentralizację, powołanie nowych organów kontroli, uchwalenie nowej konstytucji, reorganizację parlamentu i innych instytucji oraz powstrzymanie prywatyzacji.

Reformę socjalną chciano realizować poprzez zapewnienie powszechnego systemu ochrony zdrowia i bezpłatnego szkolnictwa - zakładano wzrost budżetu na te cele do odpowiednio 5% i 6% PKB. Położono nacisk na wzrost dobrobytu, gwarancję pracy, powszechną edukację, ochronę zdrowia oraz zapewnienie żywności dla wszystkich obywateli. Ważnym elementem była rewolucja etyczna, czyli walka z korupcją oraz poprawienie przejrzystości procesów sądowych. Z kolei zakładane zmiany gospodarcze miały być raczej niewielkie. Zwrócono uwagę na małe przedsiębiorstwa, drobne inicjatywy, demokratyzację środków produkcji i tworzenie wspólnych przedsięwzięć wraz z innymi krajami. Centralnym punktem miało być zwiększenie władzy państwa w gospodarce i społeczeństwie. Chciano wprowadzić nadzór nad sektorami strategicznymi, takimi jak energetyka, górnictwo czy telekomunikacja. Istotna była także niezależność od międzynarodowych instytucji kredytowych, renegocjacja długu zagranicznego oraz ostrożność w kontaktach ze Stanami Zjednoczonymi.

Z ideologicznego punktu widzenia *revolución ciudadana* była zjawiskiem łączącym reformistyczny socjalizm, doktrynę społeczną Kościoła, teologię wyzwolenia, antyamerykanizm i antyneoliberalizm. Jej celem miała być transformacja w kierunku równości oraz takiej akumulacji i dystrybucji bogactwa, aby Ekwadorczykom żyło się lepiej. Postulowano przezwyciężenie „szkodliwego modelu neoliberalnego” i otwarcie drogi do „socjalizmu XXI wieku”. Przyjęte zasady zakładały konfrontację rządu z różnymi grupami interesów: bankami, mediami, elitą biznesową i tradycyjnymi partiami politycznymi oraz walkę z korupcją w instytucjach państwowych. Przede

wszystkim jednak - konfrontację z neoliberalizmem gospodarczym. Zmiany początkowo miały być radykalne, głębokie i szybkie. Później jednak twierdzono, że nie da się zmienić w drastyczny sposób modelu akumulacji bogactwa. Mówiono raczej o ulepszaniu i poprawianiu, czyli o powolnych, stopniowych zmianach, bez wchodzenia w konflikt z oligarchią.

Prospołeczna polityka i poparcie obywatelskie

Nowy rząd niewątpliwie przyniósł krajowi wiele korzyści. Być może najważniejszą była swoista rewolucja moralna. Skończyła się epoka tolerancji dla korupcji, fałszowania wyborów, unikania płacenia podatków, niesprawiedliwości społecznej. Dużo mówiono o dobrym zarządzaniu, uczciwości, dyscyplinie i przejrzystości w administracji publicznej. Niezaprzeczalny jest także wzrost stabilności, zmniejszenie fragmentaryzacji sceny politycznej, umocnienie rządów większościowych, zwiększenie reprezentatywności i legitymizacji władzy. Szanowane były prawa człowieka, pewne ograniczenia dotyczyły jedynie wolności mediów czy zgromadzeń.

Rząd wziął pod uwagę głos ruchów społecznych w różnych kwestiach, takich jak rezygnacja z polityki neoliberalnej i niepodpisywanie traktatów o wolnym handlu (gwałtowne protesty miały miejsce już w okresie poprzednich rządów), prowadzenie polityki zagranicznej niezależnej od USA czy też zamknięcie północnoamerykańskiej bazy wojskowej znajdującej się na terenie Ekwadoru. Poza tym ruchy te uczestniczyły w zgromadzeniu konstytucyjnym. Wsparcie ekologów ułatwiło przyjęcie tzw. prawa natury (nowatorskie rozwiązanie, traktujące przyrodę jako podmiot prawa) oraz inicjatywy dotyczącej parku narodowego w Yasuní. Dzięki ruchom robotniczym zablokowano uelastycznienie czasu pracy i ograniczono outsourcing. Indianie i Afroekwadorczycy wezwali do wzmocnienia praw wspólnotowych i wielokulturowości, a kobiety - praw ekonomicznych i socjalnych. Konstytucja zakładała zwiększenie obecności kobiet w życiu publicznym, a w wyborach z 2009 r. kobiety objęły aż 40 ze 124 miejsc w parlamencie. Postanowiono zająć się problemem przemocy wobec kobiet oraz dyskryminacji ich jako pracowników. Polityka przyjazna grupom społecznym szczególnie narażonym na dyskryminację pozwoliła na włączenie 10 tys. osób niepełnosprawnych do życia gospodarczego kraju.

Zwrócenie uwagi na społeczeństwo było główną zmianą, jaka dokonała się w polityce Ekwadoru. Miało to miejsce zarówno w warstwie propagandowej, jak i w realnych działaniach. Sam prezydent kreował się na „człowieka z ludu” - mówił nawet w indiańskim języku keczua - choć wykształconego, używającego

pojęć i wskaźników ekonomicznych (studiował ekonomię, zrobił doktorat w USA). Miało to pokazać, że kariera nie oddzieliła go od zwyczajnych mieszkańców, a jego wiedza ma im służyć. Dzięki bezpośredniemu językowi tworzyła się swoista emocjonalna więź między nimi. Prezydent często używał takich sformułowań jak „siostry i bracia Ekwadorczycy”, a także przemawiał w pierwszej osobie liczby mnogiej przy opisywaniu podjętych działań. Każdy obywatel mógł poczuć, że ma udział w rządzeniu, co stwarzało wrażenie jedności oraz partycypacji społecznej. Stosował także agresywny i prowokacyjny język wobec wrogów, kreując atmosferę konfrontacji.

Podjęto również konkretne działania. W polityce społecznej wdrożono liczne inicjatywy mające na celu walkę z analfabetyzmem oraz biedą i ubóstwem. Skupiono się na najsłabszych grupach społecznych, a więc Indianach, Afroekwadorczykach, pracownikach, chłopach, imigrantach i bezrobotnych. Zwrócono uwagę na ochronę zdrowia, bezpieczeństwo socjalne oraz rozwój gospodarczy, który miał przynieść poprawę położenia przede wszystkim najuboższej ludności. Wprowadzono różnego rodzaju subsydia dla ponad miliona najbiedniejszych obywateli: na paliwo, gaz i elektryczność, a także bony dla rolników i mikrokredyty. **Wydatki socjalne były niewątpliwie wyższe niż w poprzednich okresach. Więcej funduszy otrzymały szpitale, szkoły i programy żywieniowe.** Już dane z 2009 r. wskazują na zmniejszenie biedy oraz zwiększenie redystrybucji dochodów, choć różnią się w szczegółach - najbardziej przychylne rządowi mówią o spadku poziomu biedy między latami 2006 i 2011 o prawie 10 punktów proc. Zwiększyły się płace realne oraz minimalne, dzięki czemu wzrosła siła nabywcza gospodarstw domowych. Spadło bezrobocie, nastąpił wzrost liczby inwestycji, zwłaszcza w sektorach społecznych.

Ważnym elementem była też nowa polityka podatkowa. Zredukowano podatki pośrednie (VAT został zmniejszony z 12 do 10%), zwiększono zaś bezpośrednie oraz podstawę opodatkowania, wprowadzono progresywność podatku dochodowego, a także zwiększono podatki na towary luksusowe. Udało się poprawić efektywność ściągania podatków, zwłaszcza wśród przedstawicieli klas wyższych, co niewątpliwie było dużym sukcesem, szczególnie na tle innych krajów regionu.

Przebudzenie po „długiej nocy neoliberalizmu” (jak zwykł określać sytuację przed 2007 r. prezydent Correa) wymusiło wprowadzenie szeregu zmian, na czele ze wzmocnieniem interwencjonizmu państwowego. Skupiono się na zwiększeniu produkcji krajowej i ochronie sektorów strategicznych przed konkurencją z zewnątrz. Renegocjowano niektóre traktaty z firmami transnarodowymi. Dążono do



pozbycia się władzy wielkiego kapitału nad decyzjami dotyczącymi gospodarki państwa. Dobre wyniki makroekonomiczne w latach 2009-2012 były skutkiem głównie wpływów z eksportu ropy naftowej i gazu ziemnego. Nowy rząd zmienił politykę gospodarczą Ekwadoru. Przede wszystkim skończyło się tradycyjne podporządkowanie grupom interesu i międzynarodowym instytucjom finansowym. Ekwador pokazał, że nawet mały kraj może przeciwstawić się polityce Międzynarodowego Funduszu Walutowego i administracji USA.

Rząd Rafaela Correi cieszył się dużym poparciem społecznym, dzięki czemu nie musiał obawiać się utraty władzy, oraz mógł skutecznie walczyć z przeciwnikami politycznymi. Zwolennicy rządu byli bardzo aktywni, często wychodzili na ulicę, aby zmanifestować swoje poparcie. Niemal każda demonstracja przeciwników rządu spotykała się z reakcją jego obrońców. Powody wysokiego poparcia dla władzy są dość złożone, jednak sprowadzić je można do charyzmy prezydenta, programu rządzącej partii oraz braku alternatywy. Przede wszystkim – rządowi udało się wprowadzić nową erę stabilności politycznej, co umożliwiło zajęcie się problemami społecznymi. Szeroko zakrojone programy pomocowe doprowadziły do zmniejszenia biedy. Nastąpił także ponadpięciokrotny wzrost zatrudnienia

w administracji rządowej. Rząd zawarł sojusz z ruchami społecznymi, lewicowymi intelektualistami i obrońcami praw człowieka. Wspierała go przede wszystkim miejska klasa średnia, zwłaszcza jej dobrze wykształcona część, która stanowiła podstawę elektoratu. Kryzys neoliberalnej polityki (objawiający się m.in. wzrostem cen) windował zyski klas posiadających, pozostawiał ubogich na marginesie, a w dłuższym okresie przestał przynosić korzyści klasie średniej, która dostrzegła w nowej partii możliwość zmiany sytuacji. Natomiast biedne warstwy, teoretycznie główny adresat reform Alianza PAÍS, stanowiły mniejszą część jej elektoratu. Poparcie dla rządu przenikało jednak wszystkie grupy społeczne, nie można wyróżnić konkretnego profilu wyborcy – ani wykształcenie, ani dochody nie są tu decydujące. Jest to jedna z cech charakterystycznych, niespotykana w zasadzie w innych krajach regionu. Dzięki jednoczesnemu utrzymaniu liberalizmu w gospodarce, braku rozciągnięcia kontroli państwa nad całą gospodarką czy nacjonalizacji na dużą skalę (poza niektórymi sektorami) uzyskano poparcie firm, banków i przedsiębiorców.

Nieistnienie politycznej organizacji klasy średniej oraz włączenie jej do bazy społecznej rządu umożliwiły uniknięcie polaryzacji sceny politycznej, jak miało to miejsce w Wenezueli. Rząd unikał także

konfrontacyjnych kroków wobec elit. Opozycja oraz bliskie jej grupy społeczne były najczęściej słabe lub znajdowały się w kryzysie.

Ograniczone zmiany

Można zaryzykować twierdzenie, że o ile sprzeciw wobec polityki rządowej przed 2009 r. oraz powstanie rządu Correí miały pozytywny wpływ na uczestnictwo obywateli w życiu politycznym, o tyle sprzeciw wobec działań rządu Alianza PAÍS był kolejnym impulsem do zwiększenia partycypacji społecznej.

Główną zmianą, jaką możemy dostrzec w ewolucji ekwadorskiej polityki po 2007 r., jest wyraźny wzrost tendencji autorytarnych. Rafael Correa stał się centralną postacią Ekwadoru, skupiając w swoich rękach niemal całą władzę wykonawczą. Sam inicjował i podejmował wszystkie ważne decyzje, a udział ministrów w tym procesie został niemal wyeliminowany. Nowe prawo wprowadzano bez debaty, uchwalane większością głosów rządzącej partii, bez oglądania się na skutki. Jego celem było przede wszystkim wzmocnienie aparatu państwowego.

Przywództwo prezydenta stało się zarówno największą zaletą, jak i słabością systemu. Pozwoliło na szybkie wprowadzenie korzystnych społecznie zmian, ale przyczyniło się także do niepokojących tendencji. Jednocześnie partia rządząca zmierzała do usunięcia mechanizmów kontroli oraz tworzenia instytucji równoległych. Strona rządowa utrzymywała również, że sądownictwo nie potrafiło rozwiązać problemów przestępczości i korupcji, więc do akcji musiała wkroczyć władza wykonawcza. To rodziło obawy o przejęcie sądów przez rządzących. Koncentrację władzy uzasadniano „dobrem obywateli” oraz koniecznością ochrony „rewolucji” przed atakami przeciwników.

Bardzo głośne na arenie międzynarodowej były rzekome ataki rządu na wolność prasy. Media ekwadorskie, pozostające w rękach oligarchii i wielkiego kapitału, były od początku niechętne lub nawet wrogie rządowi Correí. Władze natomiast oskarżały je o brak odpowiedzialności, bezkarność i obronę *status quo* za wszelką cenę. Prowadząc nieustanną walkę z „dyktaturą massmediów”, rząd posuwał się do indywidualnych ataków. Wytoczono proces dziennikarzowi i czasopismu „El Universo” za rzekomą obrazę prezydenta. Sąd skazał właścicieli na karę trzech lat pozbawienia wolności oraz odszkodowanie w wysokości 40 milionów dolarów, obrona natomiast podała krytyce niezawisłość władzy sądowniczej. Inną sprawą był proces przeciwko dziennikarzom, którzy opisali szczegóły kontraktu zawartego przez brata prezydenta z państwem (był to zresztą bodaj jedyny przypadek, w którym rzucono podejrzenie o korupcję w sferach rządowych). Międzyamerykańska

Komisja Praw Człowieka wezwała rząd Ekwadoru do zawieszenia wyroków. Ten ostatecznie podporządkował się, jednak kilka dni później uruchomił nową kampanię przeciwko „El Universo”. Co więcej, dążąc do uzyskania własnych kanałów komunikacyjnych, rząd stał się posiadaczem trzech czasopism, siedmiu stacji radiowych, czterech magazynów tematycznych i sześciu kanałów telewizyjnych – w sumie 16 podmiotów. Były to m.in. przejęte: El Telégrafo, GammaTV, TC Televisión, Cable Noticias, Cable Deportes, Radio Universal oraz stworzone: EcuadorTV, Radio Pública, El Ciudadano, Agencia Ecuatoriana de Noticias ANDES. Wydaje się, że sposobem na zmiany powinno być tworzenie wolnych i niezależnych mediów, nie zaś jedynie przejmowanie oraz tworzenie rządowych ośrodków. Działania władzy w tym zakresie polegały jedynie na przejęciu monopolu informacyjnego, a nie na walce z nim.

Projekty rządowe zmierzały do utworzenia państwa reprezentującego ogólny interes społeczny. Wszystkie zorganizowane grupy, bez względu na przynależność ideologiczną czy klasową, były postrzegane jako wrogie. Nie wzięto pod uwagę, że niektóre z nich, takie jak ruch indiański czy ekologiczny, działają na rzecz społeczeństwa, jednocześnie sprzeciwiając się każdej partii, która nie przestrzega pewnych zasad. Przyjęty język polityczny pozwalał na włączenie każdego, kto sprzeciwiał się rządowi, do zbioru „kontrrewolucjonistów” i sił antyspołecznych, co powodowało nasilenie konfliktów.

W miarę upływu czasu mieliśmy do czynienia z osłabieniem społecznego poparcia dla rządu Rafaela Correí. Okazało się, że praktyczny wymiar projektów społecznych jest ograniczony. Poparcie ludności stawało się coraz bardziej bierne; często wynikało jedynie z braku innej prospołecznej opcji politycznej. Przyczyn takiego stanu rzeczy można doszukiwać się w osłabieniu „rewolucyjnych” działań władzy oraz w miernych wynikach rządowych inicjatyw. Fundusze przeznaczone na programy socjalne nie przekładały się w odpowiednim stopniu na spadek biedy. Nawet przedstawiciele rządowi niekiedy wyrażali niezadowolenie z kiepskich wyników w tej dziedzinie. Część obserwatorów interpretowało *revolución ciudadana* jako proces modernizacji kapitalistycznej, swego rodzaju „kapitalizm z ludzką twarzą”. Rząd miałby więc skupiać się jedynie na ograniczaniu wyzysku, a nie na jego eliminacji. W działalności władz dostrzegano populizm i powiązanie wydatków ze zwiększonymi wpływami do budżetu dzięki sprzedaży ropy naftowej. Zdaniem krytyków zmiany w dużej mierze skupiały się na działaniach propagandowych i były niepotwierdzone wskaźnikami ekonomicznymi. Według niektórych danych poziom biedy spadał wolniej niż w okresie wcześniejszym

(w latach 2003–2006). Również indeks Giniego, mierzący rozwarstwienie społeczne, był raczej stabilny (0,54 w 2006 i 0,52 w 2009 r.). Istotnym pozostawał fakt, że fundusze pomocowe trafiały nie tylko do najbiedniejszych, ale także do bogatych, na przykład przedsiębiorstw.

Nowa polityka ekonomiczna skupiała się na wykorzystywaniu inwestycji publicznych jako siły napędowej gospodarki; do tego konieczny był kapitał, który mogła zapewnić oligarchia biznesowa. Przedsiębiorcy początkowo gwałtownie sprzeciwiali się poszczególnym posunięciom rządu, ale zarazem korzystali ze skutków polityki probiznesowej. Była ona korzystna także dla banków oraz firm północnoamerykańskich, co zostało mile przyjęte w USA, które tonowały swoje krytyczne wypowiedzi wobec Ekwadoru, nawet jeśli ten podejmował niekiedy agresywne kroki na płaszczyźnie politycznej. Zapowiedzi przyznania priorytetu średniemu i małemu biznesowi zostały odłożone na bok. Korzyści odnosił głównie wielki kapitał, a polityka gospodarcza coraz częściej była kontynuacją modelu neoliberalnego.

Najlepszym przykładem ciągłości w gospodarce są działania w zakresie przemysłu wydobywczego. W tym przypadku stanowisko rządu bliskie było międzynarodowym korporacjom. Ważniejsza od praw człowieka czy ekologii była potrzeba rozwoju, przy czym na usprawiedliwienie prowadzonych działań używano takich pojęć jak „zrównoważony” lub „odpowiedzialny”. Początkowo firmy wydobywcze musiały jedynie przeprowadzić badania wpływu na środowisko oraz konsultacje ze wspólnotami lokalnymi (których zgoda nie była jednak wymagana), nie można też było prowadzić takich działań na obszarach chronionych. Później jednak wymóg konsultacji zniesiono. Wybuchły protesty, kończące się niekiedy represjami policji i wojska. Masowa demonstracja wspólnot indiańskich z Amazonii była efektem podpisania kontraktów na wydobywanie surowców bez uzgodnienia z mieszkańcami, a także obawami o chęć prywatyzacji sieci dystrybucyjnych wody i gazu. Władza uznała, że ekonomiczny interes narodowy ma pierwszeństwo przed lokalnym i ekologicznym. Nowe ustawy w zasadzie ignorowały zalecenia ruchu protestu przeciwko eksploatacji ropy i innych surowców. Dlatego też powstała koalicja różnych organizacji stawiających opór inicjatywom władz.

Opóźnienia i problemy pojawiały się niemal we wszystkich działaniach strony rządowej. Nie podjęto na przykład kroków w kwestii sprawiedliwego rozdziału ziemi. Po pięciu latach zapowiedzi „rewolucji agrarnej” nic się w zasadzie nie zmieniło. Sam prezydent stwierdził, że mała własność na wsi działa na niekorzyść efektywności i walki z ubóstwem. Ewentualny podział wielkiej własności ziemskiej został



© Diario el Universo, flickr.com/photos/eluniverso/6881417679/

uznany za zjawisko negatywne, co było sprzeczne z konstytucją oraz wcześniejszymi zapowiedziami. Projekt prawa gruntów i terytoriów został wysunięty dopiero w 2012 r. przez organizacje społeczne.

Władze dążyły do objęcia kontrolą organizacji pozarządowych (krajowych i międzynarodowych) oraz pracowniczych. Teoretycznie miały one prawo do strajku (ograniczone w przypadku sektora publicznego), ale w praktyce często próbowano je blokować. Rząd uznawał je za część prawicowego spisku, zwiększył ilość oskarżeń wobec demonstrantów, a policja zaczęła stosować bardziej brutalne metody. Za pomocą reformy kodeksu karnego ograniczano wolność osobistą w różnych kwestiach, starając się zapobiec mobilizacji społecznej.

Polityka wobec Indian – swoisty miernik społecznego podejścia rządu – także nie przyniosła konkretnych rezultatów. Istniejąca od zawsze dyskryminacja tej grupy ludności była nie do zaakceptowania dla nowych władz i niemal od razu zajęto się tą kwestią. Jednak rozwój stosunków między ruchem indiańskim a rządem pokazał, że ten drugi nie jest w stanie zrozumieć idei wieloetniczności. Uderzono w finanse i samorządność wspólnot indiańskich, chciano także odebrać im kontrolę nad dwujęzyczną edukacją. Dążono do podporządkowania sądownictwa indiańskiego sądom państwowym. Indian określano

mianem „dzikich” i „niecywilizowanych”, nawet jeśli używali racjonalnych argumentów. Wielu liderów zostało oskarżonych o terroryzm i sabotaż za uczestnictwo w demonstracjach przeciwko nowym ustawom w zakresie górnictwa i zasobów wodnych. Znamienna jest wypowiedź przywódcy największego indiańskiego ruchu, który stwierdził, że *w Ekwadorze mamy do czynienia z supremacją władzy wykonawczej, z rządem dyktatorskim i rasistowskim [...], z rządem, który mówi, że my [Indianie] jesteśmy zwariowani, który umniejsza znaczenie ruchu indiańskiego [...] Zdecydowaliśmy bronić wolności słowa we wszystkich wymiarach, nawet za cenę życia*. Władze coraz bardziej dystansowały się od organizacji indiańskich, podobnie zresztą jak od innych związków i stowarzyszeń, które początkowo wydawały się być ich bazą społeczną. Z drugiej strony charakterystyczną cechą ruchu indiańskiego była działalność na granicy polityki oficjalnej.

Podobnie sytuacja wyglądała z promowaniem demokracji partycypacyjnej. Inaczej niż było to realizowane przez Partido dos Trabalhadores w Brazylii, w Ekwadorze obóz władzy sprawił, że nie był to proces oddolny – odbywał się przy poparciu obywateli, ale realizowany był przez charyzmatycznego lidera. „Obywatelskość” miała być polityką kształtowaną dla obywateli i w ich imieniu, ale nie przez nich samych. Działania na rzecz najbiedniejszych nie zawierały postulatu włączenia ich w procesy decyzyjne. Bardzo często ludzie mieli jedynie zatwierdzać w plebiscytach rządowe propozycje, a rzekoma partycypacja polegała na przekazaniu władzy małym grupom, podatnym na perswazję władz. Cały proces sprowadzał się do konsultacji i tzw. uspołecznienia, ale nie oznaczał przeniesienia decyzyjności na obywateli. Strona rządowa tłumaczyła, że demokracja partycypacyjna nie miała na celu zastąpienia demokracji przedstawicielskiej, a jedynie jej uzupełnienie. Interesujące wydaje się być stwierdzenie jednego z byłych ministrów, że *revolución ciudadana wyczerpała się z powodu „braku obywatelskości” i należy zwiększyć partycypację obywateli kosztem podejmowania decyzji przez organy władzy*. W praktyce brak promowania demokracji bezpośredniej na najniższym poziomie łączył się z osłabianiem systemu przedstawicielskiego. Można zaryzykować tezę, że najbardziej wzniosły ideał procesu politycznego w Ekwadorze nie został zrealizowany przez rząd.

O ile więc wzrost znaczenia kwestii socjalnych w polityce państwa był niezaprzeczalny, to analiza innych kwestii wykazuje, że zmiany były niewielkie. Co więcej, brakowało wymiany informacji między władzą a obywatelami. Wobec takiego podejścia rządu nasilały się protesty. Należy pamiętać, że niemal od samego początku ugrupowania prawicowe

(zarówno partie, jak i ruchy społeczne) oraz stowarzyszenia biznesowe występowały przeciwko rządowi. Co ciekawe jednak, w miarę upływu czasu konflikt ten osłabiał się, a rolę opozycji przejęły nowe grupy z lewej strony sceny społecznej. Byli to, poza organizacjami indiańskimi, także pracownicy sektora publicznego, służby zdrowia, nauczyciele, emeryci, rybacy, a nawet byli ideolodzy *correizmu*, którzy rozczarowali się prezydentem i rządzącą partią. Władze zantagonizowały także uniwersytety, przypuszczając atak na ich autonomię oraz zamierzając podporządkować je władzy wykonawczej. Wszystko to wywoływało odpowiedź ze strony społeczeństwa.

Wiele protestów miało charakter pokojowy, a głównym problemem był sposób, w jaki administracja rządowa definiowała akty sabotażu i terroryzmu (które wedle nowej wykładni mogły zostać przeprowadzone także przez nieuzbrojone jednostki), oraz fakt, że liczba oskarżeń o takie działania zwiększyła się w okresie prezydentury Rafaela Correi. Rok 2010 przyniósł nasilenie się niepokojów, z kulminacyjnym wrześnieowym protestem policji i wojska. Ich bunt doprowadził do ucieczki prezydenta i ogłoszenia stanu wyjątkowego. Okupowano budynki administracji państwowej w stolicy, a sam prezydent został lekko ranny i wzięty jako zakładnik. Jednak ludzie na ulicach domagali się jego uwolnienia, co dokonało się dzięki wiernym rządowi oddziałom specjalnym. O bunt oskarżono przeciwników politycznych i nazywano go zamachem stanu.

Konflikty ujawniły słabość systemu, ograniczenia w relacjach ze społeczeństwem, a także proces zmiany sojuszników przez rząd. Sprzymierzył się on z biznesmenami, którzy również zmienili swoje nastawienie. Droga prowadziła od konfrontacji, przez jedynie sygnalizowanie różnic, do podkreślania wspólnych interesów. Sytuacja, w której władze stawały na rozwój gospodarczy oraz rynek wewnętrzny, doprowadziła do porozumienia z przedsiębiorcami. Zrezygnowano z planów zmiany systemu gospodarczego i zakończenia wykorzystywania pracowników; starano się jedynie złagodzić wyzysk. Konfrontacja z ruchami społecznymi była „rozbrajana” przez tonowanie krytyki oraz włączanie niektórych organizacji do rządowej bazy politycznej. Rok 2013 pokazał, że kierunek, w którym zmierzała polityka prowadzona przez Alianza PAÍS, zostanie utrzymany. Osoby powiązane z przemysłem i wielkim kapitałem zyskały ważne stanowiska w rządzie.

Problemy i prognozy

Sam proces „rewolucji obywatelskiej” w Ekwadorze jest trudny do oceny. Z pewnością wprowadził on kraj na nową drogę, bardziej korzystną dla obywateli.

Umożliwił aktywne angażowanie się mieszkańców w dotyczące ich sprawy. Rzeczywistość polityczna wydaje się być teraz bardziej przejrzysta i uczciwa. Mamy też jednak do czynienia z szeregiem zagrożeń, których nie należy bagatelizować. Z pewnością *revolución ciudadana* nie jest ani „rewolucją”, ani „społeczną”: są to bowiem powolne zmiany, a główną siłą napędową jest rząd. Na pewno też nie mieliśmy do czynienia z transformacją systemu przez obywateli. Odniesiono natomiast kilka sukcesów. Nastąpiło polepszenie komunikacji między społeczeństwem a rządem (przynajmniej w przypadku niektórych grup społecznych), zwrócenie uwagi na najbardziej zagrożone oraz usamodzielnienie gospodarcze kraju. Zmiany były najważniejszym procesem przemian kapitalistycznych w całej historii Ekwadoru, mającym na celu stworzenie silnej klasy średniej i państwa dobrobytu.

Z pewnością rząd należy pochwalić za zmianę kierunku, w jakim uprzednio rozwijał się kraj: niesprawiedliwości, oligarchizmu i zakłamania. Z drugiej jednak strony trzeba pamiętać, że ewolucja okazała się być ograniczona. Ideały *revolución ciudadana* były dość swobodnie interpretowane przez władze. Ważniejszy był dla nich rachunek ekonomiczny; finanse miały pierwszeństwo w stosunku do włączania grup „wykluczonych” do życia społecznego czy też ochrony środowiska. Gospodarka wolnorynkowa i demokracja przedstawicielska pozostały trwałymi podstawami systemu, choć możemy wyróżnić pewne modyfikacje.

Pojawia się pytanie, który element był decydujący w przebudzeniu społeczeństwa ekwadorskiego: charyzma Rafaela Correi i zdolność jego partii do mobilizacji elektoratu, zmęczenie ludzi źle funkcjonującym do roku 2007 systemem politycznym, siły tkwiące w samych obywatelach, impuls płynący z zagranicy (z Wenezueli i Boliwii)...? Niezależnie od tego za największy sukces procesu transformacji politycznej należy uznać zwiększenie zainteresowania obywateli sprawami publicznymi.

Należy też pamiętać o dużej grupie ludzi, którzy byli niezaangażowani politycznie. Wykorzystywali oni dostępne narzędzia (głównie Internet) do propagowania swoich ideałów (wzrost świadomości i partycypacyjności obywatelskiej, mobilności i współpracy społecznej), ale nie opowiadali się za czy przeciw rządowi. Trzeba przyznać, że dzięki *revolución ciudadana* różnego rodzaju inicjatywy społeczne stały się łatwiejsze do przeprowadzenia. Istnieje jednak blokada dalszego ich rozwoju, chociażby z powodu przejęcia większości mediów tradycyjnych przez stronę rządową. Mniejmy nadzieję, że siła tkwiąca w ekwadorskim społeczeństwie jest w stanie pokonać również i to ograniczenie. ✖

ZAREKLAMUJ SIĘ W „NOWYM OBYWATELU”.

TRAFIAMY DOKŁADNIE TAM, GDZIE CELUJESZ.



SZCZEGÓŁY OFERTY NA STRONIE:
NOWYOBYWATEL.PL/REKLAMA

Praca, kłamstwa i gry wideo

IAN WILLIAMS

Wyzysk pracowników w branży gier wideo ilustruje problem, który w przyszłości może dotyczyć wielu z nas i różnych zawodów.

Na początek wyjaśnijmy, że branża gier wideo to sektor o rocznej wartości obrotów porównywalnej z tymi w Hollywood. Całe miasta planują oparcie na niej swych nowych sektorów gospodarki. Konsumentami jej produktów są w równej mierze młodzież i dorośli. Zainteresowanie mediów branżą jest jednak niewielkie. Z wyjątkiem strony internetowej Gamasutra media poświęcone grom wideo ugrzęzły w kulturze uzależnienia od łapówek za nieoficjalne reklamowanie towarów oraz od przychodów z reklam. Kanał telewizyjny G4, poświęcony nowościom z branży (nie zajmujący się już tylko grami wideo), wydawał się dowodzić prawdziwości wszystkich stereotypów o graczach, prezentując w nieskończoność korporacyjne komunikaty prasowe, przerywane tylko sztubackimi żartami o seksie oralnym.

To dziwne, ponieważ sytuacja w branży wcale nie jest dobra. Praca kreatywna stała się polem wyzysku pracowników - wyzysku kojarzonego zazwyczaj z sektorem przemysłowym. Mimo że płace są tu już obecnie niższe niż w szeroko pojętym sektorze technologii, producenci gier utrzymują *status quo* poprzez świadome manipulowanie pragnieniami pisarzy, artystów i programistów liczących na karierę w tej branży. Pieniądże, zaoszczędzone na wynagrodzeniach, zasilają rozdęte pensje kierownictwa i krzykliwe, tandetne kampanie marketingowe, produkowane masowo przez działy *public relations*.

Wyzysk pracowników w branży gier wideo ilustruje problem, który w przyszłości może dotyczyć wielu z nas.

Tylko nielicznym osobom spoza branży mogłoby przyjść do głowy, że jest to dziedzina poważnych nadużyć i wyzysku pracowników. Informacje o rzeczywistej sytuacji trafiają czasem do mediów głównego nurtu przy okazji głośnych skandali, takich jak niesławny przypadek żony pracownika firmy Electronic Arts (EA) sprzed dziesięciu lat - wtedy właśnie miała miejsce pierwsza dyskusja na ten temat w krajowych mediach.

Firma Electronic Arts, wówczas największy i najbardziej przebojowy producent gier wideo na świecie, została zdemaskowana (wpisem na blogu Erin Hoffman, żony programisty z EA, również będącej autorką gier) jako miejsce, w którym kierownictwo - powołując się na wciąż „ciężkie czasy” - tnie koszty, egzekwując 80-godzinny tydzień pracy dla dotrzymania harmonogramów produkcji, zamiast zatrudnić dodatkowych pracowników. Historia ta wyszła na jaw w czasie, gdy firma wykupywała małe studia, narzucając swe wyjątkowo drakońskie standardy ich bezbronnym pracownikom. Po sprawach sądowych, podjętych w następstwie skandalu, firma została zmuszona do zmiany swych praktyk. Hoffman utworzyła małą grupę monitorującą nadużycia. Kiedy jednak media znudziły się tematem, cała branża



powróciła do swej „kultury” niehumanie długich godzin pracy, niskich płac i warunków wywołujących szybkie wypalenie zawodowe.

Zacząłem pracę w branży w 2007 r., w firmie Funcom, gdzie nie doświadczałem żadnego szczególnie niewłaściwego traktowania. Trafiłem tam jako *tabula rasa*, nie wiedząc, czego oczekiwać, i nie mając innych motywów oprócz upodobania do gier. Praca zapowiadała się znakomicie. Byłem technikiem kontroli jakości, a moim zadaniem było wyszukiwanie błędów w grze i informowanie o nich zespołu programistów. To typowa pierwsza praca w tej branży - taka, która daje ogólne pojęcie o produkcji i jest punktem wyjścia do ewentualnej przyszłej specjalizacji.

Większość moich współpracowników była zadowolona z pracy w Funcom. Niemal wszyscy z nich trafili tu z Red Storm z Karoliny Północnej, jednego z najbardziej uznanych studiów w kraju i podpory branży. **Historie, które opowiadali, były przerażające: skandalicznie niskie wynagrodzenia, dotkliwie przepracowanie i kierownictwo średniego szczebla traktujące lokale biurowe jak własny mały folwark.**

Firma Red Storm zatrudniała wówczas większość swych kontrolerów jakości tymczasowo. Trafiały do niej zastępy młodych ludzi, także dzieciaków z liceum, znęconych obietnicami kariery w tym nowym Hollywood branży gier wideo. **Płacono im stawki minimalne, a tygodniowa norma godzinowa**

była bardzo wysoka. Jeden z moich bezpośrednich przełożonych przyznał nieoficjalnie, że pracował regularnie co najmniej 60 godzin tygodniowo. Pracownikom tymczasowym nie przysługiwały również świadczenia społeczne. Osoby takie były zatrudniane na czas projektu - zazwyczaj w ostatnich 4 miesiącach jego trwania. Gdy zrobili swoje, zwalniano ich masowo, bez wypowiedzenia, z obietnicą skontaktowania się, gdy znów będą potrzebni.

Każdy, kto przewinął się przez Red Storm, mówił o całkowitym oderwaniu kontroli jakości od prac rozwojowych. Kontrolerzy mogli kontaktować się z programistami tylko przez pośredników i nie mieli prawa wstępu do „rozwojowej” części budynku. Kontrolerzy jakości byli ewidentnie kastą niższą, z wydzielonym dla nich piętrem. Wtedy nie rozumiałem, dlaczego ci ludzie nie decydowali się na odejście z pracy. Wynagrodzenie było nędzne, godziny pracy za długie, a jeśli choć część historii, które usłyszałem podczas przerw obiadowych, nie została zmyślona, to skandaliczna była również atmosfera w pracy. Pytani o powody pozostania, wszyscy mówili mniej więcej to samo: praca w branży gier wideo była ich marzeniem.

Międzynarodowe Stowarzyszenie Twórców Gier (International Game Developers Association, IGDA) jest *największą na świecie organizacją pożytku publicznego działającą w interesie wszystkich twórców*

gier wideo. Jak podkreślają jego prominentni członkowie, IGDA nie jest związkiem zawodowym. Ma ono wspierać - w ten charakterystycznie amerykański, liberalny sposób - tworzenie dobrych warunków pracy i uczciwe wynagradzanie członków bez wywierania nadmiernej presji i wywoływania szumu medialnego, co byłoby nieodpowiednie w branży będącej technologiczną forpocztą XXI stulecia. Zarząd IGDA często się zmienia, a jego członkami są w większości luminarze z klasy zarządzającej branżą, co przekłada się oczywiście na mniej lub bardziej jednoznacznie antyzwiązkowe stanowisko stowarzyszenia. Dyrektorzy przychodzą, odbywają swe kadencje i są zastępowani przez inne osoby o podobnych zaprawieniach na pracę.

Jedną z ważniejszych postaci w zarządzie był Mike Capps, wówczas szef znanej firmy Epic Games. Bardzo zamożny, władczy i mówiący bez ogródek. W 2008 r. wymknęła mu się wypowiedź charakteryzująca to, co wszyscy decydenci z branży myślą, choć nie powiedzieliby tego wprost. Zapis tej wypowiedzi zniknął w tajemniczy sposób z protokołów z posiedzeń IGDA. Mowa o stwierdzeniu Cappsa, że firma Epic Games **nie jest zainteresowana zatrudnianiem ludzi, którzy chcą pracować mniej niż 60 godzin tygodniowo; że nie chodzi tu o jakość życia, lecz o kulturę korporacyjną firmy, i że absurdem byłoby, gdyby ktokolwiek wchodzący do branży miał w tej kwestii inne oczekiwania.**

Wypowiedź ta wzbudziła u wielu wściekłość. Greg Costikyan, pisarz i krytyk branży, odpowiedział na nią ciętą reprimendą. Podążyli za nim inni ze wszystkich zakątków świata gier. Capps pozwolił sobie najwidoczniej na zbyt wiele. Jak w przypadku żony pracownika firmy Electronic Arts, branża za bardzo odsłoniła prawdziwe oblicze, by ten incydent mógł ujść bez komentarza.

Capps został zmuszony do ratowania sytuacji, szczególnie po tym, jak szef IGDA, główna osoba odpowiedzialna za kształtowanie wizerunku organizacji, pośrednio zgodził się z nim, stwierdzając, że *zagadnienie równowagi między życiem zawodowym a prywatnym wykracza dalece poza liczbę przepracowanych godzin. Ponadto jakość życia znaczy co innego w zależności od osoby.* Choć incydent ten przyciągnął wówczas uwagę opinii publicznej, kolejne wywiady, w których Capps podwoił stawkę w kwestii swych oczekiwań i płac pracowników branży, zostały w większości zignorowane.

Gry takie jak Gears, wiesz, to jedna z najlepiej recenzowanych gier wszechczasów... Nie stworzycie takiej gry z grupą ludzi bez pasji, dbałości o jakość produktu i woli poświęcenia tej jednej dodatkowej nocy - stwierdził Capps. Słowo „pasja” pada w wywiadzie trzykrotnie. To atrybut wzmiankowany w wielu

wywiadach i podczas pokazów branżowych takich jak E3. Słowo to najlepiej określa pracownika idealnego. Inaczej mówiąc, „pasja” to gotowość poświęcenia się marzeniu stania się twórcą gier wideo do tego stopnia, że rozsądne godziny pracy i adekwatne wynagrodzenie stają się nieistotne. Ciągłe rozgrywanie pasji pracowników z branży staje się środkiem, za pomocą którego kierownictwo pośrednio uzasadnia ich skrajny wysiłek.

Ta metoda sprawdza się, ponieważ poczucie pasji jest bardzo realne. Przynosisz ją ze sobą do pracy. Wiesz, że wszyscy wokół dzielą z tobą to samo wspólne zainteresowanie i uznanie dla sztuki tworzenia gier. Możesz natychmiast nawiązać przyjaźnię. Wiele moich dzisiejszych przyjaciół wywodzi się właśnie z tej „wspólnoty”. To niewiarygodnie kusząca propozycja. Nikt, kto podejmuje pracę w branży, nie jest na nią całkowicie odporny. A mało gdzie znajdziesz taką pracę.

Kultura *geeków* [*Geek* to z angielskiego dziwak, ale najczęściej termin ten jest stosowany na określenie „maniaka komputerowego” - przyp. red. NO] traktuje taką silną wspólnotę zainteresowań i konsumpcji o wiele poważniej niż większość innych subkultur. Niedawno napisałem artykuł poświęcony m.in. zastępowaniu tradycyjnej solidarności klas, płci i ras przez kulturę konsumpcji. Tu, w branży gier wideo, kapitał zaprzęga kulturę *geeków* do aktywnego szkolenia pracowników. Wymiana jest prosta: będziesz pracować 60 godzin w tygodniu za trzy czwarte wynagrodzenia oferowanego w innych działach sektora programowania komputerowego. W zamian otrzymasz miejsce przy stole klasy rządzącej kulturą, z którą się identyfikujesz. Chyba tylko zły socjalista mógłby uznać ludzi robiących coś, co kochają, za bezwartościowych. Spełnienie i wybór są filarami sprawiedliwego rynku pracy. To właśnie czyni działania i komentarze menedżerów takich jak Capps tak niemoralnymi. Komuś, kto tworzy gry, po latach marzenia o takiej pracy może być trudno spojrzeć obiektywnie na sytuację i uświadomić sobie, że - być może - z kilkoma wyjątkami - ta branża po prostu cuchnie.

Z powodu ogólnej bezużyteczności organizacji branżowych takich jak IGDA oraz tendencji do łączenia danych statystycznych z branż gier, oprogramowania i rozrywki - fakty o branży są trudno dostępne, lecz istnieją. „Game Developer Magazine”, nieistniejąca już publikacja siostrzana strony internetowej Gamasutra, przeprowadził wieloletnie badania wynagrodzeń, procentowego udziału poszczególnych płci i innych wskaźników. Liczebność próby nie była duża, lecz są to jak dotąd najlepsze informacje dostępne publicznie:

- ▶ 12% respondentów zostało zwolnionych z pracy w ciągu ostatniego roku. To ponad dwukrotnie



więcej od krajowego wskaźnika zwolnień grupowych i więcej niż wynosi krajowy wskaźnik bezrobocia. Spośród tych osób 12% pozostawało bez pracy w chwili przeprowadzenia badania - to wskaźnik również mocno powyżej krajowych współczynników bezrobocia.

- Choć ogólne kwoty wynagrodzeń są tylko nieznacznie niższe niż w innych obszarach związanych z oprogramowaniem, pensje początkowe w branży video są bez wyjątku znacznie niższe.
- Nierównoprawność w traktowaniu płci jest ogromna i niewybaczalna. Na stanowisku o największej reprezentacji kobiet (producent) stanowiły one zaledwie 23% pracowników, a ich średnie wynagrodzenie było o 7 tys. dolarów niższe niż w przypadku mężczyzn. Kobiety to 4% programistów i zaledwie 7% kontrolerów jakości (pierwszy szczebel do kariery w branży).
- Produkcja niezależna - jedyny realny sposób wyłamania się z monopolu dużych studiów - to bilet do ubóstwa. Przeciętny pracownik studia niezależnego zarabiał 23 tys. dolarów rocznie.
- Aż 84% respondentów „nadgania terminy” - pracuje stale przez ponad 40 godzin tygodniowo w okresach poprzedzających terminy zakończenia dużych projektów. Spośród nich 32% pracowało

przez 61-80 godzin tygodniowo (zazwyczaj przez wiele miesięcy).

Szczególną uwagę warto zwrócić na działy kontroli jakości. To najczęściej z nich wywodzą się programiści, producenci, autorzy i artyści jutra. I to w nich wykorzystywanie „pasji” wywiera największy nacisk na całą branżę.

Oprócz „kombinatorów” wywodzących się z kierownictw studiów, na pączkującej i coraz modniejszej w latach 90. branży zaczęły żerować również szkoły komercyjne - jeden z czarnych charakterów współczesnej Ameryki. Wypływając na fali koniunktury Sony Playstation, promowały one „wydumane” programy kształcenia dla osób upatrujących szans kariery w branży gier video. Robią to do dzisiaj. Ich reklamy pojawiają się późno w nocy lub, rzadziej, w środku dnia. Wybrane godziny nie są przypadkowe - reklamy skierowano do bezrobotnych i pracujących na niepełnym etacie. Student płci męskiej (niemal zawsze) - w akompaniamencie muzyki gitarowej lub tanecznej, czasami w towarzystwie atrakcyjnej kobiety lub na tle szybkiego samochodu - wspomina, jak nikt nigdy nie wierzył, że gry video mogą mu przynieść pieniądze. „Wszyscy byli w błędzie” - sztucznie uśmiecha się bohater reklamy.

Szkoły komercyjne sprzedają wizję kariery, która w rzeczywistości nie istnieje. Co więcej, wykorzystują dziwny, atrakcyjny, całkowicie nierealny scenariusz kariery w branży gier wideo jako przynętę na kandydatów do innych programów edukacyjnych, prezentując szkołę, w której nawet studenci scenopisarstwa mogą trzymać z tą odjazdową „bananową młodzieżą”.

Komercyjne szkoły co do zasady nie dzielą się informacjami na temat odsetka absolwentów w stosunku do liczby osób przyjętych. Jednak spośród całkowitej liczby dyplomów wydanych w 2012 r. przez szkoły prowadzące programy związane z grami wideo i mediami interaktywnymi znaczny odsetek (20-30%) dotyczył właśnie tych programów. Udział absolwentów takich projektów w bardziej prestiżowych szkołach komercyjnych wyniósł około 50%. Dyplomy te są w większości bezwartościowe. Osobiście znam kilku twórców gier odrzucających z zasady kandydatury absolwentów takich szkół na wszystkie stanowiska za wyjątkiem najniższych pozycji w kontroli jakości. Nawet sami przyszli pracownicy branży wiedzą, że owe „kwalifikacje” nie są przepustką do wyższych stanowisk. Jednak liczby dowodzą, że ludzie wciąż zapisują się do komercyjnych szkół, licząc na spełnienie marzeń, a uczelnie nie mają interesu w tym, by im to odradzać.

Tak działa cała ta kłokocząca machina branży gier wideo - od studenta do pracownika. Kandydatów jest więcej niż wolnych stanowisk. Ponieważ tradycyjne uczelnie i college'e zaczęły podejmować się prowadzenia poważnych kursów mediów interaktywnych dopiero niedawno, zainteresowani pracą w branży korzystają z takiej oferty edukacyjnej, jaka jest dostępna. Szkoły komercyjne żerują na tym popycie bezlitośnie i bez jakiegokolwiek kontroli z zewnątrz. Menedżerowie w wytwórniach gier z kolei korzystają z tego stałego dopływu absolwentów komercyjnych szkół i marzycieli. Nadpodaż chętnych zbija płace, zwiększając pole manewru dla księgowych, którzy dopuszczają niemal bez wyjątków do rozdęcia kosztów wynagrodzeń kierownictwa, marketingu i kosztów pozapłacowych ogółem. Pracownicy poddają się żądaniom kierownictwa, ponieważ zawsze, bez względu na zajmowane stanowisko, znajdzie się jakiś marzyciel o odpowiednim poziomie „pasji”, który wykona pracę taniej.

Po miesiącach lub latach „nadganiania terminów” i przypatrywania się płacom na porównywalnych stanowiskach w innych firmach, nadchodzi nieuchronnie moment wypalenia zawodowego. 24-latkowie zostają 30-latkami, zakładają rodziny i spłacają hipoteki. I nagle kurczowe trzymanie się marzenia, które i tak nigdy się nie spełniło, przestaje być warte oddalenia od swej rodziny. Więc w końcu odchodzą.

Jednak kierownictwu to nie przeszkadza, ponieważ w takich sytuacjach przychodzą tańsi, młodszy pracownicy, gotowi zrobić więcej, by utrzymać się na powierzchni. Nie przeszkadza to szkołom komercyjnym, ponieważ mogą pochwalić się statystykami zatrudnienia swych absolwentów. Nie przeszkadza to również księgowym, gdyż mogą przeznaczać więcej pieniędzy na marketing nowych gier. Zadowoleni są też miłośnicy grania, ponieważ gry są tanie. Każdy trybik w maszynie robi swoje. Czasem ktoś odejdzie i stworzy studio niezależne, zarabiając 20 tys. dolarów rocznie zamiast 50 tys., dających choć trochę komfortowe życie. Marzenie staje się nieco „czystsze” - choć twórca niezależny nadal nie widuje swej rodziny i nie stać go na czynsz, to jednak wszyscy mają poczucie, że branża funkcjonuje po prostu świetnie.

Wszystko to powoduje, że tej gałęzi technologii grozi rychły upadek. Sprzedaż konsol sięgnęła dna. Nawet jeśli przyjąć punkt widzenia, że powracamy do normalności, budżety są nadal niebezpiecznie rozdęte, oparte na założeniu niekończącej się hossy, a już wkrótce sprzedaż może nie pokryć rachunków. Wielu ludzi straci pracę i zostanie pozostawionych samym sobie, z doświadczeniem i dyplomami w branży, która ich już nie chce lub nie potrzebuje. Nawet jeśli katastrofa nie przygniecie całego sektora, taki stopień wypalenia pracowników oznacza, że ludzie z prawdziwym doświadczeniem będą zastępowani przez laików, a gry będą na coraz gorszym poziomie. To wszystko ze względu na chęć utrzymania niskich wynagrodzeń i długiego czasu pracy. Co więc można zrobić?

Po pierwsze, pracownicy na wszystkich szczeblach branży muszą się zorganizować. Pierwszym krokiem jest przezwyciężenie dominacji IGDA. Dariusz Kazemi, były członek zarządu, przedstawił niedawno uzasadnienie takiego posunięcia, lecz sęk w tym, że IGDA jest organem menedżerów. Jest, mówiąc bez ogródek, **pozorem, ochłapem rzucanym pracownikom, by uznali możliwość wprowadzenia rychłej zmiany na drodze cichej debaty - klasyczny „związek korporacyjny”, służący studiom gier i przez nie firmowany. Realne uzwiązkowienie, obejmujące sojusz pracowników średniego szczebla i ich podwładnych (czatujących na możliwość awansu), jest nie tylko pożądane, lecz również niezbędne, nie tylko dla dobra pracowników harujących przez 12 godzin dziennie, ale dla uratowania branży od stoczenia się w ruinę.**

Wielu obserwatorów pokłada nadzieje w niezależnych studiach, lecz praca w pięcioosobowym zespole tworzącym proste gry nie jest zabezpieczeniem przeciwko tym samym nadużyciom, które charakteryzują korporacje. Powstawanie niezależnych producentów gier musi zostać skojarzone ze sprawiedliwym podejściem do pracy i zatrudnienia, jeśli organizacje te



©© Plakat „Love for games”, Axel Pfänder, flickr.com/photos/axor/3962748956/

mają pełnić rolę kolektywnej przeciwwagi dla korporacyjnych nadużyć. Biorąc pod uwagę wielkość znacznej części studiów niezależnych, zastosowanie takich radykalnych rozwiązań jak własność spółdzielcza i spłaszczona hierarchia jest łatwiejsze niż w większości pozostałych branż sektora technologii.

Po drugie - należy zwiększyć zatrudnienie kobiet (i mniejszości rasowych - choć aktualnie nie są dostępne żadne dane na ten temat). Wyniki badania reprezentacji kobiet wśród pracujących są niemożliwe do zaakceptowania. Każda „dojrzała” branża zostałaby w takiej sytuacji napiętnowana przez media za brak wysiłków na rzecz równouprawnienia. Takie posunięcie to nie tylko kwestia uczciwości;

sprawiedliwy ruch pracowniczy musi być ruchem inkluzywnym. Branża nie jest w tym procesie bezradnym widzem. Typowe dla świata technologii stwierdzenia, że zatrudnienie kobiet byłoby wyższe, gdyby tylko więcej z nich było zainteresowanych pracą, jest słabym wytłumaczeniem. Firmy mogą aktywniej angażować się na rzecz przyjmowania kobiet, przeciwdziałać dyskryminacji w miejscu pracy i współpracować z lokalnymi uczelniami celem zachęcania kobiet do studiowania.

Po trzecie - tradycyjne college'e i uczelnie powinny zastąpić płatne kursy. Programy dla branży gier wideo stanowią tak dużą część działań marketingowych i rekrutacyjnych szkół komercyjnych, ponieważ szkoły tradycyjne nie zdołały wypełnić tej luki podażowej.

Na koniec - media muszą zacząć traktować branżę gier poważnie. Jej sytuacja musi zostać zbadana. Niedostatek informacji i ukrywanie danych o edukacji wynika bezpośrednio z faktu, że branża ta jest lekceważona. A przecież jest to sektor, w którym krążą prawdziwe, wielkie pieniądze, decydujące o życiu konkretnych ludzi.

Jak w większości sektorów technologicznych, pracownicy branży gier wideo padają najczęściej ofiarami znanej pułapki: polegania na „dobroczynnym zarządzie” zamiast na organizacji pracowniczej. Pomimo tych wszystkich zgniłych praktyk, miejsca pracy przynoszące satysfakcję istnieją - jednak wynika to raczej z dobrej woli kierownictwa niż z realnej groźby grupowego działania pracowników. Sytuacja taka jest zbyt niepewna, żeby na niej polegać - gdy zmienia się kaprysy kierownictwa lub ono samo, pracownicy pozostaną bezradni.

Tym niemniej można spotkać także bardziej radykalne podejścia zarówno do produkcji treści, jak i do reformy systemu zatrudnienia w branży. Choć sektor technologii podąża w kierunku libertarianizmu, w pewnych jego obszarach rzeczywistość wydaje się tęsknota za bardziej lewicowym podejściem do reform. Jednak nie jest ona jeszcze wystarczająco słyszalna, by w większym stopniu wpłynąć na toczącą się dyskusję.

Realna szansa, że taka transformacja doprowadziłaby do zmian w całym sektorze technologii, to kusząca perspektywa. Branża gier wideo - niedostrzegana lub wyszydzana przez tak wielu - mogłaby bowiem okazać się w XXI stuleciu ważnym polem walki o prawa pracownicze. ✖

Tłum. Ireneusz Sojka

Artykuł pierwotnie ukazał się na stronie internetowej „Jacobin” (www.jacobinmag.com), amerykańskiego lewicowego pisma poświęconego polityce, ekonomii i kulturze. Tytuł pochodzi od redakcji „Nowego Obywatela”, dokonano drobnych skrótów.

Pożegnanie

W ostatnim czasie z głębokim żalem pożegnaliśmy dwie postaci niezwykle zasłużone dla społeczeństwa i państwa polskiego, a zarazem członków Rady Honorowej naszego pisma.

22 listopada 2013 r. zmarł **prof. dr hab. Leszek Gilejko**, który całą karierę zawodową poświęcił socjologii przemysłu i struktur społecznych, związkom zawodowym i partycypacji pracowników w zarządzaniu i własności przedsiębiorstw. Począwszy od Października '56 jako członek reformatorskiego skrzydła PZPR aktywnie włączał się w praktyczne działania na rzecz demokratyzacji życia społecznego i gospodarczego. W wolnej Polsce był m.in. współzałożycielem Solidarności Pracy oraz przewodniczącym Naukowej Rady Programowej Centrum Partnerstwa Społecznego „Dialog”.

Choć trudno nam utożsamić się ze wszystkimi jego wyborami, prof. Gilejko był dla nas przykładem wierności prospołecznym ideałom niezależnie od panującego klimatu politycznego. Do końca życia, mimo kiepskiego stanu zdrowia, miał dobre słowo i pomocną dłoń dla tych, którzy upominali się o pracowników lub przypominali tradycje ich samoorganizacji - w tym także dla nas.

13 lutego odszedł **dr Zbigniew Romaszewski** - bezkompromisowy obrońca praw człowieka, odważny działacz opozycji demokratycznej oraz chluba parlamentaryzmu III RP. Jego życiorys polityczny, którego starczyłoby dla kilku mężów stanu, rozpoczął się aktywnym sprzeciwem

wobec niegodziwości władz komunistycznych w marcu 1968 r. Następne lata Jego życia to m.in. działalność w Komitecie Obrony Robotników oraz założenie Komisji Helsińskiej, zajmującej się dokumentowaniem przypadków łamania praw człowieka przez władze PRL. Za odwagę i konsekwencję, których przejawem w stanie wojennym było m.in. prowadzenie wraz z żoną Zofią podziemnego Radia „Solidarność”, zapłacił utratą pracy w Instytucie Fizyki PAN oraz dwuletnim więzieniem.

Po uwolnieniu kierował podziemną Komisją Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność” oraz zorganizował I Międzynarodową Konferencję Praw Człowieka w Krakowie. Po przemianach ustrojowych w latach 1989-2011 r. jako jedyny nieprzerwanie zasiadał w Senacie, trzykrotnie przewodnicząc Komisji Praw Człowieka i Praworządności oraz pełniąc funkcję wicemarszałka; zasiadał także w Trybunale Stanu. Równolegle angażował się w niezliczoną liczbę inicjatyw społecznych, których wspólnym mianownikiem była obrona praw obywatelskich i poglądy prospołeczne.

Zbigniew Romaszewski był i pozostanie dla nas wzorem wytrwałości, męstwa i bezinteresowności w walce o pryncypia.

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI!

Redakcja „Nowego Obywatela”

GOSPODARKA SPOŁECZNA

Nr 12(17)
MMXIV

DODATEK EKONOMICZNY DO KWARTALNIKA „NOWY OBYWATEL”

W WYDANIU

**102 Bajki o wynagrodzeniu
minimalnym**

ŁUKASZ KOMUDA

**110 Razem przeciwko
kryzysowi**

DR TOMASZ MERING

115 Kiedy praca popłaca?

BARTŁOMIEJ GRUBICH

121 Biznes (bez) zaufania

DR JOANNA
SZALACHA-JARMUŻEK

Bajki o wynagrodzeniu minimalnym



ŁUKASZ KOMUDA

Fundacja Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych

Minister pracy Władysław Kosiniak-Kamysz powraca do podnoszonej co kilka lat koncepcji różnicowania poziomu wynagrodzenia minimalnego. Zwolennicy liberalizmu gospodarczego przekonują, że taki ruch zaowocuje podwyżką płac minimalnych, a to musi być złe dla gospodarki. Jednak to nieprawda – nie tylko dlatego, że rozwój gospodarczy Polski w $\frac{2}{3}$ zależy od krajowej konsumpcji. Także z tego powodu, że konkurując naszym eksportem na rynku globalnym, nigdy nie pokonamy np. Bangladeszu – musimy szukać innej drogi niż niewielkie koszty pracy oraz produkty o niskiej innowacyjności i niskiej wartości dodanej.

W rozmowie z dziennikarzami „Gazety Prawnej” szef resortu pracy zadeklarował, że chciałby forsować w rządzie koncepcję trzystopniowego systemu płacy minimalnej. Poziom ogólnokrajowy oznaczałby uniwersalne minimum – nigdzie w Polsce wynagrodzenie miesięczne nie mogłoby być niższe. Ale dla wybranych regionów (np. o wyższych kosztach życia i niższym bezrobociu) lub branż, na bazie porozumień pomiędzy związkami zawodowymi

i pracodawcami w wojewódzkich komisjach dialogu społecznego, można by wskazywać wyższy jego pułap.

Taka koncepcja to nic nowego. Można jednak pochwalić, że minister Kosiniak-Kamysz sięga do wzorców zacnych, czyli do modeli niemieckiego, austriackiego oraz z krajów skandynawskich, gdzie dominują systemy autonomii układowej pracodawców i związków zawodowych. Spojrzenie w tym kierunku



©©© Tom Magliery, flickr.com/photos/mag3737/5911579626

jest dodatkowo o tyle chwalebne, że we wspomnianych państwach można wskazać wiele przykładów skutecznej polityki zatrudnienia, owocuującej niskim bezrobociem, ale i odpornością rynków pracy na kryzysy.

Zapowiedź Władysława Kosiniaka-Kamysza wywołała wiele negatywnych komentarzy ze strony organizacji pracodawców i środowisk liberalnych. Stało się tak, pomimo że model zakłada przecież większą władzę organizacji pracodawców, które będą mogły tam, gdzie faktycznie to ma sens, aktywnie bronić niższego poziomu płacy minimalnej, podczas gdy aktualnie mogą jedynie narzekać na decyzje administracyjne MPiPS. **W krytycznych opiniach na temat pomysłu szefa resortu pracy powtarzają się najczęściej następujące argumenty: podwyższenie płacy minimalnej zwiększy bezrobocie, doprowadzi do upadku szeregu firm, jest złe dla gospodarki, obniży**

konkurencyjność Polski, poza tym musimy zaciskać pasa - bo ciągle jesteśmy na dorobku, a przecież płaca minimalna i tak rosła do tej pory w ekspresowym tempie. Spróbujmy się więc zmierzyć z tymi opiniami.

„Wynagrodzenie minimalne rośnie za szybko”

Płaca minimalna w latach 2001-2013 wzrosła z 700 zł brutto (taki poziom ustanowiono w marcu 2000 r.) do 1600 zł brutto, czyli o 128,6%. W tym czasie, a dokładnie od listopada 2000 r. do listopada 2013 r., skumulowany poziom inflacji wyniósł 40,8%, zatem wzrost cen „pożarł” 1/3 skoku płacy minimalnej. Jednocześnie przeciętne wynagrodzenie w gospodarce narodowej zwiększyło się z 1924 zł brutto w 2000 r. do 3652 zł brutto w III kwartale 2013 r., czyli o 89,8%. W 2000 r. płaca przeciętna była wobec tego większa

od minimalnej o 175%, a w 2013 r. - o 128%. Płaca minimalna rosła więc szybciej niż poziom cen i poziom płac ogółem. Ale czy można mówić, że wzrost ten był zbyt szybki?

Płaca minimalna w 2014 r. wynosi 1680 zł **brutto**. To oznacza, że osoba zatrudniona na pełen etat zarabia na rękę ok. 1237 zł. A zatem szybszy niż wzrost przeciętnej płacy skok płacy minimalnej ciągle nie doprowadził do stanu, w którym osoba otrzymująca wynagrodzenie minimalne ma szansę na samodzielne utrzymanie się. Gdybyśmy mogli liczyć na obfitość lokali komunalnych o przyzwoitym standardzie i niewysokim czynszu, to sprawa miałaby się inaczej. Tak jednak nie jest. **W rezultacie wynagrodzenie minimalne - mimo że rosło dotąd szybciej niż przeciętne - ciągle nie realizuje jednego z ważniejszych celów społecznych, dla których instrument ten został wymyślony wiele dekad temu. Nie zapewnia przetrwania - osoba zatrudniona na etacie z wynagrodzeniem minimalnym musi otrzymać wsparcie z zewnątrz: ze strony partnera, rodziny lub państwa.**

„Rynek powinien sam szukać swojej równowagi”

Inną ważną funkcją omawianego instrumentu była i jest ochrona osób najsłabszych na rynku pracy (czego żywym dowodem jest to, że zarabiają najmniej) przed wykorzystywaniem ze strony pracodawców. Skąd pomysł, że takie wykorzystywanie w ogóle miałyby miejsce? Otóż w stosunkach pracodawcy z pracownikiem o relatywnie niewielkich kwalifikacjach trudno mówić o równowadze sił. Z jednej strony mamy osoby, które walczą o ekonomiczne przetrwanie, podpierając się dodatkowo środkami z zewnątrz. Z drugiej - pracodawców, którzy w relacji z pracownikami mają spory komfort, posiadając do wyboru wielu chętnych na niedużą liczbę wolnych miejsc pracy. Co więcej, są to miejsca, które mogą zapęłnić, ale zwykle nie muszą - większość miejsc pracy powstaje w podmiotach, które już funkcjonują i wypełniają wakaty w ramach normalnej rotacji lub (rzadziej) poszerzania działalności. Tylko firma powstająca od zera lub uruchamiany nowy oddział większego przedsiębiorstwa zatrudniają całą lub większość załogi od razu - co teoretycznie obniża siłę negocjacyjną pracodawców, gdyż pozostawienie wakatów może oznaczać spore straty. Wniosek jest jeden: w przeważającej większości przypadków pracodawca ma rynkową przewagę nad pracownikiem. Inaczej mówiąc: polski rynek pracy jest rynkiem pracodawcy. I to od dawna.

Tu warto wymienić jeszcze jeden element kluczowy w teorii gier, która do niedawna stanowiła wielką nadzieję ekonomii na rozwiązanie większości problemów współczesnej gospodarki: asymetrię informacji.

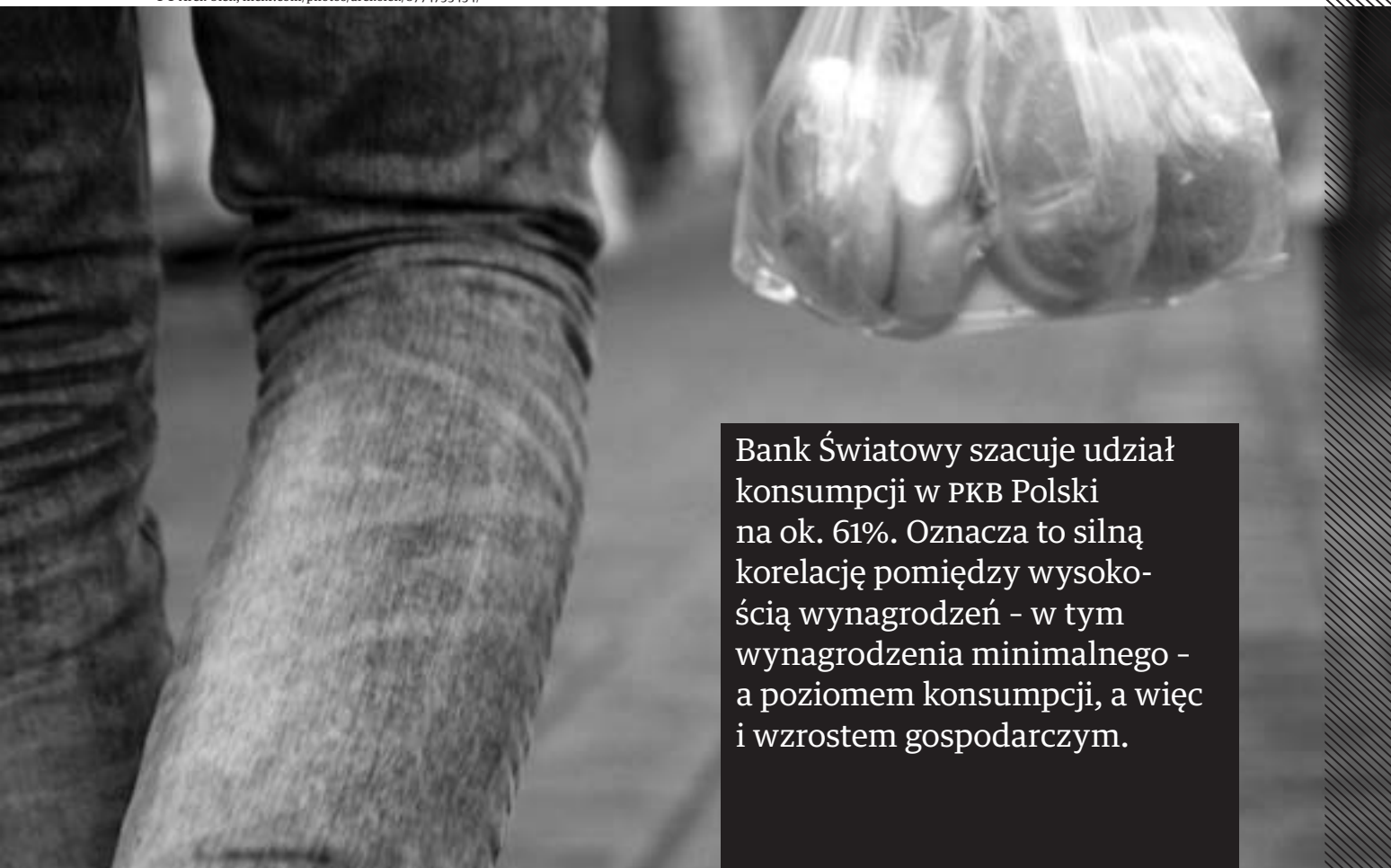
Pracodawcy łatwiej wycenić pracę zatrudnionego niż jemu samemu. A na dodatek ma on więcej sił i środków, by uzyskać dostęp do większej liczby kandydatów, podczas gdy ci ostatni bombardują swoimi aplikacjami setki firm, nie znając faktycznych kryteriów doboru kadr i szans na uzyskanie etatu. Summa summarum - wynagrodzenie minimalne służy choć częściowemu wyrównaniu szans w tej grze. Bez niego płace części najgorzej opłacanych pracowników raczej na pewno by spadły, co sprawiłoby, że wielu z nich zrezygnowałoby z pracy. Albo poszukało jej za granicą.

„Niskie płace to nowe miejsca pracy”

Popatrzmy na ten problem od innej strony: skoro mimo wszystko znaleźliby się chętni do pracy za jeszcze mniejsze pieniądze, to może byłoby to ożywcze dla naszej gospodarki jako całości? To bardzo mało prawdopodobne. Po pierwsze - niektórzy eksperci szacują na podstawie ogłoszeń zamieszczanych w Urzędach Pracy oraz w portalach agencji zatrudnienia, że mamy w Polsce nawet 100 tys. wakatów z wynagrodzeniem na poziomie płacy minimalnej. Niektóre czekają na wypełnienie latami! To powinno nam podpowiadać, że obniżenie płacy minimalnej być może stymulowałoby pewną grupę przedsiębiorców do stworzenia miejsc pracy, ale - przy zachowaniu wszystkich innych parametrów - prawdopodobnie nie znaleźliby wielu chętnych do pracy. Za to część obecnie zatrudnionych rezygnowałaby z pracy, jeśli miałaby zarabiać mniej - przenosząc się na garnuszek państwa lub migrując. Liczba miejsc pracy - zajętych i wolnych - zapewne by się zwiększyła. Natomiast liczba zatrudnionych już niekoniecznie, a jeśli nawet, to kosztem tych, którzy i tak zarabiają najmniej.

Argument, że stały wzrost płacy minimalnej eliminuje z rynku część przedsiębiorstw, doprowadzając je do upadku, jest mało przekonujący. Trudno negocjować związek części bankructw ze wzrostem kosztów pracy, a pośrednio w niektórych przypadkach - ze wzrostem wynagrodzenia minimalnego. Można jednak zadać sobie pytanie, jaki los czekać może przedsiębiorstwo, które zabije kilkuprocentowa podwyżka płac osób z wynagrodzeniem 1200 zł na rękę? Jaka jest jego szansa przetrwania na konkurencyjnym rynku, jeśli skok płacy minimalnej o 5% (jak w 2014 r.) może być tak morderczy? Istniejące tam miejsca pracy trudno nazwać trwałymi. Co więcej, skoro mamy rezerwę wakatów z płacą minimalną, to wypadnięcie z rynku pewnej grupy przedsiębiorstw dających pracę za wynagrodzenie minimalne nie musi zmniejszać zatrudnienia!

Chciałbym na marginesie zwrócić uwagę, że nikt przy zdrowych zmysłach nie mówi o podwyższaniu



Bank Światowy szacuje udział konsumpcji w PKB Polski na ok. 61%. Oznacza to silną korelację pomiędzy wysokością wynagrodzeń - w tym wynagrodzenia minimalnego - a poziomem konsumpcji, a więc i wzrostem gospodarczym.

wynagrodzenia minimalnego z roku na rok o np. 50% - zwolennicy podnoszenia go mówią zwykle o tempie kilkuprocentowym, przekraczającym inflację oraz nie mniejszym niż wzrost przeciętnego wynagrodzenia. Promowana przez związki zawodowe koncepcja uzależnienia płacy minimalnej od płacy przeciętnej jest więc prostym (być może zbyt prostym) mechanizmem spełniającym powyższe warunki graniczne. Ma sprawić, że osoby znajdujące się na dole ekonomicznej drabiny będą mogły cieszyć się z rozwoju gospodarczego i wzrostu płac na równi z pozostałymi uczestnikami rynku pracy.

„Konkurencyjność pracodawców wymaga niskich płac”

Czy niska płaca minimalna może służyć konkurencyjności polskiej gospodarki? Niespecjalnie. Po pierwsze - poziom płac w Polsce jest w tej chwili na tyle wysoki, że nie mamy już szans na globalne ani nawet regionalne konkurowanie czystymi kosztami zatrudnienia. Wystarczy wspomnieć, że wynagrodzenie minimalne w Polsce to ok. 285 euro miesięcznie netto, podczas gdy szwaczki w Bangladeszu walczą o płacę na poziomie 80 euro miesięcznie (nie mówiąc nawet o liczbie godzin pracy, jakie są standardem w tym kraju). Jeszcze wyraźniej

widać to, gdy porównamy przeciętne wynagrodzenia. We wrześniu 2013 r. w Rumunii wskaźnik ten wynosił w przeliczeniu ok. 2000 zł miesięcznie brutto, a w Bułgarii - ok. 1700 zł brutto, czyli był przeszło dwukrotnie niższy niż w Polsce.

Po drugie - produkty, które eksportujemy, a więc którymi konkurujemy na globalnym rynku, powstają w niewielkim stopniu za sprawą pracy osób zatrudnionych na etatach z minimalnym wynagrodzeniem. Ta sytuacja ma zresztą miejsce od wielu lat i znaczenie płacy minimalnej dla eksportu jest coraz mniejsze - wyjątkiem od tej reguły może być kilkanaście większych montowni, gdzie łączy się w prosty sposób komponenty produktów, do czego nie potrzeba wykwalifikowanej siły roboczej.

Co więcej, strategie rządowe i logika nakazują szukać szansy na rozwój ekonomiczny kraju w produktach najwyżej przetworzonych i innowacyjnych - a przy produkowaniu takich trudno myśleć o najtańszej sile roboczej. Warto podkreślić, że ten kierunek kłóci się nieco z ideą ściągania inwestorów zagranicznych, lokujących projekty typu *greenfield* (budowa zakładów od zera zamiast kupno istniejących), którzy celowali w umieszczaniu u nas wspomnianych montowni. Bilans inwestycji zagranicznych psuje też fakt, że nawet największe

projekty inwestycyjne mogą okazać się nietrwałe za sprawą kryzysu, poszukiwania jeszcze tańszych pracowników lub decyzji politycznych (*casus* firmy Fiat Auto Poland). Wygląda więc na to, że inwestycje zagraniczne dla własnego bezpieczeństwa powinniśmy traktować jako cenny, ale tylko dodatek, bonus, wartościową nadwyżkę. Bazę dla naszego rynku pracy musimy zbudować własnymi siłami, siłami lokalnych przedsiębiorców, do czego jeszcze wrócimy.

Po trzecie – w XXI wieku gros każdej cywilizowanej gospodarki to usługi. W Polsce w sektorze usługowym pracuje ponad 58% wszystkich zatrudnionych, a odpowiada on za blisko 2/3 naszego PKB. Choć transgraniczna wymiana usług jest coraz żywsza, nie trzeba tłumaczyć, że osłabiają ją liczne hamulce: ograniczenia technologii świadczenia usług, bariery językowe, kulturowe itd. Nic więc dziwnego, że w naszym kraju eksport i import usług (w ostatnich latach wart 20–30 mld dolarów rocznie tak dla importu, jak eksportu) są ciągle niemal 4,5-krotnie niższe niż towarów.

Co to oznacza? Dodając dwa do dwóch, łatwo dojdziemy do wniosku, że ogromna większość naszych podmiotów gospodarczych konkuruje wyłącznie na rynku lokalnym. W zdecydowanej większości punktem odniesienia firm są koszty i przychody sąsiadów – innych lokalnych podmiotów, a nie np. przedsiębiorstw w Chinach.

„Eksport jest absolutnie najważniejszy”

Polska jest dość energicznym eksporterem: przy sprzedaży towarów za granicą na poziomie ponad 5 tys. dolarów per capita bijemy takie kraje jak Stany Zjednoczone, Rosja, Grecja, Argentyna i Ukraina, a powoli doganiamy m.in. Malezję (5600 dol. per capita), Japonię (6200 dol.) i Czechy (12 600 dol.). Niemniej, wbrew wbitej do głów wielu polityków XVI-wiecznej merkantylistycznej wizji państwa napędzanego przez eksport powstający w fabrykach zatrudniających tanią siłę roboczą, podstawą współczesnej silnej gospodarki jest wysoki poziom lokalnej konsumpcji. Bank Światowy szacuje udział konsumpcji w PKB Polski na ok. 61%. Oznacza to silną korelację pomiędzy wysokością wynagrodzeń – w tym wynagrodzenia minimalnego – a poziomem konsumpcji, a więc i wzrostem gospodarczym.

Dlaczego jednak płace w Polsce są wyraźnie niższe od tych w Europie Zachodniej? Ekonomiści tłumaczą to niską wydajnością pracy. Zatrudnieni w naszym kraju generują statystycznie mniejszą wartość dodaną w przeliczeniu na jednego zatrudnionego niż pracownicy na Zachodzie. Weźmy jednak prosty przykład: w Niemczech średni poziom płac jest 3-krotnie, a najniższa landowa płaca minimalna 3,5-krotnie wyższa niż w Polsce (od 1 stycznia 2014 r.



wynosi za godzinę 8,5 euro w landach dawnego RFN i 7,86 euro w dawnym NRD). Czy to znaczy, że robotnik zatrudniony przy kopaniu rowów lub opiekunka do dziecka pracują w Polsce trzykrotnie krócej/gorzej/mniej wydajnie niż w Niemczech? Albo 9-krotnie mniej wydajnie niż w Danii? Nie.

Przyczyna takiego stanu rzeczy leży w systemie naczyń połączonych, jakim jest rynek pracy, a szerzej – cała gospodarka. Najskuteczniej działające sektory i przedsiębiorstwa przez swoją lokalną i/lub globalną konkurencyjność rozwijają się, zasysając nowych ludzi, a w sytuacji niewielkiego bezrobocia muszą im płacić więcej (tym bardziej że grając wśród najlepszych, potrzebują możliwie najlepszych ludzi),



Płaca minimalna w 2014 r. wynosi 1680 zł brutto. To oznacza, że osoba zatrudniona na pełen etat zarabia na rękę ok. 1237 zł. A zatem szybszy niż wzrost przeciętnej płacy skok płacy minimalnej ciągle nie doprowadził do stanu, w którym osoba otrzymująca wynagrodzenie minimalne ma szansę na samodzielne utrzymanie się.

© Chris Samuel, flickr.com/photos/chris-samuel/5356411427

co pociąga ogólny poziom płac w górę, napędza konsumpcję, generując kolejny impuls do rozwoju firm itd. Wydajność ta wynika z dwóch głównych czynników: lepszego uzbrojenia w narzędzia (środki produkcji, kapitał) i lepszej organizacji. Zatem w Polsce pracownicy zarabiają mniej, bo tutejsi pracodawcy nie mają (z różnych powodów) lepszych technologii oraz metod produkcji i są mniej kompetentni w zarządzaniu. Pracownicy płacą więc za słabości pracodawców.

„Jesteśmy na dorobku”

Wniosek nasuwa się sam: trzeba zrobić wszystko, by pracodawcy byli jeszcze silniejsi i bogatsi. Jesteśmy

na dorobku, więc to uzasadnione, aby zarabiać tak mało, by polskie podmioty mogły się rozwinąć, a przedsiębiorcy – zgromadzić potrzebny kapitał i doświadczenie. Czyż nie?

Otóż nie. Gospodarka rynkowa ma już w naszym kraju ciągłą historię, trwającą blisko ćwierćwiecze. W tym czasie los przedsiębiorców poprawiał się stale szybciej niż cała gospodarka, nie wspominając o losie pracowników. Dowodem na to jest bardzo niski udział wynagrodzeń w PKB, który w dodatku stale się obniża (w latach 2000–2010 spadek oszacowano na ok. 3 punkty proc.). Według Eurostatu w Polsce wskaźnik ten wynosi już ledwie 36% i w UE niższy jest tylko w Grecji, tymczasem np. w Czechach sięga



©© Richie Desterheft, flickr.com/photos/puroitortico/6355586033

on 43%, średnia unijna to 49%, w Niemczech wynosi ok. 52%, a w Szwajcarii 62%. Ta struktura PKB i jej zmiana świadczą o tym, że kapitał jest w naszym kraju wynagradzany wyraźnie lepiej niż praca, i że premia za przedsiębiorczość jest coraz większa - ze stratą dla zdrowia naszej gospodarki, hamowanej przez niższy poziom konsumpcji.

Z jeszcze jednego powodu warto zostawić sentymentalne stwierdzenie „jesteśmy na dorobku”. W pewnym sensie zawsze byliśmy, jesteśmy i będziemy na dorobku. Będziemy krajem ścigającym lepszych od siebie - bo nie mamy cennych surowców naturalnych i kapitału zgromadzonego przez kilka ostatnich pokoleń, ale zmagając się ze zmianami ustrojowymi i zniszczeniami wojennymi, możemy rozwijać się wyłącznie w oparciu o własną pracowitość, przedsiębiorczość i kreatywność.

Fundament jest na dole

No właśnie - przedsiębiorczość i kreatywność. Wbrew stereotypowemu myśleniu, o gospodarce i jej losach w większym stopniu decydują długoterminowo nie posunięcia menedżerów wielkich firm, ale właśnie pracowitość i przedsiębiorczość tzw. klasy średniej, z której rekrutują się ci, którzy mają pomysł i odwagę ruszać z własnym biznesem. Solą ziemi są małe i średnie podmioty: to one generują ponad 40% PKB. I co więcej, to one tworzą najwięcej miejsc pracy w ogóle, a w szczególności nowych stanowisk. Wspomnijmy tu tylko, że według danych Ministerstwa Gospodarki 39% Polaków pracuje w podmiotach gospodarczych zatrudniających do 9 pracowników,

a dalsze 13% - w takich, gdzie zatrudnienie wynosi 10-49 osób. Są do tego najbardziej pożyteczne dla naszego rynku: szukają nisz, podbijają poziom konkurencyjności i tworzą nieustające zagrożenie dla większych przedsiębiorstw, na których potknięcia stale czyhają. O tym, że niemal bez wyjątku płacą podatki na miejscu i są dziełem lokalnego kapitału, nawet nie trzeba wspominać.

Dlatego to o naszą klasę średnią powinniśmy dbać szczególnie troskliwie, a przecież dopiero pewien poziom dochodów zapewnia jej swobodne korzystanie z różnego rodzaju usług, co pobudza szerszy zakres konsumpcji i daje więcej miejsc pracy. Jest on także potrzebny, by można było myśleć o więcej niż przetrwaniu czy bezpieczeństwie - np. o pracy na swoim.

Ale nasza troska nie powinna się kończyć na pracownikach. Nie mniej uwagi powinniśmy kierować na przedsiębiorców. Tyle że do tej pory patrzyliśmy głównie na sprawne PR-owo i lobbystycznie wielkie firmy oraz ich imponujące projekty inwestycyjne, zapominając, że baza naszego zdrowego rynku pracy jest gdzie indziej. Tymczasem dla wielu małych podmiotów to nie poziom płacy minimalnej ma najważniejsze znaczenie dla sukcesu - ba, nawet nie koszty pracy. Właściciele małych firemek widzą zagrożenie z innej strony: ze strony aparatu administracyjnego, a przede wszystkim urzędu skarbowego, którego jedna błędna decyzja może wyeliminować (i eliminuje) setki podmiotów. Znacznym ciężarem dla małych firm jest także nadmiar biurokracji, pochłaniający sporo czasu i sił przedsiębiorcy, który powinien koncentrować się na utrzymaniu i rozwoju biznesu. A także niesprawność państwa, które nie przychodzi z pomocą w sytuacji typowej na polskim rynku, czyli opóźniania płatności za zamawiane przez firmy towary i usługi. Najważniejszymi barierami przedsiębiorczości są więc niska jakość usług systemowych i nieprzyjazność aparatu administracyjnego.

Dla dużych podmiotów powyższe zmagania są mniej istotne: stać je na świetnych prawników, rozbudowane zaplecze biurowe, a niechlubny standard opóźniania płatności im sprzyja - to one zwykle korzystają na tym bardziej, niż tracą, co widać jak na dłoni w branży budowlanej oraz np. we wszelkich sieciach dystrybucyjnych (z Empikiem jako przykładem równie charakterystycznym, co drastycznym). Mało tego, niską jakość usług systemowych i nieprzyjazność aparatu administracyjnego duże podmioty gospodarcze mogą postrzegać subiektywnie jako korzystne: stanowią dodatkowy „próg wejścia” dla nowych graczy rynkowych, ograniczając poziom konkurencji. Na ich poziomie front jest gdzie indziej, podobnie jak potencjalne źródło dodatkowych korzyści ekonomicznych.

Strumienie pod górę

Nam, wyborcom, nie wolno jednak zapominać, że nie możemy sobie pozwolić na rosnącą grupę pracowników zarabiających 1200 zł na rękę ani na dalszą nieskrępowaną ekspansję „elastycznych form zatrudnienia” jako alternatywy dla kodeksowych umów o pracę według aktualnego scenariusza podyktowanego przez dużych pracodawców. Te zjawiska długoterminowo będą dla naszego kraju po prostu zabójcze. Nie zapominajmy, że pozycję w szeregu najzamożniejszych, najbardziej cywilizowanych, najodporniejszych na kryzysy i najbardziej bezpiecznych krajów wyznaczają dziś te państwa, w których najlepiej powodzi się dwóm ostatnim decydom najmniej zarabiających, a nie dwóm decydom na szczycie ekonomicznej drabiny.

Tę lekcję pokory muszą właśnie przełknąć Amerykanie, których część ciągle łudzi się, wierząc w teorie spływającego kaskadowo w dół bogactwa oraz hojności tych, którym się poszczęściło. Doświadczenia ostatnich 30 lat pokazują, że strumienie bogactwa płyną bardziej wartko z dołu do góry ekonomicznej drabiny i gromadzą się bez końca u jej szczytu. 85 najbogatszych osób na świecie zgromadziło majątek taki jak biedniejsza połowa ludzkości, czyli 3,5 miliarda ludzi. Ta niespotykana w historii koncentracja bogactwa postrzegana jest jako największy problem

i zagrożenie dla przyszłości świata - tak przynajmniej uważała większość czołowych ekonomistów, którzy spotkali się podczas corocznej sesji w styczniu 2014 roku na World Economic Forum w Davos. Problem jest tym głębszy, że ma także naturę psychologiczną i socjologiczną: ci, którzy oddalają się pod względem zarobków od średnio i mało zamożnych, tracą więc emocjonalną z tymi, którym poszczęściło się mniej, a więc i ochotę do dzielenia się z nimi swoimi dochodami, co nasila zróżnicowanie wynagrodzeń i zamożności.

Z przykrością (dla niektórych) trzeba więc stwierdzić: potrzebujemy państwa. System ekonomiczny nie ma tendencji do samorzutnego naprawiania się i gładkiego przepływania przez zawirowania kryzysów. Rynki rzadko działają tak jak na wykładach na pierwszym roku studiów ekonomicznych. Prezesi wielkich instytucji finansowych nie są wolni od pokus grania na wielkiej loterii rynku kapitałowego. A większa sprawiedliwość społeczna - wprowadzana racjonalnymi, naukowymi i etycznymi metodami - sprzyja rozwojowi gospodarki i redukuje szereg problemów społecznych, choć oczywiście żadne z jej narzędzi nie jest wolne od wad. Dlatego potrzebujemy państwa - ale mądrego i racjonalnego. Płaca minimalna, używana w przemyślny sposób, jest elementem takiego państwa. ✕

REKLAMA

Czy lewica to PZPR, UB, łagry, Stalin, „dzieła Marksa i Lenina”?
Czy socjalizm to ZSRR, Bierut, Gomułka i Moczar? • Czy „polska droga do socjalizmu” to cukier na kartki, cenzura i strzelanie do robotników?

Lewicowo.pl

POZNAJ INNĄ LEWICĘ!

Pierwszy i jedyny portal internetowy poświęcony tradycjom i dorobkowi polskiej lewicy demokratycznej, patriotycznej i niekomunistycznej. WWW.LEWICOWO.PL

• Abramowski • Daszyński • Limanowski • PPS • spółdzielczość • związki zawodowe • Moraczewski
• Mickiewicz • Brzozowski • Thugutt • Sempołowska • Żeromski • Krahelska • Hołówko • Ossowski • Zaremba
• Ciołkoszowie • Próchnik • Pragier • Zygielbojm • Barlicki • Perl • Niedziałkowski • Krzywicki... i wiele innych materiałów. Kilka razy w tygodniu nowe teksty, w tym unikatowe, nie wznawiane od kilkadziesiąt lat.

Razem przeciwko kryzysowi

DR TOMASZ MERING

Jeden z najpoważniejszych kryzysów gospodarczych naszych czasów wciąż daleki jest od zakończenia. Zapaść gospodarcza z 2009 r. doprowadziła do zmniejszenia się wielu gospodarek po obu stronach Atlantyku, a w kolejnych latach przyniosła recesję (trwającą na południu Europy już piąty rok) oraz stagnacyjny wzrost gospodarczy. Wywołało to szereg negatywnych konsekwencji dla rynków pracy. Wyniki przeprowadzonych badań sugerują, że w okresie spowolnienia gospodarczego spółdzielnie w porównaniu z podmiotami sektora prywatnego w większym stopniu nastawione są na utrzymanie istniejących miejsc pracy.

W okresie pomiędzy drugim kwartałem 2008 r. a analogicznym okresem 2010 r. w krajach Unii Europejskiej ubyło 5 milionów miejsc pracy, co jest największym spadkiem zatrudnienia w kilku ostatnich dekadach. W kolejnym roku, gdy gospodarki europejskie, dzięki wartym miliardy euro programom antykryzysowym, odzyskały 1 milion zatrudnionych, a stopa bezrobocia ustabilizowała się na poziomie około 10% (co było wynikiem dobrym, biorąc pod uwagę wcześniejsze załamanie), wydawało się, że sytuacja uległa trwałej poprawie. Niestety w połowie 2011 r. zatrudnienie ponownie zaczęło spadać, co doprowadziło do rekordowego wzrostu bezrobocia. W połowie 2013 r. bez pracy pozostawało w państwach Unii Europejskiej ponad 26 mln osób.

Największy spadek liczby osób pracujących został odnotowany w państwach nadbałtyckich - rekordzistą była tu Łotwa, gdzie liczba osób pracujących zmniejszyła się o blisko ¼. Dotkliwie problem ten odczuło także w państwach Europy południowej (najgłębszy spadek w Grecji i Hiszpanii - o ok. 18%) oraz w Irlandii (14%). Poważny ubytek miejsc pracy miał miejsce w części krajów z naszego regionu, przede

wszystkim w Bułgarii (13%) oraz na Węgrzech (12%). Co ciekawe, można wymienić też państwa, które w okresie kryzysu zwiększyły zatrudnienie - mowa m.in. o największej europejskiej gospodarce, Niemczech, gdzie nastąpił wzrost o ok. 4%.

Powszechnie zwracano uwagę, że część europejskich gospodarek była znacznie bardziej odporna w pierwszej fazie kryzysu na spadki zatrudnienia niż np. Stany Zjednoczone, co tłumaczono mniejszą ekspozycją na szoki zewnętrzne sektora budowlanego i finansowego oraz lepszą sytuacją na rynku nieruchomości (m.in. w Niemczech i we Francji). Różnic w sytuacji zatrudnieniowej nie da się jednak w pełni wytłumaczyć, odwołując do danych dotyczących wzrostu gospodarczego. Są państwa, które w pierwszej fazie kryzysu, pomimo relatywnie znacznego spadku produktu krajowego brutto, odnotowały tylko niewielki spadek zatrudnienia (np. Niemcy). Z drugiej strony istnieją kraje, w których spadek zatrudnienia był znacznie głębszy od towarzyszącego mu spadku wielkości PKB (m.in. Stany Zjednoczone).

Interesującym polem do analiz jest również charakterystyka pracodawców, którzy w okresie



kryzysu mogą w zróżnicowany sposób odpowiadać na malejący popyt. Teoretycznie istnieją tu trzy kanały dostosowań: zmniejszenie wymiaru czasu pracy, zmniejszenie wysokości wypłacanych wynagrodzeń oraz trzeci, który z punktu widzenia gospodarki jest najmniej korzystny – redukcja liczby osób zatrudnionych. Wyniki przeprowadzonych badań sugerują, że w okresie spowolnienia gospodarczego spółdzielnie są w porównaniu z podmiotami sektora prywatnego w większym stopniu nastawione na utrzymanie istniejących miejsc pracy. Wydaje się, że w czasach globalnego kryzysu i spowolnienia gospodarczego, gdy obniżyło się zaufanie społeczne do rynków finansowych i całego sektora przedsiębiorstw prywatnych, powstała możliwość rozpoczęcia na nowo dyskusji o roli spółdzielni w gospodarce rynkowej.

Spółdzielnie stanowią alternatywną formę organizacji działalności gospodarczej w stosunku do przedsiębiorstw prywatnych. Unikalne zasady, które legły u podstaw rozwoju ruchu spółdzielczego (w tym przede wszystkim demokratyczna kontrola), są jaskrawym przeciwieństwem systemu zarządzania wielkimi korporacjami, wielokrotnie oskarżanego o spowodowanie kryzysu.

Według ostatniego raportu Cooperatives Europe w 2009 r. istniało w państwach Unii Europejskiej 137 tys. spółdzielni, które zrzeszały 108 mln członków i zatrudniały 4,7 mln osób (istnieją także szacunki mówiące o zatrudnianiu przez sektor spółdzielczy 5,4 mln osób, w tym 1,4 mln przez spółdzielnie pracy). Najwięcej osób zatrudniał sektor spółdzielczy we Włoszech – 1,1 mln, Francji – 900 tys.,

Niemczech - 830 tys. oraz w Polsce - 400 tys. Najwięcej było spółdzielni pracy (wytwórczych i usługowych), które stanowiły 41 proc. liczby wszystkich spółdzielni. Najliczniejszą rzeszę członków miały jednak banki spółdzielcze. W Europie istnieje obecnie ponad 4200 lokalnych banków spółdzielczych, które dysponują 60 tys. oddziałów i mają 20-procentowy udział w rynku bankowości indywidualnej. Banki te obsługują niemal 160 mln klientów i mają 45 mln członków. W poszczególnych krajach udział sektora spółdzielczego w bankowości detalicznej jest jeszcze wyższy i wynosi np. 30 proc. na Cyprze czy aż 60 proc. we Francji.

Nie ma szczegółowych danych dotyczących udziału sektora spółdzielczego we wszystkich gospodarkach państw członkowskich Unii Europejskiej. Istnieją jednak szacunki, które wskazują, że przynajmniej w niektórych krajach udział ten jest znaczący. Przykładowo 3 tys. spółdzielni w Portugalii odpowiada za wytwarzanie 5 proc. produktu narodowego brutto. Spółdzielnie i towarzystwa wzajemne wytwarzają 4,25 proc. szkockiego PKB, mając roczny obrót w wysokości 4 mld funtów i majątek oceniany na 25 mld funtów. Roczny obrót spółdzielni we Francji jest szacowany na 181 mld euro. W Szwajcarii dwie największe spółdzielnie konsumenckie (Migros i Coop) wytwarzają prawie 8 proc. PKB. W sumie, według danych Komisji Europejskiej, w 2013 r. spółdzielnie odpowiadały przeciętnie za wytworzenie około 5% PKB państw członkowskich.

Co istotne, dostępne dane statystyczne wskazują, że sektor spółdzielczy radził sobie relatywnie dobrze w okresie światowego kryzysu i spowolnienia gospodarczego. Na przykład we Francji odnotowano w ostatnich latach znaczny wzrost liczby członków spółdzielni mieszkaniowych, a 100 największych francuskich spółdzielni zwiększyło zatrudnienie z 674 tys. do 750 tys. osób (tj. o 11,2%) przy jednoczesnym wzroście płac o 4%. Z kolei w latach 2008-2012 w mocno dotkniętej kryzysem Hiszpanii zatrudnienie w branży spółdzielczej zmniejszyło się o 9,6 proc., podczas gdy w całej gospodarce ubytek etatów był ponad dwukrotnie większy. W tym samym czasie w Hiszpanii sektor spółdzielczy zwiększył liczbę członków o jedną piątą. Według Cecop, będącego największym zrzeszeniem spółdzielni w Europie, podobnie korzystnie - zwłaszcza jeśli chodzi o dynamikę zatrudnienia - przedstawiała się sytuacja spółdzielni w innych państwach UE, co sugeruje, że kooperatywy mogą w okresie kryzysu radzić sobie lepiej niż przedsiębiorstwa prywatne. W dodatku w ostatnim okresie powstały setki spółdzielni na bazie majątku upadających przedsiębiorstw, co pozwalało ograniczyć negatywne efekty kryzysu gospodarczego na wielu lokalnych rynkach pracy.

Powstanie i historyczny rozwój spółdzielni są związane nie z okresami prosperity gospodarczej, ale właśnie z momentami kryzysowymi. Słynny reformator społeczny Friedrich W. Raiffeisen rozpoczął działalność charytatywną w Niemczech na przełomie lat 1846-1847, a więc w okresie kryzysu rolnego i głodu, które przyczyniły się do rewolucyjnych rozruchów, do jakich doszło w 1848 r. w wielu krajach Europy. Na początku Raiffeisen założył komunalną piekarnię w Weyerbusch; jego pierwsza organizacja dobroczynna, Unia Chleba, zajmowała się dostarczaniem chleba i ziarna biednym farmerom. Pomysłodawca inicjatywy zauważył, że kłopoty rolników były spowodowane przestarzałymi sposobami gospodarowania i brakiem kapitału na ich modernizację, dlatego w 1862 r. założył pierwszą spółdzielnię kredytową w Anhausen, a kolejną dwa lata później w Heddersdorf. Pomysł szybko zyskał popularność i dał początek ruchowi bankowości spółdzielczej. Podobnych przykładów można podać znacznie więcej: rozwój spółdzielni konsumenckich w Anglii w latach 40. XIX wieku pozwolił na przetrwanie trudnego okresu gospodarczego pracownikom zatrudnionym w przemyśle tekstylnym; powstanie rolniczych spółdzielni producenckich w USA i Szwecji w okresie wielkiego kryzysu w latach 30. ubiegłego wieku chroniło farmerów od głodu i niedostatku. Są również przykłady bardziej współczesne, np. kłopoty związane z chorobą wściekłych krów (BSE) skłoniły hodowców bydła do zakładania spółdzielni producenckich w Kanadzie.

Nowa fala rozwoju spółdzielni rozpoczęła się w połowie lat 70. ubiegłego wieku, a więc w okresie kryzysu gospodarczego spowodowanego podniesieniem cen ropy naftowej i upadkiem systemu walutowego z Bretton Woods. Kryzys przyniósł masową restrukturyzację przemysłu i wzrost bezrobocia strukturalnego. Wiele przedsiębiorstw zostało w tym czasie przejętych przez pracowników i przybrało postać spółdzielni, co pozwoliło na ich przetrwanie i przynajmniej częściowe utrzymanie zatrudnienia.

Najbardziej spektakularny rozwój spółdzielni pracy miał miejsce w Finlandii. Na początku lat 90., kiedy kraj ten - na skutek załamania się handlu ze Związkiem Radzieckim (stopa bezrobocia sięgała w owym czasie 20 proc.) - znalazł się w głębokim kryzysie, fińskie ministerstwo pracy zrealizowało program, w ramach którego powstało ponad 1200 spółdzielni. Były to podmioty zakładane przez osoby bezrobotne, funkcjonowały w pewnym sensie na zasadzie agencji pracy tymczasowej, poszukując ofert zatrudnienia dla swoich członków na lokalnych rynkach pracy. Eksperyment ten pokazał, że spółdzielnie mogą być ważnym instrumentem aktywnej polityki rynku pracy w okresie spowolnienia gospodarczego.

Przykłady historyczne, a także sytuacja obecna wskazują, że funkcjonowanie sektora spółdzielczego może przyczynić się do złagodzenia negatywnych konsekwencji kryzysów gospodarczych. Istnieją dane, które sugerują, że odsetek nowo założonych spółdzielni, którym udało się przetrwać na rynku, może być wyższy niż analogiczny wskaźnik dla firm prywatnych. Przykładowo, badanie zrealizowane w 2008 r. w kanadyjskiej prowincji Alberta wykazało, że w okresie 5 lat po założeniu funkcjonowało aż 92,1% spółdzielni i zaledwie 35% przedsiębiorstw prywatnych. Spółdzielnie mogą korzystać z kapitału zgromadzonego przez członków i tym samym rozwijać działalność, nawet gdy banki podnoszą ceny kredytów. Spółdzielnie pracy (wytwórcze i usługowe) przyczyniają się do stabilizacji zatrudnienia, a konsumenckie – ograniczają wzrost cen żywności i innych artykułów pierwszej potrzeby.

Powstaje pytanie o czynniki, które wpływają na odmienne funkcjonowanie spółdzielni i przedsiębiorstw prywatnych w okresie spowolnienia gospodarczego. Niezależnie od sytuacji rynku pracy spółdzielnie w większym stopniu niż firmy prywatne są skoncentrowane na utrzymaniu istniejących etatów. Podstawowym sposobem dostosowania się spółdzielni do negatywnych szoków zewnętrznych jest zmniejszenie płac (co jest stosunkowo łatwe do osiągnięcia, gdyż wewnętrzne zróżnicowanie zarobków jest znacznie mniejsze niż w przedsiębiorstwach prywatnych), a nie zmniejszenie zatrudnienia, które jest charakterystyczne dla przedsiębiorstw prywatnych. Z punktu widzenia krajowych rynków pracy jest to niezaprzeczalna zaleta sektora spółdzielczego.

Sposób adaptacji spółdzielni do sytuacji kryzysowych wynika z unikalnych zasad, na których został zbudowany ruch spółdzielczy. **Demokratyczna kontrola członkowska** (zasada „jeden członek – jeden głos”), będąca przeciwieństwem reguły „jedna akcja – jeden głos”, charakterystycznej dla spółek akcyjnych, pozwala na podejmowanie decyzji uwzględniających interes społeczny i ekonomiczny członków spółdzielni oraz ich rodzin. Z kolei ekonomiczne uczestnictwo członków (druga ważna zasada ruchu spółdzielczego) przyczynia się do tworzenia kapitału, którego część staje się własnością spółdzielni. Szczególnie cenną cechą spółdzielni jest ich autonomia i niezależność, co stoi w zdecydowanej sprzeczności z praktyką międzynarodowych korporacji, zarządzanych ze swoich siedzib bez uwzględnienia kontekstu lokalnego i regionalnego.

Kolejną charakterystyczną cechą kooperatyw w okresie kryzysu jest, zdaniem niektórych autorów, większa w porównaniu z sektorem przedsiębiorstw produktywność osób w nich zatrudnionych. Jest to związane z zaangażowaniem członków



© The Co-operative, flickr.com/photos/the-co-operative/9415462982/

w zarządzanie spółdzielnią. W momentach kryzysowych pojawia się presja grupowa, która skutkuje m.in. mniejszą absencją w pracy oraz większymi staraniami w związku z wykonywanymi zadaniami, co jest szczególnie widoczne w stosunkowo niewielkich spółdzielniach.

Warto zauważyć, że okres kryzysu spowodował również renesans bankowości spółdzielczej w wielu państwach Europy Zachodniej. W niepewnych czasach banki spółdzielcze, które zarządzają środkami finansowymi swoich członków, są postrzegane jako instytucje wstrzymujące się od ryzykowanych operacji, a w efekcie bardziej wiarygodne od banków komercyjnych. Należy w tym miejscu podkreślić fakt, że – z małymi wyjątkami – kooperatywy oszczędnościowo-kredytowe nie wymagały gwarancji i wsparcia ze strony państwa, tak jak to miało miejsce w przypadku wielu dużych banków komercyjnych. Dodatkowo część klientów, niezadowolonych ze spadających kursów akcji, przeniosła pieniądze z giełd papierów wartościowych do banków spółdzielczych. Wszystko to wpłynęło na zwiększenie liczby osób oszczędzających w tym sektorze. Przykładowo w samym tylko 2008 r. liczba klientów szwajcarskiego Raiffeisena zwiększyła się o 150 tys. osób – wzrost o 7,3 proc.; łączna liczba oszczędzających w tym banku wyniosła 1,5 mln. W tym samym roku holenderski

Rabobank odnotował wzrost udziału w rynku pożyczek do 42 proc., a wartość oszczędności ulokowanych w banku wzrosła o 20 proc. **Szczególnie spektakularne wydarzenie miało miejsce w listopadzie 2011 r. w Stanach Zjednoczonych, kiedy to w ramach kampanii społecznej „Bank Transfer Day” ponad 650 tys. osób przeniosło swoje oszczędności z banków komercyjnych do unii kredytowych (*credit unions*).**

Sposób funkcjonowania banków spółdzielczych w okresie kryzysu jest również korzystny z punktu widzenia całej gospodarki, o czym przesądzą trzy podstawowe przyczyny. Po pierwsze – banki spółdzielcze nie zamrażają podczas kryzysu swojej akcji kredytowej, tak jak ma to miejsce w przypadku banków komercyjnych. Po drugie – koszty zaciąganych kredytów wzrastają wolniej niż w przypadku tradycyjnych instytucji bankowych. Częściowo wynika to z faktu, że banki spółdzielcze nie poniosły znaczących strat finansowych i nie muszą ich rekompensować wzrostem cen kredytów. Zestawienia statystyczne wskazują, że np. w Stanach Zjednoczonych koszty kredytów w 2009 r. były generalnie niższe w bankach spółdzielczych, oraz że mniejsze było w nich zróżnicowanie wysokości odsetek pomiędzy depozytami i kredytami w porównaniu do sektora bankowości komercyjnego. Po trzecie – cały sektor bankowości spółdzielczej cechuje się większą stabilnością ze względu na odmienny typ kapitalizacji i politykę inwestycyjną.

Zgodnie ze swoją etymologią słowo „kryzys” (greckie *krinein*) oznacza punkt przesilenia, rozstrzygnięcia, i nie ma wydźwięku pejoratywnego. W tym kontekście warto zauważyć, że kryzys stanowi pewną szansę dla rozwoju sektora spółdzielczego. Podobnie jak miało to miejsce w latach 70. i 80. ubiegłego wieku, również i w obecnych czasach zagrożone niewypłacalnością przedsiębiorstwa mogą być przejmowane przez spółdzielnie zakładane przez pracowników. W raporcie przygotowanym na potrzeby Parlamentu Europejskiego w lutym 2013 r. wskazano, że istnieje pilna konieczność stworzenia ram legislacyjnych i finansowych, które będą wspierać ten proces. Przekształcenia upadających przedsiębiorstw prywatnych w spółdzielnie trafiają jednak nie tylko na bariery prawne i finansowe, ale również na problemy wiążące się z brakiem wiedzy (przede wszystkim wśród prawników i menedżerów przedsiębiorstw prywatnych) na temat ruchu spółdzielczego i jego zasad. Nie można w tym miejscu oprzeć się wrażeniu, że spółdzielczość powinna zostać na trwałe włączona do programów nauczania (obok przedsiębiorczości) – tylko wtedy bowiem spółdzielnie będą powszechnie postrzegane jako jedna z form prowadzenia działalności gospodarczej.

We wspomnianym raporcie podkreślono, że spółdzielnie powinny mieć ułatwiony dostęp do unijnych funduszy przeznaczonych na wspieranie sektora małych i średnich przedsiębiorstw, w tym także do środków zaplanowanych w perspektywie finansowej UE na lata 2014–2020. Podkreślono, że nowe programy operacyjne powinny w większym stopniu uwzględniać perspektywę spółdzielczą, w tym m.in. zawierać mechanizmy finansowe, które będą wspierać proces przekształcania upadających przedsiębiorstw w spółdzielnie (również spółdzielnie socjalne) lub przejmowania ich majątku przez wspólnoty lokalne.

Należy także wspomnieć o pozytywnym wpływie strategii „Europa 2020”. Uchwalony w czerwcu 2010 r. dokument stanowi podstawę dla wszystkich działań prorozwojowych formułowanych na szczeblu unijnym. Jednym z przewodnich zagadnień „Europy 2020” jest rozwój nowoczesnej polityki przemysłowej (*An industrial policy for the globalization era*). W tym kontekście warto zauważyć, że spółdzielnie okazały się szczególnie skuteczne w czasach kryzysu, biorąc pod uwagę ich wkład w rozwój gospodarczy, stabilność finansową oraz utrzymanie zatrudnienia i tworzenie nowych miejsc pracy. Innym „okrętem flagowym” europejskiej strategii jest wspieranie innowacji (*Innovation Union*). Tutaj warto podkreślić, że spółdzielnie są niezbędne dla innowacji, zarówno w zakresie tworzenia nowych produktów, jak i powstawania nowych modeli rozwojowych – jednym z nich może być przejmowanie przedsiębiorstw przez spółdzielnie pracy. Dzieje się tak, ponieważ spółdzielnie kładą nacisk na działalność długoterminową, co pozwala na przewidywanie przyszłych zmian społecznych i gospodarczych. Z kolei partycypacyjny model zarządzania spółdzielniami – specyficzny typ relacji łączący ich członków – sam w sobie przyczynia się do innowacji społecznych.

Przedstawione tendencje wskazują na rosnącą popularność idei spółdzielczych w okresie kryzysu. Nie można jednak zapomnieć, że nie wszystkie nowo założone są z góry skazane na sukces. Załamanie rynku w okresie recesji, produkt, który nie odpowiada oczekiwaniom klientów, albo błędy w zarządzaniu są częstymi przyczynami niepowodzeń zarówno w przypadku konwencjonalnych firm, jak i spółdzielni. Dodatkowo spółdzielnie narażone są na ryzyko wycofania się części członków założycieli, co zwłaszcza dla małych kooperatyw będzie poważną stratą kapitału ludzkiego. Pomimo tych problemów zakładanie spółdzielni w okresie spowolnienia gospodarczego jest alternatywą wartą rozważenia – pod warunkiem, że poza entuzjazmem i chęcią pracowania razem, osoby decydujące się na założenie spółdzielni dokonały rozpoznania rynku i mają pomysły na *business*. ✖

Kiedy praca popłaca?

BARTŁOMIEJ GRUBICH

Międzynarodowa Organizacja Pracy (MOP) została założona w 1919 r. w celu promowania sprawiedliwości społecznej i przyczyniania się do powszechnego i trwałego pokoju na świecie. Za tymi górnolotnymi hasłami kryją się działania mające na celu przede wszystkim opracowywanie i nadzorowanie międzynarodowych standardów zatrudnienia wraz z rządami, pracodawcami i pracownikami. Naczelną zasadą jest upowszechnianie godnej pracy dla wszystkich.

Jednym z praktycznych przejawów działalności Międzynarodowej Organizacji Pracy jest regularna publikacja raportów dotyczących szeroko rozumianej pracy. „Globalny raport płac 2012/13: Płace i sprawiedliwy wzrost” podejmuje próbę spojrzenia na różnice pomiędzy zarobkami w krajach całego świata przez pryzmat zmian wynikłych z kryzysu gospodarczego ostatnich lat. Publikacja, dostępna za darmo w Internecie, opracowana została przez zespół ekspertów MOP pod przewodnictwem ekonomisty Patricka Belsera.

Warto już na początku zwrócić uwagę na wady tego typu raportów. Operują one w skali globalnej, więc obejmują swoim zakresem cały świat. Co za tym idzie, abstrahują od szczegółowych i lokalnych uwarunkowań. Poza tym źródłem wiedzy są przede wszystkim informacje dostarczane przez poszczególne rządy. Stąd też zasadniczo dane dotyczące państw rozwiniętych będą bardziej rzetelne niż te dotyczące sporej liczby krajów Afryki, gdzie praktyki tego typu badań nie zostały jeszcze ugruntowane i bywają elementem politycznej, bezpardonowej propagandy.

Przełom XX i XXI wieku to czas ekonomicznego wzrostu na całym świecie. Począwszy od 1995 r., rocznie produkt krajowy brutto rośnie od 2 do 6%. W krajach rozwijających się jego wzrost wynosił



nawet ponad 8 punktów proc. (w 2006 i 2007 r.). Załamanie przyszło w 2008 r., a jego punkt kulminacyjny miał miejsce rok później, gdy pierwszy raz od wielu lat przeciętne PKB globalnie spadło. Wzrost płac, który wynosił w 2007 roku 3%, rok później był już na poziomie 1%. Jeżeli jednak nie weźmie się pod uwagę danych dotyczących Chin – wzrost będzie na niezauważalnym poziomie 0,3%, czyli zdecydowanie poniżej inflacji.

Wskaźnik PKB wrócił do przedkryzysowego poziomu powyżej 4% niemal natychmiastowo, tj. już w 2010 r. Również w tym roku wzrosły płace, lecz jedynie o 2%. Oczywiście różnorodność w tym względzie zależna jest od regionu. Spadek płac w krajach rozwiniętych miał miejsce nie tylko w 2008 r., ale również w 2011. W pozostałych, a więc względnie biedniejszych regionach, takie „podwójne” załamanie nie miało miejsca i po 2008 r. płace rosły.

Kryzys niekoniecznie jest równoznaczny z problemami płacowymi, o czym świadczy przykład Niemiec. Wydajność pracy w kraju spadła, nie przełożyło się to jednak na spadek płac. Na przeciwnym biegu nie jest z kolei Grecja. Przeciętny Grek musiał zdecydowanie zacisnąć pasa i zmierzyć się z zarobkami mniejszymi o 15%. To efekt programów oszczędnościowych narzuconych temu krajowi. Gwoli prawdy trzeba jednak zauważyć, że – w przeciwieństwie do wspomnianych Niemiec – w Grecji przed kryzysem płace rosły znacznie bardziej niż produktywność gospodarki. Jeszcze inaczej kształtuje się przykład Wielkiej Brytanii. Mimo iż kryzys nie wpłynął na tamtejszą gospodarkę tak silnie jak w Grecji, to jednak realne płace spadły w sposób istotny. W znacznej mierze ze względu na dużą inflację.

Inaczej rzecz miała się we wschodniej Azji, gdzie wzrost PKB, produktywność, zatrudnienie i płace rosły. Przede wszystkim za sprawą chińskiej gospodarki, będącej siłą napędową tego regionu, gdzie przykładowo płace w okresie lat 2000–2010 wzrosły trzykrotnie, stawiając pod znakiem zapytania pojęcie „taniej chińskiej siły roboczej”. Dla zobrazowania oddziaływania Chin na gospodarkę Azji warto przytoczyć dane dotyczące wzrostu płac na tym kontynencie (bez uwzględnienia azjatyckiej części Rosji). Wzrost ten wynosił od 2006 r. corocznie: 6,7%, 6,6%, 3,9%, 5,7%, i wreszcie w 2010 r. 6,3%. Po wyłączeniu ze statystyk Chin dane te wyglądają zdecydowanie mniej spektakularnie. W latach 2006–2007 płace wzrosły o 2,1% i 1,2%, by pierwszy rok po wybuchu kryzysu zakończyć spadkiem realnych płac o 2%. Dopiero 2010 r. przyniósł pozytywne zmiany w tym względzie i zarobki znów zaczęły rosnąć.

Autorzy raportu zwracają jednak uwagę, że dane te nie do końca opisują rzeczywistość azjatyckiego rynku pracy. Mianowicie przedstawiają płace jedynie

pracowników najemnych, którzy w niektórych krajach nie stanowią nawet połowy zatrudnionych, gdyż znaczna część obywateli wykonuje zajęcia związane z pomocą rodzinie, przede wszystkim w rolnictwie. Natomiast dane dotyczące PKB czy produktywności odnoszą się do wszystkich pracujących, co w sposób oczywisty prowadzi do pewnych niejasności. Niestety inne dane nie są dostępne. Można jednak dość jednoznacznie założyć, iż w związku z tym wyniki te są zawyżone, gdyż pracownicy najemni reprezentują przede wszystkim rozwinięte branże przemysłowe, funkcjonujące w dużych miastach. Dodać tu należy także wątpliwości dotyczące Indii, gdzie rozmaite źródła podają różne dane statystyczne, pomimo że wszystkie te źródła są oficjalne.

Bardzo optymistyczny przykład radzenia sobie z kryzysem pochodzi z kolei z Ameryki Południowej, gdzie płace mimo kryzysu rosły, a bezrobocie zredukowano z 10,3% w 2004 r. do 6,8% w 2010 r. Autorzy raportu tak dobre wyniki tłumaczą skuteczną polityką fiskalną i monetarną, a także wykorzystaniem wcześniejszej koniunktury gospodarczej i silną pozycją Brazylii. Kraje Ameryki Południowej są ponadto stosunkowo niezależne od państw innych regionów. Między innymi to powoduje różnice pomiędzy nimi a np. znacznie dotkniętymi przez kryzys Meksykiem lub krajami karaibskimi, silnie uzależnionymi od Stanów Zjednoczonych. Podobna zasada działa w stosunku do państw afrykańskich, których gospodarki odczuwają wszelkie załamania w Europie.

Ważne miejsce w raporcie zajmuje kwestia płacy minimalnej. Stanowisko MOP w tej sprawie jest jasne – zachęca państwa członkowskie do przyjęcia płacy minimalnej w celu zmniejszenia ubóstwa i zapewnienia ochrony socjalnej dla najniżej usytuowanych pracowników. Idea płacy minimalnej rekomendowana przez MOP jest jednak obwarowana pewnymi warunkami: *płace minimalne powinny być ustalane przez władze po konsultacji z partnerami społecznymi, i jako zrównoważone podejście należy przyjąć takie, które uwzględnią potrzeby pracowników i ich rodzin, a także czynniki ekonomiczne, w tym poziom wydajności, wymogi rozwoju gospodarczego i konieczność utrzymania wysokiego poziomu zatrudnienia.* Warto dodać, że Komisja Europejska wyraża podobne stanowisko w tym względzie.

Oczywiście kwestią sporną jest wysokość płacy minimalnej i zagadnienie to stanowi sprawę niezwykle złożoną. Rozpiętość wartości płacy minimalnej na świecie jest duża. W krajach rozwiniętych wynosi od około 60% średniej stawki za cały etat (np. w Nowej Zelandii, Francji) do mniej niż 40% (np. w Japonii, USA, Hiszpanii). Różnice te związane są przede wszystkim z wielorakimi mechanizmami ustalania

©©© Salvatore Valastro, flickr.com/photos/pillin/10902832883



wartości płacy minimalnej, a także z poglądami co do wpływu płacy minimalnej na poziom zatrudnienia i zabezpieczenie socjalne najniżej opłacanych pracowników.

Niestety w znacznej mierze właśnie na tej grupie kryzys odbił się w największym stopniu. Autorzy raportu zauważają, że od 2009 r. płaca minimalna przestała być aktywnie wykorzystywanym narzędziem ochrony socjalnej. Jej poziom wzrasta jedynie o wartość bliską inflacji. W 2007 r. płaca minimalna osiągnęła wzrost, biorąc pod uwagę inflację, na poziomie 4,3%, w 2009 r. na poziomie 3,2%, by wreszcie w 2011 r. spaść o 0,6%. Ponownie barwny, choć smutny przykład, przynosi Grecja, gdzie cięcia były najbardziej radykalne. Płaca minimalna została ograniczona o 22%, co było efektem nacisków ze strony Komisji Europejskiej, Europejskiego Banku Centralnego oraz Międzynarodowego Funduszu Walutowego. To kryterium było warunkiem otrzymania pomocy z funduszu ratunkowego Europejskiego Mechanizmu Stabilności, gdyż twierdzono, że płaca minimalna jest zbyt wysoka. Nie było to prawdą, albowiem w Grecji była ona na poziomie bliskim innym krajom rozwiniętym. W Portugalii natomiast

skorzystanie ze wspomnianego funduszu uwarunkowano zamrożeniem wartości płacy minimalnej.

Kraje rozwijające się, jakkolwiek nie jest to regułą, także często korzystają z instytucji płacy minimalnej. Autorzy raportu zauważają wprowadzenie niejasności w kwestii ustaleń co do wysokości takiej płacy. Nie jest ona określana jako pewien procent średniej płacy krajowej, ponieważ często bierze się pod uwagę jedynie zarobki w danej branży czy też uzależnia ją od miejsca zamieszkania (miasto/wieś) itp. Oczywiście płaca minimalna to przywilej wyłącznie pracowników najemnych, a jak wspominałem – ta grupa choćby w niektórych państwach azjatyckich nie stanowi nawet połowy pracujących. Niestety mimo funkcjonowania płacy minimalnej wielu pracujących w najbiedniejszych państwach świata nadal, jak dowodzą badania, żyje na poziomie ubóstwa.

Szacunki autorów raportu wskazują, na podstawie analizy 32 najbiedniejszych krajów, że z ogólnej liczby około 209 milionów pracowników najemnych, którzy byli zatrudnieni od 1997 r. do 2006 r., 23 miliony zarabiały poniżej 1,25 dolara dziennie, a 64 miliony zarabiały mniej niż 2 dolary dziennie. Płaca

minimalna, konsekwentnie i sensownie wykorzystywana, jest w takim przypadku dobrym rozwiązaniem.

Odpowiednim przykładem na potwierdzenie tej tezy jest sytuacja Brazylii, gdzie spory spadek liczby najuboższych miał miejsce w 2005 r., gdy wzrost płacy minimalnej (istniejącej w tym kraju od 20 lat) powiązano z inflacją oraz ze wzrostem PKB. Skuteczność tego narzędzia była na tyle duża, że mimo kryzysu i szerokich działań oszczędnościowych nie zmieniono zasad jego stosowania. Założono bowiem, że kluczowa jest krajowa konsumpcja na wysokim poziomie.

Zupełnie odmienną strategię przyjęto w Meksyku, gdzie płaca minimalna rosła w ostatnich latach w sposób bardzo ograniczony. Ustalenie jej poziomu było raczej narzędziem polityki fiskalnej nieobciążania budżetu, ponieważ to według poziomu płacy minimalnej wylicza się tam znaczną ilość świadczeń socjalnych. Ponadto korzystne dla władz Meksyku było ograniczanie płacy minimalnej w celu zwiększania konkurencyjności eksportu. Taktyka przyjęta przez Brazylię sprawdziła się jednak lepiej niż ta w Meksyku.

W Azji wzrost płacy minimalnej w ostatnich latach powszechnie powiązano ze wzrostem ekonomicznym oraz wysokością średniej płacy. Na przykład w Chinach poprawiono egzekucję i koordynację między prowincjami w zakresie ustalania minimalnych płac. W Mongolii włączono w procedury ustalania płacy minimalnej również organizacje społeczne, samą omawianą instytucję dopiero wprowadzono (w 2012 r.) w Malezji, a na Filipinach uproszczono cały system. Inaczej rzecz ma się z kolei na Bliskim Wschodzie, gdzie płaca minimalna, jeżeli już istnieje, stosowana jest w bardziej ograniczony sposób. Notorycznie zdarza się, że dotyczy tylko obywateli danego kraju, a nie pracowników-imigrantów. Jeszcze inaczej jest w Bahrajnie, gdzie narzędzie to funkcjonuje tylko dla osób zatrudnionych w sektorze publicznym.

Relacje pomiędzy wysokością płac a wzrostem wydajności określa wskaźnik znany jako funkcjonalny podział dochodu – czyli podział dochodu narodowego między pracą a kapitałem. Autorzy raportu zwracają uwagę, że w latach 1990–2009 zanotowano w tym względzie spadek. Oznacza to, że płace rosły wolniej niż wzrost krajowego dochodu w 26 z 30 krajów rozwiniętych. Wśród państw rozwijających się tendencja ta jest szczególnie widoczna w Azji. Nawet w Chinach, gdzie pensje podwyższyły się trzykrotnie, rosły one proporcjonalnie zdecydowanie mniej niż dochód krajowy. Kryzys w 2007 r. osłabił ten trend, lecz tylko tymczasowo i najczęściej po 2–3 latach sytuacja wracała do stanu sprzed kryzysu, zasadniczo

niekorzystnego dla pracowników. Działo się tak dlatego, że pracodawcy zareagowali na kryzys obniżeniem lub, w najlepszym wypadku, zamrożeniem pensji z pewnym opóźnieniem.

Niestety takie działania odbijają się głównie na najmniej wykwalifikowanych pracownikach. Autorzy przywołują tutaj analizę Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pracą. Instytut ten wykazał, na podstawie danych dotyczących 10 krajów rozwiniętych, że w okresie między 1980 a 2005 rokiem wzrost płac dla najmniej wykwalifikowanych pracowników w porównaniu do wzrostu dochodu narodowego spadł o 12 punktów procentowych, natomiast w przypadku pracowników wykwalifikowanych – wzrósł o 7 punktów proc. Prowadzi to do negatywnego zjawiska polaryzacji, gdzie wykwalifikowani pracownicy zarabiają coraz więcej, a pozbawieni dobrego wykształcenia – coraz mniej. Natomiast ubywa miejsc pracy dla pracowników „środką”.

Lustrzanym odbiciem powyższych trendów jest współczynnik mówiący o nadwyżce operacyjnej przedsiębiorstw w stosunku do PKB (często nazywany udziałem w zyskach). Sytuacja w tym przypadku jest różna w zależności od charakteru branży, lecz nadwyżka ta jest szczególnie duża w branży finansowej. Wszędzie jednak zauważalny jest wzrost kwot przeznaczanych na dywidendy, a co za tym idzie – rośnie presja oszczędzania na pracownikach. **Nie poprawił tego kryzys, a wręcz pogłębił skalę zjawiska. Jak zanotowali więc autorzy raportu – wynagradza się nieproporcjonalnie bardziej właścicieli i inwestorów firm niż jej pracowników. Przykładowo we Francji od 1980 r. do 2008 r. wypłacane dywidendy wzrosły z 4 do 13 proc. łącznej kwoty kosztów pracy. Większa koncentracja dochodów z kapitału, a nie pracy, lawinowo rosnące dywidendy przyczyniły się do wzrostu nierówności dochodów gospodarstw domowych – zauważają autorzy.**

Powyższe kwestie połączone są z innym wskaźnikiem, mówiącym o związku wzrostu płacy ze wzrostem wydajności pracy, rozumianej jako wartość dodana PKB w przeliczeniu na jedną osobę. I w tym względzie realne płace rosną minimalnie, szczególnie w porównaniu do lawinowo rosnącej wydajności. **W Niemczech średnie realne płace od dwóch dekad pozostają na mniej więcej tym samym poziomie, podczas gdy produktywność urosła o 22,6%. Na podstawie danych płacowych dla 36 krajów autorzy raportu szacują, że od 1999 r. średnia wydajność pracy wzrosła ponad dwa razy bardziej niż średnia płac w gospodarkach rozwiniętych.**

Raport wskazuje na powody takich rozbieżności. Przede wszystkim wymienia się wzrastającą rolę branży finansowej oraz opartej na zaawansowanych technologiach (firmy informatyczne, programistyczne itd.).



Szczególnie „finansjeryzacja”, nieograniczona granicami państw czy decyzjami rządów, doprowadziła, zdaniem autorów, do takiej sytuacji. Presja akcjonariuszy na osiągnięcie dużego wzrostu w krótkim czasie, agresywnie zorientowane, na granicy spekulacji, inwestycje (np. fundusze hedgingowe) – osłabiły pozycję większości grup pracowników. Odczuwalne było to przede wszystkim w krajach rozwiniętych. Jedynie uprzywilejowane grupy, m.in. kadra kierownicza, stały się beneficjentami tych zmian. *Wpływ branży finansowej prawdopodobnie został zaniżony w wielu wcześniejszych badaniach, a rola rynków finansowych może mieć poważne konsekwencje dla naszego rozumienia przyczyn tendencji na rynku pracy* – czytamy w raporcie.

Równocześnie branże mniej produktywne są sukcesywnie przenoszone do krajów uboższych. W ten sposób oszczędza się na kosztach pracy, czemu sprzyja rozwój technologii, która bardziej „wzbogaca kapitał”, niż „wzbogaca pracę”, oraz ograniczenie polityki „państw opiekuńczych” i zmniejszające się uzwiązkowienie, osłabiające pozycję pracowników w negocjacjach o lepsze zarobki.

Autorzy zanalizowali również relacje między wysokością płac a eksportem i konsumpcją. Tutaj wnioski nie są jednoznaczne. W niektórych krajach niski wzrost płac przyczynił się do zwiększenia konkurencyjności i eksportu, a co za tym idzie – do wzrostu dochodów. Nie jest to jednak regułą, gdyż zdarzały się też sytuacje odwrotne, kiedy zyski z eksportu nie

równoważyły zmniejszonego popytu krajowego. Innymi słowy podział dochodu narodowego między rynkiem pracy a kapitałem ma w pewnym stopniu nieprzewidywalny wpływ na wyniki gospodarcze kraju, a *założenie, że zamrożenie płac jest zawsze korzystne dla działalności gospodarczej, jest błędne*.

Teoria, jakoby zmniejszanie kosztów pracy zwiększało eksport, a w efekcie dochód krajowy, jest również nieprawdziwa. Konkurencyjność zależy wszak chociażby od możliwości wytwarzania szerokiej gamy złożonych produktów. Ponadto gospodarka światowa istnieje jako całość – zwiększenie eksportu w wielu krajach naraz jest nierealne z racji ograniczonej liczby krajów, do których możliwa jest sprzedaż produktów. Inaczej mówiąc, zyski ze zwiększającej się konkurencji krajowych rynków pracy (podaż) są niwelowane przez globalnie zmniejszony popyt. W raporcie przytoczone są ciekawe przykłady Hiszpanii i Grecji, gdzie realna wartość eksportu wzrosła, a mimo to deficyt tych krajów się zwiększył.

Wiele państw, jak zauważają badacze, jako substytut wzrostu płac potraktowało kredyty, które zwłaszcza przed kryzysem były łatwo dostępne. Stało się tak przede wszystkim w USA, ale także w Wielkiej Brytanii, Australii, Grecji, Hiszpanii oraz Portugalii. Taki sposób zwiększania krajowej konsumpcji ma swoje granice, jest krótkotrwały i pozbawiony stabilnych podstaw – każdy kredyt trzeba kiedyś spłacić, wraz z odsetkami. Stąd też kraje te doświadczyły kryzysu nieporównywalnie mocniej niż np. Francja, gdzie

wzrost był również napędzany głównie poprzez krajową konsumpcję, ale na podstawie coraz większych wynagrodzeń, a nie rosnącego zadłużenia.

Wszystko to wpływa na rozbieżności zarobków finansowej elity oraz najbiedniejszych. Różnica płac pomiędzy 10% najlepiej a 10% najgorzej zarabiających powiększyła się od lat 1995-1997 w 23 z 31 analizowanych państw. Ponadto odsetek osób z niskim wynagrodzeniem (definiowanym jako mniej niż dwie trzecie średniego wynagrodzenia) wzrósł również w 25 z 37 państw. Autorzy nie widzą nadziei na poprawę tej sytuacji w zwiększaniu konkurencyjności kraju nastawionego na eksport: *Cięcia kosztów pracy w krajach dotkniętych kryzysem z deficytem na rachunku obrotów bieżących stwarzają ryzyko gospodarcze: dopóki nadwyżki w kraju nie umożliwią większej konsumpcji towarów krajowych i importowanych, dopóty wynikiem może być przedłużony okres stagnacji gospodarczej, a nawet recesja.*

Kryzys pogłębia nierówności. W Stanach Zjednoczonych przyrost nierówności dochodów w latach 2010 i 2011 był największy w historii od 1993 r., a liczba „ubogich pracujących” wyniosła 7,2% wszystkich pracowników w 2011 r., w porównaniu do 5,7% w 2007 r. W Europie 8% pracujących jest zagrożonych ubóstwem i może być zakwalifikowanych jako „biedni pracujący”. Chociaż omawiany raport skupia się na twardych ekonomicznych danych, to jednak oczywiście nie sama statystyka ekonomicznych trendów jest tu najważniejsza. *Zmiany te mają nie tylko wpływ na stabilność gospodarczą i wzrost, ale kwestionują również pojęcie sprawiedliwości społecznej i podważają społeczną spójność. Nierówny podział dochodów i ich koncentracja wśród najlepiej zarabiających właścicieli kapitału są przyczyną niezadowolenia społecznego na całym świecie, zwiększają ryzyko niepokojów społecznych i niestabilności społecznej. W rozwiniętych gospodarkach zmniejszyły akceptację działań oszczędnościowych i konsolidacji fiskalnej. W krajach rozwijających się wywołały wiele strajków i protestów, zwłaszcza gdy nastąpił wzrost cen żywności i energii, przy jednoczesnej erozji siły nabywczej najuboższych pracowników najemnych* – czytamy.

Raport kończy się wskazówkami w kwestii potencjalnych działań. Autorzy stwierdzają, iż przede wszystkim należy zwrócić uwagę na zależność między polityką krajową a globalną. Istniejące w wielu krajach nadwyżki wskazują na możliwość stymulacji popytu krajowego – do czego prowadzić powinien zwłaszcza wzrost płac. Z tej perspektywy zupełnie błędną jest polityka obniżania kosztów pracy i wyścigu „w dół”, do jak największej konkurencyjności dla inwestorów. Taka niepoohamowana pogoń zmniejsza innowacyjność i modernizację gospodarki. Natomiast działania narzucone z zewnątrz – zauważają

autorzy raportu – mają sens jedynie wtedy, gdy oparte są na konsultacjach z organizacjami społecznymi. W tym celu konieczne jest silniejsze zorganizowanie się w ramach układów zbiorowych, tak aby pracownicy mieli możliwość żądać sprawiedliwego podziału produkcji gospodarczej. Należy także poszukać rozwiązań dla najbardziej dynamicznych, względnie nowych branż, gdzie np. uzwiązkowienie jest na szczególnie niskim poziomie. Dodatkowo również takie rozwiązanie jak płaca minimalna – jak piszą autorzy – było w ostatnich latach błędnie postrzegane, mimo że może ono faktycznie przyczynić się do poprawy losu wielu pracujących. Oczywiście osobną kwestią jest rozsądne korzystanie i ustalanie wysokości takiej płacy.

Sprawiedliwość społeczna wymaga też lepszej regulacji sektora finansowego i przywrócenia mu roli wspierania produktywnych i zrównoważonych inwestycji. Niczym nieograniczona wolność dla globalnej „finansjeryzacji” doprowadziła do rynku spekulacji i niepewnych inwestycji. Beneficjentami tego rozwiązania są jedynie najwięksi, podczas gdy większość traci. Państwa muszą w tym względzie ograniczyć pogoń za tego typu szybkim zyskiem. Ponadto system podatkowy większości krajów sprzyja kumulacji kapitału. Jak obrazowo stwierdza raport: *hojny jest dla kapitału, a nie dla pracy*. Dlatego właśnie praca staje się polem, gdzie czyni się największe cięcia i oszczędności.

„Globalny raport płac 2012/13: Płace i sprawiedliwy wzrost” nie jest nazbyt obszerny (trochę ponad 100 stron, w tym spora liczba wykresów), lecz obejmuje dziesiątki tematów i wątków. Dlatego też bardziej sygnalizuje, aniżeli wyjaśnia. Wymienione powyżej rozwiązania to także raczej hasła i miejsca do poprawy niż „recepty na sukces”. Przecistawiają się one jednak opinii sporej części liberałów, mówiących o tym, że sprawiedliwość społeczna to niepotrzebny wymysł lewicy. Otóż **sprawiedliwość społeczna ma również sens ekonomiczny**. „Wysokie płace” to nie slogan populistów, lecz narzędzie przyczyniające się do dobrobytu w stopniu nie mniejszym niż rozwinięty eksport. Jak w rozmowie z PAP stwierdził prof. Jan K. Solarz z Akademii Finansów w Warszawie: *Podmiotowość człowieka pracy to nie sezonowe hasło, lecz klucz do skutecznej polityki gospodarczej*. W dzisiejszym świecie globalnej złożoności nie jest to wprawdzie prosta sprawa, lecz bez wątpienia należy mieć ją na uwadze. ✖

Globalny raport płac 2012/13: Płace i sprawiedliwy wzrost (Global Wage Report 2012/13: Wages and equitable growth), Genewa, International Labour Office, 2013. Raport dostępny jest na stronie Międzynarodowej Organizacji Pracy: <http://www.ilo.org/global/research/global-reports/global-wage-report/2012/lang-en/index.htm>

DR JOANNA SZALACHA-JARMUŻEK

© Truthout.org, flickr.com/photos/truthout/8432380971



Dzieje się tak m.in. dlatego, że zaufanie redukuje koszty transakcyjne, niwelując np. konieczność nieustannego sprawdzania przez drogich prawników i detektywów uczciwości i rzetelności kontrahenta, czy zmniejszając konieczność opłacania ubezpieczenia związanego z daną transakcją itp. Są także tacy, którzy twierdzą, że zaufanie usprawnia proces innowacyjności w gospodarce, m.in. przyspieszając proces uczenia się osób i instytucji. Zaufanie funkcjonujące zarówno w formie tzw. *contractual trust* – ufam, bo kontrakt mnie zabezpiecza w większości kwestii i nie muszę wydawać wielu środków na gwarancje realizacji tego kontraktu, czy w formie tzw. *goodwill trust* – gdy po prostu zakładam dobrą wolę, mam zaufanie *a priori* do osób i instytucji – stanowi „smar” ułatwiający działanie mechanizmów gospodarczych. Zaufanie jest potrzebne, pożądane i mile widziane.

Nie wszędzie oczywiście ludzie prowadzący interesy gospodarcze są w równym stopniu ufni oraz pewni kontrahentów i wspólników. Nieufność w biznesie pojawia się zapewne częściej, niżby sobie tego życzyli orędownicy pozytywnych aspektów zaufania. Niewątpliwie jednak swoista „kultura zaufania” wśród przedsiębiorców może stanowić istotny czynnik wpływający pozytywnie nie tylko na sam sposób prowadzenia biznesu¹, ale także na jakość szeroko pojmowanego procesu wymiany społecznej, a ostatecznie rozwoju społecznego. Biznesmeni są liderami opinii w swoich środowiskach, menedżerowie przenoszą nawyki i oczekiwania z firm na inne sfery życia. Jeśli więc na co dzień działają w warunkach wysokiego zaufania, to mogą transferować takie postawy na resztę sfer społecznych. Ale czy w Polsce istnieją na coś takiego szanse? Czy biznes w naszym kraju może być kołem zamachowym, rozsądnikiem zmiany rozwojowej, poprawiającej współczynnik zaufania społecznego?

Modernizacja, zaufanie, dobro wspólne

Nawiązując do tekstu mojego współautorstwa o „Trzech paradygmatach modernizacji” („Nowy Obywatel” nr 1(52)/2011), chcę przypomnieć tezę, że Polska powinna znaleźć się na ścieżce modernizacji poprzez budowanie odwagi. Pozytywne i rzeczywiste zmiany społeczeństwa będą możliwe, gdy przestanie być wdrażany schemat modernizacji związanej z „kręceniem lodów” (inwestycje w infrastrukturę i prywatyzację) i ideologią nowoczesnych wartości (forsowanie na siłę wzorów kulturowych typowych dla społeczeństw zachodnich).

Postulowany model unowocześniania społeczeństwa obejmuje oczywiście wzrost współczynników zaufania. Przypominam, że według cyklicznego badania „Diagnoza Społeczna” z 2011 r. tylko 14% badanych Polaków zgadza się ze stwierdzeniem,

że *większości ludzi można ufać*, a np. w krajach skandynawskich odpowiada tak ponad 80% badanych. Model postulowanej modernizacji obejmuje także zmianę negatywnego trendu niskiej wrażliwości na naruszanie dobra wspólnego. Znowu przywołam dane „Diagnozy”, która podaje, iż 25% Polaków *deklarowało, że nieetyczne wykorzystywanie dóbr publicznych w ogóle ich nie obchodzi lub mało obchodzi. Polaków najmniej obchodzi to, że ktoś nie płaci za transport publiczny lub unika płacenia podatków. Społeczność posiadająca silne podstawy poczucia podmiotowości nie powinna wykazywać masowo takiego nastawienia. Prawdziwa, a nie fasadowa modernizacja bazuje na zbudowaniu takiej podmiotowości społeczeństwa, która prowadzi do zepchnięcia na margines postaw uderzających w dobro wspólne.*

W Polsce formalnie (tzn. otwarcie i oficjalnymi kanałami społecznej komunikacji) coraz częściej walczy się z takimi postawami. Głównym narzędziem są zazwyczaj projekty finansowane z UE, środków szwajcarskich i norweskich, opierające się na hasłach demokracji oddolnej, samodzielności i odpowiedzialności. Ich celem jest często – na poziomie deklaracji – pobudzenie podmiotowości, zwiększenie wrażliwości na dobro wspólne itp. Przywołane badania z serii „Diagnoza Społeczna” pokazują jednak, że po prawie 10 latach w UE wciąż nie widać masowych efektów zgodnych z planami instytucji realizujących takie projekty. Oznacza to więc chyba, że na społeczeństwo oddziałują pewne czynniki i bodźce silniejsze niż te punktowo realizowane projekty. Okoliczności te utrzymują zaś polskie społeczeństwo w negatywnych postawach i nieufności.

Komu ufać?

Obok tych tendencji mamy inne, związane z oczekiwaniami i nadziejami polskiego społeczeństwa. Badania z serii Edelman Trust Barometer (ETB) – specyficzne, bo prowadzone nie tylko na ogólnosiłowej próbie 25 tys. osób, ale także wśród tzw. liderów opinii w różnych środowiskach² – pokazują ogromny potencjał zaufania do biznesu w Polsce. Jak wskazują wyniki raportu ETB: *Zaufanie do biznesu wzrosło skokowo z 41 do 55 proc., osiągając najwyższy wynik od 5 lat. Tymczasem zaufanie do instytucji rządowych, po kilku latach względnej stabilizacji, spadło do poziomu 30 proc. Różnica 25 punktów proc. między poziomem zaufania do biznesu i rządu to rekord w skali całej Europy*³.

Możemy zatem powiedzieć, że tam, gdzie zawodzą instytucje państwowe, oraz gdzie inicjatywy pozarządowe w niewystarczającym stopniu wypełniają lukę po państwie, rodzi się nadzieja na wejście nowego „gracza” do gry o lepszą rzeczywistość. **To interesujące, ale też trochę smutne, że 61% badanych**



wg ETB oczekuje od świata biznesu zaangażowania w rozwiązywanie problemów społecznych i środowiskowych w kraju. A zatem biznes nie tylko powinien, działając, nie szkodzić (to postulują najczęściej organizacje trzeciego sektora, np. broniące praw pracowniczych, konsumenckich czy praw zwierząt), ale zdaniem badanych ma jeszcze aktywnie sytuację w Polsce poprawiać.

Najwyraźniej więc wielu obywateli Polski widzi „ratunek” w firmach i ludziach nimi zarządzających. To przedsiębiorcy powinni wziąć na swoje barki ciężar zagadnień takich jak bezrobocie, przemoc, brak bezpieczeństwa społecznego czy organizacja infrastruktury w kraju. Być może – ale to robocza hipoteza – takie przekonanie jest efektem (sukcesem?) neoliberalnego mitu krążącego od lat 90., głoszącego wyższość kompetencji menedżerskich przedsiębiorców nad urzędnikami. Przywołane wyniki mogą świadczyć zatem o tym, iż część Polaków uwierzyła, że jeśli ktoś z sukcesem prowadzi biznes, to z sukcesem będzie w stanie kierować także instytucjami publicznymi. A wręcz, że logika prywatnego biznesu daje się przełożyć na logikę rozwiązywania ważnych społecznie kwestii.

Jak podaje polska strona ETB: *Wśród najistotniejszych elementów budujących zaufanie do biznesu 67 proc. polskich respondentów wskazało jakość produktów i usług, odpowiednie traktowanie pracowników (66 proc.) oraz reagowanie na oceny i potrzeby klientów.* Jest tu zawarty najpewniej taki toku myślenia: jeśli firma dba o pracowników i potrzeby klientów, to można tej instytucji zaufać w innych wymiarach. W tym duchu w poprzednich latach badań

ETB w Polsce podawano wynik stwierdzający, iż 58% badanych uważa, że jest istotnym dla firm, aby w swoich działaniach uwzględniały potrzeby społeczne, nie wpływając na swój wynik finansowy. Oznacza to, że firmy powinny uwzględniać kwestie społeczne w sposób nie zaburzający ich dążenia do zysku.

Zasadniczo widzimy, że w obliczu niedoskonałości państwa i jego instytucji wiele osób upatruje ratunku w biznesie. Pytanie tylko, czy słusznie? Różnorakie porażki projektów prywatyzacyjnych czy partnerstwa publiczno-prywatnego każą wątpić w efektywność recept biznesowych w świecie instytucji i usług publicznych. Zastanówmy się jednak, czy biznes może odwrócić negatywne trendy związane z brakiem zaufania i niewrażliwością na dobro wspólne? Czy przedsiębiorstwa i korporacje działające w Polsce mogą dać impuls strategiczny do prorozwojowej zmiany społecznej? Biznes ma już „na wejściu” społeczny kapitał zaufania, co pokazują badania ETB, posiada więc w tym zakresie potencjał wsparcia dla ewentualnej zmiany społecznej. Ale czy sam biznes w Polsce funkcjonuje w sposób wskazujący na jakiś znaczący kapitał zaufania?

Sieci społeczne a zaufanie w biznesie

Zakładam, że zaufanie w obrębie wspólnoty biznesowej musi być bazą, punktem wyjścia, z którego może startować projekt zmiany społecznej inspirowanej przez biznes. Trochę na zasadzie zdrowego pnia, na którym powinno coś wyrosnąć. Jeśli nie daje się wypracować zaufania pomiędzy ludźmi, którzy na co dzień i tak działają we wspólnym celu (zysk), to trudno oczekiwać, aby byli oni w stanie zaproponować

innowacje społeczne zwiększające zaufanie w skali kraju.

Przejawem zaufania w biznesie jest współpraca pomiędzy firmami w ramach różnych sieci. Chodzi tu nie o standardową gospodarczą kooperację występującą między kontrahentami, lecz o sytuację, gdy firmy (ich właściciele) podejmują dodatkowy wysiłek związany z zawieraniem na wpółsformalizowanych kontaktów dodatkowo wspierających funkcjonowanie przedsiębiorstwa. W tym kontekście biznes na całym świecie funkcjonuje na co najmniej dwóch polach usieciowienia obejmujących tak rozumianą współpracę. Są to:

- ▶ Sieci formalne: udział firmy lub jej właścicieli w stowarzyszeniach przedsiębiorców/pracodawców, izbach gospodarczych, branżowych towarzystwa i zrzeszeniach;
- ▶ Sieci nieformalne: uczestnictwo w tzw. *interlocking directorates* (dalej - InDi), czyli krzyżujących się zarządach i radach nadzorczych spółek.

Pierwsze pole współpracy ma często charakter rytuału. Udział w pewnych organizacjach jest dobrze widziany. Firmy wchodzą w takie relacje, bo stały się one standardem. Drugie wymienione pole usieciowienia jest wyrazem rzeczywistej siły kapitału społecznego jednostki i kapitału symbolicznego firmy. Co bowiem oznacza tworzenie takiej sieci? InDi powstaje, gdy dana osoba zasiada w co najmniej dwóch organach korporacyjnych różnych firm, np. w zarządzie firmy A i radzie nadzorczej firmy B. W ten sposób tworzy się połączenie pomiędzy tymi firmami, które nie mieści się w standardowych ramach gospodarczej współpracy biznesowej (nie musi być wyrazem oficjalnej współpracy, np. w zakresie polityki dostawczej, ani nie oznacza fuzji przedsiębiorstw). Prowadzi to w efekcie do sytuacji, w której osoba posiadająca uprawnienia do współdecydowania o kierunku rozwoju jednej firmy równocześnie posiada analogiczne lub bardzo podobne uprawnienia w innym podmiocie gospodarczym. W literaturze analizującej takie sytuacje podkreśla się pewne potencjalne korzyści płynące z tego dla firmy oraz dla poszczególnych osób.

Generalnie sprowadzają się one do kwestii redukcji kosztów transakcyjnych - InDi ułatwiają przepływ informacji, minimalizują ryzyko w umowach między firmami, poprawiają kontrolę nad zasobami, zwiększają kapitał kulturowy i symboliczny firmy. Sieć znajomości uzyskana dzięki kontaktom i działalności biznesowej członków zarządu/rady buduje i podtrzymuje istniejące relacje z innymi podmiotami kluczowymi dla danej firmy. A więc InDi mają działać tak jak mityczne „zaufanie”, wspomagając, usprawniając realizację poszczególnych celów biznesowych.

Oba pola usieciowienia bazują na różnych formach zaufania. Rytualny i oficjalny charakter pola organizacji branżowych z pewnością wymaga mniej kapitału zaufania niż osobiście budowane więzi pomiędzy radami a zarządami. Sytuacja, w której dana osoba staje się członkiem organów korporacyjnych różnych firm, powstaje z bardzo zróżnicowanych powodów, ale zazwyczaj kluczowe są poniżej opisane, które można interpretować jako mechanizmy wzmacniające istniejący już potencjał zaufania⁴:

1. Jeśli dodatkowa pozycja związana jest z radą nadzorczą, to często:
 - ▶ Nagradza się tak zasłużonych dla firmy przedstawicieli dotychczasowych kontrahentów, zabezpieczając w ten sposób dalsze relacje biznesowe.
 - ▶ Przyciąga się osobę bardzo usieciowioną, o dużym kapitale społecznym, której kontakty mogą być cenne dla firmy (często jest to były polityk lub osoba powiązana z instytucjami finansowymi).
 - ▶ Nagradza się osobę, z którą w jakiś sposób związany jest przedstawiciel zarządu czy rady danej firmy (członkowie rodziny, koledzy z czasów studiów itp.).
2. Jeśli dodatkowa pozycja związana jest z zarządem, oznacza to, że:
 - ▶ firma potrzebuje menedżera posiadającego kompetencje w danej branży.
 - ▶ osoby kierujące firmą potrzebują zaufanej osoby do kierowania jakimś działem firmy lub spółką w ramach grupy kapitałowej/holdingu.

Jak zatem widać, w wielu przypadkach InDi powstaje tam, gdzie istnieje jakiś rodzaj zaufania pomiędzy ludźmi - zakłada się, że ktoś będzie działał z korzyścią dla firmy, ufa się dawnym kontaktom, przyciąga się członków rodziny.

Seryjnie zamknięte sieci

Prowadzona przeze mnie analiza zjawiska InDi w obrębie działających w Polsce (czyli de facto tu zarejestrowanych) firm z wybranych trzech branż - finansów, farmaceutycznej, spożywczej - pokazuje, że mamy do czynienia ze względnie zamkniętym (choć „zagęszczonym” wewnątrznie) charakterem powiązań w wielu grupach i spółkach kapitałowych. Co to oznacza? Przede wszystkim, że zjawisko InDi nie występuje w polskim kapitalizmie tak często jak we Francji czy Wielkiej Brytanii. Poza tym w Polsce sieci powstające między firmami są „seryjnie zamknięte”. Częstym przypadkiem są osoby, które migrują pomiędzy podmiotami - mając w swoim dorobku na przestrzeni lat wg danych KRS np. 25-30 powiązań z różnymi firmami - ale w danym momencie wymaga się od nich zaangażowania, skupienia na danej firmie. Widać to po tym, że wiążąc się z konkretną



© Scott McLeod, flickr.com/photos/mcleod/3909431214

Tylko 14% badanych Polaków zgadza się ze stwierdzeniem, że większości ludzi można ufać.

firmą, jednocześnie odchodzą z innych przedsiębiorstw lub zmieniają konfigurację firm, z którymi są powiązane.

Czynnikiem, którego w tej analizie nie można zignorować, jest oczywiście polskie prawo. Kodeks spółek handlowych nakłada wyraźne ograniczenia na osoby zasiadające w zarządach. Art. 211 Kodeksu mówi: *Członek zarządu nie może bez zgody spółki zajmować się interesami konkurencyjnymi ani też uczestniczyć w spółce konkurencyjnej jako wspólnik spółki cywilnej, spółki osobowej lub jako członek organu spółki kapitałowej bądź uczestniczyć w innej konkurencyjnej osobie prawnej jako członek organu.* Zapis ten, a także idąca za nim praktyka sprawiają, że członkowie zarządów firm działających w Polsce mają ograniczone pole manewru i zasiadają w organach korporacyjnych innych firm zazwyczaj tylko

wtedy, gdy są to firmy z tej samej grupy kapitałowej. Systemowo niejako nie ufa się, że zadbają o interesy danej firmy, jeśli będą w jakiś sposób związani z przedsiębiorstwem spoza grupy.

Tymczasem niektórzy autorzy analiz zjawiska InDi we Francji i Wielkiej Brytanii stawiają tezę, że ilość powiązań między radami dyrektorów jest sprzężona ze specyficzną kulturową formacją elit biznesu. Zbieżność doświadczeń w zakresie wykształcenia (te same uczelnie) czy korzeni rodzinnych (podobieństwo klasowe, głównie klasa wyższa i średnia-wyższa) sprawia, że kadra menedżerska jest bardziej otwarta na współpracę i budowanie sieci pomiędzy różnymi firmami, bo kierują nimi ludzie społecznie im podobni. Kapitał społeczny kadr wielkich firm badanych przez autorów opracowania „Business Elites and Corporate Governance in France and the UK” (2006) wykazywał zresztą bardzo rozbudowane wskaźniki zaufania do osób wywodzących się z podobnych środowisk. Autorzy opisują, jak we Francji zaufanie, poczucie podobieństwa losów i ostatecznie solidarność elit biznesowych i politycznych powodują, że bardzo sprawnie podejmowane są działania mające na celu obronę firm ważnych dla gospodarki narodowej. Na przykład akcje ratowania spółek krytycznych dla danego sektora gospodarki narodowej znajdują we Francji szybkie porozumienie na linii biznes-polityka, właśnie dzięki wymienionym powyżej cechom tego środowiska.

Jeśli chodzi o dane liczbowe, to w przypadku 100 największych firm francuskich średnia liczba powiązań z innymi przedsiębiorstwami na poziomie rady dyrektorów wynosi 10,96, np. największa firma z listy - AXA - ma we Francji związki poprzez osoby dyrektorów z 57 firmami. W Wielkiej Brytanii średnia jest już znacznie mniejsza i wynosi 5,02 firmy⁵, co interpretuje się jako wyraz mniejszej integracji elit biznesowych. W wywiadach prowadzonych przez autorów cytowanego opracowania niektórzy zarządzający firmami brytyjskimi twierdzili nawet, że zbyt mała (w porównaniu z Francją) solidarność Brytyjczyków spowodowała upadek i utratę niektórych kluczowych firm i sektorów.

W przypadku naszego kraju konieczna jest pewna uwaga. Polski model ładu korporacyjnego odzwierciedla model dwupoziomowy. Od strony prawnej Kodeks spółek handlowych reguluje w Polsce ład korporacyjny. Zgodnie z Kodeksem zarząd kieruje, a rada nadzoruje - i funkcje te nie mogą się przecinać. W modelu dwupoziomowym - niemieckim - zarządzanie i kontrola są rozdzielone. Oba organy (zarząd i rada nadzorcza) nie mogą na siebie wprost wpływać, np. rada nie może zajmować się bezpośrednim kierowaniem firmą, ale mają współdziałać. W modelu jednopoziomowym - tzw. anglosaskim - mamy radę

dyrektorów (*board of directors*⁶), w skład której wchodzi dyrektorzy wewnętrzni, na co dzień kierujący firmą, oraz zewnętrzni (tzw. niezależni), czyli specjaliści w danej dziedzinie, czasem menedżerowie z innych spółek. Taka struktura oznacza połączenie w jednym organie funkcji zarządczych i kontrolnych.

W Polsce mamy zatem dwa organy – zarząd i radę. Posiadają one swoje ograniczenia prawne oraz własną logikę działania. W związku z tym należy osobno rozpatrywać zagadnienie budowania sieci poprzez członków zarządu i członków rady. Prowadzona przeze mnie analiza skupia się na poszczególnych sektorach polskiej gospodarki, a nie na całości, jak to zrobiono w cytowanych powyżej badaniach. Wyniki dla trzech analizowanych sektorów prezentuję w poniższej tabeli.

Ze względu na regulacje prawne rady nadzorcze (a właściwie ich członkowie) mają więcej powiązań. Wyjątkiem jest sektor farmaceutyczny, w którym mamy najwięcej przypadków działania spółek córek zagranicznych korporacji. Oznacza to, że rada nadzorcza jest ulokowana w spółce-matce i nie mamy danych dla Polski. Stąd mniejsza średnia liczba powiązań w tej branży. Interesujące jest jednak to, co dane te mówią nam o kondycji biznesu w Polsce i szansach na to, by stał się on kołem zamachowym prorozwojowej zmiany społecznej w duchu trzeciego modelu modernizacji.

Niestety, badania nad InDi w Polsce, nawet jeśli ograniczone tylko do trzech sektorów (choć są to sektory bardzo ważnych dla kondycji polskiej gospodarki!), nie napawają zbyt dużym optymizmem. Znacznie mniejsza niż we Francji i Wielkiej Brytanii jest skala zjawiska osób będących łącznikami pomiędzy różnymi branżami. Badane sektory i osoby przede wszystkim zamykają się w obrębie grup kapitałowych. Jeśli istnieją sieci w postaci InDi, to stosunkowo rzadko powstają one na styku firm zupełnie ze sobą niepowiązanych kapitałowo. Jeśli już powstają zespoły ufających sobie ludzi, to są one eksploatowane w obrębie jednego organizmu gospodarczego – wtedy dana osoba zasiada jednocześnie np. w 6 różnych firmach powiązanych kapitałowo. Odejście z tego układu zazwyczaj rozwiązuje relacje z pozostałymi firmami. Widoczne jest powierzenie zadania osobom spokrewnionym

i najbliższej rodzinie, a także przewijanie się tych samych osób w różnych konfiguracjach biznesowych przez całe lata. Jak mówili mi uczestnicy wywiadów, członkowie kadr zarządów i rad nadzorczych, jeśli z kimś udało się realizować biznes przez lata i się „nie sparzyło”, to po co szukać kogoś lepszego? Przede wszystkim ludzie ci nie widzą potrzeby rozbudowy kapitału zaufania. Często nie szukają nowych osób, którym będzie można powierzyć inne zadania.

Zagraniczne korporacje, posiadające w Polsce swoje firmy-córki i inwestujące w lokalne przedsiębiorstwa, bazują na kontaktach z firmą-matką, a lokalnie szukają głównie dobrych menedżerów. Nie chcą więc, by ci menedżerowie byli zbyt usieciowieni w danym momencie. Mają oni bowiem poświęcić się głównie dla korporacji, która ich zatrudnia. Taka strategia jest oczywiście w pełni zrozumiała, sygnalizuję jedynie, że w przypadku firm związanych z zagranicznymi korporacjami członkowie zarządu rzadziej mają jakieś powiązania poza grupą kapitałową.

Biznes jako mąż zaufania

Poczynione przeze mnie obserwacje wynikające, z analizy danych z KRS oraz z wywiadów, można oczywiście zawsze zrzucić na karb tzw. logiki biznesu i ograniczeń systemu prawa. Prawo i praktyka działania podpowiadają, by nie rozbudowywać z nadto sieci osób, którym się ufa i poleca ważne zadania. Elementem takiej strategii jest to, że nadal rzadko w porównaniu z przywołanymi krajami dobiera się do rad nadzorczych ludzi z organizacji pozarządowych i świata nauki. W moim odczuciu, choć wymaga to dalszych badań, kształt sieci w biznesie w Polsce może być efektem także dwóch innych czynników. Po pierwsze: może wynikać z przeniesienia problemu niskiego zaufania społecznego na sferę biznesową. Środowisko osób zajmujących się prowadzeniem dużych firm może – z racji czynników pokoleniowych, wieku i doświadczeń – nie być odporne na negatywne trendy w tym zakresie. Po drugie: może wynikać z braku spójności kulturowej elit biznesu. A właściwie z tego, że elity te nadal się tworzą, na naszych oczach. Brakuje zaś jednoczących czynników kulturowych, które powodowałyby, że tak jak we Francji (etos państwa) czy Wielkiej Brytanii (etos klasowy i imperialny) przedstawiciele

Sektor	Członkowie zarządu średnia powiązań	Członkowie rad nadzorczych średnia powiązań	Członkowie rady nadzorczej średnia powiązań z firmami spoza grupy kapitałowej
Bankowy	6,4	8,5	7,8
Spożywczy i rolniczy (produkcja żywności)	5,35	6,25	4,07
Farmaceutyczny (produkcja, handel lekami)	4,4	2,4	1,7

NOWY
OBYWATEL
POLECA

biznesu tworzyliby środowisko spajane czymś więcej niż tylko dążeniem do zysku, które jest oczywiście naturalne, ale niewystarczające z punktu widzenia reszty społeczeństwa.

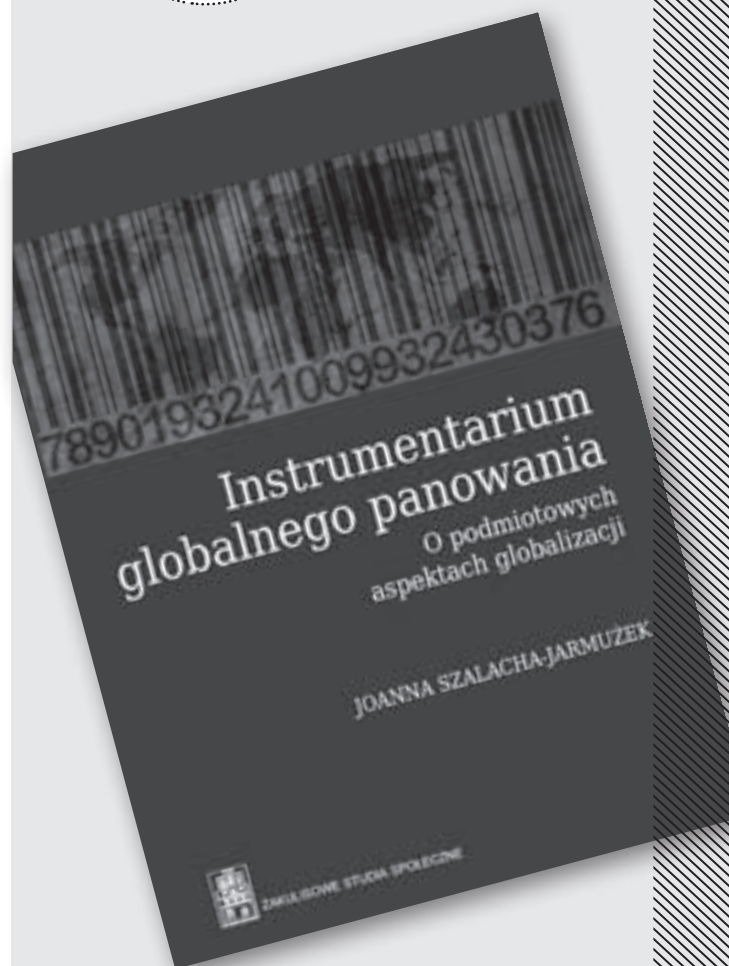
Istnieje już pewna gotowość społeczeństwa do traktowania biznesu jako „męża zaufania”, co pokazały badania ETB. Nie ma jednak chyba wystarczających podstaw kulturowo-organizacyjnych środowiska biznesu w Polsce jako pewnej całości, aby można było spodziewać się, że środowisko to stanie się w krótkim czasie rozsądnikiem kapitału społecznego i zaufania na szeroką skalę. Taki mechanizm wymagałby, moim zdaniem, pewnej otwartości, większej gotowości do współpracy z różnymi środowiskami w ramach praktyki, jaką są krzyżujące się organy korporacyjne. Tymczasem analiza zjawiska krzyżowania się zarządów i rad nadzorczych największych spółek pokazuje, że to hermetyczność i seryjna zamkniętość są raczej codzienną praktyką, która na dobre zagościła w biznesie w Polsce.

Poza schematem

Polskie społeczeństwo jak tlenu potrzebuje zaufania i pozytywnego kapitału społecznego. Dotyczy to również samego świata biznesu, który mógłby skorzystać na tym w kategoriach redukcji kosztów transakcyjnych. Tym samym zaufanie mogłoby pomóc generować więcej innowacji, bo znaczna część środków, które dziś kierowane są na działania związane z niskim zaufaniem wobec kontrahentów, mogłaby pójść w stronę nowych rozwiązań w przemyśle czy usługach. Oznacza to jednak, że sami biznesmeni (także prowadzący wielkie korporacje) musieliby wyjść poza schematy swoich środowisk, otworzyć się na nowe obszary współpracy. Zwiększanie przez nich potencjału sieci społecznych byłoby niewątpliwie prorozwojowe z punktu widzenia reszty społeczeństwa. Być może jednak ścieżka gospodarczej i cywilizacyjnej zależności, w jakiej tkwi polski kapitalizm, utrudnia znacząco rozwój takiego mechanizmu. ✕

Przypisy:

1. <http://www.hbrp.pl/biblioteka/art.php?id=696&t=czy-zaufanie-naprawde-jest-dobre-dla-biznesu>
2. Nie są to więc standardowe badania na próbie ogólnopolskiej obejmującej różne kategorie demograficzne i społeczne.
3. http://www.edelman.pl/trust/kryzys_przywodztwa/
4. Bazuję tu na wywiadach przeprowadzonych przeze mnie z kadrą zarządzającą dużych firm w Polsce (w tym z listy Rzeczpospolita 500).
5. Dane pochodzą z książki Maclean M. Harvey C. Press J., *Business Elites and Corporate Governance in France and the UK*, Palgrave Macmillan 2006.
6. W angielskim nazewnictwie można spotkać również określenia takie jak *board of governors*, *board of managers* lub *executive board*.



Joanna Szalacha-Jarmużek **Instrumentarium globalnego panowania. O podmiotowych aspektach globalizacji**

Praca dr Joanny Szalachy-Jarmużek ma szansę odegrania istotnej roli w dyskusji nad tym, co można robić, jakie koncepcje wypracowywać i w jaki sposób, które instytucje wzmacniać bądź jakie reguły wprowadzać w Polsce, by zwiększać rodzime możliwości wpływania na unijne oraz globalne tendencje polityczne i gospodarcze.

(z recenzji dr. hab. Krzysztofa Jasieckiego)

Książka jest dostępna w sklepie wydawcy:
<http://sklep.zysk.com.pl/>

Judym, czyli pożytki z resentymentu

Rafałowi Bakalarczykowi

JAROSŁAW GÓRSKI

Stefan Żeromski, którego sto pięćdziesiątą rocznicę urodzin czcimy w tym, a dziewięćdziesiątą rocznicę śmierci w przyszłym roku, mimo że jako pisarz był nierówny, popadający w publicystykę, momentami rozwlekły, innym razem zbyt lakoniczny, miał pewną niezwykle ważną dla pisarza umiejętność, która w naszej współczesnej literaturze nie tylko nie jest pielęgnowana, ale wręcz została porzucona. Umiał mianowicie tworzyć bohaterów. Nie po prostu mniej czy bardziej wiarygodne literackie postaci, ale właśnie walczących z rzeczywistym, przyrodniczym i społecznym światem, a także z samymi sobą herosów, świadomych współtwórców i idei porządkujących ten świat, i samych siebie.

© rosmay, flickr.com/photos/rwoeglli/5224557866

Bohaterowie Żeromskiego mieli niezwykłą moc trafiania do wyobraźni i życiowych aspiracji literackiej publiczności, a także uwalniania się ze stronic książek – oraz istnienia również w umysłach tych Polaków, którzy z jakichś względów nie zetknęli się z nimi za pośrednictwem druku. Czy istnieje w naszej literaturze bardziej jaskrawy przykład literackiego bohatera, którego postać tak mocno zakorzeniła się w masowej wyobraźni, a jednocześnie tak bardzo w swoich znaczeniach i ich odbiorze uwolniła się od literackiego ciała, niż doktor Tomasz Judym?

Idealista poświęcający swoje prywatne szczęście dla dobra ogółu, romantyk-filantrop rezygnujący z miłości dla realizacji wzniosłych zadań, wspomożyciel najuboższych niemogący pogodzić się z krzywdą i nędzą, wzorzec polskiego inteligenta pamiętającego o swoich powinnościach wobec ludzi, którym się gorzej powiodło – takie poglądy na temat tej postaci utrwaliły się w naszej wyobraźni na tyle silnie, że u wielu czytelników powodują odruch poszukiwania w lekturze ich potwierdzeń. Osobną sprawą jest to, że dzisiaj nazwiska Judyma używa się raczej bez uwagi, a jako określenie postawy nierozsądnej i niemądrej. W publicystyce częściej spotkamy się z ironicznymi niż poważnymi zastosowaniami tego nazwiska. W każdym razie mają być „Ludzie bezdomni” powieścią o zobowiązaniach jednostki wobec społeczeństwa i to ma być jakoby najistotniejszy problem samego Judyma. Tymczasem mnie po raz kolejny po lekturze tej hipnotyzującej – choć przecież fatalnie skonstruowanej, rwanej, złożonej z osobnych, ledwie się zazębiających i często porzucanych w najdziwniejszych momentach wątków – powieści owa kwestia wydaje się drugorzędna. Drugorzędna nie znaczy nieważna, ale wtórna wobec najistotniejszego problemu, jakim jest rozpaczliwa – choć wcale nie beznadziejna – niezgoda na warunki polskiego awansu społecznego.

Subtelny cham i szlachetne bicie po mordzie

Kwestia fatalizmu pochodzenia jest dla całej fabuły i dla postaci Judyma kluczowa, a już pierwszy rozdział bardzo wyraźnie to zarysowuje. Judym, spotykając w Luwrze czwórkę polskich pań z wyższej (choć przecież nie jakiejś niebosiężnej) sfery, doświadcza sztormu niezwykle gwałtownych i sprzecznych uczuć. Zaczęło się od tego, że poczciwa ziemianka-inteligentka pani Niewadzka, w dobrej wierze, poszukując wspólnych znajomych, zmusiła Judyma, aby wytłumaczył się ze swego pochodzenia. Jej trochę kurtuazyjne, a trochę może i szczerze zainteresowanie podszyte było pewnością, że spotkany w muzeum, posługujący się przyzwyczajoną polszczyzną i francuszczyzną, nieobdarty

i nieśmierdzący, a w dodatku tytułujący siebie doktorem człowiek musi być podobnego jak ona pochodzenia, i że będzie mu miło porozmawiać o swoich przodkach, pochwalić się wrodzonym statusem. Judym na pytanie o pochodzenie odpowiada z mimowolnym fasonem, a ani pani Niewadzka, ani jej podopieczne w żaden sposób nie okazują jakiegokolwiek niechęci nowemu znajomemu z powodu jego pochodzenia. Ba, nawet okazują mu niekłamany respekt i podziw na wieść, że doktorem udało się zostać synowi szewca-pijaka i degenerata, „człowiekowi z gminu”, który w dodatku nie ukrywa swojego rodowodu. Szanowna babcia nawet improwizuje na tę okazję wzniosłą przemowę.

A jednak Judyma ani jej słowa nie krzepią, ani nie wyprowadzają z zakłopotania. Bo nie może przecież bez naruszania reguł dobrego wychowania uświadomić szlachetnej staruszce, że jej pochwały i wyrazy szacunku, że nawet jej uprzejma konwersacja z młodym doktorem jak z równym sobie, nawet jej sympatia – to nic innego jak rewers klasowej pogardy. Z podobnym problemem będzie się zresztą stykał Judym ciągle; będzie spotykał na swojej drodze do awansu ludzi autentycznie szlachetnych, niewątpliwie moralnych i pełnych dobrych intencji, jednak zupełnie nierozumiejących – i broń Boże niechędzących zrozumieć – że moralność bywa sługą klasowych interesów, a szlachetność i życzliwość jest jedną z form klasowej przemocy. Nie odwrotną wobec takich zjawisk jak stare dobre bicie po mordzie, lecz je uzupełniającą. Kiedy w końcu rozstaje się z nowo poznanymi znajomymi, doświadcza jednocześnie bardzo silnego przyciągania i dojmującej niechęci, potrzeby natychmiastowego zakończenia znajomości. Wspaniałość istot, które okazały mu życzliwość, wprawia go w jednoczesną euforię i nienawiść, pogardę wobec samego siebie.

O tym, jak ów splot uczuć istotny jest dla całego sposobu rozumowania i odczuwania głównego bohatera „Ludzi bezdomnych”, świadczy sposób jego opisanego: publicystyczny, grubo ciosany, niemal nieporadny. *Judym czuł, że wtargnął do towarzystwa tych pań. Rozumiał swą niższość społeczną i to, że jest w tej samej chwili szewskim synem tudzież aspirantem do „towarzystwa”. Odróżniał w sobie te obydwie substancje i do krwi gryzł dolną wargę. [...] Każdy bystry ruch nogi wysmukłych pańien był jak drgnienie muzyczne. Połyski ślicznych mantylek, rękawiczek, lekkich krez otaczających szyję, rozniecały w nim jakieś szczególne, nie tyle namiętne, ile estetyczne wzruszenie* (s. 18)¹.

Socjologiczny termin „niższość społeczna”, pojawiający się tuż obok zmysłowych i cielesnych szelestów, drgnień i połysków, zgrzyta jak nóż pociągnięty po szklanej powierzchni. Podobnie,

psychologicznym („fałszywy wstyd”) i socjologicznym („osoby niskiej kondycji”) terminem o żywe zmysłowe tło zazgrzyta narrator, opowiadając o wrażeniach i rozterkach Judyma powracającego do Warszawy i odwiedzającego rodzinne rudery: *Z dala już dostrzegł Judym bramę rodzinnej kamienicy i zbliżył się do niej z niemiłym uczuciem tak zwanego „fałszywego wstydu”. Trza było witać osoby niskiej kondycji. Teraz, gdy wrócił z zagranicy, było mu to przykro, bardziej niż kiedykolwiek* (s. 37). A tak, pojęciowo, wprost i bez miejsca na domysły przedstawia narrator przygnębienie bohatera po nieudanym odczycie w salonie Czernisza: *Były to myśli parweniusza, który trafem stanął u drzwi pałacu kultury. Tkwiła w nich przede wszystkim skryta pod maską miłości ubogich drapieżna zazdrość indywidualna względem cudzego bogactwa. Od wieków płonęła jak piekielny ogień w sercu przodków, była najsilniejszym, choć najsłabszym ich uczuciem. W duszy ostatniego potomka nie zionęła już z niej śmiertelna, ślepa zemsta, tylko wysnuwał się głębokoki, rozległy żal* (s. 91).

Przyjrzyjmy się także opisowi reakcji Judyma na wyproszenie z posiedzenia zarządu cisowskiego uzdrowiska: *Ta odmowa [prawa do uczestniczenia w posiedzeniu - przyp. J.G.] nie tyle zmartwiła go, ile jakoś zdegradowała. Judym w ogóle łatwo ulegał złudzeniu, że w samej rzeczy nie ma prawa do mnóstwa przywilejów, które są udziałem innych ludzi. Obecna w nim była pamięć na rzeczy dawne, na pochodzenie i owo jak gdyby bezprawne wejście do życia stanów wyższych. Toteż po rozmowie z doktorem Węglichowskim doznał w głębi serca tego spodlenia dumy, tchórzostwa rozumnej woli* (s. 253). I tu uczucia młodego lekarza nazwane są wprost, pojęciowo, kawa na łąkę. Miłośnika literatury oczekującego od tekstu pewnego niedomówienia, furtki do własnej interpretacji czy nawet możliwości projekcji na bohatera własnych emocji fragment ten i przytoczone wyżej straszą. Ale zdaje się, że Żeromski cenę literackiego okropieństwa, spłaszczenia własnego bohatera - któremu nie dał odczuć całej nawałnicy najróżniejszych i najsprzecznieszych emocji i motywacji, a kazał przeżywać uczucie tak oczywiste i tak wprost zdefiniowane - zapłacił świadomie za pewność, że jego intencja w konstruowaniu motywacji bohatera będzie tu odczytana wprost i bez odczytelniczych fantazji. To zgrzytanie w powieściach Żeromskiego zbyt prostych i szybkich, często publicystycznych, a często wręcz nieudolnych fragmentów trafnie opisał Julian Brun-Bronowicz: *Wszystkie dygresje Żeromskiego i tylekroć wytykane mu wady konstrukcji powieściowej mają swe źródło w tej walce swobody twórczej z własnowolnie, z góry przyjętymi ograniczeniami. Z tego samego źródła pochodzą też nierówności odwrotne: jak gdyby zatrwożony nagle, że zmitrężył tyle czasu na*

*włóczędztwie bez troskiej po czarownych manowcach, autor śpieszy gorączkowo ku swoim celom dydaktycznym, porzucając cenny balast sztuki*².

Właśnie z tego względu warto się im uważnie przyglądać i doszukiwać znaczeń szczególnie istotnych dla autorskiej intencji. Judym nie jest w stanie opłacać kolejnych przyływów dojmującego uczucia klasowej (i wynikającej stąd wszelkiej) niższości. Co więcej: nie jest on także w stanie - co wielu innym aspirantom przychodzi bez trudu - wytworzyć w sobie żadnego mechanizmu pozwalającego jakoś odciąć się od tego uczucia lub wysublimować je w coś mającego pozory szlachetności. Ma z tym uczuciem ciągły kontakt i po długich zmaganiach godzi się z myślą, że nigdy się go nie pozbędzie.

Parweniusza miłość-niemiłość

Kolejne „wtargnięcie do towarzystwa tych pań”, już w Cisach, to następna okazja do przekonania się, że aspirujący do towarzystwa parweniusz jest jak cma, która nie potrafi oprzeć się urokowi światła, mimo że ciało już zaczyna skwierczeć w płomieniu. Judym rozpoznaje własny resentyment w afekcie do panny Natalii, która chętnie okaże sympatię i odda niejedną taniec przystojnemu, wykształconemu erudycie, wytrwałemu w dążeniu do życiowych celów i niepozabawionemu także innych zalet. Będzie ona jednak witała dziwnymi, pełnymi boskiego wdzięku ruchami warg i nozdrzy, jakby czuła zapach każdego wyrazu i na każdym niby na różny przysłanej składała pocałunek (s. 152) słowa miglanca i krętacza, utrzymującego się z karcianych i pospolitych oszustw, zawodowego bawidamka Karbowskiego. Ma on nad Judymem tę jedną przewagę, że nie jest parweniuszem i do niczego nie musi aspirować. Judym musi boleśnie uświadomić sobie, że skoro „zazdrości wszystkiego” postaci tak śliskiej i płaskiej jak Karbowski, to w jego aspiracjach do wyższego świata potężną rolę odgrywa aspiracja do bycia śliskim i płaskim. Jednak Karbowski, mocą urodzenia i płynącej z tego życiowej lekkości, zawsze będzie uroczo śliski i płaski, a Judym, mocą urodzenia wymagającego od niego wciąż starań i mozołów, może być tylko obrzydliwie śliski i płaski.

Oczywiście Judym nie ma specjalnych złudzeń co do tego, że jego afekt do Natalii ma jakąś szczególnie subtelna miłosną naturę albo też jest prostym pożądaniem. On wie, że to piękne, pachnące, unoszące się jakby nad ziemią i szeleszczące koronkami stworzenie jest dla niego nie tyle uosobieniem kobiecego, co klasowego powabu. Bohater Żeromskiego wpisuje się tu w mający początek może w werteryzmie, a w naszej literaturze bardzo długo kontynuowany ciąg męskich literackich postaci, dla których kłęska miłosna jest bolesnym dowodem na niemożliwość



społecznego awansu. A więc Judyma ciągnie do Natalii jako do obiektu niedostępnego i symbolicznego, nie tyle wywołującego, ile potwierdzającego plebejski resentyment.

Pułapki zakłętego wirydarza

Czy Judym porzucił miłość do Joasi, aby poświęcić się sprawie? On przecież patrzy na nią podobnie jak na Natalię, z tym jednak zastrzeżeniem, że jest mniej niedostępna niż tamta, jest czymś w rodzaju „nagrody pocieszenia” po cichej klęsce w batalii, której nie odważył się rozegrać (co zresztą także Judyma w ostatecznym rozrachunku od Joasi odstręcza). Jak z jednej strony prostolinijnie, z drugiej zaś tajemniczo informuje narrator: *Judym nie pragnął Joasi jako kobiety, nigdy z niej w marzeniu nie zdzierał szat dziewiczych. Pachnące dymy błękitne otoczyły ją i zasłaniały od myśli pożądliwych. Nade wszystko, nad piękność, dobroć i rozum, kochał w niej swoją czy jej miłość, ów zakłęty wirydarz, gdzie człowiek wchodzący zdobywał nadziejską zdatność pojmowania wszystkiego* (s. 301). Rzeczywiście, Judym nie potrafi rozdzielić tego, czy Joasia po prostu nie jest dla niego

atrakcyjna, czy też paraliżuje go swoją - nie erotyczną! - etyczną doskonałością. Oddajmy jednak tutaj hołd siłom witalnym młodego mężczyzny, które w poszukiwaniu ujęcia mają wszakże moc zarówno uzdrawiania z paraliżów, jak i czynienia kwestii atrakcyjności drugorzędną. Judym w końcu ujrzał w Joasi swoją żonę.

Siły witalne ustępują jednak rozwadze, gdy Joasia przyjeżdża do stęsknionego doktora i zdradza mu swój plan ułożenia im obojgu życia. *Ona nie rozumie, bo nie może rozumieć, że wypowiadając marzenia o czystym i schludnym, ale skromnym mieszkanku, nakreśla przed ukochanym horyzont, a więc i nieprzekraczalny punkt dojścia, własnych aspiracji. Że właśnie w tej chwili odsłoniła przed nim szklaną ścianę, której nie przekroczą, jeśli będą przez życie szli razem. Jej się wydaje, że może Judyma do swojego stanowiska po prostu przekonać, bo nie rozumie, że rojenia jej ukochanego rozbijają w pył tę szklaną ścianę czystego domku, estetycznych mebelków oraz sprzętów i absolutnie nie mają charakteru intelektualnych spekulacji. Ona nie rozumie, że te rojenia wpływają nie - tak jak u niej - ze starannej szkolnej*

edukacji i salonowej ogłady, nie z filozoficznych czy religijnych przekonań albo z ideologicznego zaślepienia, lecz wprost z biologii, z twórczego instynktu, którego nie udało się stłumić ani ojcowskim pasem, ani doktorskim szyderstwem. I te rojenia nijak nie przystają do rojeń Joasi, czy może raczej natrętw, o tym, żeby pomagać biednym ludziom, żeby w ten sposób realizować jakąś powinność kogoś, komu się lepiej powiodło, wobec kogoś, komu się powiodło gorzej, czy też klasy wyższej wobec niższej.

Judym, obcując ze społecznym i dekoratorskim entuzjazmem Joasi, może sobie przypomnieć podobnie „czarującą każdym słowem i gestem”, podobnie entuzjastyczną doktorową Czerniszową: *Była to swego czasu żywa bojowniczką emancypacji. Z biegiem czasu dzieci przychodzące na świat, obowiązki i stosunki usunęły ją od życia szerszego, ale nie zburzyły jej aspiracji i wierzeń. Do sprawy uczciwej zawsze przyłożyła rękę. Już to nie były dawne prace tchnące entuzjazmem, ale jeszcze tkwił w nich pewien umiarkowany zapał* (s. 64). Judym wie, że przeznaczeniem Joasi jest stać się doktorową Czerniszową (o ile nie Węgliczowską), a on sam przy niej – mocą klasowego fatalizmu – nieodwołalnie musi zostać doktorem Czerniszem. Życie z Joasią oznaczałoby nieuchronny społeczny awans rozumiany nie jako wzrost, ale właśnie jako emigracja z własnej kasty do kasty obcej, kasty żony, bez prawa powrotu i bez prawa zabrania ze sobą stamtąd cegółkolwiek. Awans rozpoczynający się na skromnych, lecz estetycznych i higienicznych sprzętach domowych, zakończyłby się zapewne na organizowaniu brydżów, herbat i posiedzeń, na których miejscowe elity uzgadniałyby wspólne stanowisko w ważnych sprawach.

Oczywiście możliwy byłby też przeciwny obrót spraw. Taki mianowicie, że neurotyczny humanitaryzm Joasi zaprowadziłby ją na miejsce zmarłej przyjaciółki Stachy Bozowskiej i skłonił do złożenia z własnego życia pięknej i bezużytecznej ofiary prześlągalnej za winę zbyt dobrego urodzenia. Judym, gdyby był wtedy z nią, nie umiałby poradzić sobie ani z potęgą resentymentów prowadzących do takiej samozagłady, ani nie byłby w stanie obronić się przed kijem nabudowanych na nich istotnie szlachetnych uzasadnień, bo przecież jako aspirant do klasy szlachetnej powinien szlachetne argumenty przyjmować, a nie zbijać. Nota bene, zastanawiające jest, jak bardzo w naszej zbiorowej mitologii postać Judyma skontaminowała z postacią Stasi Bozowskiej, całkowicie od Judyma odmienną, kierującą się zupełnie sprzecznymi z jego motywacjami.

Judym oczywiście widzi w Joasi, guwernantce panienek z naprawdę dobrego domu, jej własny resentyment aspirantki do wyższego, do którego dodany jest jeszcze równie szlachetny, co resentymentowy

zamiar ofiarowania się mężczyźnie z motłochu. To pomnożone jest jeszcze przez ów resentyment, którym według zoologicznego mizogina Nietzschego kobieta zawsze obdarzać będzie mężczyznę, a iloczyn tego wszystkiego pomnożony jeszcze przez resentyment chrześcijanki, która szuka okazji uspokojenia sumienia stroskanego dostrzeganiem wszędzie wokół bezmiarem niesprawiedliwości, opętana jest obsesją moralnej czystości i natrętwem robienia czegoś dobrego dla innych. A jeśli się te dwa olbrzymie resentymenty – Joasi i Judyma – jeszcze spotęgowały? Joasia jednakże, w przeciwieństwie do Judyma, wytworzyła w sobie mechanizm, który pozwala nie odczuwać własnego resentymentu jako przykrego, ale dostrzegać wyłącznie jego szlachetne sublimaty, i jeszcze krzepić się nimi. Jak pięknie uogólnia w swoim dzienniku tę warunkowość przyjęcia do wyższej kasty osoby z kasty niższej, która tak bardzo doskwiera Judymowi: *Guwernantka, jako istota obca, zazwyczaj społecznie niższa, jest ciągle na cenzurowanym. Gdyby dała tylko powód do wzmianki – już po niej! Cenzura może być łaskawą, nawet życzliwą, nawet pochlebną, ale nie ustaje nigdy. Przy tym już to samo, że się zajmuje stanowisko trudne i niższe, a jest się częstokroć znacznie wyżej – tworzy i udelikatnia uczucie dumy, szlachetne uczucie, które jak kij służy do podparcia w chwili znużenia i do obrony przed wrogiem. Ono samo już jest hamulcem niemałym, kto wie, może całkowicie wystarczającym* (s. 164).

W następnej linijce Joasia, przy okazji lektury wierszy Louise Ackermann, dostrzega śmieszność w kobiecie piszącej poezje. Jej rozważania o tym, że kobieta może być uznana jako poetka, wyłącznie gdy będzie współbasować męskim poetom, kiedy będzie mówić to, co oni już dawno powiedzieli, i kiedy, broń Boże, nie wychyli się w twórczości z jakimś spostrzeżeniem czy uczuciem odmiennym, są niemal lustrzanym odbiciem spostrzeżeń Judyma dotyczących awansu społecznego. Joasia widzi, że kobieta-pisarka musi szczególnie intensywnie *kokietować rodzaj męski za pośrednictwem literatury*, tak samo wyraźnie, jak Judym widzi konieczność kokietowania klasy wyższej przez aspiranta z motłochu. Joasia chciałaby uprawiać literaturę i pozostać kobietą, zatrzymać własną kobiecą tożsamość, perspektywę i zakorzenienie, tak jak Tomasz chciałby wykonywać zawód wymagający wykształcenia, intelektualnej finezji i wysokich kwalifikacji moralnych, ocalając własną tożsamość i spojrzenie na problemy tego świata człowieka gminu. I ona, i on widzą wartość własnego zakorzenienia, widzą też groteskowość i śmieszność wykorzystanych emigrantów, którzy nie będąc zakorzenionymi w środowisku, do którego aspirują, muszą szczególnie intensywnie i wbrew własnej istocie udawać, że są kimś, kim nie są i nigdy



© Yesica, flickr.com/photos/digityesica/5779629005

nie będą. Niestety, Joasia - mimo rzeczywistych i usilnych starań - nie jest w stanie zrozumieć zakorzenienia Judyma w motłochu, a on nie rozumie jej feminizmu i zakorzenienia w kobiecości.

To dziwne, jak bardzo jednakowo szkolne interpretacje „Ludzi bezdomnych” każą rozumieć słowa Judyma wypowiedziane podczas pożegnalnej rozmowy z Joasią: *Nie mogę mieć ani ojca, ani matki, ani żony, ani jednej rzeczy, którą bym przycisnął do serca z miłością, dopóki z oblicza ziemi nie znikną te podłe zmory. Muszę wyrzec się szczęścia. Muszę być sam jeden. Żeby obok mnie nikt nie był, nikt mię nie trzymał* (s. 403). Jest to jakoby dowód na to, że od teraz Judym będzie żył w celibacie, samotnie, bez poborów i bez własności, poświęcony wyłącznie walce z nędzą. Tymczasem on to mówi właśnie do Joasi, kończąc definitywnie dokładnie ten, a nie żaden inny związek. Nie byłoby wcale ani nieprawdopodobne,

ani sprzeczne z jego głębokimi przekonaniem, gdyby niedługo związał się z inną kobietą i zamieszkał w domu solidniejszym niż ten z marzeń Joasi. Mówi jej, że nie może być z nikim, ale co miałby powiedzieć? Nie chce jednak być właśnie z nią, bo ona, ciągnąc go w stronę swoich mebelków i swojego humanitaryzmu, do swoich marzeń i wyobrażeń, nieuchronnie wstrzymałaby jego powrót tam, skąd przyszedł - do motłochu.

Medycyna i towarzystwo

Joasia wyobraża sobie, że Judym chce leczyć biednych, i wzrusza się, że to takie piękne, szlachetne i chrześcijańskie. Tymczasem Judym jako lekarz musi leczyć, ale uważa, że lepiej byłoby takich sytuacji unikać, i dlatego właśnie roi nie o sobie w sytuacji pomocy bliźniemu, nie o ludzkiej wdzięczności, nie o zapłakanych oczach chorych, którym przywrócił zdrowie, ale o Warszawie, w której udało się zlikwidować gruźlicę i tyfus. Wszelkie jego działania są nastawione właśnie na to, aby można było uniknąć leczenia chorych i aby oszczędzić chorym upokorzenia korzystania z pomocy lekarskiej, a lekarzom konieczności babrania się w ludzkich wydzielinach. Tu akurat sprzęgły się i przekonania Judyma wyrosłe z doświadczeń mieszkańca ulicy Ciepłej, i nabyta na krajowych i zagranicznych uczelniach wiedza medyczna, i jeszcze najzwyczajniejszy w świecie rozsądek człowieka wykorzystanego i mającego dystans do poglądów klas, do których ani już, ani jeszcze nie należy. Judym więc konsekwentnie upiera się przy tym, że naczelnym zadaniem lekarza jest właśnie profilaktyka, a samo leczenie jest najczęściej tylko łagodzeniem skutków zaniedbań. Judym to wie, jest pewien swojej wiedzy, ale wie również, że jeśli postara się zakorzenić w wyższej klasie, jeśli przeniesie się, czy to z własnego oportunizmu, czy z miłości do Joasi, do towarzystwa lekarzy-inteligentów, będzie musiał tę wiedzę porzucić i przyjąć, bardziej od nich gorliwie, jako swój - ich sposób widzenia problemu.

W żadnym razie darmowe leczenie kogokolwiek i składanie komukolwiek ofiary ze swojego życia nie jest częścią programu doktora Judyma. Jeśli Judym „ofiara ducha” skłonny jest złożyć, to na ołtarzu własnego życia, i to ofiarę rozumianą tak, jak ją określił przywołany przez Korzeckiego Mickiewicz: *Przez ofiarę ducha rozumiem czyn człowieka, który otrzymawszy prawdę, utożsamiając się z nią, roznosi ją, objawia, służy za jej organ, za twierdzą i za wojsko, nie zważając na spojrzenia, na głosy i rysy nieprzyjaciela* (s. 367). Prawdą, którą Judym otrzymał, i z którą się utożsamiał, jest fachowa wiedza medyczna. A po warszawskich i cisowskich doświadczeniach Judym wie, że człowiek jego proveniencji musi wybierać między czynnym, a więc w pracy, objawianiem

i obnoszeniem tej wiedzy, a społecznym awansem, który nie dość że nigdy się w pełni nie dokona, to będzie wymagał od niego zaparcia się wiedzy, z którą się utożsamiał, a więc zaparcia się samego siebie.

Oczywiście, już w Warszawie często zdarza się Judymowi wypuścić przebadanego pacjenta bez honorarium, ale odbywa się to na takiej samej zasadzie jak machnięcie ręką na kolejną kradzież Walentowej lub jej córki dokonaną na doktorskich wiktuałach. Judym wie, że w nędznej dzielnicy użerać się trzeba z chłodem i stęchłą gabinetu, z gospodynią-pi-jacką, trzeba i z pacjentami wyłudającymi darmowe wizyty, ale ani sobie nie poczytuje tego za zasługę, ani za powinność. A na razie z dwojga złego woli klepać biedę, użerać się z drobnymi oszustami, nie tracąc własnej perspektywy i oceny sytuacji, niż zbliżyć się towarzysko do „środowiska”, zyskać za to pacjentów, ale w zamian nieodwracalnie stracić prawo do rozumienia świata po swojemu. Bo środowisko od niego jako od przybysza z motłochu wymaga tego, aby dowiódł, że już motłochem nie jest, a więc że we wszystkim podziela punkt widzenia grupy, do której będzie teraz przynależał.

Podobnie jest i w Cisach. Tu także Judym nie deklaruje się jako zwolennik pracy za darmo, a to, co poczytuje mu się często za pracę *pro publico bono*, a więc prowadzenie szpitaliku, jest jedną z części obowiązków zapisanych w kontrakcie i z tego tytułu wynagradzanych. To, że Judym wykonuje obowiązki porządnie i zgodnie ze stanem swojej fachowej wiedzy, nie musi być przecież wcale dowodem jakiegoś nadzwyczajnego poświęcenia (jak bardzo trzeba nie znosić własnego zajęcia, aby tak sądzić?), ale właśnie Judymowego instynktu twórczości. Plan osuszenia stawów cisowskich też przecież nie rodzi się z jakiegось nadzwyczajnego humanitaryzmu i umiłowania ludzkości, lecz z rzetelnej wiedzy lekarskiej. Gnijący szlam zagraża tak samo biednym, jak i bogatym pacjentom Judyma, i młody lekarz ryzykuje własną posadę nie z filantropijnej miłości do maluczkich, ale z przekonania, że lekarz pobierający pensję powinien nie tylko czy nie tyle leczyć, co chronić zdrowie pacjentów. To, co jest w tym postępowaniu bohatera nadzwyczajne, to nie – co się mocą tradycji Judymowi przypisuje – humanitaryzm czy filantropia, nie organicystyczne mrzonki Stachy Bozowskiej i Joasi Podborskiej, ale przymus rzetelnego wykonywania swoich obowiązków i ciągłego dowodzenia fachowej kompetencji.

Przymus, nota bene, wyrastający zarówno z niestłumionego instynktu pracy i twórczości, jak i z kompleksu chama, który wśród panów wciąż musi dowodzić, że nie jest od nich gorszy. To właśnie resentment człowieka urodzonego na samym dnie każe mu na każdym kroku udowadniać sobie i innym

własne prawo do istnienia na tym świecie i do zajmowania na nim jakiegokolwiek stanowiska ponad szczeniaka tłuczonego przez ojca czy ciotkę. Na każdym kroku dowodzić, że rzeczywiście nadzwyczajną pracą, wiedzą, fachowością, gigantycznymi zaletami charakteru i ducha zrekompensował w niewielkim stopniu brak zasługi dobrego urodzenia. *Będzie tu siał, będzie pracował za tłum ludzi, będzie oddawał światu wszystko, co wziął od niego. Nie pożatuje ramię, nie będzie skąpił potu! Niechże wiedzą, jak się wywdzięcza ten z motłochu, kogo przyjmą do swej kultury, komu udzielią częsteczek swych praw do czynu* (s. 126).

Dialektyka awansu

Własne doświadczenia pozwoliły Judymowi zrozumieć paskudną dialektykę polskiego awansu z motłochu do klasy wyższej. Ów awans nie jest warunkowany żadnymi twardymi kryteriami, nie ma stałych i nienaruszalnych zasad, a jedynym i bezapelacyjnym jurorem jest tutaj towarzystwo. Jeśli więc ktoś taki jak Judym chce mówić własnym głosem o jakichś istotnych sprawach, to musi w tym celu wejść do środowiska umożliwiającego jakiegokolwiek słyszalne mówienie, a żeby się do tego środowiska dostać, musi przyjąć bez zastrzeżeń głos tego środowiska. Jeśli chce zgodnie ze swoją najlepszą wiedzą dbać o zdrowie ludzi, musi najpierw pozyskać przychyłność środowiska, które z jednej strony posiada moc umożliwienia mu wykonywania zawodu, ale z drugiej strony wymaga od niego, aby robił to zgodnie z wyobrażeniami środowiska, a więc wbrew swojej najlepszej wiedzy. Oczywiście Judym może dla zbliżenia się do celu godzić się na coraz dalej idące kompromisy, ale w ten sposób, zbliżając się do swego celu, będzie się jednocześnie od niego oddalał. W końcu nie będzie już istotne, czy zbliża się do celu, czy oddala, bo po prostu utknie w ciepłym bagnie towarzystwa. Będzie się zgadzał na to, by ludzie powierzeni jego opiece chorowali i umierali pozbawieni opieki, po to, aby dzięki tej zgodzie mógł dbać o ich zdrowie. Oczywiście gdyby w którymś momencie spróbował wyrwać się z tego błędnego koła, panowie z towarzystwa zawsze znajdą sposób na „szewskiego synka”, aby go celnym spojrzeniem lub szyderstwem zdyscyplinować albo *zmusić go szykanami, szeregiem drobnych ukłuc, upokorzeń, drażnień, ośmieszeń do ucieczki dobrowolnej...* (s. 258).

Judym przekonuje się, że dzięki temu, iż aspirant z motłochu musi całkowicie wyzbyć się własnego punktu widzenia i gorliwie przyjąć poglądy klasy wyższej, elity mogą pozwolić sobie na kształtowanie wiedzy o motłochu jedynie na podstawie własnych wyobrażeń, bez konieczności poznawania spostrzeżeń tamtych. To tworzy między klasami

nieprzenikalny mur niezrozumienia (i w narracji „Ludzi bezdomnych”, i w wypowiedziach samego Judyma często pada słowo „kasta”). Niemożliwe jest jakiegokolwiek ulżenie doli motłochu, ponieważ on sam nie ma koniecznych dla tego zasobów: wiedzy fachowej, środków ekonomicznych, idei, natomiast pełne szlachetnych intencji elity wiedzę o potrzebach motłochu czerpią wyłącznie z własnych wyobrażeń - i dlatego mogą się oburzać na to, że dobrze opłacani robotnicy Zagłębia, zamiast oszczędzać pieniądze, kupują fatałaszkę i pachnące mydełko. Nawet kiedy jakimś przedstawicielowi motłochu uda się zdobyć wykształcenie i ogłode, jego środowisko nie ma z tego żadnych korzyści, ponieważ natychmiast wsysa go niemająca z tym środowiskiem żadnego kontaktu klasa wyższa. Awans zdolnych jednostek jest więc dla motłochu przekleństwem, a nie szansą, gdyż całkowicie go wyjaławia.

Robotnik medycyny

Judym, mimo wzajemnych pretensji i nieporozumień, naprawdę szanuje swojego brata, Wiktora, który jest właśnie sobą, nawet gdy mu przychodzi płacić za to wysoką cenę. Chodzi w żakiecie nie dlatego, że pragnie udawać kogoś innego, że próbuje wykręcić się ze swojego świata, ale dlatego, że nie chce zakładać zgrzebnych ubrań, które jednoznacznie wskazują na poniżony status (*Ubranie o wartości człowieka nie stanowi* - wygłasza taką sentencję Judym i natychmiast czuje jej idiotyzm). Książki czyta nie dlatego, że imponują mu elity, których książka ma być atrybutem, ale dlatego, że z książek można wyczytać ciekawe rzeczy (czy coś takiego jest w stanie pomieścić się w główkach dzisiejszych propagatorów czytelnictwa?). Wiktor zabiera Tomasza do stalowni, tak jakby zdawał sobie sprawę, że tam, nagi i czarny od sadzy, zanurzający narzędzie w kipieli wrzącego żelaza, pokaże się bratu już nie w żakiecie, pretensjonalnym i groteskowym na robotniczych plecach, ale w istotnej swojej postaci - jako bóg. A Tomasz zapamięta tę epifanię.

Po raz kolejny ujrzy Judym podobnych bogów w kopalniach i hutach Zagłębia. Bogów, bo realizujących właśnie boską misję, za którą i sam Judym tęskni - misję twórczości, wyrywania przyrodzie i przemieniania mas bezcelowej i bezużytecznej materii w postać mającą sens. Praca robotników, choć źle płatna, choć wyniszczająca, fascynuje Judyma ze względu na konkretność i bezpośredniość. Robotnik wykonuje po prostu swoją robotę, robi to, co rzeczywiście potrzebne, efekty i wydajność jego pracy są niepodważalne, mierzalne. Tymczasem wysiłki inteligenta, choćby lekarza, tylko w pewnym stopniu są sensowne i twórcze, większa część z nich to bezpożyteczne zabiegi o utrzymanie się w towarzystwie,

osiągnięcie w nim odpowiedniej pozycji, zyskanie uznania, rzadko kiedy za fachowe zasługi, najczęściej za towarzyską atrakcyjność. Judym rozumie, że znaczna część niechęci jego kolegów-lekarzy do wprowadzania jakichkolwiek usprawnień wynika nie z ich złej woli czy niedokszałcenia, ale z tego, iż są oni tak zaaferowani zabiegami o własne społeczne miejsce, że pozostaje im już niewiele energii i cierpliwości do robienia czegokolwiek innego. On nie może się pogodzić z takim marnotrawstwem czasu, umiejętności i bezcennej życiowej energii, skoro wciąż przekonuje się, ile dzięki nim mógłby stworzyć. Chce w końcu przestać zajmować się głupotami.

Judym więc przekonuje się, że jego życiowe aspiracje wcale nie wymagają społecznego awansu. Wymagają, owszem, wykształcenia, wiedzy, energii i pasji, a to już udało mu się zdobyć. Co więcej, gdyby uległ tej potężnej pokusie emigracji do wyższej kasty, będzie zmuszony wyrzec się tych aspiracji, a przynajmniej bardzo poważnie je ograniczyć. Będzie też wciąż zatruty własnym resentymentem, wciąż w pozycji lekko unижonej, wciąż zmuszony do tego, aby być kimś innym, niż jest naprawdę. Zaczyna więc rozumieć - i zdaje się, podczas ostatecznej rozmowy z Joasią dochodzi to do niego w pełni - że wcale nie chce być lekarzem, a więc inteligentem, członkiem społecznej elity, lecz kimś, kto na razie i elitom, i motłochowi nie mieści się w głowie. On chce być kobietą piszącą poezję, robotnikiem w żakiecie wydającym pensję na pachnące mydełko, chamem czytającym książki i estetą z motłochu. Że chce właśnie wszystkiego tego, co mają przedstawiciele tamtej kasty, bez rezygnowania z najmniejszego kawałka samego siebie, bez porzucania czegokolwiek, co wyniósł z tego miejsca, w którym wyrósł.

Judym dokonuje więc na sobie bolesnej amputacji złudzeń aspiranta, pozwalającej jednak na zerwanie się z łańcucha resentymentu. I postanawia wśród tak samo jak on tęskniących do lepszego życia pracowników stalowni, gospodarstwa rolnego czy kopalni być pracownikiem służby zdrowia, różnym od nich tylko wykształceniem i rodzajem wykonywanej pracy, może też wysokością poborów, ale nie pozycją społeczną. Dzięki takiej decyzji będzie mógł nie wyjaławiać, ale wzbogacić środowisko, z którego się wywodzi. I jeśli awansować - to nie z niego, ale razem z nim, skoro jego własny awans jest niemożliwy bez zaparcia się siebie. ✂

Przypisy:

1. Wszystkie cytaty za wydaniem: Stefan Żeromski, *Ludzie bezdomni*, oprac. Irena Maciejewska, Wrocław - Warszawa - Kraków - Gdańsk - Łódź 1987.
2. Julian Brun, *Stefana Żeromskiego tragedia pomyłek*, Warszawa 1986, s. 27.

Kochaj bliźniego jak siebie samego

Solidaryzm Franciszka Stefczyka

DR HAB. RAFAŁ ŁĘTOCHA

Nazwisko Franciszka Stefczyka nie jest z pewnością anonimowe dla przeciętnego Polaka – wiele osób kojarzy je z Kasą Stefczyka, funkcjonującą w Polsce od 1993 r., pierwotnie pod nazwą Spółdzielcza Kasa Oszczędnościowo-Kredytowa im. Franciszka Stefczyka. Na tym jednak zazwyczaj kończy się wiedza na temat tej niezwyklej postaci – pioniera spółdzielczości na ziemiach polskich, nieustrudzonego propagatora tej formy działalności gospodarczej.

Swoją aktywność Stefczyk rozwinął w Galicji, będącej w latach zaborów symbolem ubóstwa i zacofania. W tamtych właśnie latach Stanisław Szczepanowski ogłosił słynne dzieło „Nędza Galicji w cyfrach”, w którym wyliczał, iż przeciętna długość życia w Galicji wynosi 27 lat dla mężczyzn oraz 28,5 roku dla kobiet, w porównaniu z 33 i 37 latami w Czechach, 39 i 41 we Francji czy 40 i 42 w Anglii. Jeśli chodzi o spożycie mięsa, to rocznie w Galicji zjadano go średnio 10 kg na głowę, w porównaniu z 24 kg na Węgrzech, 33 kg w Niemczech i 50 kg w Anglii. Przeciętny roczny dochód na głowę w Galicji wynosił zaś 53 zł reńskie, w Królestwie Polskim natomiast 91 zł reńskich, a w Anglii 450 zł reńskich. Na tysiąc galicyjskich rolników przypadało z kolei 551 sztuk bydła, na Węgrzech było to 760 sztuk, w Rumunii 1162, a w Anglii 1645. *Galicjanin* – pisał w swojej pracy Szczepanowski – *mało pracuje, bo za mało je, nędźnie się żywi, bo za mało pracuje, i wcześniej umiera, bo się nędźnie żywi – a na domiar naturalnym wynikiem tej krótkiej trwałości życia ludzkiego jest to, że w stosunku do osób dorosłych jest tu większa część ludności wymagającej opieki jak w innych krajach. [...] Tak samo jak Galicja zawiera z wszystkich krajów strefy*

*umiarkowanej największą ilość ludności rolniczej na kilometrze, jak każdy rolnik wytwarza najmniej płodów rolniczych – tak też nie ma kraju na całej kuli ziemskiej, w którym by się gorzej i nędźniej żywiono*¹. Warunki więc, w których przyszło Stefczykowi prowadzić swoją działalność, nie były – mówiąc eufemistycznie – komfortowe, jednak dzięki staraniom jego i jemu podobnym ta katastrofalna sytuacja miała wkrótce ulec istotnej poprawie.

Franciszek Stefczyk urodził się 2 grudnia 1861 r. w Krakowie. Ojciec jego wywodził się z chłopskiej rodziny zamieszkałej we wsi Bachowice koło Wadowic². Dzięki wyższemu wykształceniu udało mu się zrobić karierę urzędniczą, pełnił bowiem obowiązki sekretarza Rady Powiatu w Krakowie. Nic więc dziwnego, że zdawał sobie sprawę z tego, jak wielką dźwignię awansu może stanowić wykształcenie, i sam był admiratorem oraz działaczem oświaty ludowej.

Już w latach nauki w Gimnazjum św. Anny Franciszek Stefczyk wraz z przyjaciółmi ze szkolnej ławy, m.in. Feliksem Konecznym, zorganizował spisek niepodległościowy, przekształcony następnie

w kółko samokształceniowe, którego uczestnicy stawiali sobie za cel pogłębianie znajomości historii i literatury polskiej. Rzecz charakterystyczna, iż prenumerowali oni także pewną liczbę egzemplarzy czasopism wydawanych przez ks. Stanisława Stojąłowskiego, a przeznaczonych dla ludności wiejskiej, które kolportowali, początkowo nieodpłatnie, po podkrakowskich wsiach.

Po ukończeniu gimnazjum Stefczyk rozpoczął studia historyczne na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jego praca magisterska dotyczyła konfliktu Bolesława Śmiałego z bpem Stanisławem ze Szczepanowa, a o wysokim jej poziomie może świadczyć fakt, iż doczekała się publikacji w warszawskim miesięczniku „Ateneum”. Po trzech latach studiów w Krakowie, jeszcze przed uzyskaniem absolutorium, wyjechał na rok do Wiednia, tam kontynuował naukę na Uniwersytecie Wiedeńskim, słuchając wykładów z ekonomii i prawa państwowego u prof. Wawrzyńca Steina, za sprawą którego po raz pierwszy usłyszał o rozwijającej się w Niemczech spółdzielczości oszczędnościowo-kredytowej Fryderyka W. Raiffeisena.

W 1884 r. podjął pracę jako nauczyciel w Średniej Szkole Rolniczej w Czernichowie koło Krakowa. Nie cieszyła się ona zbyt dużą renomą, uczęszczali do niej przede wszystkim synowie ziemian, którzy nie poradzili sobie w innych placówkach. Integracja wychowanków szkoły z mieszkańcami wyrażała się przede wszystkim, jak pisał Bohdan Cywiński, w *wożeniu uczniów miejscowymi furmankami do nieodległego Krakowa, gdzie pili alkohol i spędzali czas z kobietami lekkich obyczajów*³. Jednak właśnie tam Stefczyk nawiązał bliższe kontakty z ludnością rolniczą, angażując się coraz mocniej w pracę społeczną na wsi. Wśród kolegów z grona nauczycielskiego odnalazł



Wszystkie ilustracje do artykułu pochodzą z książeczki wkładowej

pokrewne dusze, również obdarzone żyłką społecznikowską – byli to nauczyciel fizyki i matematyki Ludwik Birkenmajer oraz Adam Prażmowski, nauczyciel rolnictwa. Obaj znaleźli się wśród założycieli pierwszej Kasy Oszczędności i Pożyczek, która powstała w 1890 r. w Czernichowie. Stefczyk pozyskał również niewielkie grono miejscowych gospodarzy, a także wsparcie miejscowego proboszcza ks. Edwarda Królikowskiego.

Stefczyk organizował liczne odczyty i prelekcje, lansując wizję pracy społecznej i rozwoju wsi, w której kładł nacisk na potrzebę solidaryzmu w myśl hasła „ze szlachtą polską polski lud”. Stało się to zresztą przyczyną pierwszych konfliktów z młodymi działaczami ludowymi, którzy stali na stanowisku radykalnym społecznie. Z inicjatywy Stefczyka utworzono w Czernichowie kółko rolnicze, przyjmujące ideologię solidaryzmu narodowego i chrześcijańskiego.



Na tym właśnie gruncie zaczął tworzyć swoje słynne kasy pożyczkowe – ich powstanie wynikało niejako z potrzeby chwili, gdy w 1889 r. widmo głodu zaczęło zaglądać w oczy galicyjskich chłopów w związku z klęską nieurodaju. Groziło to upadkiem wielu gospodarstw wskutek wyprzedaży trzody chlewnej i bydła, których nie było czym karmić. Kredyt dla chłopów galicyjskich w tamtym czasie był słabo dostępny, jedynym ratunkiem wydawało się zadłużanie u Żydów pobierających lichwiarskie procenty.

Szukając wyjścia, Stefczyk zaproponował założenie własnej instytucji oszczędnościowo-kredytowej, wzorowanej na aktywności Raiffeisena w Niemczech. Miała być ona nakierowana na potrzeby drobnych producentów, minimalizować zyski i koszty własne, walczyć z lichwą. Za pieniądze proboszcza Królikowskiego udał się Stefczyk do Związku Spółek Raiffeisena w Münster, aby zapoznać się z zasadami ich działania i strukturą organizacyjną. Po powrocie zorganizował w styczniu 1890 r. pierwszą w Galicji kasę oszczędnościowo-pożyczkową systemu Raiffeisena. Mimo początkowych trudności w znalezieniu kapitału stanowiącego źródło kredytu, kasa rozwijała się względnie dobrze. Wkrótce powstała nawet za jej przykładem kolejna placówka, we wsi Gać Przeworska.

Zasady organizacji kas były następujące: *mały teren działalności, solidarna poręka, niskie udziały i ograniczenie zysków oraz dywidend, niepodzielność majątku i trwałość organizacyjna, bezpłatne pełnienie obowiązków oraz wykluczenie weksli*⁴. Terenem działalności był obszar jednej lub kilku gmin, obejmujący od 1000 do 3000 mieszkańców. Umożliwiał to redukcję kosztów jej utrzymania, praca w kasie nie była bowiem czasochłonna. Ułatwiała



to również pozyskanie informacji na temat sytuacji ekonomicznej poszczególnych jej członków, co miało fundamentalne znaczenie przy podejmowaniu decyzji o przyznaniu pożyczki. Pozwalało również na staranną kontrolę jej działalności. Zasada solidarnej poręki polegała na jednakowym traktowaniu majątku własnego i spółki. Oznaczało to, że każdy członek odpowiadał sam i razem z innymi za wszystko, co kasa komukolwiek była winna i do czego się zobowiązała. Przyjmowanie nieograniczonej odpowiedzialności za spółkę nie stanowiło jednak szczególnego niebezpieczeństwa dla jej członków. Jak podkreśla Antoni Gurnicz, *interesy spółki były powszechnie znane wszystkim członkom. Mały okręg oraz wzajemna znajomość ludzi raczej wykluczały nadużycia. Interesy spółek prowadzone były przez władze z wyboru, które zresztą również ponosiły odpowiedzialność. Ułatwiona była także permanentna kontrola dokonywana przez wszystkich jednakowo zainteresowanych członków. Znane były cele pożyczkowe i dłużnicy kasy. Wreszcie dłużnicy mieli ręczycieli, którzy w razie potrzeby odpowiadali w pierwszej kolejności*⁵.

Każdy wstępujący do kasy zobowiązany był wpłacić niewielką sumę odpowiadającą jednemu udziałowi, który pozostawał własnością członka, a jej wycofanie było równoznaczne z utratą członkostwa. Liczba posiadanych udziałów nie mogła przekraczać pięciu, przy czym bez względu na ich liczbę każdy członek posiadał tylko jeden głos. Dywidendy od lokowanych kwot były niewygórowane, gdyż zasadniczego celu kas nie stanowiło przynoszenie wysokich zysków właścicielom wkładów, lecz udzielanie niskoprocentowanych pożyczek. Właściciele gospodarstw lokowali wolne zasoby finansowe, oczekując w zamian, iż dostaną w potrzebie pożyczkę na uczciwych warunkach. W latach 90. XIX w. kasa od





złożonych w niej wkładów płaćła 4,5% rocznie, pożyczek zaś udzielała na 6% rocznie.

Zadaniem każdej spółdzielni było utworzenie, a następnie powiększanie majątku powstającego z opłat wstępnych, a później z wypracowywanego zysku. Majątek ten stanowił rezerwową fundusz służący wyrównywaniu ewentualnych strat. Niezwykle istotne, iż nie podlegał on nigdy podziałowi pomiędzy członków kasy - nawet w sytuacji jej rozwiązania przechodził na rzecz innej instytucji o analogicznych celach. Mały teren działania kas i ich niezbyt wielkie obroty powodowały, iż mogły one świadczyć usługi w oparciu o społeczną pracę zarządu i personelu. Zmniejszało to oczywiście koszty ich utrzymania, powodowało też, że kasy dla nikogo nie mogły stać się źródłem korzyści i przyciągały do pracy osoby najbardziej uspołecznione. Z czasem doszło do pewnego odstępstwa od tej zasady. Uznano mianowicie, że stanowisko kasjera, będącego rachmistrzem i sekretarzem spółki, wymaga tak dużych nakładów pracy i czasu, iż pełnienie go musi być gratyfikowane pieniężnie⁶.

Stefczyk pisał: *Instytucja kredytowa dla włościan nie powinna traktować swojego zadania w sposób biurokratyczny i bankierski, nie powinna być tylko finansową instytucją. Ona powinna wglądać w potrzeby i stosunki swoich klientów i ludności, wśród której działa, winna występować z inicjatywą, gdzie tego zachodzi potrzeba, wyszukiwać tych, których należy ratować, walczyć przeciw bierności innych, którzy są za leniwi, niedowierzający i nieporadni, aby nad poprawą swego bytu z większą energią pracować, i którzy za ledwie o to dbają, aby im gorzej nie było, aby status quo w gospodarstwie utrzymać i pchać biedę, jak pchali ją ojcowie. Bez takiej czynnej a życzliwej opieki korzystać z pożytkiem z dobrodziejstw kredytu nie umieją u nas warstwy wykształcone, od których można żądać, aby sobie*

*zdawały sprawę, czym jest kredyt i jakie jego własności. Tym mniej można żądać tego od ludności wieśniaczej. Ona mając już dzisiaj otwarte prawie na oścież wrota przystępu do różnych źródeł kredytu, zwraca jego obojętny miecz przeciwko sobie samej, zamiast go użyć jako broni przeciwko swemu ubóstwu i biedzie*⁷.

Liczba członków kasy w Czernichowie wynosiła w pierwszym roku działalności 143 osoby, w następnych latach zwiększyła się pięciokrotnie. Przełożonym zarządu kasy początkowo był ks. Edward Królikowski, obowiązki kasjera sprawował zaś sam Stefczyk. Koszty administracyjne jej funkcjonowania nie przekraczały 0,8% sumy bilansowej. Powodzenie przedsięwzięcia zaowocowało podobnymi inicjatywami, w efekcie pod koniec XIX w. działało już 26 tego rodzaju placówek. Następnym krokiem Stefczyka było powołanie do życia w Czernichowie w 1891 r. spółdzielni rolniczo-handlowej pod nazwą Bazar Kółka Rolniczego.

Stefczyk kategorycznie sprzeciwiał się łączeniu działalności oszczędnościowo-kredytowej z handlową i zakładaniu przez kasy sklepików wiejskich, jednak sama idea spółdzielczych sklepów oczywiście była mu bliska, stąd jego zaangażowanie na tym polu. Członkiem takiej spółdzielni mógł zostać każdy mieszkaniec wsi po wykupieniu przynajmniej jednego udziału - za każdych 10 udziałów uzyskiwało się natomiast dodatkowo jeden głos, ale nie więcej niż 5. Napotkały one jednak dość szybko poważną przeszkodę w postaci braku dostępu do dobrych źródeł zakupu towaru - hurtownie nie kwapiły się do współpracy z niewielkimi i niepewnymi spółdzielniami wiejskimi. Stefczyk i na to znalazł remedium. Jesienią 1891 r. przy współpracy Towarzystwa Kółek Rolniczych stworzył Związek Handlowy Kółek Rolniczych w Krakowie, którego celem miało być stworzenie bazy zaopatrzeniowej





dla sklepów kółek rolniczych oraz zapewnienie im systematycznej opieki i lustracji (kontroli). Za tym przykładem w następnych latach założono kilkanaście podobnych organizacji handlowych, m.in. we Lwowie, Nowym Sączu, Dębicy, Krośnie, Tarnobrzegu.

W roku 1892 Stefczyk, wykorzystując przerwę wakacyjną, podczas kilkutygodniowej eskapady dokonał rewizji 20 sklepów należących do kółek rolniczych. Efektem były dwie książki dotyczące działalności handlowej kółek rolniczych, w których postulował przede wszystkim zorganizowanie systematycznego szkolenia fachowego pracowników handlu spółdzielczego. Sam, jako pierwszy, organizuje tego rodzaju kurs w 1895 r. w Czernichowie.

Działacz zdawał sobie sprawę, iż powodzenie przedsięwzięć takich jak kasy oszczędnościowo-kredytowe oraz sklepy spółdzielcze zależy w dużej mierze od zwiększenia produktywności słabych i karłowatych gospodarstw chłopskich w Galicji. W związku z tym należy wykorzystać aparat spółdzielczy również w tym obszarze. Gałęzią produkcji, która, jak uznał, najbardziej nadaje się do zastosowania systemu spółdzielczego, było mleczarstwo⁸. Efektem działań na tym polu było 109 spółek mleczarskich posiadających 131 filii na terenie Galicji przed wybuchem I wojny światowej.

Te trzy typy organizacji spółdzielczych wyczerpywały zasięg oddziaływania Stefczyka w XIX w. Postrzegał on spółdzielczość jako remedium na główne problemy, z którymi borykała się ludność wiejska, dźwignię rozwoju nie tylko gospodarczego, ale i moralnego czy obywatelskiego mieszkańców wsi. Miała ona przede wszystkim umożliwić uwolnienie drobnych i średnich gospodarstw z zależności od lichwy oraz kapitalistycznych pośredników, unowocześnić je, a tym samym zwiększyć ich dochodowość, wreszcie zaś wprowadzić nowe wzorce, odnoszące się nie tylko do relacji gospodarczych, ale także międzyludzkich, oprzeć je na zasadach uczciwości, solidarności i pomocy wzajemnej⁹. Zadania swoje, jak pisał Stefczyk, spełnia spółdzielczość w rolnictwie poprzez łączenie indywidualnych gospodarstw w organizacje spółdzielcze, które:

usuwając pośrednictwo handlowe postronnych przedsiębiorców, a dążąc do bezpośrednich stosunków wymienionych ze spółdzielczymi organizacjami konsumentów, ujmują w swoje ręce zarówno dostarczanie artykułów potrzeb domowych i gospodarczych, jak i zbyt produktów rolniczych;

budując własne gospodarstwo pieniężne, kredytowe i bankowe, oparte na oszczędnościach ludowych i na własnych spółdzielczych kapitałach udziałowych i rezerwowowych;

oddają na usługi drobnych i średnich gospodarstw wszystkie postępy i zdobycze wiedzy ludzkiej, najlepsze techniczne środki i urządzenia, jako też najznakomitsze i najtęższe, twórcze i kierownicze siły ludzkie;

propagują systematycznie i umiejętnie ducha spółdzielczego i cnoty spółdzielcze, oraz krzewią praktycznie oświatę spółdzielczą¹⁰.

Stefczyk wyraźnie zastrzegał, iż spółdzielczość nie zmierza do wprowadzenia na wsi ustroju kolektywnego, wręcz przeciwnie – jej celem ma być wzmocnienie własności prywatnej, siły indywidualnych gospodarstw. Nie tworzył maksymalistycznych programów gruntownej przemiany całokształtu stosunków społeczno-gospodarczych, zaprowadzenia w przyszłości modelu spółdzielczego jako obowiązującego i dominującego. Miała ona w jego ujęciu stanowić jedynie pewną korekturę systemu kapitalistycznego. Piszząc o przyszłości, podkreślał, iż nie wyobraża jej sobie jako bezwzględnej panowania ... *spółdzielczości i nie uważam tego za pożądane; monopol nie jest w żadnej sferze ludzkich stosunków czynnikiem postępu i zdrowego rozwoju. Obok spółdzielczości pozostaną niewątpliwie, jako czynnik równouprawniony, także i nadal kapitalistyczne formy organizacji pracy gospodarczej, ponieważ liczyć się trzeba z naturą ludzką, w której interes własny i miłość własna są i pozostaną silnym, a nawet cennym motorem pracy i twórczości. Ale niemniej uprawnioną jest taka organizacja i praca, na której dnie tkwi przykazanie: „Kochaj bliźniego jak siebie samego”¹¹.*

Dość szybko Stefczyk zdał sobie sprawę, że jeśli te wszystkie przedsięwzięcia mają przynieść pożądane rezultaty, a inicjatywa wielu osób zaangażowanych w krzewienie spółdzielczości na wsi



ma nie pójść na marne, należałoby skoordynować działania i zapewnić im strukturę ochronną. Początkowo starał się o objęcie opieki nad kasami przez Towarzystwo Kółek Rolniczych, nie przynosiło to jednak oczekiwanych efektów. Udało mu się jednak skłonić zarząd Towarzystwa do wystąpienia do Wydziału Krajowego (organu wykonawczego Sejmu Krajowego w Galicji) z petycją o kredyty państwowe dla kas oraz zabezpieczenie w innych dziedzinach działalności. Pomimo początkowych oporów ostatecznie przychyłono się do tego wniosku, w dużej mierze za sprawą samego marszałka krajowego Galicji Stanisława Badeniego, który odwiedził Czernichów i wyniósł stamtąd jak najlepsze wrażenia. W 1898 r. Wydział Krajowy opracował więc projekt roztoczenia przez władze opieki nad kasami oszczędnościowo-pożyczkowymi, a rok później sejm Galicji uchwalił utworzenie Biura Krajowego Patronatu dla Spółek Oszczędności i Pożyczek. Funkcję patrona powierzono Stefczykowi, w znacznym stopniu na skutek nacisków Badeniego. Sprawa nie była bowiem tak oczywista, jak mogłoby się wydawać – posada w stołecznym Lwowie była łakomym kąskiem dla wielu osób o wiele lepiej ustosunkowanych niż Stefczyk, który jednakże ostatecznie rozpoczął rezydowanie we Lwowie w lipcu 1899 r.

Uchwała sejmowa zamknęła wieloletnie wysiłki Stefczyka o nowy typ spółdzielczości wiejskiej, stania które – co najważniejsze – uwieńczone zostały sukcesem. *Zwyciężył w końcu upór, cierpliwość i zapobiegliwość inicjatora ruchu. Aby jednak przez tyle lat czynić tego rodzaju wysiłki bez żadnego osobistego interesu, trzeba było wyjątkowo silnie wierzyć w realizowaną ideę. Wielkość poświęcenia może być tu mierzona tylko wielkością celu, któremu idea służyła. Celem zaś była poprawa doli milionów mas chłopskich. Tego musiał Stefczyk bardzo pragnąć i to zaskarbiło mu ich wdzięczność. To także z czasem nadało wysoką rangę jego zmaganiom¹².*

Działalność Patronatu obejmowała przede wszystkim pomoc w zakładaniu kas oszczędnościowo-kredytowych. W ciągu 15 lat przedwojennego funkcjonowania pod opieką Patronatu powstały i działały 1372 kasy, skupiające 145 tys. członków. Inne formy wsparcia dotyczyły kształcenia kadr

(kursy dla kierowników i kasjerów spółek – kończyło je rocznie od 20 do 80 osób), poradnictwa fachowego i kontroli funkcjonowania kas, pomocy w rozwiązywaniu problemów prawnych i w otrzymywaniu wsparcia kredytowego ze źródeł państwowych oraz propagowania oszczędności i działalności spółdzielczej na wsi. Szybko też Patronat objął opieką spółki mleczarskie i rolniczo-handlowe, nawiązano również kontakty z innymi związkami spółdzielczymi w kraju i za granicą.

Dla celów popularyzacji i stymulacji rozwoju spółdzielczości rolniczej Stefczyk starał się zjednać Radę Szkolnictwa Krajowego. Poparcie władz szkolnych nie było entuzjastyczne, inaczej sytuacja wyglądała jeżeli chodzi o instytucje religijne. Zaraz po rozpoczęciu urzędowania zwrócił się do konsystorza biskupich i metropolitalnych obrządku katolickiego, unickiego i ormiańskiego, dążąc do zapewnienia sobie współpracy duchowieństwa na terenie wiejskim. Spotkało się to z pozytywnym odzewem. Władze duchowne sprzyjały bowiem podejmowaniu prac społecznych przez księży (wedle danych z 1911 r. w zarządach lub radach nadzorczych trzech czwartych kas pracowali księża), co więcej: wprowadzono nawet w seminariach duchownych wykłady ze spółdzielczości.

Stefczyk podjął również działania mające zorganizować samopomoc finansową pomiędzy poszczególnymi kasami, co można było zapewnić jedynie poprzez stworzenie wspólnej centrali finansowej. Podpisano porozumienie z Bankiem Krajowym, który otworzył zbiorowy rachunek dla wszystkich spółdzielni, będący w dyspozycji Patronatu. Uwieńczeniem tych starań było powołanie w 1908 r. instytucji bankowej w postaci Centralnej Kasy Spółek Rolniczych z siedzibą we Lwowie, której dyrektorem został Stefczyk. Sukcesy te spowodowały, iż do Patronatu zaczęły napływać prośby o pomoc w organizowaniu nowych typów spółdzielni: owocarskich, rolniczo-przemysłowych, eksploatacji torfu. Spółdzielnie rolniczo-handlowe zostały natomiast zjednoczone w tzw. Syndykacie Rolniczym i poddane jego opiece, podobnie jak spółdzielnie mleczarskie, nad którymi Patronat w 1903 r. rozciągnął swą kuraatelę, tworząc w tym celu specjalny referat, na czele którego stanął Zygmunt Chmielewski.



W tamtym czasie Stefczyk, który dotychczas dyktansował się od bieżącej polityki, związał się z galicyjskim ruchem ludowym. Stanowiło to pokłosie pewnej wolty politycznej tego środowiska, które wówczas zrezygnowało z antyklerykalizmu, podjęło współpracę z konserwatystami i przeszło z pozycji klasowych na bardziej solidarystyczne. W 1908 r. Stefczyk został z listy Polskiego Stronnictwa Ludowego wybrany do Sejmu Krajowego, w którym działał w komisjach bankowej, reform agrarnych, budżetowej i drożyznianej. Alians ten jednak nie był zbyt długi, w 1913 r. złożył on bowiem mandat poselski i wystąpił z PSL. Przyczynę stanowiły rosnące różnice zdań i zaostrzające się konflikty z prezesem PSL Janem Stapińskim oraz przyłączenie się partii do Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, którą podejrzewał o sympatie prorosyjskie, Stefczyk zaś był zdecydowanym austrofilem.

Po wybuchu wojny poparł niezwłocznie Naczelny Komitet Narodowy i tworzone pod jego egidą legiony. Wezwał także kasy oszczędnościowo-pożyczkowe do składania ofiar na „polski skarb wojenny” – wyniosły one w sumie ok. 300 tys. koron. Z inicjatywy Stefczyka i dzięki wsparciu finansowemu pochodzącemu z funduszu redagowanego przez niego „Czasopisma dla Spółek Rolniczych” ukazało się też kilka monumentalnych dzieł mających uzasadnić polskie aspiracje do niepodległości. W takim właśnie celu wydano najpierw „Statystykę Polski”, przygotowaną przez Adama Krzyżanowskiego i Kazimierza Kumarnieckiego, która równocześnie opublikowana została w językach polskim, francuskim i niemieckim. Następnie „Geograficzno-statystyczny atlas Polski” autorstwa Eugeniusza Romera i Franciszka Bujaka, obejmujący całość ziem Rzeczypospolitej Obojga Narodów z roku 1772. Wreszcie zaś dzieło „Polska w kulturze powszechnej”, przygotowane przez zespół naukowców z Uniwersytetu Jagiellońskiego pod kierunkiem Feliksa Konecznego.

W lutym 1918 r. Stefczyk przyczynił się do zwołania w Lublinie pierwszego zjazdu przedstawicieli polskiego ruchu spółdzielczego z wszystkich

zaborów. Nie doszło tam do scalenia spółdzielczości w jednym centralnym związku o charakterze federacyjnym, o czym marzył Stefczyk, jednak uzgodniono kierunki wspólnego działania. Powodzeniem natomiast zakończyła się jego inicjatywa powołania Spółdzielczego Instytutu Naukowego, na czele którego stanął sam Stefczyk, a w jego skład weszli m.in. ks. Stanisław Adamski, Zygmunt Chmielewski i Romuald Mielczarski. Przyjęta została wówczas również propozycja Stefczyka dotycząca integracji naczelnich instytucji spółdzielczych. Dzięki temu w 1919 r. powstała Centralna Kasa, będąca pierwszą ogólnopolską instytucją spółdzielczą, utworzoną w dużej mierze na bazie Centralnej Kasy Spółek Rolniczych przeniesionej ze Lwowa do Warszawy; na jej czele stanął Stefczyk. Wkrótce powstał Państwowy Bank Rolny, dysponujący kredytem długoterminowym, którego Centralna Kasa nie posiadała, a na który był wzmożony popyt w pierwszych latach niepodległości. Znowu jego naczelnym dyrektorem został Stefczyk, zrezygnawszy wcześniej ze stanowiska w Centralnej Kasie. Po kilku miesiącach opuścił zajmowane stanowisko w związku ze sporami kompetencyjnymi i objął funkcję prezesa Głównego Urzędu Ziemskiego. Jego obowiązkiem było przygotowanie projektu reformy rolnej i tworzenie organizacji parcelacyjnych.

Wciąż konsekwentnie dążył do zunifikowania polskiego ruchu spółdzielczego, co jednak okazało się być zadaniem niemożliwym do realizacji. Myślenie w kategoriach solidaryzmu, charakterystyczne dla Stefczyka, nie znajdowało bowiem zbyt wielu admistratorów – wygrywały różnego rodzaju partykularyzmy, czy to klasowe, czy dzielnicowe. Za częściowy sukces na tym polu należy jedynie uznać powstanie, dzięki jego zabiegom, w 1924 r. Zjednoczenia Związków Spółdzielni Rolniczych, ujednoliciającego przynajmniej ten segment polskiej spółdzielczości.

Wtedy też jeszcze raz usiłował powrócić do działalności politycznej, opowiedział się za PSL „Piast” i wysłał nawet w 1919 r. specjalny list do Wincentego Witosa, w którym zgłosił akces do partii. Nie otrzymał jednak na niego żadnej odpowiedzi. W 1922 r. urażony Stefczyk wystąpił z „Piasta” i związał się



z antywtosowskim Stronnictwem Katolicko-Ludowym, sam był zresztą autorem dużych części programu tej efemerydalnej organizacji. Z ramienia Stronnictwa kandydował w 1922 r. do Sejmu, jednak zarówno Stefczyk, jak i jego partia w wyborach tych ponieśli druzgocącą klęskę.

W końcowym okresie życia zdecydował się na podjęcie pracy naukowo-dydaktycznej na Uniwersytecie Jagiellońskim i w związku z tym rozpoczął starania o uzyskanie habilitacji w dziedzinie spółdzielczości. Rada Wydziału Rolnego UJ 30 czerwca 1924 r. przyznała mu *veniam legendi* z zakresu spółdzielczości. Tego samego dnia po przebytej wcześniej operacji przewodu pokarmowego Stefczyk zmarł...

Niektórzy, patrząc na pożarte przez hiperinflację w czasach I wojny światowej wieloletnie oszczędności zgromadzone w Kasach Stefczyka, nie zechcą widzieć w działalności naszego bohatera punktu odniesienia. Porażka ta jednak bynajmniej nie dezawuuje całej aktywności Stefczyka, co więcej: absolutnie nie można zgodzić się z tym, iż jego wysiłek był daremny, a praca bezowocna. Niewątpliwie bowiem to w dużej mierze jego zasługą było wychowanie szerokich kręgów wsi galicyjskiej do samodzielności gospodarczej. Region ten, będący synonimem nędzy i zacofania, uchodzący za najbiedniejszy w całej Polsce, zmienił diametralnie swój charakter. O ile widoczne tam już w połowie XX wieku szersze niż gdzie indziej wyrobienie społeczne i polityczne można przypisać silnemu tu oddziaływaniu Stronnictwa Ludowego, o tyle gospodarność, oszczędność i nawyk ciągłego inwestowania w małe przecież w tej części kraju gospodarstwa rodzinne są tu niewątpliwie wynikiem formacji wywodzącej się od Stefczyka¹³.

Drugim długofalowym skutkiem działalności Stefczyka było wychowanie kadr do pracy spółdzielczej, za sprawą których sektor ten będzie dynamicznie rozwijał się w naszym kraju w okresie międzywojennym, będąc jednym z najsilniejszych w tym regionie Europy. Niestety, jak słusznie zauważał dziesięć lat temu Bohdan Cywiński, *wiele słów, których mądrze i uczciwie używał, zostało – jemu i nam – ukradzionych przez komunistów do nazwania*

ich narzędzi przemocy. Tak było z demokracją, z człowiekiem pracy, z postępem, a nawet z wolnością. Rok 1980, a potem lata późniejsze, nauczyły nas odbierać im te słowa i przywracać im ich właściwy sens. Do dziś jednak nie przywróciliśmy prawdziwego znaczenia słowom: „spółdzielnia”, „spółdzielczość”, „spółdzielca”. Póki tego nie zrobimy, ze Stefczykiem się nie dogadamy. Pozostaniemy ogłuszeni wcześniej usłyszonym komunistycznym kłamstwem, świadomie już szczęśliwie odrzuconym, ale w podświadomości jeszcze nas blokującym. Koncepcja Stefczyka do nas nie trafi. Mijają lata, a otaczająca nas i przez nas tworzona rzeczywistość coraz bardziej różni się od tego obozu, w którym osadzili nas kiedyś komuniści. Żyjemy coraz wyraźniej w kapitalizmie. A w tej właśnie kapitalistycznej rzeczywistości, jak pisał o tym Stefczyk, konieczny jest i ten spółdzielczy nurt gospodarczy, „na którego dnie tkwi przykazanie: kochaj bliźniego jak siebie samego”¹⁴. ❧

Przypisy:

1. S. Szczepanowski, *Nędza Galicji w cyfrach i program energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego*, Lwów 1888, wyd. 2, ss. 24–25.
2. Informacje biograficzne na podstawie: B. Cywiński, *Idzie o dobro wspólne. Opowieść o Franciszku Stefczyku*, Sopot 2004; A. Gurnicz, *Franciszek Stefczyk. Życie, poglądy, działalność*, Warszawa 1976; J. Szkodlarski, *Franciszek Stefczyk (1861–1924). Pionier spółdzielczości kredytowej w Polsce*, Łódź 2010; J. Szkodlarski, *Wybitni reformatorzy i kreatorzy polskiego pieniądza a ich oblicze moralne. Ziemia polska pod zaborami. Od Stanisława Staszica do Franciszka Stefczyka*, t. II, Łódź 2011; K. Weydlich, *Franciszek Stefczyk – pionier polskiej spółdzielczości rolniczej*, Warszawa 1936.
3. B. Cywiński, op. cit., s. 27.
4. A. Gurnicz, op. cit., ss. 100–101.
5. Ibid., ss. 101–102.
6. Na temat zasad działalności kas pożyczkowych zob. F. Stefczyk, *Rolnicze stowarzyszenia pożyczkowe*, Warszawa 1914, ss. 7–20; F. Stefczyk, *O spółkach systemu Raiffeisena*, Kraków 1890, ss. 138–139.
7. F. Stefczyk, *O spółkach systemu Raiffeisena*, s. 138.
8. F. Stefczyk, *Wskazania o zakładaniu i prowadzeniu włościańskich spółek mleczarskich*, Lwów 1897.
9. F. Stefczyk, *Stanowisko spółdzielczości w rolnictwie*, Lwów-Kraków-Warszawa-Wilno-Katowice-Toruń 1924, s. 8.
10. Ibid., s. 9.
11. Ibid., s. 6.
12. A. Gurnicz, op. cit., s. 24.
13. B. Cywiński, op. cit., s. 124.
14. Ibid., s. 126–127.

Andrzej Adamczyk (ur. 1952) – absolwent fizyki Uniwersytetu Śląskiego, do 1989 r. pracownik naukowy szeregu placówek PAN. Od 1989 pracuje w NSZZ „Solidarność”, w latach 1991-1992 rzecznik prasowy Komisji Krajowej, następnie do dzisiaj kierownik Biura Zagranicznego. Reprezentuje Związek w wielu organizacjach międzynarodowych, m.in. jest członkiem Biura Wykonawczego i Rady Generalnej Międzynarodowej Konfederacji Związków Zawodowych oraz członkiem Komitetu Wykonawczego Europejskiej Konfederacji. Członek Europejskiego Komitetu Ekonomiczno-Społecznego, wiceprzewodniczący Grupy Pracowniczej, przewodniczący Komitetu Monitorującego Partnerstwa Wschodniego. Specjalizuje się w zagadnieniach polityki zewnętrznej UE i jednolitego rynku w kontekście obrony praw pracowniczych i związkowych.

Włodzimierz Anioł (ur. 1955) – politolog specjalizujący się w polityce społecznej. Profesor zwyczajny, wykładowca w Instytucie Polityki Społecznej Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się międzynarodowymi aspektami polityki społecznej, w tym m.in. społecznym wymiarem globalizacji i integracji europejskiej, socjalną działalnością Unii Europejskiej, migracjami międzynarodowymi, skandynawskimi państwami dobrobytu. Długoletni ekspert i doradca w Kancelarii Prezydenta RP i Ministerstwie Spraw Zagranicznych, reprezentował Polskę w misjach i na wielu konferencjach Rady Europy, Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, Organizacji Narodów Zjednoczonych. Prezes powstałej w 2011 r. Fundacji Naukowej Norden Centrum, popularyzującej osiągnięcia krajów nordyckich w zakresie polityk publicznych. Autor kilkunastu książek i ok. 200 innych publikacji, m.in. takich jak: „Narody Zjednoczone wobec problemów społecznych” (1988), „Paradoksy globalizacji” (2002), „Europejska polityka społeczna. Implikacje dla Polski” (2003) czy

„Szlak Norden. Modernizacja po skandynawsku” (2013).

Izabella Bukraba-Rylska – absolwentka polonistyki, profesor socjologii. W Instytucie Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN zajmuje się polską wsią (m.in. opublikowała monografię „Socjologia wsi polskiej”, 2008), w Instytucie Socjologii UW propaguje socjologię organoleptyczną („W stronę socjologii ucieleśnionej”, 2013), a w wolnych chwilach prowadzi bloga (socjobloger.wordpress.com).

Marcin Domagała (ur. 1976) – absolwent Wydziału Historycznego (magisterium) oraz Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego (doktorat). Ukończył studia podyplomowe w zakresie Integracji Europejskiej na Uniwersytecie Warszawskim i Akademii Dyplomatycznej Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Obecnie zajmuje się dziennikarstwem, pełni też funkcję prezesa Europejskiego Centrum Analiz Geopolitycznych. Otwarty na poglądy niepopularne – lubi szukać ukrytych motywacji wśród tych, którzy je szczególnie zawzięcie krytykują.

Joanna Duda-Gwiazda – inżynier okrętowiec, działaczka Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża (1978) i Pierwszej „Solidarności” (członek prezydium MKS-MKZ, Zarządu Regionu), w stanie wojennym internowana, niezależna dziennikarka i publicystka („Robotnik Wybrzeża”, „Skorpion”, „Poza Układem”). Od początku do dziś konsekwentnie w opozycji do metod i polityki firmowanej przez Lecha Wałęsę i jego następców. Żona Andrzeja Gwiazdy. Odznaczona Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Stała współpracowniczką „Nowego Obywatela”.

Jarosław Górski (ur. 1970) – polonista, nauczyciel i dziennikarz. Napisał kilkadziesiąt artykułów publicystycznych i popularyzujących różne dziedziny sztuki, wydał książkę eseistyczną „Męska rzecz”

(o literackich obrazach męskości) oraz powieść obyczajową „Wersje”. Mieszka w Warszawie. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Tomasz Grzegorz Grosse – doktor habilitowany, profesor w Instytucie Europeistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalizuje się w problematyce polityk gospodarczych, zarządzaniu w administracji, jak również w powiązaniach między geopolityką a ekonomią. Ostatnia książka: „Poszukując geokonomii w Europie”.

Bartłomiej Grubich (ur. 1985) – absolwent socjologii i filozofii (UAM). Obecnie mieszka w Poznaniu, choć wciąż przede wszystkim jest z Bydgoszczy. Uważa, że traci dużo czasu na rzeczy mniej istotne, że za dużo myśli i za mało działa, ale usilnie szuka dobrych proporcji pomiędzy tymi sprawami. Kontakt: bgrubich@interia.pl. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Łukasz Komuda (ur. 1975) – absolwent ekonomii na Uniwersytecie Warszawskim, redaktor portalu Rynekpracy.org (dawniej Bezrobocie.org.pl), prowadzonego przez Fundację Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych, wcześniej przez cztery lata zastępca redaktora naczelnego miesięcznika „Businessman.pl”. Autor niemal tysiąca krótszych i dłuższych tekstów opublikowanych w kilkunastu tytułach prasowych – od miesięcznika „Nowy Przemysł” aż po portal konflikty.wp.pl. Tłumacz i redaktor naukowy książki prof. Paula H. Dembinskiego „Finanse po zawale”. Współautor gry fabularnej „Idée Fixe”, odpowiedzialny za stustronicowy opis polityki, ekonomii i społeczeństwa świata w 2040 roku. Zafascynowany teorią kalamburów Jamesa Burke’a, błyskiem Malcolma Gladwella, czarnym łabędziem Nassima Taleba i starożytną sztuką połykania mieczy w wykonaniu Hansa Roslinga. Kolekcjoner ciekawostek z każdej dziedziny, przekonany o tym, że każdy skomplikowany problem wprawdzie ma proste rozwiązanie, ale niestety jest ono błędne.

Rafał Łętocha (ur. 1973) - politolog i religioznawca. Doktor habilitowany nauk humanistycznych, zastępca dyrektora w Instytucie Religioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor w Instytucie Politologii Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Oświęcimiu. Autor książek „Katolicyzm a idea narodu. Miejsce religii w myśli obozu narodowego lat okupacji” (2002), „Oportet vos nasci denuo. Myśl społeczno-polityczna Jerzego Brauna” (2006) i „O dobro wspólne. Szkice z katolicyzmu społecznego” (2010). Publikował m.in. we „Frondzie”, „Glaukopisie”, „Nomo-sie”, „Nowej Myśli Polskiej”, „Państwie i Społeczeństwie”, „Pro Fide Rege et Lege”, „Studiach Judaica”, „Templum Novum”. Od urodzenia mieszka w Myślenicach i bardzo jest z tego zadowolony. Stał współpracownikiem „Nowego Obywatela”.

Łukasz Maślanka (ur. 1986) - prawnik i romanista, doktorant na Wydziale Nauk Humanistycznych KUL, członek lewicowego kolektywu portalu Nowe Peryferie. Interesuje się historią idei, problematyką stosunków polsko-niemieckich i polsko-rosyjskich oraz historią gospodarczą.

Tomasz Mering (ur. 1977) - doktor nauk politycznych, adiunkt w Instytucie Polityki Społecznej Uniwersytetu Warszawskiego, autor artykułów z zakresu europejskiej polityki społecznej, interesuje się polityką rynku pracy i wdrażaniem polityk publicznych. Publikował m.in. w „Problemach Polityki Społecznej”, „Przeglądzie Europejskim”, „Dialogu”, „Naukach Społecznych”.

Stéphane Portet (ur. 1969) - doktor socjologii, ekonomista. Założyciel S. Partner, polskiej filii międzynarodowej grupy consultingowej Syndex, odpowiada również za koordynowanie ekspertyz, badań i rozwoju Grupy w Europie. W latach 2003-2007 pracował w paryskiej École des hautes études en sciences sociales (EHESS) na stanowisku prof. nauk ekonomicznych

oraz był dyrektorem Centre Michel Foucault przy Uniwersytecie Warszawskim, gdzie ponadto wykładał w Instytucie Socjologii (2002-2007). Był ekspertem m.in. Międzynarodowej Organizacji Pracy (ILO) i Programu Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju (UNDP). Autor licznych publikacji dotyczących gospodarki, stosunków pracy, polityki społecznej i dialogu społecznego w Polsce.

Marcin Rzepa (ur. 1983) - absolwent stosunków międzynarodowych na UMK, Centrum Studium Europejskich im. Jeanna Monneta w Toruniu oraz Centrum Studiów Latinoamerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego. Obserwator, poszukiwacz, cyklista, weganin.

Stefan Sękowski (ur. 1985) - politolog, dziennikarz „Gościa Niedzielnego”, publikował m.in. w „Rzeczpospolitej”, „Gazecie Wyborczej”, „Gazecie Polskiej Codziennie”, „Frondzie” i „Tygodniku Powszechnym”. Stał współpracownikiem tygodnika „Nowa Konfederacja”. Autor książki „W walce z Wujem Samem. Anarchoidywalizm w Stanach Zjednoczonych Ameryki w latach 1827-1939”, tłumaczył na język polski dzieła m.in. Ludwiga von Misesa i Lysandera Spoonera. Mąż, ojciec dwóch synów, mieszka w Lublinie.

Paweł Soroka (ur. 1953) - politolog, doktor habilitowany nauk humanistycznych w zakresie nauk o polityce, profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach i Warszawskiej Szkoły Zarządzania - Szkoły Wyższej. Jego rozprawa habilitacyjna (2006) nosiła tytuł „Strategia bezpieczeństwa zewnętrznego Polski. Proces formułowania”. W 1993 r. był jednym z założycieli Polskiego Lobby Przemysłowego im. Eugeniusza Kwiatkowskiego, którego do dzisiaj jest koordynatorem. Ponadto jest członkiem Zarządu Głównego Towarzystwa Wiedzy Obronnej, wiceprezesem Zarządu Oddziału Warszawskiego Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa oraz członkiem

Krajowej Rady Lotnictwa. Redaktor naczelny pisma Robotniczych Stowarzyszeń Twórców Kultury pt. „Własnym głosem” oraz przewodniczący Rady Krajowej Robotniczych Stowarzyszeń Twórców Kultury, które działają w ponad 20 miastach Polski. Autor ponad 250 artykułów o tematyce społeczno-ekonomicznej i kulturalnej oraz kilkudziesięciu artykułów naukowych. Uprawia także twórczość poetycką, jest autorem kilku zbiorów wierszy. Członek Rady Honorowej „Nowego Obywatela”.

Joanna Suchomska (ur. 1989) - wykształcenie wyższe z zakresu socjologii ogólnej, współpracuje z Fundacją Pracownia Zrównoważonego Rozwoju z Torunia, autorka i realizatorka koncepcji badawczych projektów partycypacyjnych realizowanych przez PZR, m.in. Strefa Cukru, Razem o Łupkach, Restart.

Piotr Stankiewicz (ur. 1979) - doktor nauk humanistycznych w zakresie socjologii, absolwent socjologii i filozofii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Doktoryzował się na podstawie rozprawy poświęconej konfliktowi wokół genetycznie modyfikowanych organizmów w Polsce. Pracuje w Instytucie Socjologii UMK. Interesuje się problematyką konfliktu interesów, lobbingu oraz kontrowersjami związanymi z rozwojem nowych technologii. Aktualnie zajmuje się głównie kwestią możliwości i zasięgu demokratycznej kontroli nad innowacjami technologicznymi na przykładzie planów rozwoju energetyki jądrowej w Polsce. Kontakt: piotrek@umk.pl.

Joanna Szalacha-Jarmużek (ur. 1979) - doktor socjologii specjalizująca się w socjologii ekonomicznej i socjologii grup interesów. Autorka monografii „Instrumentarium globalnego panowania” - pierwszej na polskim rynku analizującej systematycznie problem podmiotowości organizacyjnej i mechanizmów realizacji interesów w warunkach globalizacji. Obecnie prowadzi badania

nad zjawiskiem krzyżowania się zarządów i rad nadzorczych dużych firm w Polsce. Prezes Fundacji Kazimierza Wielkiego - organizacji prowadzącej program „Polski Ślad”, promującej m.in. patriotyzm konsumencki; członkini Stowarzyszenia „Obywatele Obywatelom”. Stała współpracownica „Nowego Obywatela”.

Jacek Tittenbrun (ur. 1952) - socjolog, profesor doktor habilitowany. Kierownik Katedry Socjologii Przedsiębiorczości i Pracy oraz Zespołu Badań Socjoekonomicznych w Wyższej Szkole Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa w Poznaniu, profesor zwyczajny Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Autor teorii stanów społecznych i teorii własności siły roboczej. Prowadzi badania na pograniczu socjologii i ekonomii. Laureat wielu nagród naukowych, m.in. nagrody im. Stefana Czarneckiego, przyznanej przez Polską Akademię Nauk. Wielokrotny stypendysta zagranicznych ośrodków naukowych, członek prestiżowych instytucji i środowisk naukowych, m.in. Europejskiego Stowarzyszenia Socjologicznego. Uhonorowany tytułem naukowca roku 2005 przez International Biographical Centre (Cambridge, Anglia). Autor kilkunastu książek, w tym wydanych w Londynie i Nowym Jorku, m.in. „Instytucje finansowe a własność kapitału akcyjnego” (1991), „Nowi kapitaliści? Pracownicze fundusze emerytalne a własność kapitału

akcyjnego” (1991), „The Collapse of »Real Socialism« in Poland” (1993), „Ekonomiczny sens prywatyzacji: Spór o wyższość własności prywatnej nad publiczną” (1995), „Private versus Public Enterprise: In Search of the Economic Rationale of Privatisation” (1996). „Z deszczu pod rynnę: Meandry polskiej prywatyzacji” (cztery tomy, 2008). Ponadto tłumacz literatury pięknej, autor m.in. polskiego przekładu „Żelaznego Jana” Roberta Bly. Członek Rady Honorowej „Nowego Obywatela”.

Jarosław Tomasiewicz

(ur. 1962) - politolog, doktor nauk humanistycznych, pracownik naukowy Instytutu Historii Uniwersytetu Śląskiego, publicysta, autor książek „Terroryzm na tle przemocy politycznej (zarys encyklopedyczny)” (2000), „Między faszyzmem a anarchizmem. Nowe idee dla nowej ery” (2000), „Ugrupowania neoendeckie w III Rzeczypospolitej” (2003), „Zło w imię dobra. Zjawisko przemocy w polityce” (2009) i „Rewolucja narodowa. Nacjonalistyczne koncepcje rewolucji społecznej w Drugiej Rzeczypospolitej” (2012), a także wielu tekstów publicystycznych i naukowych. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Ian Williams - student i autor artykułów na temat artykułów na temat branży technologicznej. Był pracownikiem branży gier wideo.

Andrzej Zybortowicz (ur. 1954) - doktor habilitowany nauk humanistycznych, socjolog i historyk, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, komentator życia politycznego. Naukowo zajmuje się głównie socjologią wiedzy i zakulisowymi wymiarami życia społecznego. Studiowała historię na uniwersytetach w Toruniu (specjalizacja: archiwistyka) i Poznaniu. Doktorat uzyskała na tej drugiej uczelni, habilitację (poprzedzoną wieloletnimi zagranicznymi wyjazdami stypendialnymi) - na Wydziale Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, na podstawie rozprawy „Przemoc i poznanie: Studium z nie-klasycznej socjologii wiedzy”. Założyciel i pierwszy kierownik Podyplomowego Studium Socjologii Bezpieczeństwa Wewnętrznego przy Instytucie Socjologii UMK. Pełnił funkcję głównego doradcy ds. bezpieczeństwa państwa premiera Jarosława Kaczyńskiego, od stycznia 2008 r. był doradcą prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego ds. bezpieczeństwa państwa. Opublikował m.in. „W uścisku tajnych służb. Upadek komunizmu i układ postnomenklaturowy” (1993), „Prywatyzowanie państwa policyjnego: przypadek Polski” (Privatizing the Police State: The Case of Poland, z Marią Łoś; 2000), „Transformacja podszyta przemocą: o nieformalnych mechanizmach przemian instytucjonalnych” (z Radosławem Sojakiem; 2008). Członek Rady Honorowej „Nowego Obywatela”.

CZYTELNIKU, ZAPRENUMERUJ NOWEGO OBYWATELA

TYLKO
50 zł
ROCZNIE

- 1 Zapłacisz aż 10 zł taniej za kolejne cztery numery - prenumerata roczna to koszt 50 zł, zaś cena 4 numerów pisma wynosi 60 zł.
- 2 Wesprzesz finansowo nasze inicjatywy (pośrednicy pobierają nawet do 50% ceny pisma!).
- 3 Będiesz mieć pełny dostęp do internetowego archiwum kwartalnika.
- 4 Masz szansę otrzymania ciekawych upominków.
- 5 Prenumerata to wygoda - „Nowy Obywatel” w Twojej skrzynce pocztowej.

A MOŻE WERSJĘ ELEKTRONICZNĄ?

TYLKO
25 zł
ROCZNIE

- 6 W formatach **EPUB** i **MOBI**.
- 7 Bez zabezpieczeń **DRM**.
- 8 Najtaniej.

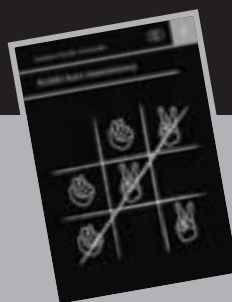
Więcej o prenumeracie można przeczytać tutaj:
nowyobywatel.pl/prenumerata

Opłać prenumeratę w banku lub na poczcie i czekaj, aż „Nowy Obywatel” sam do Ciebie przywędruje :). Możesz też skorzystać z naszego sklepu wysyłkowego, dostępnego na stronie nowyobywatel.pl/sklep

Wpłaty należy dokonywać na rachunek:
Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom” Bank
Spółdzielczy Rzemiosła ul. Moniuszki 6, 90-111 Łódź
Numer konta: 78 8784 0003 2001 0000 1544 0001

Prenumeratę można rozpocząć
od dowolnego numeru.

UPOMINKI



W tym kwartale do prenumeratorów trafi zbiór felietonów Joanny Dudy-Gwiazdy „Krótki kurs nowomowy”. Książkę otrzymują:

Filip Cyuńczyk

Filip Podwiński

Piotr Wójcik

NOWY OBYWATEL

Przyświecają nam następujące wartości:

Samorządność, czyli faktyczny udział obywateli w procesach decyzyjnych we wszelkich możliwych sferach życia publicznego.

(Re)animacja społeczeństwa. Sprzeciwiając się zarówno onnipotentnemu państwu, jak i liberalnemu egoizmowi, dążymy do odtworzenia tkanki inicjatyw społecznych, kulturalnych, religijnych itp., dzięki którym zamiast biernych konsumentów zyskamy aktywnych obywateli.

„Demokracja przemysłowa”. Dążymy do zwiększenia wpływu obywateli na gospodarkę, poprzez np. akcjonariat pracowniczy, ruch związkowy, rady pracowników. 1/3 życia spędzamy w pracy - to zbyt wiele, aby nie mieć na nią wpływu.

Sprawiedliwe prawo i praktyka jego egzekwowania, aby służyło społeczeństwu, nie zaś interesom najsilniejszych grup.

Media obywatelskie, czyli takie, które w wyborze tematów i sposobów ich prezentowania kierują się interesem społecznym zamiast oczekiwaniami swoich sponsorów.

Wolna kultura. Chcemy takiej ochrony własności intelektualnej, która nie będzie ograniczała dostępu do kultury i dorobku ludzkości.

Rozwój autentyczny, nie pozorny. Kultowi wskaźników ekonomicznych i wzrostu konsumpcji, przeciwstawiamy dążenie do podniesienia jakości życia, na którą składa się m.in. sprawna publiczna służba zdrowia, powszechna edukacja na dobrym poziomie, wartościowa żywność i czyste powietrze.

Ochrona dzikiej przyrody, która obecnie jest niszczona i lekceważona w imię indywidualnych zysków i prymitywnie pojmowanego postępu. Jeśli mamy do wyboru nową autostradę i nowy park narodowy - wybieramy park.

Solidarne społeczeństwo. Egoizmowi i uznaniowej filantropii przeciwstawiamy społeczeństwo gotowe do wyrzeczeń w imię systemowej pomocy słabszym i wykluczonym oraz stwarzania im realnych możliwości poprawy własnego losu.

Sprawiedliwe państwo, czyli takie, w którym zróżnicowanie majątkowe obywateli jest możliwie najmniejsze (m.in. dzięki prospołecznej polityce podatkowej) i wynika z różnicy talentów i pracowitości, skromne dochody nie stanowią bariery w dostępie do edukacji, pomocy prawnej czy opieki zdrowotnej.

Gospodarka trójsektorowa. Mechanizmom rynkowym i własności prywatnej powinna towarzyszyć kontrola państwa nad strategicznymi sektorami gospodarki, sprawna własność publiczna (ogólnokrajowa i komunalna) oraz prężny sektor spółdzielczy. Nie zawsze prywatne jest najlepsze z punktu widzenia kondycji społeczeństwa.

Gospodarka dla człowieka - nie odwrotnie. Zamiast pochwał „globalnego wolnego handlu”, postulujemy dbałość o regionalne i lokalne systemy ekonomiczne oraz domagamy się, by państwo chroniło interesy swoich obywateli, nie zaś ponadnarodowych korporacji i „za-granicznych inwestorów”.

Przeszłość i różnorodność dla przyszłości. Odrzucamy jałowy konserwizm i sentymenty za „starymi dobrymi czasami”, ale wierzymy w mądrość gromadzoną przez pokolenia. Każdy kraj ma swoją specyfikę - mówimy „tak” dla wymiany kulturowej, lecz „nie” dla ślepego naśladownictwa.



**ZAWSZE RAZEM
W SŁUSZNEJ SPRAWIE**

Tygodnik
Solidarności

ul. Grójecka 186 lok. 613, 02-390 Warszawa, tel./fax: 22 882 27 96
redakcja@tygodniksolidarnosc.com

nr 12 (63)

WIOSNA 2014

cena 15 zł
(w tym 5% VAT)

NOWY
OBYWATEL

PISMO NA RZECZ SPRAWIEDLIWOŚCI SPOŁECZNEJ

BILANS DEKADY



Europa 5,5 EUR
USA 7 USD
ISSN 2082-7644
INDEX 361569



PONADTO W NUMERZE M.IN.:

Ryszard Bugaj – obszerny wywiad o PRL i III RP

Gaz łupkowy zamiast demokracji

Niemcy – aksamitna kolonizacja